

AUTOR BESTSELLERU *DROGA*

CORMAC McCARTHY

KRWAWY POŁUDNIK



Największe, obok *Drogi*, arcydzieło Cormaca McCarthy'ego.
Jedna z najlepszych amerykańskich powieści XX wieku

W tej przepelnionej jednocześnie liryzmem i brutalnością historii McCarthy tworzy obraz prawdziwego Dzikiego Zachodu, który pochłania czytelnika, porywa go na odległe rubieże Ameryki, do Teksasu i Meksyku XIX w. – w czasy, które wielokrotnie były portretowane w filmach, serialach i literaturze, lecz nigdy z tak sugestywną mocą, nigdy z takim realizmem i głębią.

To książka, od której nie można się oderwać, która zmusza do myślenia i która na bardzo długo pozostawia w naszej pamięci ślad.

„*Krwawy południk* czyta się jak połączenie *Piekle* Dantego, *Iliady* i *Moby Dicka*. Mogę was zapewnić, że nie czytaliście jeszcze takiej książki. To moim zdaniem niezwykle, zapierające dech w piersiach dzieło.”

John Barville

cena 34,90 zł



WYDAWNICTWO LITERACKIE
www.wydawnictwoliterackie.pl
bezpłatna linia telefoniczna 800 42 30 40



CORMAC
McCARTHY

KRWAWY POŁUDNIK

ALBO
WIECZORNA ŁUNA
NA ZACHODZIE

Przełożył
ROBERT SUDOŁ

Wydawnictwo literackie

Tytuł oryginału *Blood Meridian or the Evening Redness in the West*

Copyright © Cormac McCarthy 1985

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Literackie, 2010

© Copyright for the Polish translation by Robert Sudoł

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-04476-6

Opieka redakcyjna

Paweł Ciemniwski

Redakcja

Weronika Kosińska

Korekta

Małgorzata Wójcik, Barbara Turnau,

Filip Szczurek

Opracowanie typograficzne

Marek Pawłowski

Ilustracja na okładce

Michał Karcz

Redakcja techniczna

Bożena Korbut

Printed in Poland

Wydawnictwo Literackie Sp, z o.o., 2010

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

bezpłatna linia telefoniczna: 0 800 42 10 40

księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

e-mail: księgarnia@wydawnictwoliterackie.pl

fax: (+48-12) 430 00 96

tel.: (+48-12) 619 27 70

Skład i łamanie: Infomarket

Druk i oprawa:

Wrocławska Drukarnia Naukowa PAN

Autor pragnie podziękować Fundacji Lyndhurst,
Fundacji im. Johna Simona Guggenheima oraz
Fundacji im. Johna D, and Catherine T. MacArthur.
Pragnie także wyrazić wdzięczność Albertowi
Erskine'owi, swemu wieloletniemu redaktorowi.

Wasze poglądy napawają grozą i macie bojaźliwe serca. Wasze akty litości i okrucieństwa są niedorzeczne, popełniane bez pohamowania, jakby były nieodparte. Wreszcie coraz bardziej lękacie się krwi. Krwi i czasu.

Paul Valéry

Nie należy sądzić, że żywot ciemności pogrążony jest w niedoli i zatracie niby w zasmuceniu. Nie ma zasmucenia. Albowiem smutek jest rzeczą, którą śmierć pochłania, a śmierć i konanie są samym żywiołem ciemności.

Jakub Böhme

Clark, który poprowadził zeszłoroczną wyprawę do regionu Afar w północnej Etiopii, i Tim D. White, jego kolega z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, również stwierdzili, że powtórne oględziny znalezionej wcześniej w tym regionie skamieniałej czaszki sprzed trzystu tysięcy lat wskazują na oskalpowanie.

„The Yuma Daily Sun”, 13 czerwca 1982 roku

I

- DZIECIŃSTWO W TENNESSEE • W ŚWIAT
• NOWY ORLEAN • BÓJKI
• POSTRZAŁ • DO GALVESTON
• NACOGDOCHES • WIELEBNY GREEN
• SĘDZIA HOLDEN
• BURDA • TOADVINE • PODPALENIE HOTELU
• UCIECZKA

Oto widać dziecko. Błede i chude, ma na sobie cienką, złachmanioną koszulę z lnu. Dogląda ognia w komórce. Obok ciągną się ciemne zaorane pola z płachciami śniegu, a dalej jeszcze ciemniejsze lasy, w których kryją się ostatnie wilki. Jego rodzina znana jest jako ci, co rąbią drwa i czerpią wodę, lecz tak naprawdę ojciec był nauczycielem w szkole. Leży opity, cytując poetów, których nazwiska poszły w niepamięć. Chłopiec kuca przy ogniu i patrzy na ojca.

Tej nocy, kiedy się urodziłeś. W trzydziestym trzecim. Leonidy, tak się zwą. Boże, jak te gwiazdy się sypały. Wypatrywałem czerni, dziur w niebiosach. Rozpadł się Wóz.

Matka, zmarła czternasty już rok, wyhodowała w swoim łonie istotę, która ją uśmierciła. Ojciec nie wymawia jej imienia, dziecko go nie zna. Po tym świecie chodzi jeszcze siostra, której nigdy nie spotka. Patrzy, błady i brudny. Nie potrafi czytać ani pisać i już kiełkuje w nim pociąg do bezmyślnej przemocy.

W obliczu tym uobecnia się cała historia, dziecko ojcem mężczyzny.

W wieku czternastu lat ucieka w świat. Nie zobaczy już nigdy wyiębionej kuchni w ciemności przed świtem. Drewna na opał, miednic. Wędruje na zachód, aż do Memphis, samotny tułacz pośród płaskiego, sielskiego krajobrazu. Murzyni na polach, szczupli i przygarbieni, ich rozczapierzone dłonie między kłaczkami bawełny. Agonia w cieniu ogrodu. Na tle powoli zachodzącego słońca sylwetki poruszające się po papierowym horyzoncie o zmierzchu. Osamotniony ciemny rolnik wlokący się ku nocy za mulem i broną na smaganych deszczem żułwach.

Rok później jest w Saint Louis. Zabiera się na barcę płynącą do Nowego Orleanu. Czterdzieści dwa dni na rzece. Nocą huczą parowce, suną obok po czarnych wodach, rozświetlone jak pływające miasta. Przerywają spław i sprzedają tarcicę, a on włóczy się po ulicach i słyszy języki, których wcześniej nie słyszał. Mieszka za tawerną, w pokoju od podwórka, a wieczorem schodzi na dół niczym jakaś bestia z baśni, żeby bić się z marynarzami. Nie jest duży, ale ma grube nadgarstki, grube ręce. Zwarte ramiona. Pod bliznami twarz tego dziecka jest osobliwie nietknięta, oczy zadziwiająco niewinne. Walczą na pięści i kopniaki, na butelki albo noże. Wszelkie rasy, wszystkie kolory skóry. Mężczyźni, których mowa brzmi jak małpie stękanie. Mężczyźni z krain tak dalekich i egzotycznych, że gdy stoi nad nimi, leżącymi we krwi i w błocie, czuje, że cała ludzkość została oczyszczona.

Pewnego wieczoru bosman z Malty strzela mu w plecy z małego pistoletu. Dzieciak się odwraca, żeby go dopaść, i dostaje drugą kulę tuż pod serce. Tamten ucieka, on opiera się o bar, krwawiąc pod koszulą. Pozostali patrzą w bok. Po chwili siada na podłodze.

Przez dwa tygodnie leży na pryczy w pokoju na piętrze, doglądany przez żonę właściciela tawerny. Ona przynosi posiłki, wynosi brudy. Kobieta o groźnej minie i ciele żylastym jak u mężczyzny. Gdy dzieciak wreszcie zdrowieje, nie ma już pieniędzy, żeby jej zapłacić, wymyka się więc pod osłoną nocy i sypia nad rzeką, póki nie trafi się statek, który go zabierze. Statek płynie do Teksasu.

Dopiero teraz dziecko wyzbywa się wszystkiego, czym kiedyś było. Jego rodowód jest tak odległy jak jego przeznaczenie i na całej kuli ziemskiej nie znalazłaby się druga tak dzika i barbarzyńska kraina, gdzie by się przekonał, czy całe istnienie daje się ukształtować podług woli człowieka i czy jego własne serce nie jest aby tylko ulepione z innej gliny. Pasażerowie to zgraja tchórzy. Zamykają oczy i żaden nie pyta drugiego, co go tu przygnało. Sypia na pokładzie, pielgrzym wśród pielgrzymów. Widzi, jak unosi się i opada zamazany ład. Gapiące się szare morskie ptaki. Stada pelikanów wzdłuż brzegu nad szarymi falami.

Przesiadają się na barcę, osadnicy z dobytkiem, wszyscy wpatrzeni w niską linię brzegową, w małą piaszczystą zatokę z zagajnikiem sosnowym pływającą we mgle.

Włóczy się po wąskich uliczkach portu. Powietrze pachnie solą i świeżo ciętym drewnem. Nocą kurwy wołają do niego z mroku jak dusze w potrzebie. Mija tydzień i znów jest na szlaku, w pularesie kilka zarobionych dolarów, nocami wędruje samotnie po piaszczystych drogach Południa, z dłońmi stulonymi w bawełnianych kieszeniach lichego płaszcza. Usypane z ziemi groble na moczarach. Czaple w swoich siedliskach białe jak świece pośród torfowisk. Wiatr kąsa, na poboczach liście mkną bezładnie susami na nocne pola. Dzieciak ciągnie na północ przez małe osady i farmy, pracując za dniówkę i wikt. W wiosce przy krzyżówce ogląda wieszanie ojcobójcy: przyjaciele mężczyzny podbiegają, żeby podeprzeć mu nogi, ale on już dynda martwy na sznurze, a spodnie ciemniej mu od moczu.

Pracuje w tartaku, pracuje w lecznicy dla chorych na dyfteryt. Od farmera dostaje jako zapłatę starego muła i na jego grzbiecie wiosną roku 1849 dociera przez tereny niedawnej Republiki Fredonii do miasta Nacogdoches.

* * *

Odkąd rozpadał się deszcz, a padał już od dwóch tygodni, wielebny Green występował codziennie przed pełną salą. Gdy dzieciak zanurkował pod połę namiotu z nędznego płótna, wewnątrz było jeszcze trochę wolnego miejsca przy ścianie, dla jednej, może dwóch stojących osób, i tak przenikliwy smród mokrych i niemytych ciał, że ludzie ciągle wybiegali na zewnątrz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, po czym ulewa

zapędzała ich z powrotem do środka. Stał razem z innymi podobnymi do siebie przy tylnej ścianie. Z tłumu wyróżniałoby go tylko to, że nie był uzbrojony.

Bliźni moi, mówił wielebny, człowiek ten nie umiał trzymać się z dala od gniazd rozpusty, rozpusty, rozpusty, po trzykroć rozpusty, tutaj w Nacogdoches! Powiadam mu: zabierzesz tam Syna Bożego ze sobą? On na to, że nie, o nie. A ja: nie wiesz, że powiedział, że będzie z tobą po sam kres twojej ziemskiej wędrówki?

E tam, odparł mi, nie proszę się nikogo, żeby gdziekolwiek ze mną laził. A ja mu na to: bliźni mój, nie musisz wcale prosić. On będzie z tobą przez cały czas, czy poprosisz, czy nie. Mówię: bliźni mój, nie możesz się Go wyrzec. On jest z tobą. Czy chcesz więc zaciągnąć Go, Syna Bożego, do onego gniazda rozpusty?

Widziałeś gdzie kiedy taki deszcz?

Dzieciak patrzył na wielebneho. Teraz odwrócił się do mężczyzny, który się odezwał. Miał długie wąsy na modłę woźniców i kapelusz z szerokim rondem, o niskiej, okrągłej główce. Był lekko zezowaty i patrzył uważnie na dzieciaka, jakby chciał poznać jego opinię na temat deszczu.

Dopiero przyjechałem, powiedział dzieciak.

Tak czy siak, bije na łeb wszystko, co do tej pory widziałem.

Dzieciak kiwnął głową. Do namiotu wszedł ogromny mężczyzna w płaszczu z ceraty. Zdjął kapelusz. Był łysy jak kolano i nie miał śladu zarostu, brwi nad oczami ani rzęs. Wzrost około dwóch metrów. Stał, paląc cygaro w wędrownym domu bożym,

a kapelusz zdjął tylko po to, by strząsnąć z niego deszczówkę, i teraz włożył go z powrotem.

Wielebny przerwał kazanie. W namiocie zaległa głęboka cisza. Wszyscy patrzyli na przybysza. Ten poprawił kapelusz, a potem przepchnął się do przodu, aż do ambony zrobionej z drewnianej skrzyni, po czym odwrócił się, żeby przemówić do słuchaczy wielbnego Greena. Miał pogodną i osobliwie dziecięcą twarz. I małe dłonie, które wyciągnął przed siebie.

Panie i panowie, uznałem za swoją powinność, by was powiadomić, że człowiek prowadzący to nabożeństwo jest zwykłym oszustem. Nie ma dokumentów duszpasterskich z żadnego ustanowionego ani nowego Kościoła. Nie ma też żadnych kwalifikacji do sprawowania godności, którą sobie przywłaszczył, bo ledwie opanował na pamięć kilka ustępów ze świętej księgi, żeby swoim szalbierczym kazaniom nadać wąty pozór pobożności, którą w istocie gardzi. Prawdę mówiąc, człowiek, który przed wami stoi i podaje się za sługę bożego, to nie tylko zupełny analfabeta, ale też przestępca ścigany prawem w stanach Tennessee, Kentucky, Missisipi i Arkansas.

Święty Boże, krzyknął wielebny, to są łgarstwa, łgarstwa! Zaczął gorączkowo czytać z otwartej Biblii.

Ścigany za rozmaite występki, ostatni dotyczący dziewczynki lat jedenaście — powtarzam, lat jedenaście — która przysłała do niego w dobrej wierze i z którą przydybano go w trakcie zbliżenia, gdy wystrojony był w szaty sługi bożego.

Przez tłum przetoczył się jęk. Jakaś kobieta osunęła się na kolana.

To diabeł, krzyczał wielebny, łkając. To on. Sam diabeł. Stoi przed wami.

Powieśmy to ścierwo, krzyknął paskudny zbir z podestu w głębi.

Niespełna trzy tygodnie wcześniej wygnany został z Fort Smith w stanie Arkansas za spółkowanie z kozą. Tak, paniusiu, tak właśnie powiedziałem. Z kozą.

Żeby jutra nie doczekał, jeśli nie ukatrupię skurwiela, zawołał mężczyznę z przeciwległej strony. Podnosząc się, wyszarpnął pistolet z cholewy buta, wycelował i strzelił.

Młody woźnica błyskawicznie wyciągnął nóż spod ubrania, rozplątał bok namiotu i wyszedł na deszcz. Dzieciak skoczył za nim. Mocno przygarbieni, pobiegli przez błoto w kierunku hotelu. W namiocie rozpętała się strzelanina, a przez kilkanaście otworów wyciętych w płóciennych ścianach wysypywali się na zewnątrz wierni: rozwrzeszczane kobiety, potykający się mężczyźni, ludzie wdeptywani w błoto. Dzieciak i jego nowy znajomy dopadli do podestu przed hotelem, otarli deszcz z oczu i odwrócili się, żeby popatrzeć. Gdy tak stali, namiot zaczął się chwiać i zapadać, po czym jak ogromna ranna meduza powoli osiadł na ziemi, wlokąc za sobą po błocie podarty brezent i nędzne odciążki.

Gdy weszli do baru, rosły łysielec już tam był. Przed nim, na wypolerowanym blacie, leżały dwa kapelusze i dwie garści monet. Wzniósł szklankę, ale nie do nich. Stanęli przy kontuarze i zamówili whiskey; dzieciak wyłożył pieniądze, lecz barman

odepchnął je kciukiem i wskazał skinieniem głowy.

Sędzia funduje, powiedział.

Wypili. Woźnica odstawił szklanę i spojrzął na dzieciaka, a przynajmniej tak się wydawało, bo trudno było uchwycić jego wzrok. Dzieciak zerknął wzdłuż kontuaru w stronę sędziego. Kontuar był tak wysoki, że niektórzy nie mogli na nim oprzeć łokci, ale sędziemu sięgał ledwie do pasa, stał więc z rękoma położonymi płasko na blacie, lekko pochylony, jakby znów zamierzał przemówić. Przez drzwi wtoczyli się do środka mężczyźni, pokrwawieni, ubłoceni, klnący. Skupili się wokół sędziego. Skrzyknięto oddział do pościgu za karnodzieją.

Panie sędzio, skąd pan wie o sprawkach tego łajdaka?

Sprawkach?, spytał sędzia.

Kiedy pan był w Fort Smith?

W Fort Smith?

Gdzie go pan poznał, że pan to wszystko o nim wie?

Chodzi o wielbnego Greena?

Tak. Pewnikiem był pan w Fort Smith, skoro wziął pan i tu do nas przyjechał.

Nigdy w życiu nie byłem w Fort Smith. Wątpię, czy on tam był.

Wszyscy popatrzyli po sobie.

No to gdzie pan na niego wpadł?

Nigdy wcześniej nie widziałem tego człowieka. Nigdy nawet o nim nie słyszałem.

Sędzia podniósł szklanę i wypił.

W barze zapadła dziwna cisza. Mężczyźni przypominali rzeźby z błota. Wreszcie jeden parsknął śmiechem. Potem

drugi. Po chwili wszyscy rechotali. Ktoś postawił sędziemu kielicha.

* * *

Gdy poznał Toadvine'a, lało już szesnasty dzień i nie chciało przestać. Stał w tym samym saloonie; przepił wszystkie pieniądze oprócz dwóch dolarów. Woźnica zniknął, bar świecił pustkami. Przez otwarte drzwi widział deszcz padający na pusty plac za podwórką. Opróżnił szklankę i wyszedł. Na błocie położono deski, ruszył więc w ślad za bladym snopem światła wylewającym się przez drzwi, w kierunku wychodka na końcu placu. Z drugiej strony nadszedł akurat jakiś mężczyzna i spotkali się pośrodku wąskiej kładki. Mężczyzna lekko się chwia. Rondo mokrego kapelusza opadało mu aż do ramion, z wyjątkiem przodu, gdzie było przypięte do główki. W jednej ręce trzymał luźno butelkę. Złaz mi z drogi, powiedział.

Dzieciak nie zamierzał tego zrobić i nie miał ochoty na dyskusje. Kopnął mężczyznę w szczękę. Tamten upadł, ale się podniósł. Zabiję cię, powiedział.

Zamachnął się, dzieciak zrobił unik, kolejny zamach, dzieciak odskoczył. Zaatakował, ale wtedy mężczyzna grzotnął go butelką w skroń. Runął z desek w błoto, a tamten zwałił się na niego ze strzaskaną butelką w garści, próbując wbić mu ją w oko. Dzieciak zasłaniał się rękoma, obaj zalani byli śliską krwią. Próbował sięgnąć do buta po nóż.

Zabiję cię, gnoju, powiedział mężczyzna. Szamotali się na ciemnym placu, gubiąc buty. Dzieciak chwycił nóż i teraz

krążyli dokoła siebie, a gdy tamten skoczył, dzieciak rozciął mu koszulę. Mężczyzna rzucił butelkę i zza pleców wyciągnął ogromny nóż traperski. Spadł mu kapelusz, wokół głowy fruwały czarne kędzierzawe strąki, a swoje groźby ograniczał teraz do jednego słowa, zabiję, zabiję, zabiję, skandowanego jak obłąkane zaklęcie.

Ten już rozpruty, powiedział któryś z mężczyzn przypatrujących się bójce przy kładce.

Zabiję, zabiję, bełkotał tamten, brnąc w błocie.

Przez plac nadchodził już ktoś inny, z głośnym miarowym chlupotem, jakby człapała krowa. Niósł ogromną szillelę. Podszedł najpierw do dzieciaka i zadał cios maczugą, a ten runął w błoto na twarz. Umarłby, gdyby ktoś nie przewrócił go na plecy.

Gdy się ocknął, był dzień, deszcz ustał i zobaczył nad sobą twarz długowłosego mężczyzny, całkiem oblepionego błotem. Mężczyzna coś mówił.

Co?, stęknął dzieciak.

Pytałem, czy masz dosyć?

Dosyć?

Dosyć. Bo jak chcesz jeszcze ze mną potańcować, to proszę bardzo.

Spojrzał w niebo. Myszołów, bardzo wysoko, bardzo mały. Popatrzył na mężczyznę.

Mam złamany kark?, spytał.

Tamten zerknął na plac, splunął i znów spojrzał na chłopca. Nie możesz wstać?

Nie wiem. Nie próbowałem.

Nie chciałem, żeby ci złamać kark.

Nie?

Chciałem cię zabić.

Jeszcze się taki nie narodził. Wbił palce w błoto i się podźwignął.

Mężczyzna siedział na deskach, a obok stały jego buty. Nic ci nie jest, powiedział.

Dzieciak rozejrzał się tępo dokoła. Gdzie moje buty?, spytał.

Tamten popatrzył na niego zmrużonymi oczami. Z twarzy odpadały mu grudki wyschniętego błota.

Zabiję skurwysyna, co mi wziął moje buty.

Wygląda mi, że tam jest jeden.

Dzieciak popełził i wyciągnął but. Człapał po podwórku, obmacując zwały błota.

To twój nóż?, spytał.

Mężczyzna spojrział na niego z ukosa.

Na to wygląda, odparł.

Dzieciak rzucił mu nóż, a tamten schylił się, podniósł go i wytarł ogromne ostrze w nogawkę spodni. Myślałem, że ktoś mi cię ukradł, powiedział do noża.

Dzieciak znalazł drugi but, podszedł do desek i usiadł. Dłonie miał ubabrane błotem, szybko więc otarł jedną o kolano, a potem ją opuścił.

Siedzieli obok siebie, patrząc na pusty plac. Na końcu był płot, a dalej jakiś chłopiec czerpał wodę ze studni, po podwórku zaś łąziły kury. Z baru wyszedł mężczyzna i ruszył po deskach do wychodka. Dotarł do miejsca, w którym siedzieli, i wtedy zszedł z kładki w błoto. Po jakimś czasie wrócił, znowu ich ominął i wlaź na deski.

Dzieciak spojrział na mężczyznę. Miał dziwnie wąską głowę, a oblepione błotem włosy tworzyły osobliwą dziką fryzurę. Na czole wypalono mu litery K i N, niżej, prawie między oczami, D, a piętna te były nierówne i wyraziste, jakby żelazo trzymano przy twarzy zbyt długo. Kiedy się odwrócił, żeby spojrzeć na dzieciaka, ten zobaczył, że mężczyzna nie ma uszu. Wstał, wsunął nóż do pochwy i ruszył po deskach, z butami w ręku, a dzieciak podniósł się i podążył za nim. W połowie drogi do hotelu mężczyzna zatrzymał się i potoczył wzrokiem po placu, a potem usiadł i wciągnął buty pełne błota. Wstał i poczłapał na bok, żeby coś podnieść.

Chodź tu i popatrz, powiedział. Mój cholerny kapelusz.

Wyglądał jak nie wiadomo co, coś martwego. Mężczyzna otrzepał go, włożył i ruszył dalej, a dzieciak za nim.

Bar mieścił się w długim i wąskim korytarzu obitym w środku deskami pociągniętymi pokostem. Przy ścianach ustawiono stoły, na podłodze spluwaczki. Nie było klientów. Kiedy weszli, barman podniósł głowę, a czarnuch, który zamiatł podłogę, odstawił miotłę pod ścianę i wyszedł.

Gdzie Sidney?, spytał pokryty błotem mężczyzna.

Chyba w łóżku.

Ruszyli dalej.

Toadvine, zawołał barman.

Dzieciak się obejrzał.

Barman wyszedł zza kontuaru i patrzył za nimi. Przeszli przez drzwi do hotelowego holu i dalej na schody, zostawiając za sobą ślady błota. Gdy skierowali się na górę, recepcjonista przechylił się przez ladę i zawołał.

Toadvine:

Mężczyzna przystanął i obejrzał się przez ramię.

On cię zastrzeli.

Kto, stary Sidney?

Stary Sidney.

Ruszyli dalej.

Na górze ciągnął się długi korytarz z oknem na końcu. Po obu stronach biegły rzędy pomalowanych pokostem drzwi, znajdujących się tak blisko siebie, że wyglądały jak drzwi do szafy. Toadvine doszedł do końca korytarza. Zaczął nasłuchiwać pod ostatnimi drzwiami i zerknął na dzieciaka.

Masz zapalki?

Poszperał w kieszeniach, wyjął zgniecione i poplamione pudełko.

Mężczyzna wziął je. Trzeba by czegoś na podpałkę, powiedział. Rozerwał pudełko i ułożył kawałki pod drzwiami. Potarł zapalkę i podpalił. Wepchnął płonący stosik pod drzwi i dorzucił parę zapalek.

On tam jest?, spytał chłopak.

Zaraz się przekonamy.

Buchnął kłęb czarnego dymu i płomień niebieski od pokostu. Przysiedli w korytarzu i czekali. Wąty ogień pełzał po deskach, falując do tyłu. Obaj wyglądali jak postacie wykopane z bagien.

Zastukaj w drzwi, powiedział Toadvine.

Dzieciak się podniósł. Toadvine też wstał. Czekał. Słyszeli, jak w pokoju trzaskają płomienie. Dzieciak zapukał.

Walnij głośniej. On lubi sobie wypić.

Zacisnął pięść i grzmotnął w drzwi z pięć razy.

Niech cię piorun, odezwał się jakiś głos.

Oto jest.

Czekali.

Ty piekielny skurwysynu, powiedział głos. A potem poruszyła się gałka i drzwi się otworzyły.

Stał w samej bieliźnie, trzymając ręcznik, którym owinął dłoń, żeby przekręcić gałkę. Gdy ich zobaczył, odwrócił się i cofnął w głąb pokoju, ale Toadvine dopadł go, chwycił za kark, przewrócił na podłogę i trzymając za włosy, zaczął mu kciukiem wylupywać oko. Mężczyzna złapał go za nadgarstek i ugryzł.

Kopnij go w zęby, krzyknął Toadvine. Kopnij.

Dzieciak wszedł do pokoju, ominął ich, odwrócił się i kopnął mężczyznę w twarz. Toadvine odgiął mu głowę, ciągnąc za włosy.

Kop, krzyczał. Ech, kop, kop, skarbie.

Kopał.

Toadvine przekręcił zakrwawioną głowę do tyłu, spojrzął na nią, puścił ją, aż grzmotnęła o podłogę, podniósł się i sam kopnął mężczyznę. W korytarzu stało dwóch gapiów. Drzwi się paliły, tak samo jak część ściany i sufitu. Wyszli z pokoju i ruszyli korytarzem. Na górę wbiegał recepcjonista, przeskakując po dwa schodki.

Toadvine, ty skurwysynu, powiedział.

Toadvine stał cztery stopnie wyżej, gdy więc wymierzył mu kopniaka, trafił w gardło. Recepcjonista usiadł na schodach. Przechodząc obok, dzieciak uderzył go w skroń, aż ten się przewrócił i zaczął zsuwać na parter. Dzieciak przestąpił go, zszedł do holu, przez drzwi i na dwór.

Toadvine biegł ulicą, wymachując obłąkańczo nad głową zaciśniętymi pięściami i rechocząc. Wyglądał jak wielka gliniana laleczka voodoo, która ożyła, a dzieciak jak druga. Z tyłu płomienie lizały już dach hotelu i ciepły teksaski poranek zasnuwały obłoki ciemnego dymu.

Dzieciak trzymał muła u meksykańskiej rodziny, która przechowywała zwierzęta na skraju miasteczka, i teraz dobiegł tam, łypiąc dzikim wzrokiem i dysząc. Kobieta otworzyła drzwi i popatrzyła na niego.

Muszę wziąć muła, wysapał.

Patrzyła jeszcze przez chwilę, a potem krzyknęła coś w głąb izby. Obszedł dom. Na placu stały przywiązane konie, a przy ogrodzeniu wóz, na którego krawędzi siedziały indyki wpatrzona w dal. Stara kobieta stanęła w tylnych drzwiach. Nito, zawołała. Venga. Hay un caballero aquí. Venga.

Przeszedł przez szopę do siodłami, wziął swoje nędzne siodło i posłanie i wrócił. Odnalazł muła, wyciągnął go z boksu, założył mu kantar z niewyprawionej skóry i podprowadził do płotu. Naparł ramieniem na zwierzę, zarzucił siodło na grzbiet i zapiął popręg. Muł bryknął, płosząc się i pocierając łbem o

ogrodzenie. Dzieciak ruszył z nim przez plac. Muł uparcie potrząsał łbem na boki, jakby coś wlażło mu do ucha.

Wyprowadził go na drogę. Kiedy mijał dom, kobieta przydreptała za nim. Gdy zobaczyła, że wkłada stopę w strzemię, rzuciła się za nim biegiem. Wskoczył na popękane siodło i cmoknął na muła. Zatrzymała się przy bramie i patrzyła, jak odjeżdża. Nie obejrzał się.

Kiedy wracał przez miasteczko, hotel stał w płomieniach, a dookoła zgromadzili się gapie, niektórzy z pustymi wiadrami. Przyglądało się temu także kilku mężczyzn na koniach, wśród nich sędzia. Gdy dzieciak ich mijał, sędzia odwrócił się i spojrział na niego. Okręcił konia, jakby chciał, żeby zwierzę też sobie popatrzyło. Kiedy dzieciak zerknął na sędziego, ten się uśmiechnął. Popędził muła i potruchtali obok starego kamiennego fortu, drogą na zachód.

II

PRZEZ PRERIĘ • PUSTELNIK • SERCE CZARNUCHA

• BURZA W NOCY • ZNOWU NA ZACHÓD

• POGANIACZE BYDŁA • ICH DOBROĆ

• Z POWROTEM NA SZLAKU • WÓZ Z TRUPAMI

• SAN ANTONIO DE BEXAR

• W MEKSYKAŃSKIEJ KANTYNI

• KOLEJNA WALKA • OPUSZCZONY KOŚCIÓŁ

• LUDZKIE SZCZĄTKI W ZAKRYSTII

• BRÓD • KĄPIEL W RZECE

Nastaly dni zebrany, dni rabunku. Dni wędrowki tam, gdzie prócz niego nie wędrował nikt. Zostawił za sobą krainę lasów sosnowych, przed nim wieczorne słońce chyli się za niekończącą się zapadliną, zmrok nadciąga jak grom, a zimny wiatr skrzypi zielskiem. Nocne niebo jest tak usiane gwiazdami, że ledwo zostaje miejsce na czerń, i spadają aż do rana, kreśląc zawzięcie łuki, a jednak ich nie ubywa.

Trzyma się z dala od gościńca z obawy przed ludźmi. Małe wilki preriowe wyją przez całą noc, a świt zastaje go w trawistej niecce, w której schronił się przed wiatrem. Kulawy muł stoi nad nim, wypatrując światła na wschodzie.

Wstające słońce ma barwę stali. Jego zwierzęco-ludzki cień ciągnie się z przodu przez całe mile. Ma kapelusz upleciony z liści, wyschniętych i popękanych od słońca, i wygląda w nim jak strach na wróble, który przywędrował z jakiegoś pola, gdzie płoszył ptaki.

Pod wieczór dostrzega smugę dymu wznoszącą się niewyraźnie znad niskich wzgórz i jeszcze przed zmrokiem staje u drzwi starego anachorety, który zagrzebał się w ziemi jak mapinguara. Samotny, na wpół obłąkany, o zaczerwienionych oczach — jakby uwięzione były w głowie za pomocą rozżarzonych drucików. Ale o dość krzepkim ciele. Patrzył w milczeniu, gdy dzieciak zsunął się sztywny z muła. Dmący wiatr rozwiewał jego łachmany.

Zobaczyłem dym, powiedział. Pomyślałem sobie, że może nie pożałujesz człowiekowi łyka wody.

Stary pustelnik podrapał się po brudnych włosach i popatrzył na ziemię. Odwrócił się i wszedł do chaty, a dzieciak ruszył za nim.

W środku mrok i zapach ziemi. Na klepisku płonął mały ogień, a jedynym wyposażeniem była sterta skór leżąca w kącie. Starzec podreptał w ciemności, ze spuszczoną głową, żeby nie zawadzić o niskie sklepienie ze splecionych gałęzi i błota. Wskazał ręką wiadro stojące na ziemi. Dzieciak pochylił się, wziął pływającą wydrążoną tykwę, zanurzył ją i się napił. Woda była słona, siarczana.

Myślisz, że mógłbym napoić muła?

Starzec zaczął uderzać pięścią w drugą dłoń, rzucając spojrzenia na boki.

Chętnie przyniosę świeżej. Tylko powiedz skąd.

A czym byś go chciał napoić?

Dzieciak zerknął na wiadro, a potem rozejrzał się po ciemnej lepiance.

Ja nie będę pił po mule, powiedział pustelnik.

Nie masz jakiegoś starego wiadra albo czegoś?

Nie, krzyknął starzec. Nie mam. Bił się zaciśniętymi pięściami w pierś.

Dzieciak wyprostował się i spojrzął na drzwi. Coś znajdě, powiedział. Gdzie studnia?

Na górze, jak ścieżka prowadzi.

Za ciemno, nic nie zobaczę.

Ścieżka dobrze wydeptana. Nogi same zaprowadzą. Muł zaprowadzi. Ja nie mogę pójść.

Wyszedł z chaty na wiatr i rozejrzał się za mułem, ale go nie było. Daleko na południu zaślniła bezgłośnie błyskawica. Ruszył ścieżką wśród kołyszącego się zielska i znalazł muła przy studni.

Dziura w piaszczystej ziemi otoczona kawałkami skały. Przykryta płachtą z suchej skóry obciążoną kamieniem. Wiadro z niewyprawionej skóry, taki sam czerpak i sznur z natłuszczonych rzemieni. Do czerpaka przywiązano kamień, żeby czerpak się przechylał i nabierał wody, dzieciak więc opuścił go do środka, aż sznur zwiotczał. Muł patrzył mu przez ramię.

Napełnił wiadro trzy razy i trzymał je, żeby pijący muł nie rozlał wody, a potem zakrył studnię i zaprowadził zwierzę z powrotem do lepianki.

Dziękuję za wodę, krzyknął.

W drzwiach zamajaczyła ciemna sylwetka pustelnika. Zostań u mnie, powiedział.

Dam sobie radę.

Lepiej zostań. Idzie na burzę.

Tak ci się widzi?

Tak mi się widzi i widzi mi się dobrze.

No tak.

Przynieś swoje spanie. Rzeczy przynieś.

Odpiął i zrzucił siodło, przywiązał mułowi przednią nogę do tylnej i wniósł posłanie do lepianki. Nie było żadnego światła oprócz ognia, przy którym pustelnik siedział po turecku.

Gdzie sobie chcesz, powiedział. A siodło?

Dzieciak wskazał podbródkiem.

Nie zostawiaj na dworze, bo coś ci je zje. To głodna kraina.

Wyszedł i w ciemności wpadł na muła. Zwierzę stało przy drzwiach, patrząc na ogień.

Odsuń się, głupi, powiedział. Wziął siodło i wrócił do środka.

Zawrzyj, bo nas wywieje, powiedział starzec.

Drzwi sklecone były z desek na skórzanych zawiasach. Przeciągnął je po klepisku i zamknął skórzanym skoblem.

Więc się zgubiłeś?, spytał pustelnik.

Nie, od razu znalazłem studnię.

Starzec zamachał szybko ręką. Nie, nie, chodzi mi o to, że się zgubiłeś, skoro trafiłeś do mnie. Była burza piaskowa? Zboczyłeś nocą z drogi? Zbóje cię napadli?

Dzieciak się zastanawiał. Tak, odparł. Jakoś zjechaliśmy z drogi.

Od razu wiedziałem.

Dawno tu jesteś?

Gdzie tu?

Siedział na swoim posłaniu po drugiej stronie ognia. Tu, powtórzył. W tym miejscu.

Starzec nie odpowiedział. Nagle odwrócił głowę, chwycił się kciukiem i palcem wskazującym za nos, wydmuchał dwie nitki smarków na klepisko i wytarł palce o szew spodni. Pochodzę z Missisipi. Sprzedawałem niewolników, ale po co o tym mówić. Zbiłem majątek. Nigdy mnie nie złapali. Tyle że mi obrzydło. Czarnuchy mi obrzydły. Zaczekaj, coś ci pokażę.

Odwrócił się i zaczął szperać w stercie skór. Podał dzieciakowi nad płomieniami mały ciemny przedmiot. Ten obrócił go w palcach. Serce człowieka, suche i szerniałe. Oddał serce z powrotem, a starzec trzymał je w stulonej dłoni, jakby chciał zważyć.

Cztery są rzeczy, co mogą zniszczyć świat, powiedział. Kobiety, whiskey, pieniądze i czarnuchy.

Siedzieli w milczeniu. Wiatr pojękiwał w rurze, która przez dach odprowadzała dym na zewnątrz. Po chwili starzec odłożył serce.

Kosztowało mnie dwieście dolarów, powiedział.

Dałeś za to dwieście dolarów?

Dałem, bo taka była cena za tego czarnego skurwysyna, w którym siedziało.

Poszedł do kąta i wrócił ze starym, ciemnym mosiężnym kociołkiem, podniósł pokrywkę i wsadził palec do środka. Resztki chudego zająca preriowego, zatopione w zimnym tłuszczu porośniętym meszkiem niebieskiej pleśni. Zatrzasnął pokrywkę i postawił kociołek na ogniu. Mało, ale starczy dla dwóch, powiedział.

Dziękuję.

Zgubiłeś drogę w ciemności, ciągnął starzec. Poruszył popiół w ognisku, układając w nim cienkie kawałki kości.

Dzieciak milczał.

Pustelnik pokręcił głową. Ciężka jest dola grzesznika. Bóg stworzył ten świat, ale nie tak, coby pasował każdemu, prawda?

Mną się chyba nie przejmował.

Ano właśnie, odparł starzec. Ale skąd człowiek bierze swoje sądy? Czy widział inny świat, który by mu się bardziej podobał?

Potrafię sobie wyobrazić lepsze miejsce i lepsze życie.

A umiesz sprawić, że się staną?

Nie.

Nie. To zagadka. Człowiek mozoli się, żeby poznać własny umysł, bo do tego nie ma nic, tylko własny umysł. Może poznać swoje serce, ale nie chce tego zrobić. I słusznie. Lepiej tam nie zaglądać. Bo nie jest to serce stworzenia, które by przestrzegało wszystkiego, co Bóg dla niego zamyślił. W najpodlejszym stworzeniu znajdziesz nikczemność, ale gdy Bóg lepił człowieka, diabeł stał obok. Bo człowiek może wszystko. Może zrobić maszynę. I maszynę taką, co sama zrobi drugą maszynę. I czynić może zło, które przetrwa tysiąc lat, nie trzeba go podsycać. Wierzysz mi?

Nie wiem.

Lepiej uwierz.

Kiedy packa się podgrzała, starzec nałożył porcje i zaczęli jeść w milczeniu. Grzmoty przetaczały się na północ i wkrótce

zadudniło im nad głowami, aż zaszeleściły kawałki rdzy opadające wewnątrz rury. Siedzieli zgarbieni nad talerzami, zgarniając tłuszcz palcami i pijąc z tykwy.

Dzieciak wyszedł na dwór, wyszorował piaskiem blaszany kubek i talerz, a potem wrócił, bębniąc nimi, jakby chciał odpędzić zjawy czyhające w mroku. W dali piętrzyły się chmury, dygoczące na tle naelektryzowanego nieba i wsysane z powrotem w ciemność. Starzec siedział, nasłuchując wiatru wyjącego po pustkowiu. Dzieciak zatrzasnął drzwi.

Tytuniu nie masz, co?

Nie, odparł dzieciak.

Tak myślałem.

Myślisz, że będzie padać?

Zanosi się. A jak się zanosi, to pewnikiem nie będzie.

Dzieciak patrzył w ogień. Zaczynał przysypiać. Wreszcie wstał i potrząsnął głową. Pustelnik obserwował go nad dogasającym ogniem. No dalej, zrób sobie posłanie, powiedział.

Zrobił. Rozłożył koce na twardym klepisku i ściągnął śmierdzące buty. Rura pojękiwała, na dworze muł tupał i prychał, a dzieciak we śnie miotał się i mruczał jak śpiący pies.

Obudził się w nocy, w lepiance pogrążonej w prawie całkowitej ciemności, a nad nim pochylał się pustelnik.

Czego chcesz?, spytał. Ale starzec się odsunął, a rankiem, gdy dzieciak się obudził, nie było go, więc zabrał swoje rzeczy i odjechał.

Przez cały dzień widział na północy cienką linię kurzu. Zdała się tkwić w jednym miejscu i dopiero późnym wieczorem zobaczył, że zmierza w jego stronę. Przejechał przez dębinę, napił się ze strumienia, o zmierzchu ruszył dalej, a potem rozbił biwak bez ogniska. Zbudziły go ptaki w suchym i zakurzonym lesie.

W południe znów był na prerii, a kurz na północy ciągnął się aż po krańce ziemi. Wieczorem ukazało się pierwsze stado bydła. Wściekle chude stworzenia o potężnych rogach. Tej nocy usiadł przy obozowisku poganiaczy, zjadł fasolę z czarnym chlebem i wysłuchał opowieści o życiu na szlaku.

Jechali z Abilene, czterdziesty dzień w drodze, na targ w Luizjanie. Za nimi ciągnęły stada wilków, kojotów i Indianie. W mroku dokoła w promieniu wielu mil postękiwało bydło.

Nie zadawali pytań, łachmaniarze tacy sami jak on. Paru mieszkańców, wolni Murzyni, jeden albo dwóch Indian.

Przysypiali w ciepłe ogniska.

Macie wszystko, co ja miałem. Teraz nie mam nawet noża.

Mógłbyś przystać do nas. Straciliśmy dwóch ludzi. Zawrócili do Kalifornii.

Ja w inną stronę.

Pewnie też do Kalifornii?

Może i tak. Jeszcze się nie zdecydowałem.

Ci, co z nami byli, zwąchali się z taką jedną bandą z Arkansas. Pojechali do Bexar. Chcą ruszyć do Meksyku, na zachód.

Pewnikiem chłopaki w Bexar zalewają się teraz w trupa.
Pewnikiem stary Lonnie zaliczył już wszystkie kurwy w mieście.

Daleko do tego Bexar?

Będzie ze dwa dni.

Więcej. Mnie się widzi, że ze cztery.

A którądy to?

Prosto na południe, aż do drogi, będzie z pół dnia.

Chcesz jechać do Bexar?

Może bym chciał.

Jak spotkasz tam starego Lonniego, powiedz mu, żeby tryknął jedną za mnie. Za starego Orena, tak mu powiedz. Postawi ci kielicha, jak nie przechlął jeszcze ostatniego centa.

Rankiem zjedli podpłomyki z melasą, poganiacze osiedłali konie i ruszyli dalej. Gdy znalazł muła, zobaczył, że do postronka ktoś przywiązał mały worek z włókna, w którym było kilka garści suszonej fasoli, trochę papryki i stary nóż marki Green River z rękojeścią z żyłki. Osiedł muła, który miał otarty, wyleniały grzbiet i popękane kopyta. Żebra jak rybie ości. Pokuśtykali przez niekończącą się równinę.

Pod wieczór czwartego dnia dotarł do Bexar. Zatrzymał wymizerowanego muła na niskim wzniesieniu i spojrzął stamtąd na miasteczko, ciche domy z suszonej na słońcu cegły, linię dębów i topól wzdłuż koryta rzeki, plac pełen wozów z brezentowymi budami, pobielone budynki urzędowe, mauretańską kopułę kościoła wznoszącą się pośród drzew, garnizon i wysoką

kamienną prochownię w oddali. Lekki wiatr trzepotał liśćmi jego kapelusza i kosmykami tłustych, zmierzwionych włosów. Oczy miał ciemne, zagnieżdżone głęboko w zaciętej, udreżonej twarzy, a z cholew butów buchał okropny smród. Słońce właśnie zaszło, na zachodzie kłębiły się rafy krwistoczerwonych chmur, z których wylatywały małe nocne jastrzębie, niczym uciekinierzy z wielkiego pożaru na krańcach ziemi. Splunął gęstą białą śliną, dźgnął muła popękanymi drewnianymi strzemionami i powlekli się dalej.

Ruszył wąską piaszczystą drogą i w trakcie jazdy natknął się na wóz z miasta, wyładowany trupami, z małym dzwoneczkiem, który brzęczeniem wytyczał drogę, i latarnią dyndającą u burty. Na koźle siedziało trzech mężczyzn, którzy sami wyglądali jak trupy albo zjawy, bo tak byli pobieleni wapnem, że świecili o zmierzchu. Wóz ciągnęły dwa konie. Potoczył się drogą wśród lekkich wyziewów karbolu, niknąc w oddali. Dzieciak odwrócił się i patrzył. Bose stopy umarłych bujały się sztywno na boki.

Było już ciemno, gdy wjechał do miasteczka w asyście ujadających psów i twarzy wyglądających zza rozsuniętych zasłonek w rozświetlonych oknach. Cichy stukot kopyt odbijał się echem po pustych uliczkach. Węszący muł skręcił w zaułek, który prowadził na plac, gdzie w poświęcie gwiazd widniała studnia, koryto i palik. Dzieciak zsunął się na ziemię, wziął wiadro z kamiennej cembrowiny i opuścił je do studni. Rozległ się cichy plusk. W ciemności wyciągnął wiadro ociekające wodą. Zanurzył tykwę i zaczął pić, a muł trącał go łbem w łokieć. Kiedy

skończył, postawił wiadro na ziemi, usiadł na cembrowinie i patrzył, jak muł chłepcze wodę.

Ruszył przez miasto, prowadząc za sobą zwierzę. Nie było żywego ducha. Niedługo potem wszedł na rynek i usłyszał gitary oraz róg. Po przeciwnej stronie błyskały światła baru, słychać było śmiech i piskliwe głosy. Poprowadził muła przez plac, obok długiego ganku, w kierunku światła.

Na ulicy zobaczył grupę tancerek w barwnych kostiumach, pokrzykiwały po hiszpańsku. Stał na skraju poświaty i patrzyli razem z mułem. Pod ścianą tawerny siedzieli starzy mężczyźni, w piasku bawiły się dzieci. Wszyscy byli dziwnie ubrani, mężczyźni w ciemnych kapeluszach o płaskich główkach, białych nocnych koszulach, spodniach z nogawkami zapinanymi z boku na guziki, dziewczęta o jaskrawo pomalowanych twarzach, z szylkretowymi grzebieniami w granatowoczarnych włosach. Przeciął ulicę, przywiązał muła i wszedł do baru. Przy kontuarze stało kilku mężczyzn, którzy zamilkli na jego widok. Ruszył po czystym klepisku obok śpiącego psa, który otworzył jedno ślepie, żeby na niego popatrzeć. Stał przy kontuarze i położył obie ręce na blacie. Barman skinął na niego. *Dígame*, powiedział.

Nie mam pieniędzy, ale muszę się napić. Mogę za to wylać pomyje, zamieść podłogę, cokolwiek.

Barman spojrział przez salę w kierunku dwóch mężczyzn, który grali w domino przy stoliku. *Abuelito*, rzekł.

Starszy z dwóch podniósł głowę.

Qué dice el muchacho.

Spojrzał na dzieciaka i wrócił do gry.

Barman wzruszył ramionami.

Dzieciak odwrócił się do starszego mężczyzny. Mówisz po amerykańsku?, spytał.

Tamten spojrzał znad domina. Patrzył na dzieciaka beznamiętnym wzrokiem.

Powiedz mu, że zapracuję na drinka. Nie mam pieniędzy.

Mężczyzna wysunął podbródek i cmoknął językiem.

Dzieciak spojrzał na barmana.

Starszy mężczyzna zacisnął pięść, wysuwając kciuk do góry, a mały palec w dół, odchylił głowę i wlał sobie do gardła wyimaginowanego drinka. Quiere hecharse una copa, powiedział. Pero no puede pagar.

Mężczyźni przy barze patrzyli.

Barman spojrzał na dzieciaka.

Quiere trabajo, rzucił starszy mężczyzna. Quién sabe. Odwrócił się do swoich klocków domina i znów zaczął grać, kończąc rozmowę.

Quieres trabajar, powiedział jeden z mężczyzn przy barze.

Zarechotali.

Z czego się śmiejecie?, spytał chłopak.

Zamilkli. Niektórzy spojrzeli na niego, inni wydęli usta i wzruszyli ramionami. Odwrócił się do barmana. Na pewno jest tu coś do zrobienia, żeby zapracować na parę kieliszków, cholera jasna.

Jeden z mężczyzn przy barze powiedział coś po hiszpańsku. Chłopak popatrzył groźnie na wszystkich. Zaczęli robić miny, podnieśli szklanki do ust.

Znowu odwrócił się do barmana. Miał przymknięte, ciemne oczy. Zamiotę podłogę, powiedział.

Barman zamrugał powiekami.

Dzieciak cofnął się o krok i zaczął wykonywać ruchy zamiatania, co wprawilo mężczyzn w niemą weselość. Zamiatać, powtórzył. Zamiatać podłogę.

No está sucio, odparł barman.

Znów zaczął zamiatać. Zamiatać, zamiatać, do ciężkiej cholery.

Barman wzruszył ramionami. Poszedł na koniec kontuaru i przyniósł miotłę. Chłopak chwycił ją i się odwrócił.

Wielka sala. Zaczął zamiatać w kątach, gdzie w mroku stały ciche rośliny w donicach. Zamiótł dokoła spluwaczek, zamiótł dokoła dwóch graczy przy stole, zamiótł dokoła psa. Potem zaczął zamiatać przed kontuarem, a gdy dotarł do miejsca, w którym stali pijący mężczyźni, wsparł się na miotle i popatrzył na nich. Rzucili między sobą parę słów półgłosem i wreszcie jeden wziął swoją szklankę i cofnął się o krok. Pozostali poszli za jego przykładem. Dzieciak zamiótł podłogę aż do samych drzwi.

Nie było już tancerek, nie było muzyki. Po drugiej stronie ulicy siedział na ławce mężczyzna oświetlony bladą poświatą padającą z baru. Muł stał na swoim miejscu. Dzieciak ostukał miotłę o schody, wrócił do środka i odstawił ją do kąta. Potem stanął przed kontuarem.

Barman jakby go nie dostrzegał.

Postukał kłykciami w blat.

Barman odwrócił się, położył jedną rękę na biodrze i wydał usta.

No to może teraz bym się napił.

Barman stał nieruchomo.

Dzieciak wykonał gest naśladujący picie, taki sam, jaki wcześniej zrobił starszy mężczyzna, ale tamten machnął na niego od niechcienia ścierką.

Andale, powiedział. Poruszył ręką, jakby odganiał muchę.

Twarz dzieciaka pociemniała. Ty skurwysynu, powiedział. Ruszył wzdłuż kontuaru. Barman patrzył kamiennym wzrokiem. Spod blatu wyjął staroświecki pistolet z zamkiem skałkowym i nasadą dłoni odciągnął kurek. Donośne skrzypnięcie w ciszy. Brzęk szklanek przy kontuarze. A potem szuranie krzesel — gracze przy ścianie odsunęli się od stołu.

Dzieciak zastygł. Ej, stary, powiedział.

Ale stary mężczyzna milczał. W barze zaległa cisza. Dzieciak odwrócił się i spojrzał na niego.

Está borracho, powiedział mężczyzna.

Chłopak patrzył barmanowi w oczy.

Barman machnął pistoletem w kierunku drzwi.

Starszy mężczyzna odezwał się do obecnych po hiszpańsku. Potem powiedział coś do barmana. A potem włożył kapelusz i wyszedł.

Barman pobladł. Ruszył wzdłuż kontuaru. Gdy się zza niego wyłonił, w rękę zamiast pistoletu ścisnął młotek do odszpuntowywania beczek.

Dzieciak cofnął się na środek sali. Barman sunął ku niemu jak człowiek w drodze do ciężkiej pracy. Zamachnął się raz,

drugi, ale dzieciak odskoczył w prawo. A potem przesunął się w bok. Barman znieruchomiał. Dzieciak przesadził zwinnie kontuar i wziął pistolet. Wszyscy zastygli. Odgiął krzesiwo o blat, wytrzymał podsypkę z panewki i odłożył pistolet. Potem zdjął z półki dwie pełne butelki i trzymając po jednej w każdej dłoni, wyszedł zza kontuaru.

Barman stał na środku sali. Oddychał ciężko, śledząc wzrokiem ruchy dzieciaka. Kiedy tamten się zbliżył, uniósł młotek. Chłopak przykucnął lekko, zrobił zmyłkę i butelką trzymaną w prawej ręce trzasnął go w głowę. Bryznęły krew i wódka, barman się zachwiał, wywracając oczami. Dzieciak upuścił rozbite szkło, przerzucił drugą butelkę do prawej dłoni, walnął nią na odlew barmana w czerep i zanim ten zdążył upaść, wbił mu wyszczerbioną szyjkę w oko.

Rozejrzał się po sali. Paru mężczyzn miało pistolety za pasem, ale żaden się nie poruszył. Dzieciak przeskoczył przez kontuar, wziął trzecią butelkę, wcisnął ją sobie pod pachę i wyszedł na dwór. Pies zniknął. Mężczyzna siedzący na ławce też. Odwiązał muła i poprowadził go przez plac.

* * *

Obudził się w nawie zrujnowanego kościoła, mrugając oczami do sklepienia i wysokich otynkowanych ścian z wyblakłymi freskami. Posadzkę pokrywała gruba warstwa guana i odchodów bydła i owiec. Gołębie łopotały skrzydłami w sнопach zakurzonego światła, a w prezbiterium trzy myszołowy

podskakiwały na odsłoniętych gnatach jakiejs padliny.

Rozsadzało mu głowę, język był spuchnięty z pragnienia. Usiadł i rozejrzał się. Znalazł butelkę, którą schował pod siodło, podniósł ją, potrząsnął, wyjął korek i się napił. Siedział z zamkniętymi oczami, z czołem pokrytym kroplami potu. A potem otworzył oczy i znowu się napił. Myszołowy zlazły po kolei ze ścierwa i podreptały do zakrystii. Po chwili wstał i wyszedł, żeby poszukać muła.

Nigdzie nie było go widać. Misja zajmowała osiem, może dziesięć akrów ogrodzonego terenu, kawał jałowej ziemi, na której zostało parę kóz i osłów. W murze z błota znajdowały się wyżłobione wnęki, w których mieszkwały tułacze rodziny, a z kilku palenisk wznosiły się w słońcu wątle smugi dymu. Okrążył kościół i wszedł do zakrystii. Myszołowy dreptały po plewach i tynku jak ogromne kury. Sklepienie nad głową upstrzone było ciemnymi mechatymi kłębowiskami, które się poruszały, oddychały, ćwierkały. Na środku stał drewniany stół z kilkoma glinianymi garnkami, a przy ścianie w głębi leżały ludzkie szczątki, w tym dziecka. Wrócił przez zakrystię do kościoła i zabrał siodło. Dopił resztki z butelki, położył sobie siodło na ramieniu i wyszedł.

W niszach na fasadzie kościoła stały posągi świętych, ostrzelane przez amerykańskich żołnierzy wypróbowujących swoje karabiny, rzeźby pozbawione uszu i nosów, kamień pocętkowany utlenionym ołowiem. Rzeźbione i frezowane wrota wisiały na zawiasach, otwarte, a kamienna figura Dziewicy Maryi

trzymała w objęciach bezgłowe dziecię. Staął, mrużąc oczy w południowym skwarze. I wtedy zobaczył ślady muła. Ledwo się odznaczały w pyle, ciągnąc od kościoła przez plac do bramy wschodniej. Poprawił siodło na ramieniu i ruszył w tamtą stronę.

Pies leżący w cieniu portalu podniósł się z niechęcią i wybiegł chyłkiem na słońce, a gdy dzieciak go minął, wrócił na swoje miejsce. Poszedł drogą prowadzącą ze wzgórza ku rzece, sylwetka ostatniego łachmaniarza. Zagłębił się w gęsty las z dębami i leszczyną i ze wzniesienia zobaczył niżej rzekę. Murzyni myli wóz przy brodzie. Zszedł, stanął nad samą wodą i po chwili ich zawołał.

Polewali czarne polakierowane boki, a jeden z nich podniósł głowę, odwrócił się i popatrzył. Konie stały po kolana w wodzie.

Co?, odkrzyknął Murzyn.

Widzieliście muła?

Muła?

Zgubiłem muła. Chyba tędy szedł.

Murzyn otarł twarz wierzchem dłoni. Coś przelazło z godzinę temu. Poszło tam, brzegiem. Może być, że muł. Nie miało ogona ani sierści, ale za to długie uszy.

Dwaj pozostali wyszczerzyli zęby w uśmiechu. Dzieciak spojrział we wskazaną stronę. Splunął i ruszył ścieżką wśród wierzb i trawiastych dołów.

Mniej więcej sto kroków dalej znalazł muła. Był mokry po brzuch i podniósł łeb, żeby spojrzeć, a zaraz potem opuścił go

w bujną nadrzeczną trawę. Dzieciak rzucił siodło na ziemię, chwycił postronek, przywiązał muła do drzewa i kopnął go bez przekonania. Zwierzę przesunęło się lekko w bok i pasło dalej. Dzieciak pomacał się po głowie, ale gdzieś zgubił swój wariacki kapelusz. Ruszył między drzewami nad rzekę, stanął i patrzył na wirującą zimną wodę. A potem wszedł w toń jak jakiś nędzny kandydat do chrztu.

III

WERBUNEK

- ROZMOWA Z KAPITANEM WHITE'EM
- JEGO POGLĄDY • OBÓZ
- PRZEHANDLOWANIE MUŁA
- KANTYNA W LAREDITO
- MENNONITA • ŚMIERĆ TOWARZYSZA

Leżał nagi na brzegu, rozwiesiwszy lachmany na gałęziach nad głową, gdy nagle ku rzece nadjechał inny jeździec, osadził wierzchowca i się zatrzymał.

Dzieciak odwrócił głowę. Za wierzbami dostrzegł końskie nogi. Przekreślił się na brzuch.

Mężczyzna zsiadł i stanął obok konia.

Dzieciak sięgnął po swój nóż z plecioną rękojeścią.

Witaj, odezwał się jeździec.

Nie odpowiedział. Przesunął się w bok, żeby lepiej widzieć przez gałęzie.

Witaj. Dokąd to jedziemy?

Czego chcesz?

Porozmawiać.

O czym?

Niech cię piorun, wyłaźże. Jestem biały i chrześcijanin.

Dzieciak wyciągnął rękę między gałęzie wierzby, próbując dosięgnąć portek. Zwisiał z nich pasek, szarpnął więc za niego, ale spodnie zahaczyły o konar.

Do diabła, powiedział mężczyzna. Chyba nie wleziesz na drzewo, co?

Jedź w swoją stronę i zostaw mnie w spokoju.

Chciałem tylko porozmawiać. A nie cię wnerwiać.

Ale żeś wnerwił.

To ty rozwalileś łeb temu Meksykowi wczoraj wieczorem?

Spokojnie, ja nie stróż prawa.

Kto pyta?

Kapitan White. Chce, żeby taki facet jak ty się zaciągnął do wojska.

Wojska?

Tak jest.

Jakiego wojska?

Kompanii pod komendą kapitana White'a. Będziemy bić Meksykanów.

Przecież wojna skończona.

Mówi, że nie. Dokąd jedziesz?

Dzieciak wstał, zdjął portki z gałęzi i je wciągnął. Włożył buty, wsunął nóż do cholewy prawego i wyszedł spośród wierzb, wkładając koszulę.

Mężczyzna siedział ze skrzyżowanymi nogami na trawie. Ubrany był w strój z jeleniej skóry, na głowie miał zakurzony melonik z czarnego jedwabiu, a w kąciku ust małe meksykańskie cygaro. Kiedy zobaczył postać, która przecisnęła się przez gałęzie, pokręcił głową.

Widzę, synu, że ostatnio masz pecha.

Raczej tylko nie mam szczęścia.

Chciałbyś pojechać do Meksyku?

Niczego tam nie zgubiłem, więc po co mi tam jechać?

To dla ciebie szansa, żeby się wybić w świecie. Lepiej się zdecydować, zanim pójdziesz na zaturę.

Co dają?

Każdy dostaje konia i amunicję. Dla ciebie pewnie znalazłby się jakiś przyrodziewek.

Nie mam karabinu.

Znajdziemy ci i karabin.

A żołąd?

Do diabła, synu, nie potrzeba żołądu. Możesz zabrać wszystko, co zdobędziesz. Jedziemy do Meksyku. Będą łupy wojenne. Potem każdy z nas kupi sobie kawał ziemi. Ile masz ziemi?

Nie znam się na wojaczce.

Mężczyzna zerknął na dzieciaka. Wyjął niezapalone cygaro z ust, odwrócił głowę, splunął i włożył je z powrotem. Skąd jesteś?, spytał.

Z Tennessee.

Tennessee. Ale pewnie strzelać z karabinu umiesz?

Dzieciak przykucnął w trawie. Spojrzał na konia mężczyzny. Uprząż z wyprawionej skóry ze srebrnymi kutymi zdobieniami. Koń miał białą strzałkę na pysku i cztery białe skarpety na pięcinach, skubał wielkie pęki soczystej trawy. A ty skąd?, spytał.

Jestem w Teksasie od trzydziestego ósmego. Gdybym nie spotkał kapitana White'a, nie wiem, co by się ze mną stało. Byłem gorszym nędzarzem niż ty dzisiaj, ale on się zjawiał i tchnął we mnie nowe życie, jak w Łazarza. Wprowadził mnie na drogę cnoty. Chlałem i zadawałem się z kurwami, póki piekło by mnie nie pochłonęło. Ale zobaczył we mnie coś wartego

ratunku, a ja to samo widzę w tobie. No to jak będzie?

Nie wiem.

Zabieraj się ze mną, poznasz kapitana.

Dzieciak szarpał za łodygi traw. Znowu popatrzył na konia. No dobra, powiedział. Poznać kapitana nie zaszkodzi.

Przejechali przez miasto — werbownik prezentujący się wspaniale na dwubarwnie umaszczonym koniu, a za nim dzieciak na mule jak pojmany jeniec. Minęli wąskie uliczki, gdzie w skwarze parowały chaty uplecione z gałęzi. Po dachach porośniętych trawą i opuncją łążyły kozy, a gdzieś niedaleko w tym plugawym królestwie pobrzękiwały nieśmiało dzwony obwieszające śmierć. Skręcili w Handlową i na plac Główny, między wozy, i dalej na kolejny plac, gdzie mali chłopcy sprzedawali z wózków winogrona i figi. Spod kopyt czmychnęło kilka wychudzonych psów. Przejechali przez plac Wojskowy i wąską uliczkę, przy której poprzedniego wieczoru chłopak i muł pili wodę, a przy studni tłoczyły się teraz gromadki kobiet i dziewcząt z mnóstwem glinianych dzbanów w plecionkach. Minęli niewielki dom, w którym zawodziły płaczki, a przed drzwiami stał karawan zaprzęgnięty w konie, czekające cierpliwie w skwarze, wśród rojów much.

Kapitan stanął kwaterą w hotelu przy placu, na którym rosły drzewa i znajdowała się niewielka altana z ławkami. Za żelazną bramą biegła alejka, a na jej końcu znajdował się dziedziniec. Pobielone wapnem ściany ozdobiono małymi kolorowymi

kafelkami. Werbownik miał karbowane skórzane buty na wysokich obcasach, którymi stukał o płyty i schody prowadzące do pokojów na piętrze. Na dziedzińcu rosły zielone rośliny, świeżo podlane i parujące. Werbownik pomaszzerował długą galerią i zapukał do ostatnich drzwi. Jakiś głos kazał mu wejść.

Kapitan siedział za wiklinowym biurkiem i pisał list. Stanęli w oczekiwaniu, werbownik z czarnym kapeluszem w dłoniach. Kapitan pisał, nie podnosząc wzroku. Dzieciak usłyszał na dworze kobietę mówiącą po hiszpańsku. Poza tym ciszę mąciło tylko drapanie pióra po papierze.

Kiedy kapitan skończył, odłożył pióro i spojrzał na swojego żołnierza, a potem na dzieciaka, po czym pochylił się, żeby przeczytać to, co napisał. Skinął głową do siebie, posypał list piaskiem z onyksowej szkatułki i go złożył. Wziął zapałkę z pudełka leżącego na biurku, zapalił ją i przysunął do laski wosku, aż na papier skapnął mały czerwony kleks. Zgasił zapałkę machnięciem ręki, dmuchnął na papier i przypieczętował stempel sygnetem. Następnie postawił list między dwiema książkami na biurku, rozparł się na krześle i znów spojrzał na dzieciaka. Skinął smętnie głową. Siadajcie, powiedział.

Usiedli na niby to ławce zbitej z ciemnego drewna. Werbownik nosił przy boku duży rewolwer i siadając, przesunął pas, aby broń ułożyła mu się między udami. Zakrył ją kapeluszem i oparł się wygodnie. Dzieciak siedział wyprostowany, chowając jedną nogę za drugą, żeby zasłonić zdezelowane buty.

Kapitan odsunął się na krzesło, wstał, obszedł biurko i stanął przed nim. Nie ruszał się przez dobrą minutę, a potem podciągnął się i usiadł na biurku, dyndając nogami. Włosy i sumiaste wąsy miał posiwiałe, ale nie był stary. A więc ty jesteś tym człowiekiem, powiedział.

Jakim człowiekiem?, spytał dzieciak.

Jakim człowiekiem, panie kapitanie, poprawił werbownik.

Ile masz lat, synu?

Dziewiętnaście.

Kapitan skinął głową. Przyglądał się dzieciakowi. Co ci się stało?

Że co?

Mów panie kapitanie, rzekł werbownik.

Panie kapitanie.

Pytałem, co ci się stało.

Dzieciak spojrział na mężczyznę siedzącego obok. Potem spojrział po sobie i znowu na kapitana. Rabusie mnie napadli.

Rabusie, powtórzył kapitan.

Zabrali mi wszystko. Zegarek i resztę.

Masz karabin?

Miałem, ale nie mam.

A gdzie cię napadli?

Nie wiem. To miejsce nijak się nie nazywa. Na pustkowiu.

Skąd jechałeś?

Z Naca... Naca...

Nacogdoches?

Tak.

Tak jest, panie kapitanie.

Tak jest, panie kapitanie.

Ilu było?

Dzieciak patrzył na niego.

Tych rabusiów. Ilu było rabusiów?

Z siedmiu albo ośmiu. Oberwałem dylem w łeb.

Kapitan spojrział na niego, mrużąc jedno oko. Meksykanie?

Paru. Czarnuchy i Meksyki. No i jeden, może dwóch białych.

Mieli trochę bydła, które ukradli. Został mi tylko stary nóż, bo go trzymałem w bucie.

Kapitan skinął głową. Wsunął ręce między kolana. Co myślisz o traktacie?, spytał.

Dzieciak spojrział na mężczyznę siedzącego obok na ławce. Ten miał zamknięte oczy. Popatrzył na swoje kciuki. Nic nie myśle, odparł.

Obawiam się, że tak samo jest z większością Amerykanów, rzekł kapitan. Skąd jesteś, synu?

Z Tennessee.

Nie było cię z ochotnikami w Monterrey, co?

Nie, panie kapitanie.

Zastęp chyba najdzielniejszych mężczyzn, jakich przyszło mi oglądać w walce. Idę o zakład, że na polu bitwy w północnym Meksyku padło więcej ludzi z Tennessee niż z jakiegokolwiek innego stanu. Wiedziałaś o tym?

Nie, panie kapitanie.

Sprzedano ich. Walczyli tam i ginęli, a potem sprzedała ich własna ojczyzna.

Dzieciak siedział w milczeniu.

Kapitan nachylił się. Walczyliśmy o tę ziemię. Straciliśmy tam naszych przyjaciół i braci. A potem, Boże miłosierny, musieliśmy ją oddać. Oddać ją zgrai barbarzyńców, o których nawet najbardziej im przychylni mówią, że nie mają bladego pojęcia o honorze na tym bożym świecie, ani o sprawiedliwości, ani o rządach republikańskich. Oddaliśmy ją narodowi tak tchórzliwemu, że od stu lat płaci haracz plemionom nagich dzikusów. Pola i inwentarz porzucone. Kopalnie zamknięte. Wyludnione wsie. A tymczasem hordy pogan traktują ich ziemię, grabiąc i mordując z całkowitą bezkarnością. I żadna ręka nie podniesie się przeciw nim. Co to za naród? Apacze nawet do nich nie strzelają. Wiedziałeś o tym? Kamienują ich tylko. Kapitan pokręcił głową. Wydawało się, że posmutniał od tego, co miał do powiedzenia.

Czy wiesz, że kiedy pułkownik Doniphan zdobył miasto Chihuahua, wróg stracił ponad tysiąc ludzi, a on sam tylko jednego człowieka, i to dlatego, że ten popełnił samobójstwo? A w jego wojsku byli sami ochotnicy bez żołdu, którzy mówili mu Bill, obdartusy, co przyszły na piechotę aż z Missouri.

Nie wiem, panie kapitanie.

Kapitan wyprostował się i splótł dłonie. Mamy do czynienia z rasą degeneratów, powiedział. Z rasą kundli, niewiele lepszych od czarnuchów. A może wcale nie lepszych. W Meksyku nie ma żadnej władzy. Do diabła z władzą, w Meksyku nie ma nawet Boga. I nigdy nie będzie. Mamy do czynienia z narodem, który w oczywisty sposób nie potrafi sam się rządzić. A wiesz,

co się dzieje z narodem, który nie potrafi się rządzić? Otóż to. Zjawiają się inni, którzy będą rządzić za niego.

W samym stanie Sonora jest już w tej chwili jakieś czternaście tysięcy francuskich kolonistów. Dostają za darmo ziemię, żeby się osiedlać. Dostają narzędzia i inwentarz. Prą do tego światli Meksykanie. Paredes już wzywa do odłączenia się od Meksyku. Wolą być rządzeni przez żabojadów niż przez złodziei i kretynów. Pułkownik Carrasco prosi o amerykańską interwencję. I ją dostanie.

Teraz powołali w Waszyngtonie komisję, która ma się tu zjawić i wytyczyć granicę między nami a Meksykiem. Moim zdaniem nie ma wątpliwości, że Sonora w końcu stanie się terytorium Stanów Zjednoczonych. Guayamas będzie amerykańskim portem. Amerykanie będą mogli dotrzeć do Kalifornii, omijając tę naszą pogrążoną w mrokach siostrzaną republikę, a nasi obywatele będą wreszcie wolni od band rozbójników grasujących notorycznie po drogach, którymi w tej chwili zmuszeni są podróżować.

Kapitan wpatrywał się w dzieciaka. Ten miał niepewną minę. Synu, rzekł. Jesteśmy narzędziami w służbie wyzwolenia ciemnego i znękanego kraju. Tak jest. Będziemy w szpicie tych sił. Mamy milczącą zgodę gubernatora Burnetta z Kalifornii.

Znowu się pochylił i położył dłonie na kolanach. I to my podzielimy łupy. Każdy człowiek z mojej kompanii dostanie kawał ziemi. Wspaniałe pastwiska. Jedne z najwspanialszych na świecie. Ziemię tak zasobną w minerały, w złoto i srebro, że

przekracza to najśmielsze wyobrażenia. Jesteś młody. Ale ja cię znam. Na ogół potrafię się poznać na ludziach. Czuję, że chcesz się odznaczyć w dziejach, mam rację?

Tak, panie kapitanie.

No właśnie. I nie wyglądasz mi na takiego, co oddałby obcemu państwu ziemię, za którą walczyli i przelewali krew Amerykanie. Zważ na moje słowa. Jeśli Amerykanie nie wezmą spraw w swoje ręce, ludzie tacy jak ty i ja, którzy troszczą się o ojczyznę, gdy tymczasem ta banda maminsynków w Waszyngtonie siedzi beczynnie na dupskach, a więc jeśli nie weźmiemy spraw w swoje ręce, nad Meksykiem, i mam na myśli cały ten kraj, załopocze w końcu europejska flaga. Doktryna Monroego nic tu nie pomoże.

Kapitan mówił cicho, lecz z przejęciem. Przechylił głowę w bok i patrzył na dzieciaka ze swoistą życzliwością. Dzieciak potarł dłonie o nogawki utyłanych portek. Zerknął na mężczyznę siedzącego obok, ale ten jakby spał.

A siodło?, spytał.

Siodło?

Tak, panie kapitanie.

Nie masz siodła?

Nie mam.

Myślałem, że przyjechałeś konno.

Na mule.

Rozumiem.

Mam taką skorupę, na której siedzę, ale niewiele z niej zostało. Z samego muła też nie. Ten tutaj mówił, że dostanę konia i karabin.

Sierżant Trammel tak mówił?

Nie obiecywałem mu żadnego siodła, panie kapitanie, zaprzeczył sierżant.

Znajdziemy ci siodło.

Mówiłem za to, że dostanie jakieś lachy.

Owszem. Może i nie jesteśmy regularnym wojskiem, ale nie chcemy wyglądać jak zajęcze bobki, mam rację?

Tak jest, panie kapitanie.

No i nie został nam już żaden ujeżdżony koń, powiedział sierżant.

Ujeżdżimy jakiegoś.

Ale ten chłopak, co tak dobrze ujeżdżał, zachorzał.

Wiem. Znajdź kogoś innego.

Rozkaz. Może ten tutaj mógłby ujeżdżać? Ujeżdżałeś kiedy konie?

Nie, panie sierżancie.

Nie musisz mi sierżantować.

Tak jest, panie sierżancie.

Sierżancie, odezwał się kapitan, zsuwając się z biurka.

Na rozkaz.

Zaciągnijcie tego człowieka.

* * *

Obóz znajdował się w górze rzeki, na skraju miasteczka. Namiot pozszywany ze starych bud od wozów, kilka szałasów z patyków i zagroda w kształcie ósemki, też zrobiona z gałęzi, gdzie w słońcu stało kilka nadąsanych pstrokatych koników.

Kapralu, zawołał sierżant.

Nie ma go.

Zsiadł z konia, pomaszerował do namiotu i odgarnął połę. Dzieciak siedział na mule. W cieniu drzewa leżało trzech mężczyzn, którzy mu się przypatrywali. Witaj, odezwał się jeden.

Witaj.

Nowy jesteś?

Na to wygląda.

Kapitan mówił, kiedy wyruszamy z tego zadupia?

Mnie nic nie mówił.

Sierżant wrócił z namiotu. Gdzie on jest?, spytał.

W miasteczku.

W miasteczku, powtórzył. Chodź tutaj.

Mężczyzna podniósł się z ziemi, zbliżył do namiotu i stanął z rękami opartymi na lędźwiach.

Ten tutaj nie ma wyposażenia, powiedział sierżant.

Mężczyzna kiwnął głową.

Kapitan da mu koszulę i trochę pieniędzy, żeby połatał buty. Musimy mu znaleźć coś, na czym mógłby jechać, no i potrzebne będzie siodło.

Siodło.

Może uda mu się sprzedać tego muła za tyle, żeby sobie jakieś kupić.

Mężczyzna popatrzył na muła, a potem odwrócił się i spojrział zmrużonymi oczami na sierżanta. Pochylił się i splunął. Za tego nie dostanie nawet dziesięciu dolarów.

Dostanie tyle, ile dostanie.

Zabili następnego wołu.

Nie chcę o tym słyszeć.

Nic nie poradzę.

Nie powiem o tym kapitanowi. Będzie tak wywracał oczami, że mu się odkleją i wypadną na podłogę.

Mężczyzna znowu splunął. Święta prawda, powiedział.

Zajmij się tym tutaj. Ja muszę iść.

Dobra.

Wszyscy zdrowi?

Tak.

Dzięki Bogu.

Wdrapał się na siodło i szarpnął lekko wodze. Spojrzał przez ramię i pokręcił głową.

Wieczorem dzieciak pojechał z dwoma innymi rekrutami do miasteczka. Wykąpał się, ogolił, włożył niebieskie sztruksowe spodnie i bawełnianą koszulę, które dostał od kapitana, i gdyby nie buty, byłby całkiem odmieniony. Jego koledzy dosiadali małych pstro umaszczonych koni, które jeszcze czterdzieści dni wcześniej były dzikimi zwierzętami na stepie, więc płoszyły się, brykały i kłapały zębami jak żółwie.

Poczekaj, aż dostaniesz takiego, powiedział starszy szeregowiec. Nie wiesz jeszcze, co to prawdziwa zabawa.

Te konie całkiem dobre, dodał drugi.

Został jeden albo dwa, co nadadzą się dla ciebie.

Dzieciak spojrział na nich z grzbietu muła. Jechali po jego obu stronach jak eskorta, a muł kłusował z podniesionym łbem, łypiąc nerwowo na boki.

Każdy taki wykatapultuje cię z siodła, powiedział starszy szeregowiec.

Przejechali przez plac zatłoczony wozami i inwentarzem. Imigranci, Teksaszczyki i Meksykanie, niewolnicy, Apacze Lipan i wysłannicy z plemienia Karankawa, rośli i srodzy, o twarzach pokolorowanych na niebiesko, dłoniach zaciśniętych na drzewcach dwumetrowych włóźni, prawie całkiem nadzy dzikusy o pomalowanych ciałach i rzekomym upodobaniu do ludzkiego mięsa, ekstrawagancy nawet w tak barwnym towarzystwie. Trzymając krótko wodze, rekruci skręcili za budynkiem sądu i minęli areszt za wysokim murem naszpikowanym u szczytu kawałkami szkła. Na placu Głównym zebrała się orkiestra strojąca instrumenty. Ruszyli w ulicę Salinas, obok małego kasyna i straganów z kawą, i tam właśnie znajdowały się budy i małe sklepiki z błotą, w których ulokowało się kilku meksykańskich rymarzy, a także handlarze, hodowcy kogutów, latacze obuwia i szewcy. Starszy szeregowiec pochodził z Teksasu i mówił trochę po hiszpańsku, próbował więc przehandlować muła. Drugi chłopak urodził się w Missouri. Byli w dobrych humorach, wymyści i uczesani, w czystych koszulach i tak dalej. Każdy z nich myślał o wieczorze przy kieliszku, a być może przy boku kobiety. Iluż to młodzieńców wracało do domu zimnych i martwych po takich nocach i takich planach.

Za muła z uprzężą dostali ciężkie siodło teksaskie — surowe drewno pokryte niewyprawioną skórą — nienowe, ale mocne. I nową uzdę, i nowe wędzidło. I tkany wełniany koc z Saltillo, który był albo nowy i przykurzony, albo nienowy. I wreszcie

złotą monetę wartą dwa i pół dolara. Teksańczyk spojrział na mały pieniądz na dłoni dzieciaka i zażądał więcej, ale rymarz pokręcił głową i wznosił do góry ręce w geście wyrażającym nieodwołalność.

A buty?, spytał dzieciak.

Y sus botas, powiedział Teksańczyk.

Botas?

Sí. Wykonał ruch naśladujący szycie.

Rymarz spojrział na buty. Zgiął palce ze zniecierpliwieniem, a dzieciak ściągnął buty i stanął boso w pyłe.

Kiedy już wszystko zostało załatwione, wyszli na ulicę i popatrzyli na siebie. Starszy szeregowiec spojrział na chłopaka z Missouri. Masz jakie pieniądze, Earl?

Ani złamanego centa.

Ja też nie. W takim razie trzeba będzie zawieźć dupsko z powrotem do tego nędznego grajdoła.

Dzieciak poprawił ciężką uprząż na ramieniu. Mamy przecież tego złotego orła do przepicia, powiedział.

* * *

W Laredito zapada już zmierzch. Nietoperze wylatują z kryjówek w budynku sądu i na wieży, krążą nad ulicami. Powietrze jest przesycone wonią węgla drzewnego. Dzieci i psy kucają przy nieckach w błocie, koguty trzepoczą skrzydłami i gnieźdzą się w gałęziach drzew owocowych. Idą na piechotę, trzej towarzysze, obok nagiego muru. Z placu dobiega niewyraźnie muzyka orkiestry. Mijają beczkowóz na ulicy, mijają dziurę w murze, za którym w blasku małego paleniska stary mężczyzna kuje metal. Mijają młodą dziewczynę przy wejściu do domu, której

urodę rozpoznają potem w kwiatach dokoła.

Wreszcie stają u drewnianych drzwi, wpasowanych w jeszcze większe drzwi lub wrota, i każdy z nich musi przestąpić wysoki próg, starty z wierzchu przez podeszwy tysięcy butów, o który setki głupców przewracało się albo potykało i wybiegało pijackim krokiem na ulicę. Mijają długą pergolę na dziedzińcu, obok altany z dzikiego wina, gdzie małe ptaki przysypiają o zmierzchu pośród nagich sękatych gałęzi. Wmaszerowują do rozświetlonej kantyny, idą, schylając głowy pod niskim stropem, i stają przy barze, jeden, drugi, trzeci.

W kantynie siedzi stary pomyłony mennonita, który odwraca się, żeby się im przyjrzeć. Chudzielec w skórzanej kamizelce i kapeluszu o prostym rondzie nasuniętym równo na głowę, z cienkim wieńcem bokobrodów. Rekruci zamawiają szklaneczki whiskey, wypijają i zamawiają następne. Na stolikach przy ścianach toczy się gra w cztery karty, a przy innym stole siedzą kurwy, zerkające na rekrutów. Ci stoją bokiem przy kontuarze, z kciukami zatkniętymi za pasy, i rozglądają się po sali. Rozmawiają głośno o swojej wyprawie, a stary mennonita kręci smutno głową, popija ze szklaneczki i coś mamrocze.

Zatrzymają was nad rzeką, mówi.

Starszy szeregowiec patrzy za plecy swoich towarzyszy. Do mnie gadasz?

Nad rzeką. Wspomnisz moje słowa. Wszyscy, co do jednego, wylądujecie w więzieniu.

Kto nas zatrzyma?

Wojsko Stanów Zjednoczonych. Generał Worth.

Takiego wała, cholera.

Lepiej się módl, żeby tak było.

Starszy szeregowiec patrzy na swoich towarzyszy. Nachyla się do mennonity. Co to niby znaczy, stary?

Że gdy przejdziecie przez rzekę jako uzbrojeni flibustierzy, to już nie wróćcie.

Ani nam się śni wracać. Ruszamy do Sonory.

A co ci do tego, stary?

Mennonita patrzy w wiszące nad barem lustro, w którym rekrutów przesłania ocieniony mrok. Odwraca się do nich. Oczy ma wilgotne i mówi powoli. Gniew boży na razie leży uspiony. Zakryty został milion lat przed nastaniem człowieka i tylko w mocy człowieka jest go obudzić. Piekło nie zapełniło się jeszcze nawet w połowie. Usłyszcie moje słowa. Niesiecie na obczyznę wojnę rozpętaną przez szaleńca. Obudzicie nie tylko psy.

Zwymyślali i skłęli starego, aż odsunął się na koniec kontuaru, pomrukując, ale czy mogło być inaczej?

Oto jak kończą się takie historie. W zamęcie, przekleństwach i we krwi. Pili dalej, wiatr dął ulicami, gwiazdy wisiały nisko na zachodnim niebie, a ci trzej młodzi mężczyźni zadarli z innymi, i padły słowa, których nie dało się odwołać, a o świcie dzieciak i starszy szeregowiec uklękli nad chłopakiem z Misso-uri, który miał na imię Earl, i mówili do niego, ale nie odpowiadał. Leżał w pyle na dziedzińcu. Mężczyźni znikli, znikły kurwy. Jakiś starzec zamiatał klepisko w kantynie. Chłopak leżał na boku w kałuży krwi, z czaszką rozłupaną nie wiadomo

przez kogo. Na dziedziniec wyszedł trzeci, żeby do nich dołączyć. Był to mennonita. Wiał ciepły wiatr, na wschodzie jaśniało szare światło. Ptaki śpiące w dzikim winie zaczęły się budzić i nawoływać.

Nie masz takiej radości w gospodzie jak na drodze do niej wiodącej, powiedział mennonita. Włożył kapelusz, który trzymał w rękach, odwrócił się i wyszedł przez bramę.

IV

ODJAZD Z FLIBUSTIERAMI

- NA OBCEJ ZIEMI • POLOWANIE NA ANTYLOPY
 - NĘKANI PRZEZ CHOLERĘ • WILKI
 - NAPRAWA WOZÓW • PUSTYNNNE ODLUDZIE
 - NOCNE BURZE • TABUN WIDMO
- MODLITWA O DESZCZ • ZAGRODA NA PUSTYNI
 - STARZEC • NOWY KRAJ
- OPUSZCZONA WIOSKA • PASTERZE NA STEPIE
 - ATAK KOMANCZÓW

Pięć dni później ruszył na koniu zabitego towarzysza za jeźdźcami i wozami przez plac i miasteczko na szlak. Przejechali przez Castroville, gdzie kojoty wygrzebały zmarłych z ziemi i rozwlekły dokoła ich kości, przeprawili się przez rzekę Frio, przez Nueces i zostawiając drogę na Presidio, skręcili na północ ze zwiadowcami zabezpieczającymi przód i tyły. Nocą przekroczyli rzekę del Norte i wyszli z płytkiego piaszczystego brodu na zieleńce pustką odludzie.

Świt zastał ich sunących szeroką tyralierą przez step — wozy z suchego drewna już skrzypiały, konie były zasapane. Monotonny tętent kopyt, chrzęst ekwipunku i nieustanne, ciche po-brzękiwanie uprzęży. Z wyjątkiem rozsianych wokół kęp prusznika i opuncji oraz niewielkich połaci splecionej trawy ziemia była naga, a na południu majaczyły niskie góry, tak samo nagie. Na zachodzie ciągnął się widnokrąg płaski i namacalny jak poziomnica.

Przez pierwsze dni nie widzieli żadnej dzikiej zwierzyny, żadnych ptaków prócz myszołowów. W oddali dostrzegali stada owiec albo kóz, sunące po horyzoncie w obłokach kurzu, i jedli mięso zdziczałych osłów, które ustrzelili na stepie. Sierżant miał w futerale przy siodle ciężki karabin Wessona, używał do niego wlotki i owijek papierowych, i strzelał stożkowymi kulami. Zabijał z niego dzikie pustynne świnie, a później, kiedy zobaczyli stada antylop, zatrzymywał się o zmierzchu, ze słońcem poniżej widnokregu, i wkręciwszy dwójnóg w gwint pod lufą, strzelał do tych zwierząt, pasących się spokojnie pół mili dalej. Na karabinie zamontowany był celownik z podziałką noniusza; sierżant patrzył w dal, oceniał siłę wiatru i ustawiał suwak jak człowiek używający mikrometru. Starszy szeregowiec kładł się obok niego z lunetą i wołał „wyżej lub niżej”, gdy tamten chybił, a wóz czekał, dopóki nie padły trzy albo cztery sztuki, i wtedy ruszał, dudniąc po stygnącej ziemi, podczas gdy w tyle podskakiwali uśmiechnięci oprawiacze. Sierżant niemal nigdy nie trzymał karabinu pionowo, tylko wtedy, gdy czyścił i oliwił lufę.

Byli dobrze uzbrojeni, każdy z karabinem, wielu z małokalibrowym pięciopalcowym koltem. Kapitan miał dwa pistolety kawaleryjskie w olstrach przerzuconych przez łęk siodła, żeby wisiały mu przy kolanach. Amerykańskiej produkcji, opatentowane przez Colta, kupione od dezertera w stajni w Soledad, razem z kokilką i prochownicą kosztowały go osiemdziesiąt dolarów w złocie.

Karabin, który dostał dzieciak, miał skróconą i nawierconą od nowa lufę, więc zrobił się lekki, a kokilka do niego była tak mała, że musiał owijać kule w kawałki skóry. Wystrzelił z niego parę razy i przekonał się, że znosi. Trzymał go przed sobą na siodle, bo nie miał futerału, i tak samo trzymano go wcześniej, przez całe lata Pańskie, gdyż czółenko było starte pod spodem.

O zmierzchu wrócił wóz z mięsem. Oprawiacze usypali z tyłu stertę krzaków mesquite i pniaków wyrwanych z ziemi przy pomocy koni i teraz wyładowali opał, zaczęli ciąć wypatroszone antylopy na deskach wozu nożami traperskimi i toporkami, śmiejąc się i siekając mięso w oparach juchy, makabryczna scena przy blasku trzymanyh w rękach lamp. O zmroku przy ogniskach sterczały parujące żebra antylop, tłoczono się dokoła płomieni z okorowanymi kijami, na które nadziano połcie mięsa, brzęczały manierki, sypały się żarty. I wreszcie sen tej nocy na zimnym stepie, w obcej krainie, czterdziestu sześciu mężczyzn okutanych w koce pod tymi samymi gwiazdami, wycie wilków preriowych takie samo jak zawsze, a mimo to jakieś odmienione i dziwne.

Każdego dnia budzili się i wyruszali po ciemku, jeszcze przed brzaskiem, jedli zimne mięso i suchary, nie palili ognisk. Słońce oświetlało jeźdźców, którzy już szóstego dnia wędrówki wyglądali jak łachmaniarze. Ubrania źle znosiły wyprawę, a kapelusze jeszcze gorzej. Małe przebiegłe koniki stąpały rażno, a na wozie z mięsem kłębił się nieustannie rój wrednych much. Kurz wzbijany przez flibustierów szybko się rozwiewał, niknąc

w bezkresnej krainie, a innego nie było, bo podążający za nimi bladolicy markietan jedzie niewidoczny, jego wątył koń i wątył wóz nie zostawiają śladów na takiej ziemi ani żadnej innej. O stalowoniebieskim zmierzchu, przy tysiącu ogni sprawuje swoją intendenturę, wyszczerzony w kwaśnym uśmiechu handlarz, wytrawny na tyle, by ciągnąć za każdą kampanią i wypłaszać ludzi z kryjówek w zbielełych krainach, gdzie się pochowali przed samym Bogiem. Tego dnia dwóch mężczyzn zaniemogło, a jeden z nich zmarł jeszcze przed nastaniem nocy. Rankiem jego miejsce zajął kolejny chory. Położono ich na wozie z zapasami, między worki fasoli, ryżu i kawy, i przykryto kocami, żeby ochronić przed słońcem, i jechali tak wśród trzasków oraz zgrzytu drewna, smażąc się, aż im prawie mięso odchodziło od kości, krzyczeli więc, żeby ich zostawić, a potem skonali. W półmroku wczesnego ranka mężczyźni zebrali się, żeby łopatkami antylop wykopać dla nich groby, a potem przykryli je kamieniami i ruszyli dalej.

Jechali, a brzask na wschodzie pobłyskiwał smugami bladego światła, potem rozlał się po widnokregu ciemniejszą barwą, jak krew przesączająca się nagłymi falami, a tam, gdzie na krańcach świata niebo wchłaniało ziemię, słońce ukazało, nie wiadomo skąd, swój wierzchołek jak żołędź ogromnego czerwonego fallusa i przekroczywszy niewidoczny próg, rozsiadło się za ich plecami — przysadziste, pulsujące, nieprzyjemne. Cienie najmniejszych nawet kamyków ciągnęły się po piasku niczym linie nakreślone ołówkiem, sylwetki mężczyzn i wierzchołków ścieliły się z przodu niby kosmyki nocy, z której

wyjechali, jak macki wiążące ich z mrokiem, co dopiero nadejdzie. Jechali ze spuszczoneymi głowami, bez twarzy pod kapeluszami, jak armia uśpiona w marszu. Późnym rankiem umarł następny, więc zabrali go z wozu, spomiędzy worków, które poplamiał, pogrzebali i ruszyli dalej.

Teraz podążały za nimi wilki, wielkie płowe bestie o żółtych ślepiach, dreptały krok w krok albo przysiadały na drżącym od skwaru stepie, żeby obserwować południowy postój. A potem były znowu w ruchu. Biegając susami, krążąc, skradając się, z długimi nosami przy ziemi. Wieczorem ich ślepia poruszały się i błyskały na skraju poświaty z ogniska, a rankiem, kiedy jeźdźcy wyruszali w zimnie i półmroku, słyszeli za plecami ich powarkiwania i kłapanie pysków, gdy plądrowały opuszczone dopiero co obozowisko w poszukiwaniu resztek mięsa.

Drewniane wozy, coraz mocniej ścierane przez piasek, wyschły tak bardzo, że kiwały się na boki jak psy. Koła się kurczyły, szprychy gięły na piastach i klekotały niczym krosna, nocą mocowali więc dodatkowe szprychy w gniazdach i przywiązywali je skrawkami zzieleniałej skóry, wbijali kliny między żelazne obręcze kół a rozszczepione od słońca wieńce. Kolebali się dalej, a odcisk ich nieprawdziwego mozołu na tej ziemi przypominał ślady grzechotnika na piasku. Koła zaczynały pękać.

Dziesiątego dnia wędrówki, straciwszy czterech ludzi, ruszyli przez bezkres czystej pemzy, gdzie jak okiem sięgnąć nie rósł

żaden krzak ani jeden chwast. Kapitan zarządził postój i wezwał Meksykanina, który służył im za przewodnika. Porozmawiali chwilę, Meksykanin wskazał ręką, kapitan też wskazał i po chwili znowu wyruszyli.

To mi wygląda jak droga do piekła, odezwał się jeden z szeregowców.

On myśli, że konie co będą jadły?

Pewnikiem mają dziobać ten piasek jak kury i czekać na mannę z nieba.

Dwa dni później natknęli się na kości i porzucone wyposażenie. Zobaczyli na wpół zakopane szkielety mułów, tak zbielałe i gładkie, że zdawały się jarzyć nawet w palącym słońcu, zobaczyli sakwy i siodła juczne, i ludzkie kości, zobaczyli całego muła, wysuszone i szerniałe ścierwo twarde jak stal. Jechali dalej. Białe południe zastało ich sunących przez pustkowie niczym armia zjaw, tak byli biali od pyłu, cienie postaci startych z tablicy. Idące za nimi wilki były jeszcze bielsze, zbiegały się w stada i rozbiegały dokoła, unosząc do góry wąskie pyski. Wieczorem konie karmiono ręką z worków i pojono z wiader. Nikt już nie zachorował. Ci, którzy przeżyli, leżeli cicho we wklęsłym pustkowiu i patrzyli, jak rozżarzone do białości gwiazdy rozpruwają mrok. Albo spali z sercem bijącym na obcej ziemi jak pielgrzymi umęczeni na powierzchni planety Anareta, uczipieni bezmienności wirującej wśród nocy. Ruszyli dalej, a żelazne obręcze na kołach toczących się po pemzie wytarte były do polysku jak chrom. Na południu kordyliery stały pewnie na swoim

bledszym cieniu, odcisniętym w piasku niczym odbicie w jeziorze, i teraz wilki znikły.

Odtąd jechali nocą, cicha wędrówka, z wyjątkiem skrzypienia wozów i charczenia zwierząt. W poświęcie księżycy dziwaczny oddział starców o wąsach i brwiach pobielonych grubą warstwą kurzu. Dalej i dalej, a gwiazdy tłoczyły się i kreśliły łuki na firmamencie, i dogasały za atramentowymi górami. Stali się znawcami nocnego nieba. Oczy zachodnie, dostrzegające więcej układów geometrycznych, niż było nazw nadanych przez starożytnych. Uwieszeni gwiazdy biegunowej, okrążyli Wóz, a na południowym zachodzie ukazał się Orion, podobny do wielkiego elektrycznego latawca. W blasku księżycy piasek był niebieski, żelazne obręcze kół toczyły się między cieniami jeźdźców, pełgające obroty, kalekie, nieśmiało wytyczające kurs, jak wydłużone astrolabia, a wygładzone końskie podkowy połyskiwały i połyskiwały niczym miriady oczu mrugających przy samej ziemi. Patrzyli na burze tak dalekie, że nie było ich słychać, nieme błyskawice rozcinające niebo na pół, pod którym cienka czarna linia łańcucha górskiego to dygotała, to przepadała w ciemności. Widzieli dzikie konie pędzące po stepie, widma dudniące po nocy, które zostawiały za sobą w świetle księżycy tumany zwiewnego pyłu, ledwo dostrzegalny ślad własnego istnienia.

Przez całą noc dął wiatr i pył wciskał się między zęby. Piasek był wszędzie, chrząścił we wszystkim, co jedli. Rankiem kaprawe słońce koloru moczu uniosło się zza zasłon kurzu nad wyblakłym, pozbawionym cech światem. Zwierzęta opadały z sił.

Zatrzymali się i rozłożyli obozem, bez opału i wody, a umęczone konie kulily się i skamlały jak psy.

Tej nocy przebyli okolicę dziką i naelektryzowaną, gdzie po metalowych częściach uprzęży przemykały łagodnie błękitne ogniki o niezwykłych kształtach, koła wozów kreśliły ogniste kręgi, na uszach koni i brodach mężczyzn przysiadaly małe jasnyniebieskie światełka. Przez całą noc błyskawice drżały samotnie na zachodzie, poza obrębem chmur, roztaczając na odległej pustyni niebieskawy dzień. Góry na odsłoniętym niespodziewanie widnokregu były nagie, czarne, zsiniałe, niczym kraina z jakiejś innej ery geologicznej, której prawdziwym budulcem nie jest skała, lecz strach. Grzmoty przewalały się z południowego zachodu, błyskawice rozświetlały pustynię dokoła, niebieską i jałową, wielkie rozdzwonione bezmiary przyzwane z czarnej nocy niby jakieś demoniczne królestwo albo kraina odmieńców, która wraz z nadejściem dnia nie pozostawi po sobie większego śladu, smugi dymu ani ruiny, niż zostawia koszmary sen.

Zatrzymali się w ciemności, żeby zwierzęta odetchnęły, niektórzy schowali broń na wóz z obawy przed ściągnięciem pioruna, a jeden, niejaki Hayward, zaczął się modlić o deszcz.

Modlił się: Boże Wszechmocny, jeśli to nie jest wbrew twoim wiekiustym zamysłom, zechciej zesłać nam tutaj trochę deszczu.

Módl się, módl, zawołał ktoś, i Hayward zawołał na klęczkach wśród wiatru i gromów: Panie, wyschliśmy tu na wiór.

Ześlij parę kropli starym zuchom, co są na prerii daleko od domu.

Amen, powiedzieli, i chwyciwszy wierzchowce, ruszyli dalej. Nie minęła godzina, a wiatr się ochłodził i z dzikiego mroku spadły na nich krople deszczu wielkości siekańców. Czuli zapach mokrego kamienia, słodką woń mokrych koni i mokrej skóry. Jechali.

Jechali bez ustanku w upale dnia następnego, beczki na wodę puste, wierzchowce konające, i wieczorem ci wybrańcy, obdarci i biali od pyłu niczym kompania uzbrojonych młynarzy wędrujących konno z wyroku własnego obłądu, zjechali z pustyni przez rozstępną w niskich wzgórzach i dotarli przed samotną chałupę, prymitywną lepiankę z błota i plecionych gałęzi, ze skromną oborą i zagrodą.

Ploty z kości wytyczały ten skrawek zakurzonej ziemi, śmierć wydawała się jedyną cechą krajobrazu. Dziwne ogrodzenie, wyszorowane przez piach i wiatr, pobielale i spękane na brązowo od słońca jak stara porcelana, ani śladu życia. Falujące cienie jeźdźców przesunęły się z chrzęstem po suchej rdzawej ziemi i fasadzie lepianki, konie drżały, czując wodę. Kapitan uniósł rękę, sierżant przemówił, dwaj mężczyźni zsiadli i ruszyli z karabinami do chaty. Pchnęli na oścież drzwi z niewyprawionej skóry i weszli do środka. Po kilku minutach wyłonili się z powrotem.

Ktoś tu jest. Palenisko ciepłe.

Kapitan czujnie zlustrował okolicę. Zsiadł z cierpliwością człowieka, który nawykł do nieudolności podwładnych, i

pomaszerował do lepianki. Kiedy wyszedł, znów potoczył wzrokiem dokoła. Konie wierciły się, dzwoniły uprzężą i tupwały, mężczyźni wyciągali zuchwy i upominali obcesowo zwierzęta.

Sierzancie.

Na rozkaz.

Ci ludzie muszą gdzieś tutaj być. Spróbujcie ich znaleźć. I sprawdźcie, czy jest jakaś pasza dla koni.

Pasza?

Pasza.

Sierżant położył dłoń na tylnym łęku, rozejrzał się po miejscu, w którym się znajdowali, pokręcił głową i zsiadł z konia.

Przeszli przez lepiankę do zagrody na tyłach i dalej do obory. Nie było tam zwierząt ani niczego oprócz przegrody do połowy wypełnionej suchym dasylirionem nadającym się na obrok. Wyszli od tyłu, gdzie wśród skał zobaczyli miednicę ze stojącą wodą, a po piasku płynął cienki strumyczek. Dokoła zbiornika były ślady kopyt i suchy gnój, skrajem strużki biegały bezmyślnie małe ptaki.

Sierżant podniósł się z kucek i splunął. No dobra, powiedział. Widzi co który w jakimkolwiek kierunku na odległość dwudziestu mil?

Rekruci wpatrywali się w pustkę dokoła.

Coś mi się widzi, że ci, co tu mieszkają, nie odeszli aż tak daleko.

Napili się i wrócili do lepianki. Wąską ścieżką prowadzono konie.

Kapitał stał z kciukami zatkniętymi za pas.

Nie wiem, gdzie się mogli schować, powiedział sierżant.

Co jest w oborze?

Trochę suchego obroku.

Kapitan zmarszczył czoło. Musi być jakaś koza albo wieprz, powiedział. Cokolwiek. Kury.

Kilka minut później dwaj inni przyciągnęli starca, którego znaleźli w oborze. Był oblepiony pyłem i suchymi plewami, zasłaniał oczy ręką. Rzucono go jęczącego kapitanowi do stóp i leżał tak na brzuchu, w ubraniu, które wyglądało jak owijacze z białej bawełny. Zakrył dłońmi uszy, łokcie złączył przed twarzą jak ktoś zmuszony do oglądania jakiegoś okropieństwa. Kapitan odwrócił się z odrazą. Sierżant trącił starca czubkiem buta. Co z nim?, spytał.

Zeszczął się, panie sierżancie, normalnie się zeszczął.

Kapitan wskazał żołnierza dłonią w rękawicze.

Na rozkaz, panie kapitanie.

Zabierzcie go stąd w cholerę.

Nie chce pan, żeby Candelario go przepytal?

To przygłup. Zabrać mi go stąd.

Odciągnęli starca. Zaczął bełkotać, ale nikt go nie słuchał, a rankiem już go nie było.

Rozłożyli się obozem nad wodą, kowal zaczął doglądać mułów oraz koni, które pogubiły podkowy, i przy blasku ognia do późnej nocy naprawiali wozy. Wyruszyli o karmazynowym brzasku, gdy niebo i ziemia szczepiły się na linii ostrej jak brzytwy. W oddali małe ciemne archipelagi chmur i rozległy świat piachu oraz zarośli parły ku górze w bezbrzeżną pustkę, gdzie

te niebieskie wyspy drżały, a ziemia potulniała, posepnie pochyła i wyciągnięta poprzez pigment różu i mrok poza świtem ku najodleglejszym rubieżom przestrzeni.

Jechali przez krainę cętkowanych skał, wypiętrzonych w formie poszarpanych podciosów, i półek magmy nawarstwionych w uskokach i antyklinach, zakrzywionych na siebie albo odłamanych jak szczapy wielkich pni, i pośród kamieni rozłupanych przez pioruny starych burz, buchających zastygłymi wylewami. Mijali płaszczowiny brązowej skały, schodzące wąskimi graniami po turniach aż na step niczym ruiny dawnych murów, zapowiedzi dzieła ludzkiej ręki, zanim nastał człowiek i jakakolwiek żywa istota.

Dotarli do zniszczonej wsi, rozbili obóz w murach wysokiego kościoła z gliny, do rozpalenia ognia użyli kawałków roztraskanego drewnianego dachu, a w mroku z luków okien pohukiwały sowy.

Nazajutrz na widnokręgu od południowej strony zobaczyli tumany kurzu ciągnące się po ziemi przez długie mile. Jechali, obserwując, aż kurz zaczął się zbliżać i kapitan podniósł rękę, żeby zatrzymać kawalkadę, wyjął z sakwy starą mosiężną lunetę kawaleryjską, rozłożył ją i zlustrował powoli horyzont. Sierżant osadził konia obok i po chwili kapitan podał mu lunetę.

Stado wielkie jak diabli.

Widzi mi się, że to konie.

Jak daleko są według ciebie?

Ciężko powiedzieć.

Zawołaj Candelaria.

Sierżant odwrócił się i skinął na Meksykanina. Kiedy ten podjechał, dał mu lunetę, a on podniósł ją do twarzy, mrużąc powiekę. Potem opuścił lunetę i patrzył nieuzbrojonym okiem, wreszcie znów ją przyłożył i patrzył. A potem przyhamował konia, trzymając lunetę przy piersi jak krucyfiks.

No i?, spytał kapitan.

Meksykanin pokręcił głową.

Co to ma znaczyć, do cholery? To chyba nie bizona, co?

Nie. Zdaje mi się, że prędzej konie.

Dawaj lunetę.

Meksykanin ją oddał, a kapitan znowu zlustrował widnokrąg, potem złożył lunetę nasadą dłoni, schował z powrotem do sakwy, podniósł rękę i ruszyli.

To było bydło, muły i konie. Kilka tysięcy sztuk, sunęły ukosem ku kompanii. Późnym popołudniem pasterzy było już widać gołym okiem, garstka obdartych Indian na zwinnych koniach, pilnujących stada po bokach. Pozostali w kapeluszach, prawdopodobnie Meksykanie. Sierżant cofnął się do kapitana.

Co pan myśli?

Myślę, że to wataha pogańskich koniokradów. Oto, co myślę. A ty?

Też mi na to wygląda.

Kapitan patrzył przez lunetę. Pewno nas już zobaczyli, powiedział.

Ani chybi.

Ilu ich jest według ciebie?

Będzie parunastu.

Kapitan popukał w lunetę dłonią w rękawiczce. Nie wyglądają na zaniepokojonych, co?

Nie, panie kapitanie. Nie wyglądają.

Uśmiechnął się ponuro. Może czeka nas jeszcze mały taniec przed zachodem słońca?

Już mijały ich w całunie żółtego pyłu pierwsze sztuki stada, żyłaste bydło o sterczących żebrach, o poskręcanych rogach, nigdy dwóch takich samych, i małe chude muły czarne jak węgiel, ocierające się o siebie, wystawiające kanciaste łby nad grzbiety pozostałych, a potem jeszcze więcej bydła i wreszcie pierwsi pasterze, jadący po przeciwnej stronie, odgrodzeni zwierzętami od kompanii. Za nimi nadciągnęło stado kilkuset koni. Sierżant rozglądał się za Candelariem. Cofał się wzdłuż kolumny, ale nigdzie nie mógł go znaleźć. Trącił konia piętami i ruszył na drugą stronę. Z obłoków kurzu wyłonili się teraz ostatni pastuchowie, a kapitan gestykułował i krzyczał. Konie odłączyły się od stada, a pasterze zaczęli się przedzierać ku zbrojnej kompanii, którą spotkali na stepie. Mimo kurzu widać już było wymalowane na końskich zadach szewrony i dłonie, i wschodzące słońca, i ptaki, i ryby różnego kształtu, jak stary obraz wyzierający na płótnie spod warstw nowego, i ponad dudnieniem niepodkutych kopyt słychać też było gwizd quen, piszczałek z ludzkich kości, i niektórzy jeźdźcy zaczęli wstrzymywać konie, inni kręcili się w popłochu, gdy nagle z boku całego stada natarła osławiona horda konnych włóczników i łuczników z tarczami ozdobionymi kawałkami rozbitych luster, które błyskały tysiącem nieposkładanych słońc wprost w oczy

nieprzyjaciół. Liczący setki legion straszyleł, półnagich albo odzianych w szaty attyckie i biblijne, albo stroje rodem z majaków, w zwierzęce skóry i wytworne jedwabie, i strzepy mundurów wciąż zbrukane krwią poprzednich właścicieli, w kaftany zabitych dragonów, kawaleryjskie kurtki z haftkami i galonami, jeden w cylindrze, drugi z parasolką, trzeci w białych pończochach i z zakrwawionym welonem ślubnym, niektórzy w piórach żurawi albo hełmach z niewyprawionej skóry ze sterczącymi rogami bizona lub byka, jeden we fraku włożonym tył na przód, a poza tym nagi, inny w zbroi hiszpańskiego konkwistadora, napierśnik i naramienniki pogięte od ciosów maczugi albo rapiera zadanych w innym stuleciu przez ludzi, których kości dawno rozsypały się w proch, wielu z warkoczami splecionymi z włosami zwierząt, aż wlokły się po ziemi, końskie uszy i ogony barwnie przystrojone kawałkami jaskrawych tkanin, jeden na koniu, któremu cały łeb pomalowano karmazynowa czerwienią, każda twarz pstra i groteskowa od smug farby, rzekłbyś, oddział konnych klaunów, śmiertelnie zabawnych, wszyscy wyjący w barbarzyńskim języku, atakujący kompanię jak horda z piekieł straszniejszych niż czeluści ognia i siarki z chrześcijańskich podań, wrzeszczący i zawodzący, otuleni dymem jak te ulotne istoty z krain, gdzie oko się gubi, a usta drżą i ociekają śliną.

O mój Boże, powiedział sierżant.

Grad grzechoczących strzał przeszył kompanię, jeźdźcy zachwiali się w siodłach, pospadali na ziemię. Konie stawały dęba i brykały, a mongolskie hordy nadjechały z flanki, wykonały

zwrot i rozpędzone natarły włóczyniami.

Kompania stanęła i oddała pierwsze strzały, przez tumany kurzu przetoczyły się kłęby szarego dymu z karabinowych luf, ale w tej samej chwili włócznicy wdarli się w szyk jeźdźców. Koń osunął się pod dzieciakiem, wydając przeciągłe stęknienie. Chłopak strzelił wcześniej i teraz klęczał na ziemi, gmerając przy ładownicy. Obok niego siedział mężczyzna ze strzałą w szyi. Był lekko pochylony, jakby w modlitwie. Dzieciak chciał wyciągnąć zakrwawiony żelazny grot, ale zobaczył, że mężczyzna przeszyty jest drugą strzałą, tkwiącą w piersi aż po lotki, i nie żyje. Wszędzie padały konie, ludzie gramolili się na nogi i zobaczył jednego, jak ładuje karabin na siedząco, a z uszu płynie mu krew, ujrzał mężczyzn z rozłożonymi rewolwerami, którzy próbowali wmontować naładowane zapasowe bębenki, widział takich, którzy się ślaniai i padali na ziemię w objęcia własnych cieni, i przebitych włóczyniami, chwytanym za włosy, skalpowanych na stojąco, widział rumaki bojowe tratujące leżących i małego pobielonego konika z bielmem na oku, który w półmroku kłapnął na niego pyskiem jak pies, po czym zniknął. Wydawało się, że niektórzy ranni są ośpiali i pozbawieni świadomości, inni byli bladzi nawet pod warstwą kurzu, jeszcze inni robili pod siebie albo chwiejnym krokiem szli wprost na włócznie dzikusów. A teraz nawałnica gnających koni o zakrytych z boku oczach i przypiłowanych kłach i nagich jeźdźców z pękami strzał ściskanymi w zębach i tarczami połyskującymi w

pyłe spadła falangą na tyły rozbitej kompanii przy akompaniamencie świszczących kościanych piszczałek, i wiszący u boku rumaków, z jedną stopą w rzemiennej pętli, z małymi łukami napiętymi pod wyciągniętymi końskimi szyjami, okrążyli kompanię, wcieli się klinem, a po chwili znowu na grzbietach, jak wołyżerowie w cyrku, niektórzy z koszmarnymi obliczami wymalowanymi na piersi, tratowali spieszonych Saksonów, rażąc włóczniami i maczugami, zeskakiwali z wierzchowców z nożami w garści, biegali wokół dziwacznym kaczym truchtem jak istoty zmuszone do nieznanym form ruchu, zdzierali z trupów ubrania, chwytali za włosy, cięli po czaszkach tak samo żywych, jak i martwych kawalerzystów, wywijali w powietrzu zakrwawionymi czuprynami, kroili i siekali nagie ciała, wyrwali kończyny, odrzynali głowy, patroszyli dziwne białe tułowia, ściskali garście trzewi i genitalia, niektórzy tak wymazani krwią, jakby się w niej wytarzali niczym psy, inni dopadali umierających i gwałcili ich, krzycząc głośno do swoich pobratymców. Konie poległych wybiegały z dymu i kurzu, gnały dookoła, trzepocząc uprzężą, z rozwianymi grzywami i ślepiami zbielełymi z trwogi niczym oczy ślepców, niektóre pierzaste od strzał, niektóre przebite włóczniami, potykały się i rzygały juchą, miotając się po miejscu kaźni, a później znów nikły w półmroku. Kurz oblepiał mokre nagie czaszki oskalpowanych, z kosmykami włosów poniżej linii cięcia, i ogoleni teraz do gołej kości, leżeli w nasiąkniętym krwią pyłe jak odarci z habitów i okaleczeni mnisi, i wszędzie jęczeli i bełkotali konający, rzeźbiły ranne konie.

V

ZABŁĄKANY NA BOLSÓN DE MAPIMÍ • SPROULE

• DRZEWO MARTWYCH DZIECI

• ŚLADY MASAKRY • SOPILOTES

• ZAMORDOWANI W KOŚCIELE

• NOC WŚRÓD UMARŁYCH • WILKI • PRACZKI U BRODU

• PIESZO NA ZACHÓD • FATAMORGANA

• SPOTKANIE Z BANDYTAMI • ATAK WAMPIRA

• KOPANIE STUDNI • ROZDROŻE NA ODLUDZIU

• CARRETA • ŚMIERĆ SPROULE'A • ARESZT

• GŁOWA KAPITANA • DAROWANE ŻYCIE

• DO CHIHUAHUA • MIASTO • WIĘZIENIE • TOADVINE

O dziwo, z zapadnięciem zmroku spośród poległych podniosła się jedna żywa dusza i oddaliła chyłkiem w poświacie księżyca. Ziemia, na której leżał, przesiąkła krwią i moczem z opróżnionych zwierzęcych pęcherzy, szedł więc przed siebie brudny i cuchnący jak smrodliwe potomstwo samej Matki Wojny. Dzicy przenieśli się na wzniesienie i widział teraz blask ich ognisk, i słyszał śpiewy, osobliwe żałobne zawodzenie w miejscu, gdzie piekli muły. Przedzierał się wśród pobladłych i poćwiartowanych, między padłymi w biegu końmi, i wytyczywszy kierunek wedle gwiazd, ruszył pieszo na południe. Noc przybierała tysiące kształtów w zaroślach, a on wpatrywał się w ziemię przed sobą. W blasku gwiazd i mdłego księżyca jego wędrująca przez ciemną pustynię sylwetka rzucała słaby cień, a na graniach wyły wilki ciągnące na północ, do miejsca, w którym dokonano rzezi. Szedł przez całą noc, ale wciąż widział ognie za plecami.

Z nadejściem dnia ruszył ku nawisom skalnym, położonym pół mili w głębi doliny. Wspiął się między rozsianymi, osuniętymi głazami, gdy usłyszał głos nawołujący gdzieś na tym odludziu. Popatrzył na równinę, ale nikogo nie zobaczył. Kiedy głos znów się rozległ, usiadł akurat, żeby odpocząć, i wtedy dostrzegł jakiś ruch na stromiźnie, obdartusa gramolącego się w jego stronę po kamiennym osypisku. Uważnie stąpał pod górę i oglądał się do tyłu. Dzieciak widział, że nie ma żadnej pogoni.

Na ramiona narzucił koc, koszulę miał podartą i ciemną od krwi, jedną ręką przyciskał drugą do piersi. Nazywał się Sproule.

Ośmiu uszło z życiem. Jego koń, poraniony kilkoma strzałami, padł pod nim w nocy, a pozostali pojechali dalej, wśród nich kapitan.

Siedzieli obok siebie między skałami i patrzyli, jak niżej dzień rozściela się po równinie.

Straciłeś wszystkie rzeczy?, spytał Sproule.

Dzieciak splunął i kiwnął głową. Spojrzał na niego.

Jak twoja ręka?

Sproule pokazał rękę. Widziałem gorsze rany, powiedział.

Siedzieli i patrzyli na bezmiar piasku, skały i wiatru.

Co to byli za Indianie?

Nie wiem.

Sproule odkaszlnął mocno w dłoń. Znów przysunął zakrwawioną rękę do piersi. Niech mnie szlag, jeśli to nie przestroga dla dobrych chrześcijan, powiedział.

Położyli się w cieniu skalnej półki, wygrzebując sobie miejsca do spania w pyłe startej magmy, a po południu powlekli się w głąb doliny, podążając szlakiem wojny, i byli bardzo mali, i poruszali się bardzo powoli w bezkresie krajobrazu.

Pod wieczór znów wdrapali się na skały, a Sproule wskazał ciemną plamę na nagim licu urwiska. Wyglądała jak ślady po ognisku. Dzieciak osłonił oczy. Pofałdowane ściany wąwozu falowały w rozgrzanym powietrzu niczym marszczące się kotary.

Może to źródło, powiedział Sproule.

Strasznie tam wysoko.

Jak widzisz gdzieś bliżej inną wodę, to z chęcią się napiję.

Dzieciak spojrzał na niego i ruszyli.

Miejsce znajdowało się w skalistym zagłębieniu, a drogę do niego tarasowały odłamki skał, żużel i zeschnięta juka. W słońcu smażyły się małe czarne i oliwkowozielone krzaki. Dowlekli się nad popękane gliniaste koryto suchego strumienia. Odpoczęli i ruszyli dalej.

Źródło znajdowało się wysoko między skalnymi półkami: woda wadyczna skapująca po śliskiej czarnej skale, z kroplikiem i kamasem śmiertelnym wiszącymi w tym małym, nietrwałym ogrodzie. Woda spływała do dna wąwozu zaledwie cienką strużką, klękali więc kolejno z otwartymi ustami nad kamieniem jak dewoci u ołtarza.

Noc spędzili w płytkiej pieczarze powyżej, istnym skansenie reliktyw z krzemienia i kruszywa, rozsypanych po kamiennej

podłodze, do tego koraliki z muszli, wypolerowane kości i czarne kręgi po dawnych ogniskach. W chłodzie dzielili się kocem, Sproule kaszłał cicho w ciemności, czasem wstawali, by zejść i napić się wody pośród skał. Wyruszyli przed wschodem słońca i świt znów zastał ich na stepie.

Ciągnęli szlakiem wydeptanym przez zbrojną czeredę, a po południu natknęli się na muła, który padł, został dobity włócznią i porzucony, a później na następnego. Droga zwężyła się wśród skał i wkrótce doszli do drzewa obwieszzonego martwymi dziećmi.

Stali jeden obok drugiego w upale, oszołomieni. Małe ofiary, siedem lub osiem, wisiały powieszona za przekłute od spodu zuchwy na nadłamanych konarach drzewa mesquite, patrząc pustymi oczodołami w nagie niebo. Łyse, blade i spuchnięte, larwy jakiejś niewyobrażalnej istoty. Włóczędzy pokuśtykali dalej, oglądając się za siebie. Nic się nie poruszyło. Po południu dotarli do wioski na stepie, gdzie nad zgłiszczami wciąż unosił się dym, a śmierć zabrała wszystko. Z oddali wyglądało to jak rozpadający się piec do wypalania cegieł. Stali przed murem długą chwilę, nasłuchując w ciszy, a potem weszli.

Ruszyli powoli przez wąskie uliczki z błota. W zagrodach leżały zarżnięte kozy i owce, w bloku martwe świnie. Minęli chatynki, gdzie w drzwiach i na klepiskach pomordowani ludzie zastygli we wszystkich śmiertelnych pozach, nadzy, spuchnięci, dziwni. Znaleźli talerze z niedojedzoną żywnością i zjawił się kot, który usiadł w słońcu i patrzył na nich obojętnie,

a wszędzie w nieruchomym nagrzanym powietrzu bzycały muchy.

Z ulicy weszli na plac z ławkami i drzewami, na których siedziały sępy w czterech czarnych gromadach. Na placu leżał martwy koń, a w drzwiach kilka kur dziobało rozbryzgi porzuczonego posiłku. Z dziurawych dachów pospadały tłące się zwęglone belki, w otwartych wrotach kościoła stał osioł.

Usiedli na ławce, a Sproule przycisnął ranną rękę do klatki piersiowej i zaczął się bujać w przód i w tył, mrużąc oczy w słońcu.

Co chcesz robić?, spytał dzieciak.

Napić się wody.

A poza tym?

Nie wiem.

Chcesz, żebyśmy spróbowali wrócić?

Do Teksasu?

A niby gdzie?

Nie damy rady.

Skoro tak mówisz.

A tam, mówię. Nie mam nic do powiedzenia.

Znowu zakaszał. Siedział, trzymając się zdrową ręką za pierś, jakby próbował złapać oddech.

Co ci jest, przeziębiles się?

Mam suchoty.

Suchoty?

Sproule kiwnął głową. Przyjechałem tu, żeby podreperować zdrowie.

Dzieciak spojrział na niego. Pokręcił głową, wstał i ruszył przez plac w stronę kościoła. Między krokstzynami rozsiadły

się myszolowy, wziął więc kamień i rzucił, ale nawet nie drgnęły.

Cienie na placu się wydłużały, a po spalonych słońcem uliczkach sunęły małe smugi kurzu. Padlinożerne ptaki umościły się na kalenicach, rozpościerając skrzydła — mali ciemni biskupi napominający wiernych. Dzieciak wrócił na ławkę, postawił na niej nogę i oparł się na kolanie. Sproule siedział tak samo jak przedtem, ściskając ranną rękę.

Kurewska łapa daje mi popalić, powiedział.

Dzieciak splunął i spojrział w głąb uliczki. Chyba najlepiej zostać tu na noc.

Myślisz, że tak będzie dobrze?

Czemu nie?

A jak Indianie wrócą?

Po co mieliby wracać?

A jak jednak wrócą?

Nie wrócą.

Sproule trzymał się za rękę.

Szkoda, że nie masz noża, powiedział dzieciak.

Szkoda, że ty też nie masz.

Znajdzie się mięso do zjedzenia, jakby człowiek miał nóż.

Nie jestem głodny.

Według mnie trzeba by się rozejrzeć po tych chałupach, zobaczyć, co jest w środku.

No to idź.

Musimy znaleźć kąt do spania.

Sproule spojrział na niego. Ja nigdzie nie idę, odparł.

Dobra, rób, jak sobie chcesz.

Odkaszlnął i splunął. Tak właśnie zamierzam.

Dzieciak odwrócił się i ruszył w głąb ulicy.

Drzwi były niskie, musiał się więc schylać, żeby nie zawadzić głową o nadproże, gdy wchodził do chłodnych izb z klepiskiem. Nie było w nich żadnych sprzętów prócz barłogów do spania i drewnianej skrzyni tu i ówdzie. Szedł od domu do domu. W jednej izbie kopcily się szerniałe resztki małego warsztatu tkackiego. W drugiej mężczyzna, zwęglone mięso jakby naprężone, oczy ugotowane w oczodołach. W murze była wnęka, w której stały figurki świętych w ubrankach dla lalek, o jaskrawo pomalowanych, topornych twarzach wystruganych w drewnie. Ilustracje wycięte ze starego żurnala i nalepione na ścianę, mały obrazek jakiejś królowej, wróżbiarska karta, czwórka kielichów. Warkocze suszonej papryki i tykwy. Butelka z zielskiem w środku. Na dworze nagie jałowe podwórko ogrodzone kaktusami i zapadnięty okrągły piec z gliny, oblepiony czarną mazią, która drżała w promieniach wdzierającego się światła.

Znalazł gliniany dzban fasoli i suche tortille i zabrał to do domu u wylotu ulicy, gdzie wciąż kopcily się resztki dachu, podgrzał jedzenie w popiele i zjadł, siedząc w kucki jak dezerner grasujący po śmietnikach miasta, do którego zbiegł.

Kiedy wrócił, Sproule'a nie było. Wszystko dokoła okrywał cień. Dzieciak ruszył przez plac i wszedł po schodach do kościoła. W sieni stał Sproule. Z wysokich okien w zachodniej ścianie wpadały do środka długie łuki światła. Nie było ław, a na kamiennej posadzce piętrzyły się stosy oskalpowanych, nagich

i częściowo zjedzonych ciał około czterdziestu dusz, które zabarykadowały się w domu bożym w poszukiwaniu ratunku przed poganami. Dzieci wybili otwory w dachu i strzelali z góry, a podłoga zasłana była teraz drzewcami strzał, które później ułamywali, żeby zedrzeć z zabitych ubrania. Ołtarze wywrócono, splądrowano tabernakulum, a wielki śpiący Bóg Meksykańów został wygnany ze swego złotego kielicha. Prymitywne obrazy świętych w ramach wisiały przekrzywione na ścianach, jakby to miejsce nawiedziło trzęsienie ziemi, a martwy Chrystus na szklanych marach leżał roztrzaskany na podłodze prezbiterium.

Pomordowani spoczywali w wielkiej kałuży wspólnej krwi. Ścieła się jak twaróg, poznaczona śladami wilków albo psów, a z brzegu zgęstniała w coś przypominającego popękaną bordową ceramikę. Krew tworzyła na posadzce wielkie zakola, krew wciskała się między kamienne płyty i ściekała do sieni, gdzie kamień wytarty był przez stopy wiernych i ich ojców przed nimi, krew przelewała się aż na schody, skapując ze stopni wśród ciemnoczerwonych śladów padlinożerców.

Sproule odwrócił się i spojrzał na dzieciaka, jakby znał jego myśli, ale ten pokręcił głową. Muchy chodziły po odartych ze skóry, bezwłosych czerepach zabitych ludzi, muchy łążyły po ich skurczonych gałkach ocznych.

Chodź, powiedział dzieciak.

Przeszli przez plac w ostatnich promieniach słońca i zagłębili się w wąską uliczkę. W drzwiach leżało martwe dziecko, a na

nim siedziały dwa myszołowy. Sproule machnął zdrową ręką, napuszyły się i zasyczały, trzepocząc niezdarnie skrzydłami, lecz nie odfrunęły.

Nazajutrz wyruszyli o pierwszym brzasku, gdy wilki wymykały się z chat, znikając we mgle spowijającej ulice. Podążyli drogą na południowy zachód, tą, którą nadjechali dzicy. Mały strumyk wśród piasku, zagajnik topól, trzy białe kozy. Przeszli bród, przy którym leżały martwe praczki.

Przez cały dzień wlekli się po terra damnata pełnej dymiących popiołów, napotyając od czasu do czasu spuchnięte sylwetki martwych mułów i koni. Pod wieczór wypili całą wodę, którą mieli. Spali w piachu, obudzili się w mroku wczesnego poranka i ruszyli dalej przez krainę popiołu, aż byli bliscy omdlenia. Po południu natknęli się na carrete przechyloną na dyszel, o wielkich kołach wyciętych z topolowych pni i przymocowanych na tybel do drewnianych osi. Wczołgali się pod nią, szukając cienia, i spali aż do zmroku, a potem ruszyli dalej.

Okrojony księżyc, który widać było na niebie przez cały dzień, zniknął, i teraz podążali pustynnym szlakiem przy blasku gwiazd, mając Plejady wprost nad głową, bardzo małe, po górskich szczytach na północy sunęła zaś Wielka Niedźwiedzica.

Moja łapa cuchnie, powiedział Sproule.

Co?

Mówię, że moja łapa cuchnie.

Chcesz, żebym ją zobaczył?

Po co? I tak nic nie poradzisz.

Dobra, rób, jak sobie chcesz.

Tak właśnie zamiaruję, odparł Sproule.

Ruszyli dalej. W nocy dwa razy usłyszeli szeleszczące w zaroślach małe żmije preriowe i się przestraszyli. Świt zastał ich na wspinaczce po łupku i rogowcu pod ścianą ciemnej monokliny, gdzie wznosiły się ostańce niczym bazaltowi prorocy, a przy drodze minęli małe drewniane krzyże wbite w kopczyki z kamieni, znaczące miejsca, gdzie wędrowców spotkała śmierć. Droga wiła się wśród wzgórz, dwaj włóczędzy wlekli się serpentykami, czerniejąc od słońca, z rozpalonymi oczami, z których kącików wytryskiwały malowane widma. Wspinali się między ocotillo i opuncje, gdzie w upale drżały i mzażyły się skały i nie było wody, tylko piaszczysty szlak, i wypatrywali czegokolwiek zielonego, co mogłoby wskazywać na wodę, ale wody nie było. Jedli palcami piniolo z worka i szli dalej. W skwarze południa i aż do zmierzchu, gdy leżące jaszczurki przytulały skórzane szyje do stygnących głazów, odganiając od siebie świat półuśmichem i ślepiami przypominającymi popękane kamienne płyty.

O zachodzie słońca weszli na grań, z której mieli widok na odległość wielu mil. Poniżej rozpościerało się ogromne jezioro, dalej w bezwietrznym wycinku wody wznosiły się niebieskie góry, i jeszcze sylwetka kołującego jastrzębia, i drzewa migoczące w upale, i odległe miasto, bardzo białe na tle ocienionych błękitnych wzgórz. Usiedli i patrzyli. Widzieli, jak na zachodzie

słońce nurkuje za poszarpaną krawędzią ziemi, zobaczyli jego blask za górami, widzieli, jak ciemnieje tafla jeziora i rozpuszcza się na niej odbicie miasta. Spali wśród skał, na plecach, niczym martwi ludzie, a rankiem, kiedy wstali, nie było miasta, nie było drzew ani jeziora, tylko jałowa równina.

Sproule jęknął i osunął się między skały. Dzieciak spojrzął na niego. Pod dolną wargą miał bąble, ręka pod podartą koszulą była spuchnięta, a spomiędzy ciemniejszych plam krwi przesączało się jakieś paskudztwo. Odwrócił się i znów spojrzął w dół.

Tam ktoś jedzie, powiedział.

Sproule nie zareagował. Dzieciak znowu na niego spojrzął. Nie kłamię.

Indianie, odparł Sproule. Nie tak?

Nie wiem. Za daleko, żeby rozpoznać.

Co zamiarujesz?

Nie wiem.

Gdzie się podziało jezioro?

A bo ja wiem?

Przecież obaj widzieliśmy.

Ludzie widzą, co chcą widzieć.

No to jak to jest, że teraz go nie widzę, co? Bo cholernie chciałbym zobaczyć.

Dzieciak spojrzął na równinę poniżej.

A jak to są Indianie?, spytał Sproule.

Pewnikiem są.

To gdzie się schowamy?

Dzieciak splunął gęstą śliną i otarł usta wierzchem dłoni. Spod głazu wypełzła jaszczurka, przykucnęła na małych

łokciach nad plwociną, wypila ją i wróciła pod skałę, zostawiając na piasku ledwo widoczną plamę, która prawie natychmiast znikła.

Czekali cały dzień. Dzieciak robił wypady do kanionu w poszukiwaniu wody, ale żadnej nie znalazł. Na tym czyszcowym odludziu nie poruszało się nic prócz mięsożernego ptactwa. Wczesnym popołudniem dostrzegli poniżej, na serpentynie, jeźdźców wjeżdżających na górę. Byli to Meksykanie.

Sproule siedział z nogami wyciągniętymi do przodu. Martwiłem się, czy mi stare buty wytrzymają, powiedział. Podniósł głowę. No dalej, uciekaj, ratuj się. Machnął ręką.

Leżeli w płytkim cieniu pod skalną półką. Dzieciak milczał. Nie minęła godzina, a usłyszeli głuchy grzechot kopyt pośród głazów i brzęk uprzęży. Pierwszym koniem, który wyłonił się zza występu skalnego i ruszył przez wąski przesmyk między skałami, był duży gniadosz kapitana, dźwigający na grzbiecie jego siodło, ale nie dźwigający jego samego. Dwaj włóczędzy stanęli przy drodze. Wjeżdżając w cień, konni wyglądali na spieczonych i skonanych, siedzieli na wierzchowcach, jakby nic nie ważyli. Było ich siedmiu, może ośmiu. Mieli kapelusze z szerokim rondem i skórzane kamizelki, na łękach siodel trzymali escopetas, a gdy sunęli obok, przywódca skinął smętnie głową im obu z wysokości kapitańskiego konia, dotknął runda kapelusza, po czym powlekli się dalej.

Sproule i dzieciak patrzyli. Dzieciak krzyknął, a Sproule zaczął niezdarne dreptać za końmi.

Jeźdźcy ślaniali się, kołysali jak pijani. Głowy kiwały im się na ramionach. Ich rechot pobrzmiwał echem wśród skał. Zawrócili konie, przystanęli i patrzyli na włóczęgów, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

Qué quiere?, spytał przywódca.

Zachichotali i pokleпали jeden drugiego. Dźgnęli konie piętami i zaczęli jeździć dokoła bez celu. Przywódca zwrócił się do dwóch stojących na ziemi.

Buscan a los indios?

Wtedy paru zsiadło, zaczęli się nawzajem obejmować i bezwstydnie płakać. Przywódca spojrział na nich i uśmiechnął się, ukazując wielkie białe zęby, stworzone do pożerania.

Wariaci, powiedział Sproule. To wariaci.

Dzieciak spojrział na przywódcę. Dałbyś może trochę wody?, spytał.

Tamtén załkał, robiąc smutną minę. Wody?, powtórzył.

Nie mamy co pić, rzekł Sproule.

Ależ przyjacielu, jakżeby nie dać? Tak sucho.

Sięgnął za plecy, a jeźdźcy, podając sobie buklak z rąk do rąk, wcisnęli mu go w dłoń. Potrząsnął nim i podał go dzieciakowi. Dzieciak wyjął korek, napił się, zastygł bez tchu, a potem znowu się napił. Przywódca wyciągnął rękę i puknął dłonią w buklak. Basta, powiedział.

Dzieciak żłopał. Nie dostrzegając, że twarz jeźdźca pociemniała. Mężczyzna wysunął jedną nogę ze strzemienia i precyzyjnym kopnięciem wytrącił dzieciakowi buklak z rąk, zostawiając go na moment zastygłego w pozie wołania, podczas gdy

bukłak pofrunął wysoko, obrócił się w powietrzu, rozbryzgi wody błysnęły w słońcu, i spadł z grzechotem na kamienie. Sproule pokuśtykał, chwycił go z ziemi i zaczął pić, spoglądając nad szyjką. Jeździec i dzieciak patrzyli na siebie. Sproule usiadł, dysząc i kaszląc.

Dzieciak wgramolił się po kamieniach i wziął od niego bukłak. Przywódca trącił wierzchowca kolanem, wyciągnął spod nogi szablę i nachyliwszy się, wsunął ostrze pod ramię i uniósł na nim bukłak. Koniec szabli, z płazem omotanym ramięm, znalazł się dwa cale od twarzy dzieciaka. Dzieciak zamarł. Przywódca uniósł delikatnie bukłak z jego rąk i zsunął go po ostrzu, aż znalazł się u jego boku. Odwrócił się z uśmiechem do swoich ludzi, a ci zaczęli wyć i okładać się nawzajem pięściami jak małpy.

Zakołysawszy wiszącym na sznurku korkiem, podrzucił go i wcisnął na miejsce nasadą dłoni. Rzucił bukłak mężczyźnie za plecami i spojrzał na włóczęgów. Czego wy się nie chować?, spytał.

Przed tobą?

Przed ja.

Pić nam się chciało.

Bardzo się chciało, he?

Nie odpowiedzieli. Przywódca pukał lekko płazem szabli w łęk siodła i wydawało się, że układa w głowie słowa. Nachylił się trochę. Owce zgubi się w górach, powiedział. One woła. Czasem matka przyjdzie. Czasem wilk. Uśmiechnął się do nich, podniósł szablę, wsunął ją pod nogę, zwinnie obrócił gniasza

i pokłusował między konie z tyłu, a jego ludzie wskoczyli na siodła, ruszyli za nim, i po chwili wszyscy zniknęli.

Sproule siedział nieruchomo. Dzieciak spoglądał na niego, ale on patrzył w bok. Był ranny w kraju nieprzyjaciół, daleko od domu, i choć jego oczy dostrzegały obce skały wokół, wydawało się, że kryjąca się za nimi większa pustka pożera jego duszę.

Zeszli z góry, zsuwając się na wyciągniętych rękach po głazach, a ich cienie wykrzywiały się na nierównym terenie jak istoty poszukujące własnych kształtów. O zmierzchu dotarli na dno doliny i ruszyli przez stygnącą niebieską krainę, góry na zachodzie linią wystrzępionych tabliczek osadzonych końcami w ziemi, suche zarośla splątane i skłębione od podmuchów wiejącego znikąd wiatru.

Szli dalej aż do zmroku i spali w piachu jak psy, i właśnie wtedy coś czarnego wychynęło ze spowitej nocą ziemi i przysiadło na piersi Sproule'a. Pełzło po nim, utrzymując równowagę za pomocą błoniastych skrzydeł rozpiętych na wydłużonych palcach. Pomarszczona psia mordą, mała i wredna, nagie wargi wykrzywione w straszliwym uśmiechu i zęby, jasnoniebieskie w blasku gwiazd. Nachyliło się. Zrobiło dwa wąskie nacięcia w szyi i złożywszy skrzydła, zaczęło pić krew.

Zbyt zachłannie. Sproule się obudził i podniósł rękę. Wrzasnął. Nietoperz pomłócił skrzydłami, wczepiając się w jego pierś, wyprostował się, syknął i mlasnął zębiastą paszczą.

Dzieciak już się zerwał i chwycił kamień, ale nietoperz odskoczył i zniknął w mroku. Sproule ścisnął się za szyję i bełkotał

coś histerycznie, a gdy zobaczył stojącego nad nim dzieciaka, wyciągnął do niego zakrwawione ręce, jakby w oskarżycielskim geście, po czym zakrył nimi uszy i wydał z siebie skowyt, którego najwyraźniej sam nie chciał słyszeć, wyrażający wściekłość zdolną zszyc cezurę w tętnie świata. Ale dzieciak tylko splunął w ciemną przestrzeń między nimi. Znam takich jak ty, powiedział. Każdy kłopot z tobą to kłopot przez ciebie.

* * *

Rano dotarli nad koryto wyschniętego strumienia i dzieciak ruszył wzdłuż brzegu, szukając jakiejś kałuży albo dziury w ziemi, ale niczego nie znalazł. Wypatrzył zagłębienie w korycie i zaczął kopać kością, gdy wbił się na głębokość dwóch stóp, piasek zwilgotniał, a potem, nieco niżej, zaczęła przesączać się woda, wypełniając żłobienia, które zrobił palcami. Zdjął koszulę, wcisnął ją w piach i patrzył, jak ciemnieje, patrzył, jak woda wznosi się powoli przez fałdy tkaniny, aż zebrało się parę łyków, i wtedy wsunął głowę do dołka i zaczął pić. A potem usiadł i obserwował, jak znów się napęlnia. Robił tak przez ponad godzinę. Wreszcie włożył koszulę i ruszył z powrotem wzdłuż strumienia.

Sproule nie chciał zdjąć koszuli. Próbował siorbać wodę, ale tylko nałykał się piachu.

Daj mi swoją, powiedział.

Dzieciak siedział w kucki na suchym dnie strumienia. Masz przecież swoją, odparł.

Sproule ściągnął koszulę. Gdy odkleił ją od skóry, popłynęła żółta ropa. Rękę miał spuchniętą do grubości uda i dziwacznie

odbarwioną, a w otwartej ranie gnieździły się małe robaki. Wcisnął koszulę do dołka, pochylił się i zaczął pić.

Po południu dotarli na rozdroże, z braku lepszego słowa. Z północy biegly słabo widoczne ślady wozu, przecinały szlak i ciągnęły się dalej na południe. Stali, wpatrując się w krajobraz, szukając jakichkolwiek wskazówek w tej pustce. Sproule usiadł w miejscu, gdzie krzyżowały się ślady, i patrzył z głębi przepastnych oczodołów. Powiedział, że już nie wstanie.

Tam dalej jest jezioro, odparł dzieciak.

Nie chciał spojrzeć.

Migotało w oddali. Z brzegiem oszronionym solą. Dzieciak popatrzył na jezioro, popatrzył na drogę. Po chwili kiwnął głową w kierunku południa. Wygląda mi, że tam droga jest najbardziej wydeptana.

W porządku, odparł Sproule. Idź.

Rób sobie, jak chcesz.

Patrzył, jak dzieciak się oddala. Po chwili dźwignął się i ruszył za nim.

Po przejściu może dwóch mil zatrzymali się, żeby odpocząć, Sproule usiadł z wyciągniętymi nogami i rękoma na udach, dzieciak w kucki, nieco dalej. Mrużący oczy, zarośnięci, w śmierdzących lachmanach.

Jakby grzmot, co?, spytał Sproule.

Dzieciak uniósł głowę.

Posłuchaj.

Spojrzał na jasnoblękitne niebo, czyste z wyjątkiem miejsca, gdzie słońce paliło się niczym biała dziura.

Czuję to przez ziemię, powiedział Sproule.

Nic nie ma.

Posłuchaj.

Dzieciak wstał i się rozejrzył. Na północy nieznacznie przesuwiał się kurz. Patrzył. Nie unosił się ani nie rozwiewał.

To była carreta ciągnięta przez małego muła. Woźnica chyba zasnął, bo dopiero gdy zobaczył przed sobą włóczęgów na szlaku, zatrzymał muła i zaczął skręcać, udało mu się wykonać zwrot, ale dzieciak dopadł do zwierzęcia i przytrzymał je za skórzany naczólek. Za nim przykuśtykał Sproule. Z wozu wyjrzało dwoje dzieci. Buzie tak blade od kurzu, włosy tak białe, miny tak zacięte, że przypominały przyczajone skrzaty. Na widok dzieciaka woźnica szarpnął się do tyłu, a siedząca obok niego kobieta wrzasnęła piskliwie, wskazując ręką widnokrąg to po jednej, to po drugiej stronie, ale dzieciak już wcisnął się do środka, Sproule wgramolił się za nim i leżeli teraz na plecach, patrząc na nagrany brezentowy dach, podczas gdy dwa podrzutki gapily się na nich oczami czarnymi jak u myszy zarosłowych, a wóz znów skręcił na południe i ruszył z głośniejszym klekotem i dudnieniem.

Z kołka zwisał na rzemieniu gliniany dzban z wodą. Dzieciak zdjął go, napił się i podał Sproule'owi. Potem zabrał go z powrotem i dopił resztę. Leżeli na podłodze wozu pośród starych skór i garści soli, i po chwili zasnęli.

Gdy wjechali do miasteczka, było już po zmroku. Obudzili się, bo carreta przestała podskakiwać. Dzieciak podniósł się i wyjrzał. Ulica w gwiazdnej poświacie. Wóz był pusty. Muł ziajał

i tupał w koleinach. Po chwili z cienia wyłonił się mężczyzna, który zaprowadził muła alejką na podwórko, cofnął go, aż wóz ustawił się wzdłuż muru, po czym odprzegł muła i go zabrał.

Dzieciak leżał w przekrzywionym wozie. Noc była zimna, więc podkurczył nogi pod kawałkiem skóry cuchnącej pleśnią i moczem i spał, i budził się, przez całą noc ujadały psy, o świcie zapiąły koguty, a na drodze usłyszał konie.

O pierwszym brzasku zaczęły łązić po nim muchy. Łaziły po twarzy, budząc go, więc je odganiał. Po chwili usiadł.

Znajdowali się na gołym podwórku otoczonym murem z błota, a obok stał dom z trzciny i gliny. Dokoła wałęsały się kury, gdacząc i drapiąc ziemię pazurami. Z domu wyszedł mały chłopiec, ściągnął portki i wysrał się na podwórku, a potem wstał i wrócił do środka. Dzieciak spojrzał na Sproule'a. Sproule leżał zwrócony twarzą do desek. Był częściowo przykryty kocem i łąziły po nim muchy. Dzieciak wyciągnął rękę i nim potrząsnął. Sproule był zimny i sztywny. Muchy pierzchły i zaraz znów się zleciały.

Szczał przy wozie, kiedy na podwórko wjechali żołnierze. Pochwycili go, związali mu ręce na plecach, zajrzeli do wozu, naradzili się, a potem wyprowadzili go na ulicę.

Zabrano go do budynku z niewypalanej cegły i zamknięto w pustym pokoju. Siedział na podłodze, pilnowany przez chłopaka o błędnym wzroku, uzbrojonego w stary muszkiet.

Po pewnym czasie wrócili i znów go zabrali.

Poprowadzili go wąskimi ulicami z błota i słyszał narastającą muzykę przypominającą fanfary. Najpierw obok szły dzieci, potem starcy i wreszcie tłum śniadych wieśniaków, wszyscy w ubraniach z białej bawełny, niczym woźni w jakimś urzędzie, kobiety dodatkowo w ciemnych rebozach, niektóre z obnażonymi piersiami, o twarzach uszminekowanych ochrą na czerwono, pałace małe cygara. Tłum gęstniał, a strażnicy z muszkietami na ramionach marszczyli czoła i pokrzykiwali na napierających, wszyscy minęli wysoki mur kościoła i weszli na plac.

Trwał jarmark. Objazdowi uzdrowiciele, tandetny cyrk. Minęli solidne drewniane klatki wypełnione żmijami, soczystozielonymi węzami z południowych stron i helodermami meksykańskimi o czarnych paszczach wilgotnych od jadu. Trędowaty cherlak pokazywał wszystkim garście tasiemców wyjmowane ze słoja, wykrzykując nazwy leków przeciw nim, nagabywali ich też inni prymitywni pigularze, sprzedawcy, żebracy, aż wreszcie tłum zatrzymał się przed drewnianym krzyżakiem, na którym stał szklany gąsior pełen czystego meskalu. W naczyniu tym, z pływającymi włosami i oczami w bladej twarzy skierowanymi ku górze, tkwiła ludzka głowa.

Zaciągnęli go do przodu, pokrzykując i gestykując. Mire, mire, krzyczeli. Stanął przed krzyżakiem i pokazywali mu gąsior, poruszając nim na boki, żeby głowa obróciła się do niego

twarzą. To był kapitan White. Ostatnio prowadzący wojnę z poganami. Dzieciak zajął w zatopione, niewidzące oczy swojego niedawnego dowódcy. Potem popatrzył dokoła na wieśniaków i żołnierzy, czując na sobie spojrzenia wszystkich, splunął i otarł usta. Ani mi brat, ani swat, powiedział.

* * *

Zamknęli go w starej kamiennej zagrodzie razem z trzema innymi obdartymi jeńcami z kompanii kapitana White'a. Siedzieli otępiali pod ścianą, mrużąc oczy, albo snuli się w koło po suchych śladach mułów i koni i rzygali, i srali, a mali chłopcy pokrzykiwali na nich ze szczytu muru. Spiknął się z chłopakiem z Georgii. Rozchorowałem się jak pies. Wpierw bałem się, że wykituję, potem się bałem, że nie, powiedział.

Tam, w górach, widziałem jeźdźca na koniu kapitana, odparł dzieciak.

Ehe, rzekł ten z Georgii. Zabili go, i Clarka, i jeszcze jednego, co nie znam jego nazwiska. Zwieźli nas tu do miasta i zaraz rano wrzucili do calabozo, i ten sam skurwysyn tam był, śmiał się ze strażnikami, pił i grał w karty, on i jefe, żeby zobaczyć, który weźmie konia po kapitanie, a który jego pistolety. Pewnieś widział głowę kapitana?

Widziałem.

W całym swoim życiu nie widziałem nic gorszego.

Już dawno ktoś powinien ją zamarynować. I moją też, bez dwóch zdań. Za to, że się zwąchałem z takim głupkiem.

Z upływem dnia przesuwali się z miejsca na miejsce, uciekając przed słońcem. Chłopak z Georgii opowiedział o swoich towarzyszach, zimnych i martwych na kamiennych płytach, wystawionych na pokaz na rynku. Kapitan bez głowy w świńskim bajorze, pożarty do połowy przez wieprze. Przejechał obcasem po ziemi i wrył w niej mały dołek, żeby oprzeć stopę. Szykują się, żeby nas zabrać do Chihuahua, powiedział.

Skąd wiesz?

Tak mówią. Nie wiem.

Kto mówi?

Ten marynarz, o tam. Gada trochę po ichniemu.

Dzieciak spojrzął na mężczyznę, o którym mówili. Pokręcił głową i splunął gęstą śliną.

Przez cały dzień mali chłopcy na zmianę przysiadali na murze i patrzyli na nich, wskazując palcami i trajkocząc. Biegali po szczycie i próbowali sikać na śpiących w cieniu, ale jeńcy zachowywali czujność. Kilku rzuciło kamieniami, ale dzieciak podniósł jeden z ziemi, wielkości jaja, i strącił nim celnie dziecko z muru. Nie wydało żadnego dźwięku prócz cichego, głuchego odgłosu upadku po drugiej stronie.

Aleś narobił, powiedział chłopak z Georgii.

Dzieciak spojrzął na niego.

Teraz przyjdą nas wybatożyć i nie wiadomo co jeszcze.

Dzieciak splunął. Ani nie przyjdą, ani batów nie będzie.

Nie przyszli. Jakaś kobieta przyniosła im miski fasoli i zwęglone tortille na tacy z niewypalanej gliny. Wyglądała na

znękaną, ale uśmiechnęła się do nich. Pod chustą przemyciła słodycze, a na dnie misek leżały kawałki mięsa z jej własnego stołu.

Trzy dni później, zgodnie z zapowiedzią, wyruszyli na małych obsypanych wypryskami mułach do stolicy.

* * *

Jechali pięć dni przez pustynię i góry, przez zakurzone puebla, gdzie mieszkańcy wychodzili na ulice, żeby na nich patrzeć. Strażnicy w rozmaitych galowych mundurach nadgryzionych zębem czasu, jeńcy w łachmanach. Dano im koce i kiedy tak siedzieli w kucki przy ognisku, okryci tymi serapes, poczerniali od słońca i wynędzniali, wyglądali jak najmarniejsi peoni Boga. Żołnierze nie mówili słowa po angielsku, a polecenia wydawali za pomocą pomruków i szturchnięć. Byli kiepsko uzbrojeni i bali się Indian. Zawijali tytoń w liście kukurydzy i siedzieli w milczeniu przy ogniu, nasłuchując odgłosów nocy. Jeśli rozmawiali, to o wiedźmach albo czymś gorszym, i ciągle próbowali złowić uchem w ciemności jakiś krzyk lub głos nie należący do zwykłego zwierzęcia. La gente dice que el coyote es un brujo. Muchas veces el brujo es un coyote.

Y los indios también. Muchas veces llaman como los coyotes.

Y qué es eso?

Nada.

Un tecolote. Nada mas.

Quizás.

Kiedy przejechali przez przełęcz w górach i w dole ukazało się miasto, sierżant dowodzący konwojem zatrzymał konia i przemówił do mężczyzny z tyłu, a ten zsiadł, wyjął rzemienie z sakwy, podszedł do jeńców i posługując się gestami, kazał im wyciągnąć przed siebie skrzyżowane dłonie. Związał wszystkich i ruszyli dalej.

Do miasta wjechali obrzucani gradem śmieci, pędzeni przez brukowane uliczki jak bydło, wśród okrzyków do żołnierzy, którzy się uśmiechali, bo tak wypadalo, kiwając głowami na widok ofiarowywanych kwiatów i napitków, poganiając obdartych najemników przez plac, gdzie woda pluskała w fontannie, a próżniacy wylegiwali się na ławach wyciosanych z białego porfiru, przy pałacu gubernatora i katedrze, gdzie na zakurzonych gzymsach i we wnękach rzeźbionej fasady, obok posągu Chrystusa i apostołów, rozsiadły się sępy, jak kapłani we własnych ciemnych szatach liturgicznych rozpościerający ramiona w wyrazie osobliwej życzliwości, podczas gdy wokół trzepotały na wietrze nanizane na sznurkach, wysuszone skalpy zgładzonych Indian, rozwiane, zmatowiałe długie włosy jak włókna niektórych form podwodnego życia, stwardniała skóra grzechocząca o kamienie.

Przy wejściu do kościoła minęli dziadów wyciągających szkieletowate dłonie, okaleczonych smutnookich żebraków w łachmanach i dzieci śpiące w cieniu, o beznamiętnych buziach upstrzonych przez muchy. Pociemniałe miedziaki w kubkach, wyschnięte oczy ślepców. Pisarze urzędowi przykucnięci obok

schodów, z piórami, kałamarzami i miseczkami piasku, trędowaci jęczący po ulicach i wyliniałe psy, sama skóra i gnaty, sprzedawcy tamale i staruchy o ciemnych twarzach, udręczonych jak ten kraj, siedzący w rynsztokach przy ogniskach, na których skwierczały i pluły tłuszczem pasy szerniałego mięsa niewiadomego rodzaju. Małe sieroty, wszędobylskie jak gniewne karły, i głupcy, i zaślinieni pijacy wymachujący rękami na małych jarmarkach metropolii, a jeńcy minęli hekatombę na straganach rzeźników, duszna woń tam, gdzie wywieszono flaki, teraz czarne od much, wielkie czerwone płyty mięsa ciemniejące wraz z upływem dnia, oskrobane nagie czaszki krów i owiec o niebieskich, patrzących dziko oczach, i sztywne ciała saren, pekari, kaczek, przepiórek i papug, wszelka dziczyzna z całego kraju, wisząca na hakach głową w dół.

Jeńcom kazano zsiąść z mułów i poprowadzono ich wśród tłumów w dół starych kamiennych schodów, przez próg starty jak kostka mydła, i dalej, przez żelazne wrota, do chłodnej kamiennej piwnicy od dawna służącej za więzienie, żeby zajęli miejsce między duchami dawnych męczenników i patriotów, a z tyłu zatrzasnęły się z hukiem skrzydła bramy.

Kiedy minęła chwilowa ślepotą, dostrzegli sylwetki przycupnięte pod ścianą. Szelest w słomie, jakby myszy spłoszyły się w swoim gnieździe. Ciche chrapanie. Na dworze klekot wozu i monotony stukot końskich kopyt po ulicy, a za murem niewyraźny huk młotów kowalskich w innej części lochu. Dzieciak się rozejrzał. Tu i tam na kamiennej posadzce leżały w

kałużach brudnego łożu poczerniały kawałki knotów, ze ścian zwisały nitki zaschłej śliny. Parę imion wydrapanych na murze w miejscach, do których docierało światło. Przysiadł i potarł oczy. Ktoś ubrany tylko w bieliznę przeszedł obok, stanął na środku przed cebrem i zaczął do niego szczać. Potem mężczyzna się odwrócił i ruszył z powrotem. Był wysoki i miał włosy do ramion. Powłókł się po słomie, stanął i spojrzał na dzieciaka. Ty mnie nie znasz, co?, spytał.

Dzieciak splunął i popatrzył na niego zmrużonymi oczami.

A owszem, znam, odparł. Twoją skórę poznałbym w garbar-
ni.

VI

- NA ULICACH • MOSIĄDZĄB
- LOS HERÉTICOS
- WETERAN • MIER • DONIPHAN
- CMENTARZYSKO LI PANÓW
- POSZUKIWACZE ZŁOTA • ŁOWCY SKALPÓW
- SĘDZIA • UWOLNIENI
- ET DE CEO SE METTENT EN LE PAYS

Z nastaniem dnia mężczyźni podnieśli się ze słomy, przykucnęli i zaczęli się obojętnie przyglądać nowo przybyłym. Byli półnadzy, ssali zęby, pociągali nosami, wiercili się i iskali jak małpy. Przez wąskie okienko wpadało skąpe światło, a wczesny sprzedawca głośno zachwalał swój towar.

Rano do jedzenia dostali miski zimnych piniolo, a potem założono im kajdany i wypędzono na ulicę, szczękających łańcuchami i śmierdzących. Przez cały dzień pilnował ich zboczeniec ze złotymi zębami, który biczem z plecionych rzemieni zmuszał ich do zbierania na kolanach nieczystości w rynsztokach. Ciągnęli za sobą worki z odpadkami, między kołami wozów i nogami żebraków. Po południu usiedli w cieniu muru, żeby zjeść obiad, i patrzyli, jak ulicą przemykają chyłkiem dwa szczipione ze sobą psy.

Podoba ci się miejskie życie?, spytał Toadvine.

Dla mnie niewarte funta klaków.

Sam czekam, żeby mnie porwało, ale na razie nic z tego.

Popatrzyli ukradkiem na dozorcę, gdy ich mijał, z rękami złożonymi na plecach, z czapką nasuniętą na jedno oko. Dzieciak splunął.

Już go kiedyś widziałem, powiedział Toadvine.

Kogo?

Wiesz kogo. Tego tam, Mosiądźeba.

Dzieciak obserwował przechadzającą się postać.

Najbardziej się martwię, że coś mu się stanie. Co dzień modłę się do Boga, żeby miał go w swojej opiece.

Jak zamierzasz się wydostać z tej ciemnicy?

Jakoś się wydostaniemy. To nie cárceł.

A co to cárceł?

Więzienie stanowe. Gniją tam jeszcze pielgrzymi, co ich zła-pali na szlaku w latach dwudziestych.

Dzieciak patrzył na psy.

Po chwili strażnik wrócił wzdłuż muru, kopiąc śpiących w stopy. Młodszy dozorca trzymał escopete gotową do strzału, jakby ci skuci łańcuchami i obdarci przestępcy mogli wywołać jakąś legendarną rebelię. Vamonos, wołał, vamonos. Więźniowie dźwignęli się i powlekli na słońce. Rozbrzmiał mały dzwonek i ulicą nadjechał powóz. Stanęli przy krawężniku i zdjęli kapelusze. Minał ich chorąży wymachujący dzwoneczkiem, a potem powóz. Na boku wymalowane miał oko, a ciągnęły go cztery muły, wiozące pasażera do zbłąkanej duszyczki. Za powozem truchtał gruby ksiądz niosący obraz. Dozorcy wpadli między więźniów, ściągając nowym kapelusze z głów, wciskając je w ich niewierne dłonie.

Kiedy powóz odjechał, włożyli z powrotem kapelusze i ruszyli dalej. Psy stały związane tyłem. Dwa inne siedziały nieco dalej, przykucnąwszy miękko, szkielety w wyleniałej obwisłej skórze patrzące na szepioną parę, a potem na więźniów porbrzękujących kajdanami na ulicy. Wszystko lekko drżące w upale, te formy życia jak powściągnięte cuda. Niewyraźne podobizny przywołane pogłoską, podczas gdy same rzeczy już dawno zatarły się w ludzkim umyśle.

* * *

Wybrał sobie siennik między Toadvine'em a takim drugim z Kentucky, weteranem wojennym. Tamten wrócił po jakąś ciemnooką piękność, którą zostawił tutaj przed dwoma laty, kiedy armia pod komendą Doniphana pociągnęła na wschód do Saltillo, a oficerowie musieli odpędzać setki młodych dziewcząt przebranych za chłopców, które szły w ślad za wojskiem. Teraz stawał samotnie na ulicy, skuty kajdanami i osobliwie przygasły, patrząc w dal ponad głowami mieszkańców, a nocą opowiadał im o swoich latach na zachodzie, bojownik o dobrym sercu, małowówny mężczyzna. Był w Mier, gdzie walczyli, aż drewny, rynsztoki i rynny pod azotami spływały galonami krwi, i opowiedział im, jak stare, kruche hiszpańskie dzwony rozpryskiwały się od trafień i jak siedział pod murem, ze strzaskaną nogą wyciągniętą na kocich łbach, słuchając słabnącej kanonady, i jak w tej dziwnej zapadającej ciszy zaczęło narastać dudnienie, które najpierw wziął za grzmot, aż nagle zza rogu ukazała się kula armatnia, niczym miska turlała się po bruku,

potoczyła ulicą i znikła z oczu. Opowiedział, jak zdobyli miasto Chihuahua, bojownicy walczący w łachmanach i gaciach, i jak kule armatnie z czystej miedzi koziółkowały po trawie niczym rozpedzone słońca, i nawet konie nauczyły się odskakiwać albo przepuszczać je między nogami, i jak miejskie damy jeździły powozami na wzgórze, gdzie urządzały pikniki i skąd obserwowały bitwę, i jak nocą, siedząc przy ogniskach, słyszeli jęki konających na równinie, a w świetle latarni widzieli wóz z trupami snujący się dokoła jak karawan z przedpiekła.

Żołęzi mieli pod dostatkiem, opowiadał weteran, ale nie nadawali się do walki. Symulowali. Słyszało się, że dowódcy przykuwali ich łańcuchami do łóż armat, całe działony, i tak dalej, ale jeżeli tak było, to ja tego nie widziałem. Napchaliśmy prochu do zamków. Wyszliśmy te ich bramy. Szczur obdarty ze skóry wygląda lepiej, niż wyglądali tamci w środku. Tak białych Meksykanów nigdy nie zobaczycie. Rzucili się na kolana, obcałowywali nas po nogach i takie tam. Stary Bill wypuścił wszystkich. Niech to szlag, nie miał pojęcia, co nawyprawiali. Tylko zabronił im kraść. No ale wiadomo, pokradli wszystko, co wpadło im w łapy. Kazał wybatożyć dwóch i nazajutrz pomarli z ran, i następnego dnia uciekła gromada z mułami, i Bill powywieszał tych głupców. No i też zdechli. Nigdy nie myślałem, że sam się tu znajdę.

Siedzieli ze skrzyżowanymi nogami przy blasku świec, jeżdząc palcami z glinianych misek. Dzieciak podniósł głowę. Wskazał miskę.

Co to?, spytał.

Najprzedniejsza wołowina, synu. Z corridy. Dostajesz to w niedzielę wieczór.

Lepiej żuj porządnie. Nie daj pokazać po sobie, żeś słaby.

Żuł. Żuł i opowiedział im o spotkaniu z Komańczami, a oni żuli, słuchali i kiwali głowami.

Rad jestem, że ominął mnie ten taniec, powiedział weteran. Bo te Komańcze to straszliwie okrutne skurwysyny. Znałem takiego jednego, był z Llano, blisko holenderskich osad, złapali go, zabrali mu konia i wszystko. Zostawili, żeby wracał piechotą. Sześć dni później doczołgał się goły do Fredericksburga, a wiecie, co się okazało, że mu zrobili? Oderżnęli podeszwy stóp.

Toadvine pokręcił głową. Wskazał weterana. Szczurodziad ich zna, powiedział dzieciakowi. Bił się z nimi. Co nie, Dziadu?

Weteran machnął ręką. Ubiłem paru, co nam konie kradli, nic więcej. Pod Saltillo. Wielka mi rzecz. Tam niedaleko była taka jaskinia, co w niej Lipanowie chowali swoich zmarłych. Leżało tam chyba z tysiąc Indian. W najlepszych strojach i kocach, i w ogóle. Z łukami i nożami, i co tam mieli. Z paciorkami. Meksykanie pokradli wszystko. Rozebrali ich do gołego. Wzięli, co się dało. Całych Indian pozabierali do domu i postawili ich sobie w kącie, ślicznie wystrojonych, ale zaczęli się psuć, jak ich zabrano z tego powietrza w jaskini, no i trzeba było ich wyrzucić. Na samym końcu włożyło tam paru Amerykanów i oskalpowali tych, co jeszcze zostali, i chcieli sprzedać te

skalpy w Durango. Nie wiem, czy im się poszczęściło. Myślę sobie, że niejeden z tych Indiańców leżał tam ze sto lat.

Toadvine wygrzebywał zwiniętą tortillą tłuszcz z miski. W blasku świecy spozjrzał zmrużonymi oczami na dzieciaka. Jak myślisz, ile byśmy dostali za zęby Mosiądźeba?, spytał.

* * *

Widzieli złachmanionych awanturników ze stanów, pędzących muły po ulicach w drodze na południe szlakiem wiodącym przez góry nad ocean. Widzieli poszukiwaczy złota. I wędrownych degeneratów sunących na zachód niczym heliotropiczna plaga. Kiwali więźniom głowami, zagadywali do nich albo rzucali im na ulicy tytoń i monety.

Widzieli czarnookie dziewczęta o pomalowanych twarzach, palące małe cygara. Szły pod rękę, posyłając im śmiałe spojrzenia. Widzieli samego gubernatora, wyprężonego w urzędowej pozie w przysłoniętym jedwabiem oknie dwukółki, klekoczącej od bramy pałacowego dziedzińca, a jednego dnia zobaczyli bandę nikczemników na niepodkutych indiańskich koniach, ciągnęli podpici ulicami, zarośnięci barbarzyńcy odziani w zwierzęce skóry zszyte ścięgnami, z bronią wszelkiego typu, ciężkie rewolwery, noże traperskie wielkości pałasza i krótkie dubeltówki z lufami, w których zmieściłby się kciuk, uprząż wykończona ludzką skórą, uzdy uplecione z ludzkich włosów i ozdobione ludzkimi zębami, jeźdźcy w szkaplerzach i naszyjnikach z wysuszonych i szerniałych ludzkich uszu, konie wredne,

o wściekłych ślepiach, za nimi gromada półnagich dzikusów, niebezpieczne, brudne bestie kiwające się w siodłach, wszyscy razem jak widma z pogańskiej krainy, gdzie oni i im podobni żywią się ludzkim mięsem.

Wśród nich, wyróżniając się okazałą posturą i nagą dziecięcą twarzą, jechał sędzia. Miał zarumienione policzki i uśmiech na ustach, kłaniał się i uchylał brudnego kapelusza na widok dam. Sklepienie jego ogromnej głowy było oślepiająco białe i tak idealnie okolone, jakby pomalowane farbą. On i cuchnąca plugawa horda przetoczyli się przez oszołomione ulice i zatrzymali przed pałacem gubernatora, gdzie przywódca, mały czarnowłosy człowieczek, kopnął butem w drewnianą bramę, aby ich wpuszczono. Brama natychmiast się otwarła i wjechali, wszyscy do ostatniego, a zaraz potem się zatrzasnęła.

Panowie, odezwał się Toadvine. Wiem, co się święci, i ręczę wam za to własnym dupskiem.

Nazajutrz sędzia w towarzystwie innych stał na ulicy, paląc cygaro i kołyszając się na piętach. Na nogach miał solidne buty z kozłowej skóry i wpatrywał się w jeńców, gdy na kłęczkach wybierali gołymi rękoma brudy z rynsztoku. Dzieciak patrzył na niego. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, sędzia wyjął cygaro z ust i się uśmiechnął. Albo tak się wydawało. A potem znowu wetknął cygaro między zęby.

Tego samego wieczoru Toadvine zwołał ich, kucnęli przy murze i zaczęli szeptać.

Nazywa się Glanton, oznajmił. Ma umowę z Triasem. Płacą mu sto dolarów od skalpu i tysiąc za głowę Gómeza. Powiedziałem

mu, że jest nas trzech. Panowie, lada chwila wyrwiemy się z tego szamba.

Nie mamy ekwipunku.

Wie o tym. Powiedział, że potrzebuje każdej pary pewnych rąk, więc odliczy to z naszej części łupów. Macie się zachowywać, jakbyście od takiego srajdka zabijali Indian, bo zaręczyłem, że jesteśmy najlepsi.

Trzy dni później wyruszyli gęsiego ulicami razem z gubernatorem i jego świtą, gubernator na jasnosiwym ogierze, zabójcy na małych bitewnych konikach, uśmiechnięci i rozdający ukłony, śliczne ciemnoskóre dziewczęta rzucały im kwiaty z okien, niejedna przesyłała całusa, obok biegli mali chłopcy, starcy wymachiwali kapeluszami, krzycząc hurra!, a pochód zamykali Toadvine, dzieciak i weteran, ten ostatni ze stopami wtulonymi w tapaderas wiszące przy ziemi, bo nogi miał tak długie, a jego koń tak krótkie. Na skraju miasta, obok starego kamiennego akweduktu, podczas prostej ceremonii gubernator dał im swoje błogosławieństwo i wypił za ich zdrowie i powodzenie wyprawy, a potem ruszyli drogą w głąb kraju.

VII

- JACKSON BIAŁY I JACKSON CZARNY
- SPOTKANIE NA PRZEDMIEŚCIACH
- KOLTY WHITNEYVILLE • PRÓBA SIŁ
- SĘDZIA ROZSĄDZA DYSPUTĘ • DELAWAROWIE
- VANDIEMENLANDER • HACJENDA
- MIASTECZKO CORRALITOS
- PASAJEROS DE UN PAIS ANTIGUO • SCENA MASAKRY
- HOKUS POKUS • WRÓŻBY
- BEZ KÓŁ NA CIEMNEJ RZECE • WŚCIEKŁY WIATR
- TERTIUM QUID • MIASTECZKO JANOS
- GLANTON ZDOBYWA SKALP
- JACKSON WKRACZA NA SCENĘ

Do kompanii należało dwóch mężczyzn nazwiskiem Jackson, jeden czarny, drugi biały, obaj o imieniu John. Byli zwaśnieni i gdy tak wszyscy jechali u podnóża nagich gór, biały zrównywał się z tym drugim, żeby skryć się w jego cieniu, i do niego szeptał. Murzyn wstrzymywał albo popędzał konia, chcąc się od niego uwolnić, jakby biały naruszał jego nietykalność albo zbudził jakiś zabobon drzemiący dotąd w jego ciemnej krwi lub ciemnej duszy, wedle którego cień rzucany w słońcu przez jego sylwetkę miał w sobie coś z niego samego i kładąc się na skalistej ziemi, narażał go na niebezpieczeństwo. Biały śmiał się i zawodził, a brzmiało to jak miłosne wyznania. Wszyscy patrzyli, jak to się dalej potoczy, nikt jednak nie próbował pohamować żadnego z nich, a kiedy Glanton patrzył od czasu do czasu na tył kolumny, to tylko żeby się upewnić, że nikogo

nie ubyło, i ruszał dalej.

Rankiem kompania zebrała się na dziedzińcu za domem na przedmieściach. Dwaj ludzie przytaszczyli z wozu drewnianą skrzynię przyslaną z arsenału w Baton Rouge. Pruski Żyd o nazwisku Speyer otworzył ją punktakiem kowalskim i młotem i wyjął płaski pakunek w brązowym papierze rzeźnickim, przetłuszczonym jak pergamin. Glanton rozwinął pakunek i upuścił papier na ziemię. W dłoni trzymał sześciostrzałowego kolta z długą lufą. Była to broń przyboczna ogromnych rozmiarów, przeznaczona dla kawalerzystów, w długim bębenu miała siłę ogniową karabinu, a naładowana ważyła prawie pięć funtów. Stożkowa półuncyjowa kula wystrzelona z takiego rewolweru przebijała sześciocalowe drewno. W skrzyni leżały cztery tuziny koltów. Speyer odwijał kulolejki, prochownice i narzędzia, a sędzia Holden odpakował drugi rewolwer. Mężczyźni skupili się dokoła. Glanton wytarł wylot lufy i komory bębena i wziął prochownicę od Speyera.

Solidna sztuka, rzucił ktoś.

Załadował odprzodowo, wsunął kulę i docisnął ją pobojczykiem dźwigniowym pod lufą. Gdy wszystkie komory były wypełnione, nałożył kapiszony i rozejrzał się. Oprócz handlarzy i kupujących po dziedzińcu wałęsało się kilka zwierząt gospodarskich. Spojrzenie Glantona padło wprawdzie na kota, który właśnie w tej chwili ukazał się na wysokim murze z drugiej strony, cichy jak osiadający ptak. Odwrócił się, aby przemknąć między kawałkami szkła osadzonymi w szczycie muru. Glanton wysunął dłoń z ogromnym rewolwerem i odciągnął kurek. Martwą ciszę rozdarł donośny huk. Kot jakby zniknął. Nie było krwi ani krzyku, po prostu przepadł bez śladu. Speyer zerknął

niepewnie na Meksykanów. Patrzyli na Glantona. Ten znów odciągnął kurek i wycelował. W rogu dziedzińca stało stadko kur, które zastygły nerwowo w trakcie dziobania zakurzonej ziemi, z przekrzywionymi łebkami. Z lufy ryknęło i jeden z ptaków rozpadł się w chmurze piór. Pozostałe zaczęły dreptać w ciszy, wyciągając długie szyje. Glanton wypalił ponownie. Drugi ptak zatoczył się i padł, wierzgając łapkami. Pozostałe pierzchy z piskliwym gdakaniem, a Glanton odwrócił się i zastrzelił małą kozę tulącą się z przerażeniem do muru, która runęła martwa w pył, i trafił w glinianą garrafę, która rozprysła się w grad odłamków i rozbryzgów wody, i znów uniósł rękę, wycelował w dom i obudził dzwon na wieży z błota ponad dachami, a gdy już przebrzmiało echo strzałów, nad pustką zawisł uroczysty ton.

Dziedziniec zasnuły kłęby dymu prochowego. Glanton ustawił kurek w pozycji półnapiętej, okręcił bębenek i znów zwolnił kurek. W drzwiach domu pojawiła się kobieta, ale jeden z Meksykanów coś do niej powiedział i zaraz znikła w środku.

Glanton spojrział na Holdena, a potem na Speyera. Żyd uśmiechnął się nerwowo.

Niewarte toto pięćdziesięciu dolarów.

Speyer miał grobową minę. A ile warte twoje życie?, spytał.

W Teksasie pięćset, ale musiałbyś odliczyć od tego własne dupsko.

Pan Riddle uważa, że to uczciwa cena.

To nie pan Riddle będzie za to bulił.

Przecież wyłożył pieniądze.

Glanton wpatrywał się w rewolwer, obracając go w palcach.

Myślałem, że sprawa dogadana.

Nie dogadana.

To dostawa zakontraktowana na wojnę. Drugich takich nie dostaniesz.

Nic nie jest dogadane, dopóki nie będzie forsy.

Ulicą nadszedł oddział żołnierzy, dziesięciu lub dwunastu, z bronią gotową do strzału.

Qué pasa aquí?

Glanton spojrział na nich obojętnie.

Nada, odparł Speyer. Todo va bien.

Bien? Sierżant zerknął na martwe ptaki i kozę.

Kobieta znów ukazała się w drzwiach.

Está bien, rzekł Holden. Negocios del Gobernador.

Sierżant popatrzył na nich, a potem na kobietę w progu domu.

Somos amigos del Señor Riddle, powiedział Speyer.

Andale, rzucił Glanton. Ty i te twoje jełopiaste czarnuchy.

Sierżant zrobił krok do przodu i przyjął władczą postawę. Glanton splunął. Sędzia wszedł w przestrzeń między nimi, odciągnął sierżanta na bok i zaczął z nim rozmawiać. Sierżant sięgał mu do pachy, sędzia zaś przemawiał przyjaznym tonem, gestykulując z wielką wylewnością. Żołnierze przycupnęli z muszkietami w kurzu i patrzyli beznamiętnie na Holdena.

Żebyś nie dawał skurwielowi żadnej forsy, powiedział Glanton.

Sędzia już prowadził do nich sierżanta, żeby dokonać oficjalnej prezentacji.

Le presento al sargento Aguilar, wykrzyknął, obejmując ramieniem wojskowego obdartusa. Sierżant wyciągnął posepnie dłoń. Zawisła w powietrzu, pochłaniając uwagę wszystkich, którzy tam stali, jak coś domagającego się uprawomocnienia. Speyer zrobił krok do przodu i ją uściśnął.

Mucho gusto.

Igualmente, odparł sierżant.

Sędzia prowadził go teraz od jednego do drugiego, sierżant bardzo oficjalny, Amerykanie mamroczący przekleństwa albo w milczeniu ściskający jego dłoń. Przykucnięci żołnierze obserwowali wszystkie ruchy tej pantomimy z równą obojętnością. Sędzia w końcu stanął przed czarnym Jacksonem.

Gniewna ciemna twarz. Popatrzył na nią uważnie, a potem przyciągnął sierżanta, żeby ten lepiej widział, i rozpoczął mozolną prezentację po hiszpańsku. Przedstawił sierżantowi zawily życiorys stojącego przed nim człowieka, nakreślając zręcznie rękoma koleje losu, które skumulowały się ostatecznie w tej formie istnienia niczym — jak im powiedział — nici splecione w oku pierścienia. Podał im pod rozwagę historię o dzieciach Chama, zaginionym plemieniu Izraela, ustępy z dzieł greckich poetów, antropologiczne tezy o rozmnażaniu się ras w rozproszczeniu i izolacji w następstwie kataklizmów geologicznych oraz oceny cech rasowych z uwzględnieniem wpływów klimatycznych i geograficznych. Sierżant wysłuchał tego wszystkiego

i jeszcze innych racji z wielką uwagą, a kiedy sędzia skończył, zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę.

Jackson go zignorował. Spojrzał na sędziego.

Coś mu powiedział, Holden?

Lepiej go nie obrażaj, człowieku.

Coś mu powiedział?

Twarz sierżanta spochmurniała. Sędzia wziął go za ramiona, nachylił się i szepnął mu coś do ucha, a on skinął głową, cofnął się o krok i zasalutował Murzynowi.

Holden, coś ty mu powiedział?

Że w twoich stronach nie ma zwyczaju podawania rąk.

Wcześniej. Coś mu powiedział wcześniej?

Sędzia się uśmiechnął. Nie zachodzi potrzeba, odparł, aby wszyscy obecni mieli świadomość faktów dotyczących ich własnego przypadku, albowiem niezależnie od ich zdolności rozumienia bądź jej braku historia ostatecznie i tak wchłonie ich czyny. Zgodne z poczuciem słuszności jest wszakże, by fakty te — w tej mierze, w jakiej bez trudu można tego dokonać — znalazły upamiętnienie w naocznym świadectwie osób trzecich. Sierżant Aguilar jest taką właśnie osobą, wszelka ujma zaś dla reprezentowanego przez niego urzędu ma ledwie drugorzędne znaczenie w porównaniu z zawilóściami protokołu wyższej rangi, nakazanego nieodwołalnym wyrokiem absolutnego przeznaczenia. Słowa to rzeczy. Nie można zatem odebrać mu słów, których jest posiadaczem. Autorytet tych słów wykracza poza jego nieznamość ich sensu.

Murzyn się pocił. Ciemna żyła pulsowała w jego skroni jak lont. Kompania słuchała sędziego w milczeniu. Paru się uśmiechnęło. Skretyniały zabójca z Missouri zarżał cicho jak astmatyk. Sędzia znów odwrócił się do sierżanta i zaczął z nim rozmawiać, potem obaj podeszli do skrzyni na dziedzińcu i sędzia zaprezentował mu jeden z rewolwerów, z wielką cierpliwością objaśniając zasady jego działania. Żołnierze podnieśli się i stali wyczekująco. W bramie sędzia odliczył parę monet dla sierżanta i oficjalnie uścisnął dłoń wszystkim jego obdarym podkomendnym, komplementując ich wojskową prezentację, po czym oddział pomaszerował ulicą.

W południe tego samego dnia łowcy przygód wyjechali z miasta, każdy uzbrojony w dwa rewolwery, i jak już mówiono, ruszyli w głąb kraju.

* * *

Czujki wróciły pod wieczór i wtedy po raz pierwszy tego dnia wszyscy zsiadli z koni i odprowadzili je do płytkiej niecki, w której Glanton naradzał się ze zwiadowcami. A potem jechali aż do zmroku, po czym rozłożyli się obozem. Toadvine, weteran i dzieciak przykucnęli nieopodal ognisk. Nie wiedzieli, że wcielono ich do kompanii na miejsce trzech mężczyzn poległych na pustyni. Patrzyli na grupkę Delawarów, którzy też trzymali się z boku, przycupnąwszy na piętach: jeden tłukł kamieniem fasolę zawiniętą w skórę, pozostali wpatrywali się w ogień oczami czarnymi jak wyloty luf. W nocy dzieciak

zobaczył, że jeden z nich szpera dłonią w czystych popiołach, szukając węgielka do zapalenia fajki.

Wstali przed brzaskiem i gdy tylko zrobiło się jasno na tyle, że było cokolwiek widać, osiedłali wierzchowce i zebrałi się do drogi. O świcie poszarpane góry miały kolor czystego błękitu, wszędzie wokół świergotały ptaki, a słońce, gdy już weszło, przydybało księżyc na zachodzie, aż oba zastygły naprzeciw siebie nad ziemią, słońce rozżarzone do białości, księżyc jego bladą repliką, jak wyloty tego samego tunelu, poza którymi płoną światy wymykające się wszelkim rachubom. Gdy przy cichym szczęku broni i pobrzękiwaniu wędzideł jeźdźcy wyłoniłi się gęsiego spośród drzew mesquite i ognika szkarłatnego, słońce wspięło się wyżej, księżyc zaszedł, a z koni i mokrych od rosy mułów, tak samo jak z ich cieni, zaczęła unosić się para.

Toadvine spiknął się z uciekinierem z Ziemi van Diemena, niejakim Bathcatem, który przybył na zachód jako zbieg. Z urodzenia był Walijszczykiem, u prawej dłoni miał tylko trzy palce i brakowało mu zębów. Być może w Toadvinie dostrzegł bratnią duszę uciekiniera — pozbawionego uszu i napiętnowanego żelazem przestępcę, który w życiu dokonywał podobnych wyborów jak on — bo zaproponował mu zakład o to, który z Jacksonów zabije którego.

Nie znam tych dwóch, odparł Toadvine.

Ale jak ci się widzi?

Splunął cicho w bok i spojrzął na Bathcata. Nie mam ochoty na zakłady.

Nie lubisz hazardu?

Zależy od hazardu.

Smoluch załatwi tamtego. Ile stawiasz?

Toadvine patrzył na Bathcata. Naszyjnik z ludzkich uszu, który nosił, wyglądał jak warkocz czarnych suszonych fig. Mężczyzna był wielki, grubo ciosany, z jedną powieką opadającą na oko, w miejscu gdzie nóż przeciął nerwy, i wyekwipowany w rzeczy różnego autoramentu, kunsztowne przemieszane z tandetą. Na nogach miał solidne buty i nosił piękny karabin z okuciami z niemieckiego srebra, ale broń była wciśnięta w oderwaną cholewę buta, koszula podarta, a kapelusz cuchnął.

Jeszcze nie polował na tubylców, powiedział Bathcat.

Kto tak mówi?

Wiem.

Toadvine milczał.

Zobaczysz, jakie żwawe z nich ludki.

Podobno.

Vandiemenlander się uśmiechnął. Wiele się zmieniło, powiedział. Jak pierwszy raz się znalazłem w tym kraju, to dzicy z San Saba ledwo co widzieli białego. Przyjeżdżali do naszych obozowisk, dzieliliśmy się z nimi żarciem, a oni nie mogli oczu oderwać od naszych noży. Drugiego dnia przyjechali z całym tabunem koni, żeby z nami handlować. Nie wiedzieliśmy, czego chcą. Mieli własne noże, takie jakie mieli. Ale widzisz, chodziło o to, że nigdy wcześniej nie widzieli pokrojonych kości w żarciu.

Toadvine zerknął na czoło mężczyzny, ale kapelusz opadał mu prawie na oczy. Vandiemerlander uśmiechnął się i przesunął lekko kapelusz kciukiem do góry. Otok odcisnął się na czole jak blizna, jednak innych piętn nie było. Tylko na wewnętrznej stronie przedramienia miał wytatuowany numer, który Toadvine widział u niego w łaźni w Chihuahua, a potem znów zobaczy, gdy będzie odcinał jego tułów z przekłutymi piętami z gałęzi drzewa na odludziu Primeria Alta jesienią tego samego roku.

Przedzierali się wśród opuncji i miękolczy, karlim lasem ciernistych roślin, przez kamienny rozstępn w górach i dalej w dół, między kwitnącą bylicą i aloesem. Przecięli szeroką równinę porośniętą pustynną trawą usianą juką. Na stokach piętrzyły się szare kamienne ściany ciągnące się wzdłuż grani aż po step, gdzie leżały w postaci rozkruszonych zwalów. Nie odpoczęli w południe, nie odbyli sjesty. Bawełniane oko księżycy rozsiało się w biały dzień w gardzieli pośród gór na wschodzie, a oni wciąż jechali, gdy wyprzedziło ich na swym północnym południku, rysując na równinie poniżej niebieską kameę przedstawiającą strasznych pielgrzymów, którzy przy szczęku ekwipunku sunęli na północ.

Noc spędzili w zagrodzie przy hacjendzie, gdzie przez cały czas doglądali ognisk płonących na tarasach i dachach. Dwa tygodnie wcześniej została tutaj wymordowana własnymi motykami, a potem częściowo pożarta przez świnie gromada campesinos, Apacze zaś, którzy tego dokonali, spędzili cały inwentarz zdolny do wędrówki i znikli między wzgórzami.

Glanton kazał zarznąć kozę w zagrodzie, konie płoszyły się i dygotały na ten widok, a mężczyźni przykucnęli w migoczącym blasku ognisk, upiekli mięso, zjedli je, nadziewając na noże, wytarli palce we włosy i zwinęli się do snu na klepisku.

O zmierzchu trzeciego dnia wjechali do miasteczka Corralitos, konie szurały kopytami w spiekłym popiele, a słońce przeświecało na czerwono przez dym. Na tle popielatego nieba ciągnęły się rzędem kominy, w mroku schodzącym ze wzgórz jarzyły się koliste ognie w ceramicznych piecach. Za dnia padało i rozświetlone okna małych domków z gliny odbijały się teraz w kałużach na zalanej drodze, z której podniosły się ociekające wodą duże wieprze, jęczące na widok nadjeżdżających koni jak durne demony wygnane z bagien. Domy miały otwory strzelnicze i szańce, a powietrze przesyciły opary arszeniku. Ludzie wyszli na ulice, żeby zobaczyć Teksańczyków, jak ich nazywano, i stanęli uroczyście wzdłuż trasy ich przejazdu, z lękiem, z zadziwieniem zauważając najmniejszy gest.

Rozłożyli się obozem na rynku, osmolili pnie topól ogniskami i spłoszyli śpiące ptaki, a płomienie rozświetlały udreżone miasto aż po jego najciemniejsze zakamarki, przyciągając nawet ślepców, którzy dreptali z rękami wyciągniętymi przed siebie ku złudzeniu dnia. Glanton i sędzia w asyście braci Brown pojechali do hacjendy generała Zuloagi, gdzie przywitano ich kolacją. Noc minęła bez incydentu.

Rano, gdy osiodłali konie i zebrali się na placu, gotowi do drogi, podeszła do nich rodzina wędrownych kuglarzy

poszukująca eskorty, żeby bezpiecznie dotrzeć do miasteczka Janos. Glanton popatrzył na nich z czoła kolumny. Mężczyzna, jego żona, dorosły chłopak i dziewczyna, z dobytkiem upchanym w wiklinowych koszach przywiązanych do grzbietów trzech osłów. Mieli na sobie cyrkowe kostiumy z wyhaftowanymi gwiazdami i półksiężycami, ale barwne kiedyś stroje były teraz wypłowiałe i pobieliałe od kurzu z drogi i wszyscy razem wyglądali jak grupka zwykłych włóczęgów zabłąkanych na tej niegodziwej ziemi. Starszy mężczyzna zrobił krok do przodu i wziął konia Glantona za uzdę.

Zabieraj łapska, powiedział Glanton.

Mężczyzna nie mówił po angielsku, ale spełnił polecenie. Zaczął wyluszczać swoją sprawę. Gestykulował, wskazywał na rodzinę. Glanton patrzył na niego, ale kto wie, czy w ogóle słuchał. Obrócił się i zerknął na chłopca, potem na kobietę i dziewczynę, wreszcie znów spojrzął na mężczyznę.

Coście za jedni?, spytał.

Tamten nastawił ku niemu ucha i patrzył z rozdziawionymi ustami.

Pytam, coście za jedni? Komedianci?

Zerknął ponownie na swoją rodzinę.

Komedianci, stwierdził Glanton. Bufones.

Mężczyzna się rozpogodził. Si, odparł. Sí, bufones. Odwrócił się do chłopca. Casimero! Los perros!

Chłopiec podbiegł do jednego z osłów i zaczął szperać wśród tobołków. Wyjął parkę łysych zwierzątek z nietoperzymi uszami,

niewiele większych od szcurów, o jasnobrązowym umaszczeniu, podrzucił je do góry i złapał w dłonie, a wtedy zaczęły kręcić bezmyślne piruety.

Mire, mire!, wołał mężczyzna. Pogmerał w kieszeniach i chwilę później już żonglował przed koniem Glantona czterema drewnianymi kulami. Wierzchowiec prychnął i podniósł łeb, Glanton zaś nachylił się z siodła, splunął i otarł usta wierzchem dłoni.

Co za pokraczne gówno, powiedział.

Mężczyzna żonglował, wołając przez ramię do żony i córki, psy płasły, obie kobiety szykowały się do występu, gdy nagle Glanton rzekł:

Daruj sobie te gówniane popisy. Chcecie z nami jechać, to szorujcie na koniec. Nic nie obiecuję. Vamonos.

Ruszył. Kompania pociągnęła za nim ze szczękiem ekwipunku, a żongler rzucił się biegiem, popędzając kobiety do osłów, chłopiec zaś zastygł z szeroko otwartymi oczami, trzymając psy pod pachą, aż wreszcie ojciec do niego zagadał. Przejechali wśród plugastwa, obok wielkich hałd żużla i odpadów. Mieszkańcy patrzyli na ich odjazd. Niektórzy mężczyźni trzymali się za ręce jak kochankowie, a małe dziecko prowadziło na sznurku ślepeca do lepszego punktu obserwacyjnego.

* * *

W południe przekroczyli kamieniste koryto rzeki Casas Grandes i ruszyli terasą wzdłuż nędznego strumyka, obok zakątka pełnego kości, gdzie przed paroma laty meksykańscy żołnierze dokonali rzezi obozujących Apaczów, mężczyzn,

kobiet i dzieci, kości i czaszki rozsypane po terasie na długości pół mili, małe kończyny i bezzębne papierowe czaszki niemowląt jak ossatura małpek w miejscu zadanej śmierci, resztki zbutwiałych koszyków i kawałki rozbitych garnków pośród żwiru. Jechali dalej. Rzeczka płynęła w soczystozielonym korytarzu drzew, ciągnącym się od nagich gór. Na zachodzie widać było postrzępiony Carcaj, a na północy wierzchołki Animas, niewyraźne i niebieskie.

Tego wieczora biwakowali na smaganym wiatrem płaskowyzu pośród sosen jednoigielnych i jałowca, w mroku ognie kłaniały się z wiatrem, a w zaroślach mknęły łańcuchy gorących iskier. Kuglarze rozładowali osły i zaczęli rozstawiać duży szary namiot. Płótno pomazane tajemnymi znakami łopotąło, wzdymało się, rosło i owijało wokół nich. Dziewczyna położyła się na ziemi, trzymając je za jeden róg. Zaczęła się ślizgać po piasku. Żongler stawiał małe kroki. Kobieta miała zacięte spojrzenie w blasku ognia. Na oczach kompanii cała czwórka, uczepona furczącego płótna, została porwana w mrok, poza zasięg światła, wprost na smaganą wiatrem pustynię, niczym suplikanci u rąbka szaty jakiejś dzikiej i gniewnej bogini.

Wartownicy zobaczyli, jak namiot odfruwa z furią w noc. Kuglarze wrócili, kłócąc się między sobą, a mężczyzna znów poszedł na skraj poświaty i spojrzał we wściekłą czerń, przemówił do niej, wygrażał pięścią i zrezygnował dopiero wtedy, gdy kobieta wysłała po niego chłopca. Usiadł, wpatrując się w

plómiemie, rodzina zaś się rozpakowywała. Patrzyli na niego niepewnie. Glanton te¿ na niego patrzył.

Pajac, powiedział.

Żongler podniósł wzrok. Wskazał siebie palcem.

Tak, ty.

Wstał i przydreptał do Glantona. Ten palił cienkie czarne cygaro. Spojrzał na żonglera.

Przepowiadasz przyszłość?

Mężczyzna miał rozbiegane oczy. Cómo?, spytał.

Glanton włożył cygaro do ust i zaczął naśladować dłońmi rozdawanie kart. La baraja, rzekł. Para adivinar la suerte.

Żongler zamachał jedną ręką. Sí, sí, odparł, kiwając gwałtownie głową. Todo, todo. Wyprostował jeden palec, a potem odwrócił się i ruszył do skarbnicy tandety zdjętej częściowo z osłów. Gdy wrócił, uśmiechał się grzecznie i zręcznie tasował karty.

Venga, zawołał. Venga.

Kobieta ruszyła za nim. Żongler przykucnął przed Glantonom i odezwał się do niego niskim głosem. Obrócił się i spojrział na kobietę, przecesał palcem karty, podniósł się, wziął ją za rękę, odprowadził po trawie daleko od ognia i posadził na ziemi twarzą w stronę ciemności. Zebrała fałdy spódnicy i się usadowiła, a on wyjął z koszuli chustkę i zawiązał jej oczy.

Bueno, zawołał. Puedes ver?

No.

Nada?

Nada, odparła kobieta.

Bueno, stwierdził żongler.

Odwrócił się z talią kart i podszedł do Glantona. Kobieta siedziała jak głaz. Glanton odgonił go machnięciem ręki.

Los caballeros, powiedział.

Żongler się odwrócił. Przy ogniu siedział w kucki Murzyn i patrzył, a kiedy żongler rozłożył karty w wachlarz, wstał i podszedł.

Żongler spojrział na niego. Złożył karty, a potem znów rozpostarł całą talię i przesunął nad nią lewą dłonią, wreszcie wyciągnął karty do Jacksona, który wziął jedną i spojrział na nią.

Bueno, powiedział żongler. Bueno. Palcem przyłożonym do cienkich ust nakazał wszystkim ciszę, odebrał kartę i trzymając ją wysoko, odwrócił się. Karta zatrzepotała z trzaskiem. Spojrział na kompanię siedzącą przy ogniu. Palili i patrzyli na niego. Ręką z kartą powoli zakreślił koło. Widniał na niej głupiec w stroju arlekina i kot. El tonto, krzyknął.

El tonto, powtórzyła kobieta. Uniosła lekko podbródek i zaczęła śpiewnie zawodzić. Czarny kwerent stał bez ruchu jak oskarżony. Powiódł wzrokiem po twarzach towarzyszy. Sędzia siedział przy ognisku, zwrócony przodem do wiatru, nagi do pasa, wyglądając jak wielkie blade bóstwo, i uśmiechnął się, kiedy spojrzenie murzyńskich oczu padło na niego. Kobieta zastygła. Wiatr rozdmuchiwał ogień.

Quién, quién, krzyczał żongler.

Zesztywniała. El negro, odrzekła.

El negro, zawołał żongler, odwracając się z kartą. Jego ubranie zaszeleściło na wietrze. Kobieta znów odezwała się

podniesionym głosem, a Murzyn spojrział na swoich towarzyszy.

Co ona mówi?

Żongler wykonywał ukłony przed kompanią.

Co ona mówi? Tobin.

Były duchowny pokręcił głową. Bałwochwalstwo, Smoluch, bałwochwalstwo. Nie zwracaj uwagi.

Sędzio, co ona mówi?

Sędzia się uśmiechnął. Kciukiem wyganiał małe formy życia z fałdów swojej bezwłosej skóry i teraz podniósł rękę, ściskając kciuk i palec wskazujący, jakby udzielał błogosławieństwa, ale tak naprawdę rzucił coś niewidzialnego w płomień ogniska.

Co ona mówi?

Tak, co ona mówi.

Chyba chce powiedzieć, że w twoim losie kryje się los nas wszystkich.

A co to za los?

Sędzia uśmiechnął się dobrotliwie, a jego plisowane czoło przywodziło na myśl delfina. Popijasz, Jackie?

Nie więcej niż niektórzy.

Wydaje mi się, że kazała ci się strzec demona rumu. Całkiem rozsądna rada, nie sądzisz?

I to ma być wróżba?

Otóż to. Ksiądz słusznie gada.

Murzyn zmarszczył brwi, a sędzia nachylił się, by go lepiej widzieć. Przyjacielu, nie chmurz nade mną swego hebanowego oblicza. W końcu wszystko zostanie ci wyjawione. Tak samo tobie jak każdemu.

Wydawało się, że niektórzy awanturnicy ważą w myśli słowa sędziego, inni odwrócili się, by spojrzeć na Murzyna. Stał tam,

speszony beneficjent, i wreszcie wycofał się w mrok, a żongler podniósł się i poruszył ręką, rozkładając karty w wachlarz, potem zaczął iść po okręgu, obok obutych stóp, wyciągając dłoń z kartami, jakby każdy z mężczyzn miał znaleźć w nich własną przyszłość.

Quién, quién, szeptał.

Wszyscy okazywali niechęć. Gdy stanął przed sędzią, siedzącym z jedną dłonią rozczapierzoną na brzuchu, ten wskazał wyprostowanym palcem.

O, tamten młody Blasarius, powiedział.

Cómo?

El joven.

El joven, szepnął żongler. Rozejrzał się powoli z tajemniczą miną, aż odszukał spojrzeniem tego, o którym była mowa. Ruszył obok awanturników, przyśpieszając kroku. Stanął przed dzieciakiem, przykucnął z kartami i rozłożył talię powolnym rytmicznym ruchem, podobnym do ruchów niektórych ptaków w okresie godowym.

Una carta, una carta, zacharzał.

Dzieciak spojrział na żonglera, potem na swoich towarzyszy.

Sí, sí, nalegał żongler, podsuwając talię.

Wziął jedną. Nie widział wcześniej takich kart, a jednak ta, którą wybrał, wydała mu się znajoma. Obrócił ją do góry nogami, popatrzył i znów obrócił.

Żongler ujął dłoń dzieciaka i przekręcił kartę, żeby zobaczyć. A potem wziął ją i podniósł do góry.

Cuatro de copas, zawołał.

Kobieta wyciągnęła szyję. Wyglądała jak kukła z zawiązanymi oczami, ożywiona pociągnięciem sznurka.

Cuatro de copas, powtórzyła. Poruszyła ramionami. Wiatr wciskał się jej w ubranie i włosy.

Quien, zawołał żongler.

El hombre.... odparła. El hombre más joven. El muchacho.

El muchacho, krzyknął żongler. Obrócił kartę, żeby wszyscy mogli ją zobaczyć. Kobieta siedziała jak owa ślepa wyrocznia między Boazem a Jachinem, uwidoczniła na jedynej karcie z talii żonglera, która nie ukaże się ich oczom, prawdziwe kolumny i prawdziwa karta, fałszywa prorokini ich wszystkich. Zaczęła zawodzić.

Sędzia śmiał się bezgłośnie. Pochylił się lekko, żeby lepiej widzieć dzieciaka. Ten spojrzał na Tobina i na Davida Browna, a potem popatrzył na samego Glantona, ale wszyscy mieli poważne miny. Klęczący z przodu żongler wpatrywał się w niego z dziwnym napięciem. Podążając za wzrokiem dzieciaka, spojrzał na sędziego Holdena. Gdy dzieciak na niego popatrzył, żongler uśmiechnął się krzywo.

Precz ode mnie.

Żongler nastawił ucha. Uniwersalny gest, zastępujący pytanie w każdej mowie. Ucho było ciemne i zdeformowane, jakby wysuwanie go w ten sposób do przodu narażało je na niejednego cios albo jakby zmarniało od samych słów, które ludzie mieli kuglarzowi do przekazania. Dzieciak znów się do niego odezwał, ale mężczyzna o nazwisku Tate, z Kentucky, który walczył w Randżerach McCullocha, podobnie jak Tobin i inni z

kompanii, nachylił się i szepnął coś do obdartego wróżbity, a ten podniósł się, uklonił lekko i odszedł. Kobieta przestała zawodzić. Żongler stał, łopocząc łachmanami na wietrze, a z ognia wystrzelił po trawie długi gorący szlak. Quien, quien, wołał.

El jefe, odparł sędzia.

Żongler odszukał spojrzeniem Glantona. Ten siedział bez ruchu. Żongler zerknął na żonę, która z twarzą zwróconą w mrok kiwała się lekko w oddaleniu, chwytając wiatr w łachmany. Podniósł palec do ust i rozłożył ręce w wyrazie niepewności.

El jefe, syknął sędzia.

Mężczyzna odwrócił się, minął grupkę przy ognisku i stanął przed Glantonem. Kucnął i podsunął karty, rozkładając talię w obu dłoniach. Jeśli cokolwiek mówił, wiatr zagłuszał i unosił jego słowa. Glanton się uśmiechnął, mrużąc oczy w obronie przed fruującymi ziarnkami piasku. Wyciągnął rękę i zastygł, spozjrzał na żonglera. A potem wziął kartę.

Żongler złożył talię i wetknął ją pod ubranie. Sięgnął po kartę Glantona. Być może jej dotknął, być może nie. Karta znikła. Najpierw była w ręku Glantona, a potem już jej nie było. Żongler podążył za nią spojrzeniem w mrok. Być może Glanton zobaczył spód karty. Co mogła dla niego oznaczać? Żongler wyciągnął rękę ku nagłemu zgiełkowi poza poświęcą ogniska, ale stracił równowagę i upadł do przodu wprost na Glantona, łącząc się na moment z przywódcą awanturników w dziwnej pozie, jakby z głową przy jego wychudłej piersi niósł mu pocieszenie objęciami swych starych rąk.

Glanton zaklął i odepchnął zonglera, a w tym samym momencie kobieta zaczęła zawodzić.

Wstał.

Wysunęła szczękę, bełkocząc do nocy.

Każ się jej zamknąć, powiedział Glanton.

La carozza, la carozza, dobiegało spośród tumultu. Invertido. Carta de guerra, de venganza. La vi sin ruedas sobre un rio obscuro...

Glanton krzyknął na nią i zamilkła, jakby go usłyszała, ale tak nie było. Wydawało się, że w swojej przepowiedni dostrzegła nowy trop.

Perdida, perdida. La carta está perdida en la noche.

Dziewczyna, stojąca przez cały czas na skraju wyjącej ciemności, przeżegnała się w milczeniu. Stary malabarista klęczał tam, gdzie został odepchnięty. Perdida, perdida, szeptał.

Un maleficio, wołała kobieta. Qué viento tan maleante...

Na miłość boską, zamknijcie mordy, krzyknął Glanton, wyciągając rewolwer.

Carozza de muertos, llena de huesos. El joven qué...

Niby wielki ocieżyły dżin sędzia przeszedł przez ogień, wylaniając się z płomieni, jakby zamieszkiwał ich żywioł. Objął ramieniem Glantona. Ktoś zerwał kobiecie chustkę z oczu i przepędzono ją razem z zonglerem kuksańcami, a gdy kompania położyła się spać i mały ogień huczał w podmuchach wiatru jak żywa istota, tych czworo nadal siedziało w kucki na skraju poświaty, wśród swego dziwnego dobytku, i patrzyło, jak poszarpane płomienie mkną z wiatrem, jakby tam w pustce

zasysał je wir, kipiela jakaś na tym bezludziu, wobec której wędrówka człowieka i jego rachuby tracą wszelkie znaczenie. Jakby poza wolą i losem człowiek ze swymi zwierzętami i ekwipunkiem zmierzał zarówno w kartach, jak i rzeczywistości do innego, trzeciego przeznaczenia.

Rankiem, gdy wyruszali, nastał blady dzień z niewidocznym wciąż słońcem, wiatr osłabł i nocne sprawy znikły. Żongler pojechał swego osła na przód kolumny, zrównał się z Glantonem i truchtał obok niego, i tak właśnie jechali, gdy po południu kompania dotarła do miasteczka Janos.

* * *

Starodawne obwarowane presidio zbudowane w całości z błota, wysoki kościół z błota i takie same wieże strażnicze, a wszystko splukane deszczem i skluszczone, rozpadające się w papkowatą ruinę. Przybycie jeźdźców obwieściły parchate kundle, które ujadły żałośnie, przemykając wśród wałających się murów.

Minęli kościół, gdzie pomiędzy niskimi dolmenami z błota wisiały na słupie stare hiszpańskie dzwony, morskozielone od upływającego czasu. Z nor wyglądały ciemnookie dzieci. W powietrzu wisiał dym z palenisk, w drzwiach siedziało w milczeniu kilku starych pelados, wiele domów było zapadniętych i zniszczonych, używanych jako zagrody dla bydła. Wyskoczył ku nim starzec o rozmodlonych oczach, wyciągając przed siebie rękę. Una corta caridad, zaskrzeczał do przejeżdżających koni. Por Dios.

Na placu przycupnęli w kurzu dwaj Delawarowie i zwiadowca Webster w towarzystwie starej ogorzałej kobiety o skórze koloru glinianej fajki. Wysuszona babina, półnaga, z cyckami jak dwie pomarszczone oberżyny, wystającymi spod chusty. Patrzyła w ziemię i nie podniosła wzroku nawet wtedy, gdy wokół zatrzymały się konie.

Glanton rozejrzał się po placu. Miasteczko wydawało się opustoszałe. Stacjonował w nim mały garnizon żołnierzy, którzy jednak się nie pokazali. Po ulicach pędziły tumany kurzu. Koń wyciągnął szyję i zaczął wachać staruchę, po czym szarpnął łbem i zadrżał, a Glanton poklepał go po boku i zsiadł.

Znaleźliśmy ją w obozowisku oprawiaczy, tak z osiem mil w górę rzeki, powiedział Webster. Nie może chodzić.

Ilu ich było?

Wygląda, że może piętnastu, dwudziestu. Nie mieli tam nic, nawet za centa. Nie wiem, co tam robiła.

Glanton przeszedł przed swoim koniem, przekładając wodze za plecami.

Uważaj na nią, kapitanie. Gryzie.

Podniosła wzrok na wysokość jego kolan. Glanton odpechnął konia, wyjął z olstra ciężki rewolwer i odciągnął kurek.

Uważajcie.

Paru mężczyzn się cofnęło.

Kobieta podniosła wzrok. Ani odwagi, ani zwątpienia w tych starych oczach. Glanton wyciągnął lewą rękę, a ona się obróciła, żeby spojrzeć we wskazaną stronę, i wtedy przystawił jej

rewolwer do głowy i wypalił.

Huk wypełnił cały smutny plac. Kilka koni się spłoszyło. Z drugiej skroni bluznęło przez dziurę wielkości pięści i kobieta padła martwa, i leżała zgładzona w kałuży własnej krwi, nieodwołalnie. Glanton już ustawił kurek w pozycji półnapiętej, kciukiem wyrzucił zużytą spłonkę i szykował się do ponownego naładowania bębenka. McGill, powiedział.

Meksykanin, jedyny przedstawiciel swego narodu w tej kompanii, wystąpił do przodu.

Bierz fanty.

McGill wyjął zza pasa nóż do oprawiania mięsa i podszedł do leżącej kobiety, chwycił ją za włosy, okręcił je sobie wokół nadgarstka, przeciągnął ostrzem noża dokoła głowy i oderwał skalp.

Glanton spojrział na mężczyzn. Niektórzy patrzyli na kobietę, inni doglądali koni albo ekwipunku. Tylko rekruci patrzyli na Glantona. Włożył kulę do komory bębenka, a potem podniósł wzrok i spojrział na drugą stronę placu. Żongler i jego rodzina stali w szeregu jak przywołani świadkowie, a dalej, w długiej fasadzie z błota, twarze, które obserwowały ich z drzwi i nagich okien, znikwały teraz niczym stręcane ze sceny marionetki, spłoszone jego powoli przesuającym się spojrzeniem. Załadował kulę, założył kapiszon i zakręcił bębenkiem, wsunął ciężki rewolwer z powrotem do olstra przy siodle, wziął od McGilla ociekające krwią trofeum i podniósł je ku słońcu jak myśliwy oceniający skórkę upolowanego zwierzęcia, po czym

oddał skalp, chwycił wiszące wodze i poprowadził konia z placu w stronę brodu, żeby go napić.

Obóz rozbili w zagajniku topól po drugiej stronie strumienia, tuż za murami miasteczka, i z zapadnięciem zmroku zaczęli się włóczyć małymi grupkami po zadymionych ulicach. Kuglarze rozpięli niewielki namiot na zakurzonym placu, a dokoła postawili słupki z kagankami płonącego oleju. Żongler walił w niby-werbel zrobiony z blachy i niewyprawionej skóry i wykrzykiwał wysokim nosowym głosem repertuar oferowanych rozrywek, a kobieta wołała piskliwie: Pase, pase, pase, szerokimi gestami rąk obwieszczając wielkie widowisko. Wśród kręcących się wokół mieszkańców stali Toadvine i dzieciak. Bathcat nachylił się do nich.

Patrzajcie tam, chłopaki, powiedział.

Odwrócili się, żeby spojrzeć we wskazaną stronę. W namiocie stał czarny Jackson, obnażony do pasa, a gdy żongler się obrócił, wykonując zamaszty ruch ręką, dziewczyna pchnęła go i wtedy wyskoczył z namiotu, i zaczął się przechadzać, przybierając dziwne pozy w migotliwym blasku pochodni.

VIII

- KOLEJNA CANTINA, KOLEJNY DORADCA
- GRA W KARTY • PCHNIĘTY NOŻEM
 - W NAJCIEMNIEJSZYM ZAKĄTKU TAWERNY
NAJWIĘCEJ SIĘ DZIEJE • SERENO
 - NA PÓLNOC • OBOZOWISKO OPRAWIACZY
 - SZCZURODZIAD • POD SZCZYTAMI ANIMAS
 - KONFRONTACJA I ZABÓJSTWO
 - KOLEJNY ANACHORETA, KOLEJNY ŚWIT

Stanęli przed cantina, zliczyli pieniądze, a Toadvine odgar-
nął wysuszoną skórę służącą za drzwi i weszli do środka, gdzie
wszystko było spowite mrokiem i bezkształtne. Z krokwi u sufi-
tu zwisała pojedyncza lampa, w ciemności siedziały czarne syl-
wetki palące cygara. Podeszli do kontuaru wyłożonego glinia-
nymi kafelkami. W pomieszczeniu cuchnęło dymem z drewna i
potem. Przed nimi pojawił się mały chudzielec, który oparł
ceremonialnie ręce na blacie.

Dígame, powiedział.

Toadvine zdjął kapelusz, położył go na kontuarze i przecią-
gnął rozczapierzoną dłonią po włosach.

Dawaj coś takiego, żeby było najmniejsze ryzyko ślepoty i
śmierci.

Cómo?

Wskazał kciukiem swoje gardło. Co masz do picia?, spytał.

Barman obrócił się i popatrzył na trunki. Wydawało się, że
nie jest pewien, czy cokolwiek odpowiada ich wymaganiom.

Meskal?

Pasuje nam?

Serwuj, powiedział Bathcat.

Barman nalał z glinianego dzbana porcje do trzech pogiętych blaszanych kubków i przesunął je ostrożnie po blacie jak warcaby po planszy.

Cuánto?, spytał Toadvine.

Tamten miał przestraszoną minę. Seis?

Seis czego?

Mężczyzna pokazał sześć palców.

Centavos, powiedział Bathcat.

Toadvine odliczył miedziaki na barze, opróżnił swój kubek i znów zapłacił. Kiwnął palcem, wskazując wszystkie trzy kubki. Dzieciak wziął swój, wypił do dna i odstawił. Trunek miał zjełczały, kwaśny smak, zalatywał lekko kreozotem. Dzieciak stał tak samo jak pozostali, odwrócony plecami do baru, i rozglądał się po sali. W kącie po drugiej stronie mężczyźni grali w karty przy blasku pojedynczej lojowej świecy. Pod ścianą naprzeciwko siedziały w kucki postaci, którym światło było obce. Przyglądały się Amerykanom beznamiętnie.

Możecie sobie zagrać, powiedział Toadvine. W cztery karty po ciemku z bandą czarnuchów. Podniósł kubek, wysuszył go, odstawił na bar i policzył pozostałe monety. Z półmroku przydreptał do nich mężczyzna. Pod pachą trzymał butelkę. Postawił ją ostrożnie na kontuarze razem ze swoim kubkiem i odezwał się do barmana, a ten przyniósł mu dzban z wodą. Mężczyzna obrócił dzban, aż ucho znalazło się po jego prawej stronie, i spojrzał na dzieciaka. Był stary i miał na głowie kapelusz

z płaskim denkiem, jakie rzadko widywało się wtedy w tym kraju, a ubrany był w brudne kalesony z białej bawełny i koszulę. Huaraches, które miał na nogach, wyglądały jak wyschnięte czerniałe ryby przywiązane do podeszew jego stóp.

Jesteście Teksas?, spytał.

Dzieciak spojrzał na Toadvine'a.

Jesteście Teksas. Ja byłem Teksas trzy roki. Podniósł rękę. Palec wskazujący miał obcięty przy pierwszym knykciu, więc być może pokazywał im, co mu się przydarzyło w Teksasie, albo pokazywał na palcach liczbę lat. Opuścił rękę, odwrócił się do kontuaru, nalał sobie wina do kubka, wziął dzban i rozcieńczył wino odrobiną wody. Wypił i odwrócił się do Toadvine'a. Miał cienkie białe bokobrody sięgające podbródka, wytarł je teraz wierzchem dłoni, po czym znów podniósł wzrok.

Jesteście sociedad de guerra. Contra los barbaros.

Toadvine nie miał pojęcia. Wyglądał jak nieokrzesany rycerz otumaniony przez trolla.

Starzec przyłożył wyimaginowany karabin do ramienia i wydał z siebie odgłos strzału. Popatrzył na Amerykanów. Wy zabijać Apacze, no?

Toadvine spojrzał na Bathcata. Czego on chce?, spytał.

Vandiemlander przesunął okaleczoną dłoń po ustach, ale nie okazał sympatii. Stary się urznął, odparł. Albo zwariował.

Toadvine oparł łokcie na kontuarze za plecami. Spojrzał na starca i splunął na podłogę. Świrnięty z siebie czarnuch, co nie?

Z przeciwległej strony sali dobiegł jęk. Jakiś mężczyzna wstał, ruszył wzdłuż ściany i nachylił się, żeby porozmawiać z innymi. Znowu rozległy się jęki, a starzec przesunął dwa razy dłonią po twarzy, pocałował swoje opuszki palców i podniósł wzrok.

Ile pieniądze wam płacą?, spytał.

Milczeli.

Wy zabija Gómez, dużo pieniądze wam płacą, powiedział.

Mężczyzna w mroku pod przeciwległą ścianą znowu zaczął. Madre de Dios, krzyknął.

Gómez, Gómez, powtarzał starzec. Nawet Gómez. Kto może jechać na Tejanos? To żołnierze. Que soldados tan valientes. La sangre de Gómez, sangre de la gente...

Podniósł głowę. Krew, powiedział. Ten kraj dać mnóstwo krew. Ten Meksyk. Pić chce ten kraj. Krew tysięcy Chrystusy. Nic.

Wskazał ręką świat znajdujący się tam, gdzie cała ziemia leżała spowita ciemnością, wszystko wielkim zbrukanym ołtarzem. Odwrócił się, nalał sobie wina, znów rozcieńczył wodą z dzbana, ten wstrzemięźliwy starzec, i wypił.

Dzieciak patrzył na niego. Patrzył, jak pije i ociera usta. Ten się odwrócił i odezwał, ale nie do niego czy Toadvine'a, tylko jakby do całej sali.

Modłę się do Bóg za ten kraj. Mówię wam. Modłę się. Do kościoła nie chodzę. Co mam tam tym kukłom gadać? Tu gadam.

Wskazał swoją pierś. Kiedy odwrócił się do Amerykanów, odezwał się łagodniejszym tonem. Wy wspaniałe caballeros,

powiedział. Wy zabija barbaros. Nie schowają się przed wami. Ale jest inny caballero i przed nim żaden człowiek nie schowa. Byłem żołnierz. To jak sen. Jak nawet kości znika na pustynia, sen mówi do ciebie, nie budzisz się na zawsze.

Wypił do dna, wziął butelkę i odszedł cicho w sandałach w najciemniejszy kąt cantiny. Mężczyzna przy ścianie znowu zaczął, wzywając swojego boga. Vandiemlander i barman zaczęli rozmawiać i ten drugi wskazał ręką mroczny kąt i pokręcił głową, Amerykanie dopili z kubków, Toadvine pchnął parę tlocos do barmana i wyszli.

To był jego syn, powiedział Bathcat.

Który?

Ten chłopak w kącie, ciachnięty nożem.

Był ciachnięty?

Jeden z tych facetów przy stole go ciachnął. Grali w karty i jeden go ciachnął.

Dlaczego nie wyszedł?

Sam go o to spytałem.

I co powiedział?

Odpowiedział pytaniem. Że niby dokąd miał pójść?

Wąskimi uliczkami wśród murów dotarli do bramy i dalej, do obozowych ognisk. Wokół niósł się jakiś głos: Las diez y media, tiempo sereno. To był stróż na obchodzie. Minął ich z latarnią, cichym wołaniem obwieszając godzinę.

* * *

W mroku przed świtem odgłosy rozlegające się dokoła opisują scenę, która nastanie. Pierwsze wrzaski ptaków na drzewach

nad rzeką, szcęk uprzęży, parskanie koni i ich stłumione chrupanie trawy. W zaciemnionym miasteczku budzą się kogu-ty. Powietrze pachnie końmi i popiołem drzewnym. W obozie zaczyna się ruch. Wszędzie w gęstniejącym świetle czekają dzieci z miasteczka. Żaden ze wstających mężczyzn nie wie, od jak dawna siedzą w ciemności i milczeniu.

Gdy mijali plac, martwa squaw już znikła, a ziemię świeżo zagrabiono. Kaganki na słupkach były nagie i poczerniałe, ognisko przed namiotem wygasło. Stara kobieta rąbiąca drewno wyprostowała się i zastygła z siekierą w dłoniach, kiedy przejeżdżali obok.

Przed południem dotarli do splądrowanego obozu Indian. Poczerniałe płaty mięsa wisiały na krzakach i palikach jak dziwne ciemne pranie. Na ziemi rozpięto skóry saren, a na kamieniach leżały porozrzucane białe i rdzawe kości po prymitywnej jatce. Konie stawiały uszy i przyśpieszały kroku. Pojechali dalej. Po południu dogonił ich czarny Jackson, na złachanym, prawie zajeżdżonym wierzchowcu. Glanton odwrócił się w siodle i zmierzył go wzrokiem. Potem dźgnął konia piętami, a Murzyn zrównał się z białymi towarzyszami i jechali dalej, jak przedtem.

Dopiero wieczorem zauważono nieobecność weterana. Sędzia przeszedł przez dym z ognisk i przykucnął przed Toadvine'em i dzieciakiem.

Gdzie się podział Chambers?, spytał.

Chyba zrezygnował.

Zrezygnował?

Tak mi się widzi.

Jechał z wami dzisiaj rano?

Z nami nie.

Wydawało mi się, że ręczysz za swoich ludzi.

Toadvine splunął. Lepiej coby on sam ręczył za siebie.

Kiedy widzieliście go ostatni raz?

Wczoraj wieczorem.

Dziś rano nie?

Dziś rano nie.

Sędzia patrzył na niego.

Cholera, powiedział Toadvine. Myślałem, że widziałeś, że go nie ma. Nie był znowu taki mały, żeby tego nie zauważyć.

Sędzia spojrział na dzieciaka. I znowu na Toadvine'a. A potem podniósł się i wrócił na swoje miejsce.

Rankiem ubył dwóch Delawarów. Ruszyli dalej. W południe zaczęli się wspinać ku rozstępowi w górach. Wyżej i wyżej, wśród lawendy i juki, pod szczytami Animas. Linie jeźdźców przeciął cień orła, który wyłonił się z tych niebotycznych i poszarpanych warowni, a oni podnieśli głowy, żeby zobaczyć ptaka szybującego w tej kruchej, nieskazitelnej błękitnej pustce. Wyłonili się spośród pińón i dębów karłowatych, przekroczyli przełęcz w lesie wysokich sosen i jechali dalej przez góry.

Wieczorem dotarli do mesy, z której widać było całą krainę na północy. Słońce na zachodzie płonęło w akcie zagłady i wzbijała się tam jednostajna kolumna małych pustynnych nietoperzy, a na północy, wzdłuż rozdygotanego krańca ziemi, przez pustkę gnały tumany kurzu niczym dymy wzniecane

przez odległe armie. Góry z pomiętego papieru marszczyły się w wyraźnych fałdach cienia pod rozciągniętym niebieskim zmierzchem, na bliższym planie leżało szkliwione koryto wyschniętego jeziora, drżące jak Mare Imbrium, i w ostatnich chwilach dnia stada saren sunęły na północ, nękanie na równinie przez wilki koloru pustyni.

Glanton osadził konia i długo się przyglądał tej scenie. Tu i ówdzie na mesie skąpe suche zielsko siekało łądogami na wietrze jak wstające podziemne widma kopii i włóczni z dawnych potyczek, nigdy nieupamiętnionych. Całe niebo było w stanie wrzenia i na wieczorną ziemię szybko zstąpiła noc, a wokół fruwały małe szare ptaszki, popłakując cicho za utraconym słońcem. Glanton popędził konia. Zniknął i tak samo zniknęło wszystko inne w burzliwej zagładzie niesionej przez mrok.

Tej nocy, gdy obozowali na równinie pod ospiskiem skalnym, doszło do zabójstwa, które przewidywano. Biały Jackson upił się w Janos i przez dwa dni jechał przez góry posepny i kaprawooki. Siedział teraz zmordowany przy ognisku, zdjąwszy buty, i popijał aguardiente z flaszki w otoczeniu swoich towarzyszy, wyjących wilków i opatrności nocy. Siedział tak, kiedy do ognia podszedł Murzyn, rzucił na ziemię derkę, usiadł na niej i zaczął nabijać fajkę.

W obozie były dwa ogniska, nie obowiązywały jednak żadne wyraźne ani domyślne zasady, kto może przy nich zasiąść. Ale gdy biały spojrział na drugie, zobaczył, że jedzą przy nim kolację Delawarowie, John McGill i nowi jeźdźcy w kompanii, więc

ruchem ręki i bełkotliwym przekleństwem odesłał tam Murzyna.

Tutaj, poza wszelkim ludzkim osądem, każde przymierze było kruche. Murzyn podniósł wzrok znad fajki. Wokół ognia siedzieli mężczyźni — oczy niektórych odbijały światło jak rozżarzone węgle, zagnieżdżone w czaszkach, oczy innych nic nie odbijały, ale źrenice Murzyna przypominały dwa czarne korytarze dla nagiej i nieodczynionej nocy, żeglującej od tego, co już było, ku temu, co miało dopiero nadejść. Każdy może siedzieć, gdzie mu się chce, odparł.

Biały przechylił głowę, z jednym okiem zamkniętym i zwisającą zuchwą. Jego pas z bronią leżał zwinięty na ziemi. Wyciągnął rękę, wyjął rewolwer i odciągnął kurek. Czterej mężczyźni wstali i odeszli.

Chcesz mnie zastrzelić?, spytał Murzyn.

Jak nie zabierzesz stąd swojego czarnego dupska, to zaraz będziesz nieżywy trup.

Murzyn spojrział w stronę Glantona. Ten patrzył na niego. Murzyn włożył fajkę do ust, wstał, wziął derkę i zwinął ją na rękę.

To twoje ostatnie słowo?

Ostatnie jak sąd boży.

Ponownie spojrział ponad płomieniami na Glantona, a potem odszedł w mrok. Biały Jackson zluzował kurek i położył rewolwer przed sobą na ziemi. Dwaj z tamtych czterech wrócili i stanęli niepewnie przy ognisku. Jackson siedział ze skrzyżowanymi nogami. Jedną rękę oparł na udzie, a w drugiej, wyciągniętej na kolanie, trzymał cienkie czarne cigarillo. Najbliżej

niego znajdował się Tobin, który próbował wstać, gdy zobaczył, że z ciemności wyłania się Murzyn z nożem traperskim w obu dłoniach, jakby niósł jakieś rytualne narzędzie. Biały Jackson spojrział pijackim wzrokiem, a czarny zrobił krok do przodu i jednym ciosem ściął mu głowę.

Z kikuta szyi wystrzeliły jak węże z koszyka dwie grube i dwie cienkie strugi ciemnej krwi i zakreśliwszy łuk w powietrzu, zasyczały w płomieniach. Głowa potoczyła się w lewo i zastygła u stóp byłego księdza, patrząc wybałuszonymi oczami. Tobin szarpnął nogą, wstał i się cofnął. Ognisko zakopciło, uniosła się chmura poczerńiałego, szarego dymu, a kolumnowe łuki krwi powoli opadły, aż wreszcie w szyi zabulgotało lekko jak w garnku na kuchni, a potem i to ucichło. Biały Jackson siedział jak przedtem, tylko bez głowy, zalany krwią, z cigarillo w palcach, pochylony ku ciemności i dymiącej grocie w płomieniach, gdzie uszło jego życie.

Glanton wstał. Inni się odsunęli. Nikt się nie odezwał. Kiedy o świcie ruszali dalej, mężczyzna bez głowy wciąż siedział jak zamordowany anachoreta, odziany w popiół i koszulę. Ktoś zabrał jego rewolwer, ale buty stały na swoim miejscu. Kompania ruszyła w drogę. Nie jechała nawet godzinę, gdy na równinie natarli na nią Apacze.

IX

- AMBUSCADO • MARTWY APACZ
• ZAGŁĘBIENIE • GIPSOWE JEZIORO
• TREBILLONES • ŚLEPE KONIE • POWRÓT DELAWARÓW
• SCHEDA • DYLIŻANS WIDMO
• KOPALNIA MIEDZI • SKWATERZY
• KOŃ UKĄSZONY PRZEZ WĘŻA
• SĘDZIA O GEOLOGII • MARTWY CHŁOPIEC
• O PARALAKSIE I FAŁSZYWYCH WSKAZÓWKACH RZECZY
MINIONYCH • CIBOLEROS

Przecinali zachodni kraniec playa, gdy Glanton się zatrzymał. Odwrócił się, położył dłoń na tylnym łuku i spojrzał w stronę porannego słońca, które rozsiało się ponad nagimi i upstrzonymi górami na wschodzie. Playa była gładka, bez żadnych śladów, a góry w otoczeniu swych niebieskich wysp stały bez nóg w pustce jak dryfujące świątynie.

Toadvine i dzieciak osadzili konie i wraz z innymi patrzyli na odludzie. W dali, pośrodku playa, rozstąpiło się zimne morze i pozbawione wody od tysięcy lat marszczyło się srebrzyście na porannym wietrze.

Jakbym słyszał sforę psów, powiedział Toadvine.

Mnie się zdaje, że to gęsi.

Nagle Bathcat i jeden z Delawarów popędzili w bok, trzaskając batami i nawołując, kompania wykonała zwrot, jeźdźcy zakotłowali się i zaczęli formować szereg w korycie jeziora, zwróceniu w stronę wąskiej linii przybrzeżnych zarośli. Zeskakiwali z koni, zarzucali im na nogi gotowe pęta. W chwili gdy wierzchowce zostały związane, a mężczyźni padli na ziemię

z wyciągniętą bronią pod krzewami kreozotowymi, w oddali, w korycie jeziora, ukazali się jeźdźcy — cienka falanga konnych łuczników, drżąca i falująca w narastającym upale. Przecięli słońce, znikając jeden po drugim, a potem znów się wyłonili, czarni na żółtym tle, wyjeżdżając z wyparowanego morza niczym zwęglone widma, końskie nogi wzbijające pióropusze nierzeczywistej piany, i znowu przepadli w słońcu, i przepadli w jeziorze, migocząc i zlewając się w jedno, to razem, to osobno, spotężniali wśród płaszczyzn do wielkości trupich awatarów, zaczęli się stapiać, a powyżej, na rozpękniętym przez świt niebie pojawiła się piekielna podobizna ich szeregów, rozpędzonych, olbrzymich, odwróconych, niewiarygodnie długie końskie nogi tratujące wysokie cienkie chmury i wyjący antywojownicy zwieszani z rumaków, ogromni i złudni, a donośne dzikie wrzaski niosły się po tej płaskiej jałowej niecce jak wołania dusz, które przez rozpruty szew istnienia powpadały do podziemnych światów.

Odbiją w prawo, krzyknął Glanton, i gdy to mówił, tak właśnie zrobili, napinając łuki. Strzały poszybowały w błękit, ze słońcem na lotkach, i nagle, nabrawszy prędkości, przemknęły z cichnącym świstem jak klucz dzikich kaczek. Huknęły pierwsze strzały.

Dzieciak leżał na brzuchu, trzymając oburącz ciężki rewolwer Walkera, strzelał powoli, starannie, jakby to wcześniej robił we śnie. Wojownicy zbliżyli się na odległość stu stóp, czterdziestu ich, może pięćdziesięciu, pokonali brzeg jeziora i zaczęli się kruszyć w zwartych płaszczyznach skwaru, pękać w ciszy i znikać.

Kompania łądowała broń pod krzakami. Jeden z trafionych koni leżał na piasku, oddychając miarowo, inne stały, z dziwaczną cierpliwością nosząc strzały w ciele. Tate i Doc Irving cofnęli się, żeby obejrzeć wierzchowce. Pozostali leżeli na stanowiskach, wpatrzeni w playa.

Toadvine, Glanton i sędzia wyszli z ukrycia. Wzięli ze sobą krótki gwintowany muszkiet, owinięty w niewyprawioną skórę, z kolbą nabijaną miedzianymi ćwiekami tworzącymi różne wzory. Sędzia popatrzył na północ, wzdłuż bladego brzegu wyschniętego jeziora, gdzie umknęli poganie. Podał muszkiet Toadvine'owi i ruszyli dalej.

Zabity leżał w piaszczystym korycie. Ubrany tylko w szerokie meksykańskie kalesony i kamasze. Buty miały spiczaste noski jak trzewiki, podeszwy z surowej skóry i długie cholewy zawinięte i związane pod kolanami. Piasek pociemniał od krwi. Stali w bezwietrznym upale na skraju wyschniętego jeziora i Glanton przewrócił mężczyznę nogą na wznak. Ukazała się pomalowana twarz, gałki oczne oblepione piaskiem, tak samo jak tułów posmarowany zjelczalym łojem. Nad dolnym żebrem widać było dziurę po kuli z karabinu Toadvine'a. Mężczyzna miał czarne długie włosy, zmatowiałe od pyłu. Przemknęło po nich kilka wszy. Policzki pomazane były na biało, nad nosem widniały szewrony, pod oczami i na podbródku postacie namalowane ciemnoczerwoną farbą. Był stary, tuż nad biodrem miał zaleczoną ranę od lancy, na lewym policzku zaś cięcie od szabli sięgające kącika oka. Blizny te na całej długości ozdobiono wytatuowanymi wizerunkami, być może zatartymi z upływem

czasu, bo nie przypominały niczego znanego z pustyni.

Sędzia przyklęknął z nożem, przeciął rzemienie sakwy ze skóry kuguara, którą miał mężczyzna, i wysypał zawartość na piasek. Ukazała się osłona na oczy ze skrzydła kruka, różaniec z pestek, kilka krzesiw do strzelby i garść ołowianych kul. Był też kamień nerkowy albo talizman z wnętrzości jakiegoś zwierzęcia. Sędzia obejrzał go i schował do kieszeni. Pozostałe przedmioty rozsunał dłonią, jakby chciał coś z nich wyczytać. A potem rozciął nożem kalesony. Przy ciemnych genitaliach wisiał mały woreczek ze skóry, który sędzia odciął i również włożył do kieszeni kamizelki. Wreszcie zgarnął z piasku czarne kosmyki, chwycił je mocno w garść i zdjął skalp. Potem wstali i odeszli, zostawiając mężczyznę, by schnącymi oczami wpatrywał się w zgubny pochód słońca.

Przez cały dzień jechali po bladej gastynie porośniętej z rzadka łobodą i prosem. Wieczorem dotarli do zagłębienia terenu, które tak donośnie dźwięczało pod kopytami, że konie brykały i przyśpieszały kroku, wywracając ślepiami jak zwierzęta w cyrku, a nocą, gdy leżeli w tym zagłębieniu, każdy z nich słyszał głucho dudnienie skał spadających gdzieś hen pod spodem, w straszliwym mroku we wnętrzu świata.

Nazajutrz przejechali przez jezioro pokryte gipsem tak miążkim, że konie nie zostawiały śladów. Jeźdźcy zamaskowali twarze popiołem kostnym rozsmarowanym wokół oczu, a niektórzy poczernili też ślepia swoich wierzchowców. Słońce

odbijające się od powierzchni paliło twarze pod rondami kape-
luszy, a na miałkim białym pyłe kładły się cienie konia i jeźdźca
w kolorze najczystszeo indygo. Daleko na północy z pustyni
tryskały fontanny wirującego kurzu, przewiercające ziemię, i
niektórzy mówili, że słyszeli, jak pielgrzymi wlatują w powie-
trze na tych bezmyślnych obłokach niczym derwisze, a po
chwili spadają i leżą pogruchotani i zakrwawieni na pustyni, i
kto wie, być może, patrzą, jak to, co przywiodło ich do nie-
szczęścia, sunie chwiejnie dalej niby pijany dżin i ponownie
godzi się z żywiołem, od którego się oddzieliło. Z kłębow tej
zawiei nie dobiega żaden głos, a pielgrzym leżący z przetrąco-
nymi gnatami może wołać i złorzeczyć z bólu, ale złorzeczyć na
co? A gdy wędrowcy napotkają wśród piasków jego wysuszoną
i szerniałą cielesną powłokę, któż zdolny będzie wskazać
sprawcę jego zguby?

Tego wieczoru zasiedli przy ogniu jak duchy, otumanieni, z
zakurzonymi brodami i w zakurzonym odzieniu, wyznawcy
pirolatrii. Płomienie zgasły, a małe węgielki zaczęły mknąć po
równinie i piasek pełzał obok po ciemku aż do rana jak masze-
rujące armie wszy. W nocy zaczęło rzeć kilka koni, o brzasku
tak się miotały ośleple, że trzeba je było zastrzelić. Kiedy wyru-
szali, Meksykanin, zwany McGill, dosiadał już trzeciego wierz-
chowca w ciągu trzech dni. Nie mógł poczernić oczu koniowi,
na którym wyjechał z wyschniętego jeziora, bo musiałby mu
wpierw założyć kaganiec jak psu, a luzak, którego teraz wziął,
był jeszcze dzikszy, w caballado zaś zostały tylko trzy sztuki.

Po południu kompanię przy studni, gdzie stanęła na odpoczynek, dopędzili dwaj Delawarowie, którzy zniknęli po wyjeździe z Janos. Mieli ze sobą konia weterana, wciąż pod siodłem. Glanton podszedł do zwierzęcia, wziął wiszące wodze i doprowadził konia do ognia, a potem wyjął karabin z futerału i podał go Davidowi Brownowi, wreszcie przejrzał worek przywiązany do tylnego łęku i zaczął wrzucać skąpy dobytek weterana w płomienie. Odpiął popręg i połuźnił pozostałe części rzędu, do ogniska wrzucił derki, siodło, wszystko, a z wytłuszczonej wełny i wyprawionej skóry unosił się wstrętny szary dym.

Potem ruszyli dalej. Kierowali się na północ i przez dwa dni Delawarowie odczytywali znaki dymne na odległych szczytach, a potem dym znikł i więcej już się nie pojawił. Wjechawszy między wzgórze, natknęli się na zakurzony stary dyliżans zaprzęzony w sześć koni, które skubały suchą trawę w fałdzie terenu pośrodku jałowego wąwozu.

Forpoczta skoczyła w stronę powozu, konie szarpnęły łbami i spłoszone ruszyły klusem. Jeźdźcy osaczyli je w zagłębieniu, aż zaczęły krążyć jak papierowe koniki po wiatrołapie, a dyliżans klekotał za nimi z jednym pękniętym kołem. Murzyn wysunął się do przodu, wymachując kapeluszem i odganiając towarzyszy, potem zbliżył się do zaprzęgu, wyciągając przed siebie kapelusz, i odezwał się do koni, a gdy stanęły rozdygotane, chwycił jednego za uprząż.

Glanton minął go i otworzył drzwi powozu. Wnętrze wyłożone było świeżymi deszczułkami. Ze środka wychylił się

martwy mężczyzna ze zwieszoną głową. Obok leżał drugi i chłopiec, obaj z dobytą bronią, owionięci fetorem, który przepłoszyłby myszołowa znad padliny. Glanton wziął broń i amunicję i podał je dalej. Dwaj jeźdźcy wspięli się na dach, odcięli liny i postrzępiony brezent, kopniakami strącili na dół skrzynię i stary kufer z niewyprawionej skóry. Glanton przeciął nożem pasy na kufrze, otworzył go i przechylił na piasek. Wyfrunęły listy, adresowane do wszelkich miejsc oprócz tego jednego, ulatując w głąb kanionu. W kufrze było jeszcze kilka oznaczonych etykietami worków z próbkami rudy. Glanton wysypał je na ziemię, kopnął jedną i drugą i potoczył dokoła wzrokiem. Znowu zajrzał do dylizansu, a potem splunął i poszedł obejrzieć konie. Były duże, amerykańskie, ale sterane. Kazał odciąć dwa z zaprzęgu, a potem ruchem ręki odegnał Murzyna od lejcowego konia i machnął kapeluszem na pozostałe zwierzęta. Ruszyły kanionem, uszczuplona formacja, szarpiąc się w uprzęży, dylizans chybotął się na skórzanych resorach, a martwy mężczyzna kiwał się w kołatających drzwiach. Najpierw odgłosy, a potem sylwetki zaczęły nikać na równinie od zachodu, rozpuszczając się w upale bijącym od piasku, aż stały się tylko pyłkiem wędrującym przez halucynacyjną pustkę, a potem nie było już nic. Jeźdźcy ruszyli dalej.

Całe popołudnie ciągnęli gęsiego przez góry. Latał nad nimi mały szary raróg, jakby wypatrywał ich chorągwi, a potem odfrunął nad step na swych wątłych sokolich skrzydłach. O zmierzchu tego dnia przejechali przez piaskowe miasta, minęli

zamki i stołpy, wyrzeźbione przez wiatr baszty i kamienne spichlerze w słońcu i cieniu. Dalej przez margiel i skalenie, i rozpadliny łupka miedziowego, i przez zalesiony zakątek wyjechali wprost na cypel, pod którym rozciągała się posępna i jałowa kaldera z ruinami opuszczonego miasta Santa Rita del Cobre.

Tam rozbili obóz z suchym prowiantem i bez ognia. Wysłali zwiadowców, a Glanton poszedł o zmierzchu na urwisko, usiadł i spoglądał na zapadający w dole zmrok, wypatrując jakichkolwiek świateł. Zwiadowcy wrócili po ciemku i nad ranem wciąż było ciemno, gdy kompania dosiadła koni i ruszyła dalej.

Na kalderę wjechali szarawym świtem, sunąc gęsiego przez uliczki z łupka między domami porzuconymi przed kilkunastu laty, kiedy to Apacze odcięli dostawy z Chihuahua i obiegli kopalnię. Wygłodniali Meksykanie wyruszyli na długą pieszą wędrówkę na południe, ale żaden nie dotarł do celu. Amerykanie jechali wśród żużlu i ruin, i ciemnych otworów szybów, minęli wytapialnię, gdzie dokoła majaczyły stosy rudy, spróchniałe wozy i furgony, o świetle białe jak kość, i czarne żelazne sylwetki porzuconych maszyn. Przecięli kamieniste arroyo i sunęli dalej przez wypatroszony teren aż do niewielkiego wzniesienia, na którym stało stare presidio, duży trójkątny budynek z okrągłymi wieżami w rogach. W murze od wschodu była pojedyncza brama, a gdy się zbliżyli, zobaczyli wzlatający dym, który poczuli wcześniej w porannym powietrzu.

Glanton grzmotnął w drzwi maczugą obitą surową skórą jak podróżny u wrót gospody. Niebieskawe światło oblewało

wzgórza dokoła i tylko najwyższe szczyty na północy stały w słońcu, bo całą kalderę wciąż spowijał mrok. Echo zadudniło wśród nagich poszarpanych ścian skalnych i powróciło. Mężczyźni osadzili konie. Glanton kopnął w bramę.

Wyłazić, jeśliście biali, krzyknął.

Kto tam?, zawołał głos.

Splunął.

Kto to?

Otwierać, odparł Glanton.

Czekali. Zagrzechotały łańcuchy ściągane z desek. Wysoka brama uchyliła się ze zgrzytem do wewnątrz i ukazał się mężczyzna z karabinem gotowym do strzału. Glanton trącił konia kolanem, a zwierzę uniosło łeb, pchnęło nim bramę na oścież i wjechali do środka.

Zsiedli w szarym półmroku w obrębie murów i przywiązali konie. Dokoła stało kilka furgonów, niektóre ograbione z kół przez wędrowców. W komendanturze paliła się lampa, a w drzwiach ukazało się kilku mężczyzn. Glanton przemaszerował przez trójkątne podwórko. Mężczyźni odsunęli się na bok. Myśleli my, że wy Indianie, powiedzieli.

Zostało ich czterech z siedmioosobowego oddziału, który wyprawił się w góry w poszukiwaniu drogocennych metali. Od trzech dni barykadowali się w starym presidio, dokąd uciekli z pustyni na południu, ścigani przez dzikusów. Jeden z mężczyzn został postrzelony w dolną część klatki piersiowej i leżał teraz oparty o ścianę w komendanturze. Irving wszedł i spojrzął na niego.

Coście z nim zrobili?, spytał.

Nic.

A co ja mam zrobić?

Nie prosili my, żeby coś zrobić.

To dobrze, odparł Irving. Bo nic zrobić się nie da.

Popatrzył na nich. Byli brudni, obdarci, na wpół obłąkani. Nocą robili wypadły w górę arroyo po opały i wodę, a żywili się zdechłym mułem, który leżał wypatroszony i cuchnący w najdalszym rogu podwórza. Najpierw poprosili o whiskey, potem o tytoń. Mieli tylko dwa konie; jeden z nich został ukąszony przez węża w nos i stał teraz na placu z ogromnie spuchniętym, groteskowym łbem, jak wyobrażenie rumaka ze starogreckiej tragedii. Z bezkształtnej głowy sterczały ślepie wybałuszone w potwornej agonii. Stęknąwszy, koń podbiegł do związanych razem wierzchowców kompanii, zamachał zdeformowanym długim pyskiem, tocząc pianę i charcząc przez zdławioną tchawicę. Skóra rozpękała się na garbie nosa i spod różowawej bieli przeświecała kość, małe uszy wyglądały jak świstki papieru wciśnięte w kosmaty bochen surowego ciasta. Na jego widok konie Amerykanów zaczęły się kręcić i umykać przy murze, a on parł za nimi na oślep. Zadudniły kopyta, wierzgnęły nogi, wierzchowce krążyły po podwórzu. Z remudy odłączył się mały nakrapiany ogier należący do jednego z Delawarów. Kopnął dwa razy tamtego, a potem odwrócił się i zatopił zęby w jego szyi. Z pyska obłąkanego konia wydobył się głos, który przygnał mężczyzn do drzwi.

Czemu go nie zastrzelicie?, spytał Irving.

Szybciej zdechnie, szybciej się zaśmierdnie, odpowiedzieli.

Irving splunął. Chcecie go zjeść, choć ukąszony?

Spojrzeni jeden na drugiego. Nie wiedzieli.

Pokręcił głową i wyszedł na dwór. Glanton i sędzia popatrzeli na skwaterów, a skwaterzy popatrzeli na podłogę. Z sufitu zwisało kilka belek, podłogę pokrywały błoto i gruz. Do zniszczonego garnizonu wdarło się teraz ukosem słońce i Glanton zobaczył przycupniętego w kącie dwunastoletniego może chłopca, Meksykanina albo mieszańca. Miał na sobie tylko stare calzones i sandały sklecone z niewyprawionej skóry. Patrzył na Glantona ze swoistą przerażoną zuchwałością.

Co to za dziecko?, spytał sędzia.

Wzruszyli ramionami, zerknęli w bok.

Glanton splunął i pokręcił głową.

Postawili strażę na dachu, rozsiodłali konie i odpędzili je, żeby się pasły, a sędzia zbliżył się do jednego z jucznych zwierząt, opróżnił kosze i poszedł zbadać kopalnię. Po południu usiadł na podwórzu i zaczął młotkiem rozbijać grudki rudy, skalenie bogate w czerwony tlenek miedzi i samородki, żeby w ich organicznym uwarstwieniu odczytać dzieje ziemi, i wygłosił zaimprovizowany wykład o geologii dla gromadki mężczyzn, którzy kiwali głowami albo spluwali. Paru przytoczyło słowa z Biblii, chcąc zaprzeczyć porządkowi epok, który wywiódł z chaosu, oraz innym błuźnierczym domniemaniom.

Sędzia się uśmiechnął.

Książki kłamią, powiedział.

Bóg nie kłamie.

Nie, przyznał. Nie kłamie. A oto jego słowa.

Podniósł kawałek skały.

Bóg przemawia w kamieniach i drzewach, w kościach stworzeń.

Obdarci skwaterzy pokiwali między sobą głowami i przyznali rację temu uczonemu człowiekowi i jego wszystkim twierdzeniom, sędzia ich do tego zagrzewał, a gdy stali się gorliwymi prozelitami nowego porządku, wyśmiał ich głupotę.

Tego wieczoru główna część kompanii rozłożyła się do snu na suchym gliniastym placu pod gwiazdami. Ale w nocy deszcz zagnał ich skulonych pod dach, do ciemnych izdebek z błota, ciągnących się wzdłuż południowego muru. W komendanturze rozpalono ognisko na podłodze, dym uciekał przez dziurawy dach, a Glanton, sędzia i ich porucznicy siedzieli dokoła płomieni i palili fajki, podczas gdy skwaterzy stali z boku, żując prymki, które dostali, i pluli na ścianę. Mieszaniec obserwował ich czarnymi oczami. Z zachodu, od strony niskich ciemnych wzgórz, dobiegało wycie wilka, które napełniało skwaterów strachem, na co łowcy uśmiechali się do siebie. W nocy tak zgiełkliwej od szakalego ujadania kojotów i pohukiwania sów wycie tego starego wilka było jedynym odgłosem, któremu potrafili nadać właściwą formę, postać samotnego lobo, może o posiwiąłym pysku, zwisającego jak marionetka pod księżycem, z kłapiącą długą paszczą.

W nocy się oziębiło, nadciągnął wiatr i deszcz, rychło cała dzika menażeria krainy umilkła. Jakiś koń wsunął mokry łeb

przez drzwi, Glanton spojrział na niego i odezwał się, a zwierzę szarpnęło głową, zmarszczyło wargi i wycofało się w deszcz i noc.

Skwatterzy obserwowali to rozbieganymi oczami, jak obserwowali wszystko, a jeden z nich wyznał, że nigdy nie przyhołubiłby konia. Glanton splunął w ogień i spojrział na siedzącego mężczyznę w lachmanach, bez wierzchowca, i pokręcił głową na widok tego cudownego okazu głupoty w jej różnych formach i przejawach. Deszcz zelżał, a w ciszy powyżej przetoczył się przeciągły łoskot grzmotu, który zadudnił wśród skał, a potem deszcz lunął mocniej, aż woda zaczęła przesiąkać przez poczerńnięte dziury w dachu, od czego dymił i syczał ogień. Jeden z mężczyzn wstał, przyciągnął przegniłe resztki starych krokwi i rzucił je w płomienie. Dym wił się po obwisłych belkach, a z przemoczonego dachu zaczęła ciurkać roztopiona glina. Na zewnątrz podwórko siekły strugi deszczu, a blask ognia wylewający się przez drzwi rzucał snop bladego światła na płytkie morze, w którym stały konie jak widzowie na poboczu drogi oczekujący jakiegoś wydarzenia. Od czasu do czasu któryś z mężczyzn wstawał i wychodził, jego cień padał na zwierzęta, a wtedy podnosiły i opuszczały ociekające wodą łby, chlupały kopytami, a potem dalej czekały w deszczu.

Mężczyźni, którzy trzymali straż, weszli do środka i w kłębach pary zbliżyli się do ognia. Murzyn stanął w drzwiach — ni to na zewnątrz, ni to w środku. Ktoś doniósł, że widział sędziego na dworze, jak siedząc nago okrakiem na murze, ogromny i

blady w odsłonach błyskawic, deklamował słowa na modłę dawnych eposów. Milczący Glanton wpatrywał się w ogień, a mężczyźni usadowili się okryci kocami na suchych połaciach podłogi i wkrótce wszyscy zasnęli.

Rankiem się rozpogodziło. Na dziedzińcu stały kałuże wody, a ukąszony koń leżał martwy z bezkształtnym łbem w błocie, pozostałe zaś stłoczyły się w rogu od północnego wschodu, pod wieżą, przodem do muru. W blasku wschodzącego słońca szczyty górskie na północy były białe od śniegu, kiedy zaś Toadvine wyszedł na nowy dzień, słońce akurat dotknęło szczytów muru, a sędzia stał w delikatnie parującej ciszy, dłubiąc cierniem w zębach, jakby właśnie się najadł.

Dzień dobry, powiedział.

Dobry, odparł Toadvine.

Chyba się przejaśnia.

Jakby już się przejaśniło.

Sędzia odwrócił głowę i spojrzał na dziewiczy kobaltowy stołp widocznego nieba. Nad wąwozem przelatywał orzeł, a jego głowa i pióra na ognie bielily się słońcem.

A i owszem, odparł sędzia. A i owszem.

Skwaterzy wyszli na dwór i stanęli przy izbach, mrugając oczami jak ptaki. Uradzili między sobą, że dołączą do kompanii, a kiedy Glanton ruszył przez plac, prowadząc swojego konia, przywódca grupy wystąpił do przodu, żeby go powiadomić o decyzji. Glanton nawet na niego nie spojrzał. Wszedł do cuartelu po siodło i ekwipunek. W tym samym czasie ktoś znalazł chłopca.

Leżał nagi na brzuchu w jednej z izdebek. Wszędzie na klepisku walało się mnóstwo starych kości. Jakby, tak jak wielu przed nim, natknął się na miejsce, w którym żyło coś nieprzyjaznego. Skwaterzy stłoczyli się dokoła, patrząc w milczeniu na trupa. Po chwili zaczęli rozmawiać bezmyślnie o zasługach i zaletach martwego chłopca.

Łowcy skalpów dosiedli koni na placu i skręcili do bramy, która była teraz otwarta ku wschodowi, witając dzień i zapowiadając wędrówkę. Kiedy wyjeżdżali, skazani na zatracenie mężczyźni zadekowani w presidio wyciągnęli chłopca i położyli go w błocie. Miał złamany kark, więc głowa zwisała mu bezwładnie i dziwnie pacnęła na ziemię, gdy go kładli. W kałużach wody na dziedzińcu odbijały się na szaro wzgórza za kopalnią, a nadjedzony muł leżał w błocie, bez zadu, jak fragment chromolitografii przedstawiającej potworności wojny. W cuartelu pozbawionym drzwi postrzelony mężczyzna na zmianę śpiewał hymny kościelne i przeklinał Boga. Skwaterzy stali dokoła martwego chłopca, ze sfatygowanymi karabinami u nogi, jak wyędniały poczet honorowy. Glanton zostawił im pół funta prochu strzelniczego, trochę spłonek i małą sztabkę ołowiu, i gdy kompania odjeżdżała, paru spojrzło przez ramię na tych trzech stojących na placu i patrzących z obojętnością. Nikt nie podniósł ręki na pożegnanie. Mężczyzna konający przy popiołach wygasłego ogniska śpiewał i na odjezdnym usłyszeli pieśni z dzieciństwa, i wciąż je słyszeli, gdy dotarli nad arroyo i sunęli między jałowcami, nadal mokrymi od deszczu. Umierający

śpiewał wyraźnie i z wielkim przejęciem i być może zdążający w głąb kraju łowcy spawalniali konie, żeby słyszeć go jak najdłużej, bo ulepieni byli z tej samej gliny.

* * *

Tego dnia jechali przez niskie wzgórza, nagie prócz zimozielonych zarośli. Wszędzie na tym wysokim stepie skakały i przemykały sarny, więc myśliwi zastrzelili kilka sztuk z siodła, wypatroszyli je i zapakowali, a wieczorem dołączył do nich orszak kilku wilków różnej wielkości i maści, które dreptały ich śladem jeden za drugim, każdy zerkając do tyłu, by się upewnić, że następny za nim podąża.

O zmierzchu zatrzymali się i rozpalili ognisko, żeby upiec sarny. Otuliła ich bezgwiezdna noc. Od północy widzieli czerwone ognie płonące posępnie na niewidocznych graniach. Zjedli i ruszyli dalej, zostawiając za sobą rozpalone ognisko, a gdy wjechali w góry, ognisko zdawało się zmieniać miejsce, teraz tutaj, za chwilę tam, oddalało się albo w niewyjaśniony sposób sunęło równolegle razem z nimi. Jak ignis fatuus rozbłysły poniewczasie na drodze za ich plecami, który wszyscy teraz widzieli, ale o którym nikt nie rzekł słowa. Albowiem bałamutna wola kryjąca się w rzeczach świetlistych może się jednakowo ujawnić w retrospekcji i przeinaczeniem już odbytej wędrówki pchnąć ludzi na tory fałszywego przeznaczenia.

Tej nocy, jadąc przez mesę, ujrzeli widok bardzo podobny do nich samych — zbliżający się oddział jeźdźców, odłupywany z mroku przez rozbłyski suchego pioruna na północy. Glanton

przyhamował i osadził konia, a kompania zrobiła to samo. Milczący jeźdźcy sunęli dalej. Gdy podjechali na odległość stu jardów, też się zatrzymali i wszyscy stali, kontemplując w milczeniu nieoczekiwane spotkanie.

Kto wy?, krzyknął Glanton.

Amigos, somos amigos.

Liczyli nawzajem swoje siły.

De dónde viene?, zawołali obcy.

A dónde va?, odkrzyknął sędzia.

Byli to ciboleros z północy, ze zwierzętami jucznymi obładowanymi wysuszonym mięsem. Ubrani w skóry zszyte ścięgna zwierząt, dosiadali koni tak, jakby rzadko chodzili po ziemi. W rękach ściskali lance, którymi zabijali bizona na równinach, a broń ozdobiona była pękami piór i strzępami barwionych tkanin, do tego niektórzy mieli łuki, inni stare skalówki, a w lufach tkwiły zatyczki z chwostem. Mięso pozawijali w skóry i oprócz paru sztuk broni palnej byli nieobeznani z cywilizowanym ekwipunkiem niczym najprymitywniejsze dzikusy tej krainy.

Zagaili rozmowę w siodle, a ciboleros zapalili małe cygara i powiedzieli, że zmierzają na rynki w Mesilla. Amerykanie mogli kupić od nich trochę mięsa, ale nie mieli żadnych wartościowych towarów na wymianę, a upodobanie do handlu było im obce. Tak więc dwie grupy rozjechały się na spowitej nocą równinie i każda podążyła w stronę, z której przybyła druga, ciągnąc bez końca, jak musi ciągnąć każdy wędrowiec, szlakiem innego wędrowca.

X

- TOBIN • POTYCZKA NAD LITTLE COLORADO
 - KATABASIS • UCZONY CZŁOWIEK
- GLANTON I SĘDZIA • NOWA MARSZRUTA
 - SĘDZIA I NIETOPERZE
 - GUANO • DEZERTERZY
- SALETRA I WĘGIEL DRZEWNY
 - MALPAIS • ODCISKI KOPYT • WULKAN
- SIARKA • MIKSTURA • MASAKRA TUBYLCÓW

W dniach, które nastąpiły, znikły wszystkie ślady Gilenos, a oddział zapuszczał się coraz głębiej w góry. Przy ogniu z chrustu, bladym jak kość, trwali w milczeniu na wyżynach, a płomień miotał się w podmuchach nocnego wiatru wdzierającego się do kamiennych jarów. Dzieciak siedział po turecku, zszywając pasek sztydłem, które pożyczył od Tobina. Pozbawiony święceń ksiądz obserwował jego pracę.

Gołym okiem widać, że to dla ciebie nie pierwszozna, powiedział.

Dzieciak wytarł nos zatłuszczonym rękawem i odwrócił pasek na kolanie. Właśnie że pierwszozna, odparł.

No to masz dryg. Większy niż ja. Pan Bóg mało sprawiedliwie rozdziela dary.

Dzieciak spojrział na niego i znów pochylił się nad sztydłem.

Tak, tak, ciągnął eksksiądz. Popatrz tylko. Przyjrzyj się sędziemu.

Już mu się przyjrzałem.

Może nie przypadł ci do gustu, twoje prawo. Ale ma dar do każdej roboty. Wychodzi mu wszystko, czego się tknie.

Dzieciak przewłókł natłuszczony szpagat przez dziurkę i naciągnął.

Gada po holendersku, powiedział eksksjadz.

Po holendersku?

Żebyś wiedział.

Spojrzał na Tobina i znów wrócił do szycia.

Gada, gada, sam słyzałem. Dopadliśmy na Llano bandę bzikowatych pielgrzymów i starzec, co ich prowadził, zaczął szwargotać po holendersku, jakbyśmy na jakiej holenderskiej prowincji byli, i sędzia zaraz mu odszwargotał. Glanton o mało nie zleciał z konia. Pojęcia nie mieliśmy, że mówi po holendersku. Spytaliśmy, jak się nauczył, i wiesz, co powiedział?

Co?

Że od jednego Holendra.

Eksksjadz splunął. Ja bym się nie nauczył i od dziesięciu. A ty?

Dzieciak pokręcił głową.

A widzisz, rzekł Tobin. Opatrzność mierzy i rozdziela dary wedle własnego uznania. Wcale nie liczy po równo i prawą rękę dam sobie urżnąć, że sam najpierwszy by to przyznał, gdyby ktoś miał czelność go spytać.

Kto by przyznał?

Bóg, opatrzność. Eksksjadz pokręcił głową. Zerknął przez ogień na sędziego. Na to wielkie bezwłose coś. Nie przypuściłbyś, że w tańcu potrafi zakasować samego diabła, co? Boże przenajświętszy, jak on tańczy. A jak gra na skrzypcach.

To najlepszy skrzypek, jakiego widziały moje oczy, amen. Najlepszy. Potrafi wytyczać szlak, strzelać z karabinu, jeździć konno, wytropić sarnę. Zjeździł cały świat. Siedział z gubernatorem do białego rana i w Paryżu to, w Londynie tamto, w pięciu językach, dużo byś dał, żeby to zobaczyć. Gubernator to uczony człowiek, ale sędzia...

Eksksjędz pokręcił głową. Może być, że to Pan Bóg pokazuje tym sposobem, że nie stoi o uczoność. Bo co uczoność znaczy dla tego, który wie wszystko? Niezwykłą miłość ma dla prostego człowieka i jego boża mądrość mieszka w najlichszym stworzeniu, więc może tak być, że głos Opatrzności najgłośniej przemawia w tych, co wiedzą cichy żywot.

Patrzył na dzieciaka.

Bo tak się rzeczy mają, ciągnął Tobin, że Bóg przemawia w najlichszym stworzeniu.

Dzieciak myślał, że eksksjędz mówi o ptakach albo pełzających gadach, ale ten, patrząc na niego z lekko przekrzywioną głową, powiedział: Każdy jeden człowiek ma w sobie ten głos.

Dzieciak splunął w ogień i pochylił się nad szydłem.

Ja tam żadnego głosu nie słyszę, odparł.

Jak umilknie, to zrozumiesz, żeś go słyszał całe życie.

Mówisz?

A tak.

Dzieciak odwrócił pasek na kolanie. Eksksjędz patrzył na niego.

Nocą, ciągnął, jak konie się pasą, a kompania śpi, to kto słyszy, że się pasą?

Nikt, bo sam powiedziałaś, że wszyscy śpią.

No tak. A jak przestaną się paść, kto się obudzi?

Wszyscy.

A widzisz. Każdy jeden się obudzi.

Dzieciak podniósł głowę. A sędzia? Do niego ten głos też mówi?

Sędzia, powtórzył Tobin. Nie odpowiedział.

Widziałem go wcześniej, rzekł dzieciak. W Nacogdoches.

Ekkskiądz się uśmiechnął. Każdy w kompanii mówi, że gdzieś wcześniej napotkał tego bezecnego czorta.

Tobin potarł zarośnięty podbródek wierzchem dłoni. Uratował nas wszystkich, trzeba mu to przyznać. Jak zajechaliśmy nad Little Colorado, nie zostało nam ani funta prochu. Co tam funta. Pół uncji by nie wyskrobał. Siedział na skale pośrodku największej pustyni, jaką kiedykolwiek byś zobaczył. Przycupnął na tej skale, jakby czekał na dyliżans. Brown myślał, że mu się zwidziało. Może by go ustrzelił, gdyby miał czym.

Jak żeście zostali bez prochu?

Bośmy wszystkim wystrzelali na dzikich. Ukrywaliśmy się przez dziewięć dni w jaskini, straciliśmy dużo koni. Kiedy wyruszyliśmy z Chihuahua, było nas trzydziestu ośmiu, a jak sędzia nas znalazł, zostało czternastu. Wykończonych na śmierć, tropionych jak zwierzyna. Każdy jeden z nas wiedział, że prędzej czy później zapędzą nas bezbronnych w suche rzeczne koryta albo w jaki kozi róg, albo i na byle kupę kamieni, i to będzie nasza ostatnia reduta w tym przeklętym kraju. Sędzia. Diabli go nadali.

Dzieciak trzymał w jednej ręce szpagat, w drugiej szydło i patrzył na eksksjędza.

Przez całą noc i dobry kawał dnia byliśmy na równinie. Delawarowie ciągle się zatrzymywali i przykładali ucho do ziemi, żeby nasłuchiwać. Nie było gdzie uciec, nie było gdzie się schować. Nie wiem, co próbowali usłyszeć. Przecież wiedzieliśmy, że te cholerne czarnuchy gdzieś tu są, a jeśli o mnie chodzi, to mi wystarczyło, więcej nie chciałem wiedzieć. Ani chybi to był nasz ostatni wschód słońca. Wszyscy oglądaliśmy się do tyłu. Nie wiem, jak daleko było widać. Na piętnaście, dwadzieścia mil.

No i potem koło południa natknęliśmy się na sędziego, jak sobie siedział na tej skale pośrodku odludzia. A wiedz, że nie było innej skały, tylko ta jedna. Irving powiedział, że najpewniej sędzia przyniósł ją ze sobą. Ja na to, że ten głąz po to, by sędziego było widać w tej pustce. Miał ze sobą ten sam karabin, co go teraz nosi, cały okuty niemieckim srebrem, z łacińskim imieniem, co go nim nazwał, wyszytym przy stopce srebrnym drutem: Et In Arcadia Ego. Co się odnosi do śmierci wyfruwejacej z lufy. Bywa, że jeden czy drugi nazwie swoją broń. Słyszałem już Słodkie Usta i Kostucha, i różne imiona kobiece. Ale to pierwszy i jedyny, którego spotkałem, co ma napis z klasycznej księgi.

No i tak sobie siedział. Sam jeden, po turecku, uśmiechnięty, jak żeśmy nadjechali. Jakby na nas czekał. Miał starą torbę z płótna i wyleniały pled przerzucony przez ramię. A w torbie trzymał parę rewolwerów i niezgorszą kolekcję kruszcu, srebro

i złoto. Ale nie miał nawet buklaka. To było jak... Nie wiadomo, skąd się tam wziął. Powiedział, że jechał z taborami, ale się odłączył.

Davy chciał go zostawić na łasce losu. Nie w smak mu było, bo honorny, i tak jest do dziś. Patrzył na niego. A Glanton, to nawet za sto lat byś nie odgadł, co sobie myślał o tym człowieku siedzącym na skale. Ja do dziś nie wiem. Ci dwaj potajemnie ze sobą paktują. Wiąże ich jakieś straszliwe przymierze. Uważaj. Przekonasz się, że mam rację. Kazał przyciągnąć jedno z dwóch ostatnich zwierząt jucznych, przeciął pasy, zostawił paki na ziemi, tak jak spadły, a sędzia wsiadł i ruszyli we dwóch, jeden obok drugiego, i po chwili gadali jak bracia. Sędzia jechał na oklep, po indiańsku, z torbą i karabinem na kłębie, i rozglądał się z tak wielkim zadowoleniem, jakby wszystko potoczyło się po jego myśli, jakby to był najpomysłniejszy dzień jego życia.

Ujechaliśmy ledwie kawałek, gdy wyznaczył nowy kierunek, mniej więcej dziewięć stopni na wschód. Wskazał łańcuch górski w odległości może trzydziestu mil, no i pociągnęliśmy w te góry, a nikt nawet nie spytał, po kiego czorta. Glanton przedstawił mu już wtedy sytuację, ale jeśli sędzia martwił się, że nie mamy prochu, a naszym tropem ciągnie połowa Apaczerii, to w ogóle, ale to w ogóle nie było tego po nim widać.

Ekkskiądz urwał, żeby znowu zapalić fajkę. Sięgnął ręką w żywy ogień po węgielek, wzorem czerwonoskórych zwiadowców, a potem odłożył go w płomienie, jakby tam było jego miejsce.

I jak myślisz, co czekało w tych górach, żeśmy tam pojechali? I skąd o tym wiedział, że coś czeka? I skąd wiedział, gdzie to znaleźć? I skąd wiedział, jak zrobić z tego użytek?

Wydawało się, że Tobin samemu sobie zadaje te pytania. Pykał fajkę, wpatrzony w ogień. No skąd?, powtórzył. Pod wieczór dotarliśmy do podnóża gór i ruszyliśmy dalej suchym arroyo i jechaliśmy tak chyba do północy, a potem obozowaliśmy bez ogniska i wody. Z nadejściem ranka zobaczyliśmy ich na równinie od północy, może z dziesięć mil za nami. Jechali rzędami, najpierw czterech, potem sześciu, potem cała zgraja, i wcale nie było im spiesзно.

Z tego, co opowiadali wartownicy, wiem, że sędzia nawet nie zmrużył oka. Obserwował nietoperze. Chodził na zbocze i coś zapisywał w małej książeczce, a potem wracał na dół. Zadowolony tak, że słowo tego nie opisze. W nocy uciekło dwóch i zostało nas tylko tuzin, no, trzynastu, jak doliczyć sędziego. Dobrze mu się przyjrzałem. Sędziemu. I wtedy, i potem. Najpierw mi się zdawało, że to człowiek obłąkany, a potem że nie. O Glantonie to zawsze wiedziałem, że ma nie po kolei w głowie.

O pierwszym świtaniu ruszyliśmy małą niecką pośród drzew. Jechaliśmy stokiem od północy, na skałach rosły wierzby i olchy, i wiśnie, wszystkie bardzo małe. Sędzia przystawał i przyglądał się roślinom, a potem ruszał, żeby nas dogonić. Klnę się na Boga, że tak było. Wciskał listki między kartki tej swojej książki. Niczego podobnego nigdy nie widziałem, a przez cały

ten czas wyraźnie było widać dzikich tam w dole. Ciągnęli za nami niecką. O mało sobie karku nie skręciłem, bo się oglądałem bez jednej przerwy, a była ich cała setka, jak amen w pacierzu.

Wyjechaliśmy z krzemiennych skał, gdzie rósł tylko jałowiec, i ruszyliśmy dalej. Nawet nie próbowaliśmy zacierać śladów, żeby zmylić tropicieli. Cały boży dzień w siodle. Dzikich już nie widzieliśmy, bo zbocze ich zasłaniało, jechali za nami gdzieś stokiem poniżej. Jak tylko się zmierzchno i zaczęły fruwać nietoperze, sędzia znowu zmienił kurs i jechał z kapeluszem w rękę, patrząc na te małe stworzenia. Pogubiliśmy się, poszliśmy w rozsypkę w tych jałowcach, więc trzeba było stanąć, żeby się przegrupować i dać wytchnienie koniom. Usiedliśmy po ciemku, nikt słowa nie mówił. Sędzia wrócił i zaczął szeptać z Glantonem, a potem ruszyliśmy dalej.

Poprowadziliśmy na piechotę konie w tej ciemnicy. Nie było szlaku, tylko stromizna, skała i wyboje. Jak stanęliśmy wreszcie przed tą jaskinią, niektórzy pomyśleli, że on chciał, byśmy się tam schowali, i uznali, że postradał zmysły. Ale jemu szło o saletrę. O saletrę, rozumiesz. Zostawiliśmy przy wejściu cały dobytek i napełniliśmy worki, kosze i mochilas ziemią z jaskini, a o świcie ruszyliśmy dalej. Wjechaliśmy na szczyt i jak się obejrzelśmy, to zobaczyliśmy, że jaskinia połyka wielką chmurę nietoperzy, całe tysiące, i tak to trwało z godzinę albo i dłużej, bo potem to już ich nie było widać z naszego miejsca.

Sędzia. Zostawiliśmy go na wysokiej przełęczy, przy czystym strumyku. Jego i jednego Delawara. Kazał nam okrążyć górę

i wrócić w to samo miejsce za czterdzieści osiem godzin. Zrzućiliśmy wszystkie juki na ziemię, zabraliśmy ich dwa konie, a on i Delawar zaczęli taszczyć bagaże wyżej. Patrzyłem, jak odchodzi, i powiedziałem wtedy, że już nigdy go nie zobaczę.

Tobin spojrział na dzieciaka. W tym życiu już nigdy, dodał. Pomyślałem, że Glanton zostawi go na łasce losu. Nazajutrz po drugiej stronie góry natknęliśmy się na tych dwóch zuchów, co zdezerterowali. Wisieli na drzewie głową w dół. Obdarci ze skóry. Powiem ci, że to człowiekowi urody nie przydaje. Jak dzicy się wcześniej nie połapali, to teraz ani chybi już wiedzieli. Że nie mamy prochu.

Nie dosiedliśmy koni. Prowadziliśmy je z dala od kamieni i zakrywaliśmy im chrapy, jak parskały. W ciągu tych dwóch dni sędzia zługował guano wodą ze strumienia, razem z popiołem drzewnym, i wytrącił się osad, a potem zbudował gliniany piec i wypalał w nim węgiel drzewny, zalewał ogień wodą za dnia i rozpalał od nowa z nadejściem nocy. Kiedy go odnaleźliśmy, siedział z Delawarem, jak go Pan Bóg stworzył, w strumieniu i wyglądali na pijanych, ale czym mieliby się upić, to nie mieliśmy pojęcia. Na szczycie góry roilo się od Apaczów, a on sobie tak siedział. Kiedy nas zobaczył, wstał, poszedł między wierzby i przyniósł dwa worki, a w jednym było z osiem funtów czyściutkiej saetry, w drugim ze trzy funty węgla z olchy. We wgłębieniu na skale starł węgiel na miałki proszek, taki miałki, że nadawałby się na atrament. Zawiązał worki i powiesił je na łąku siodła Glantona, a potem razem z Indianinem wzięli się

ubrali i ucieszyłem się z tego, bo nigdy przedtem nie widziałem dorosłego chłopca, co by nie miał ani jednego włoska na ciele, a przecież ważył ze dwadzieścia cztery kamienie. Ważył i waży. Ręczę za to, bo własnymi oczami, i to na trzeźwo, zliczyłem odważniki, jak stanął na wadze u kupca w Chihuahua nie dalej jak w tym miesiącu.

Zeszliśmy z góry bez zwiadowców, bez niczego. Ot tak, prosto przed siebie. Ledwo żywi z niewyspania. Ciemno się zrobiło, gdyśmy dotarli na równinę, zgrupowaliśmy się, przeliczyli szeregi i ruszyli dalej. Księżyc był już dobrze w drugiej kwadrze, a my jak jeźdźcy w cyrku, bez jednego szmeru, konie tak ostrożne, jakby lały po jajkach. Nijak nie szło się zorientować, gdzie są dzicy. Ostatnią wskazówką, że są blisko, były te dwa biedne dupodajce obdarte ze skóry na drzewie. Ruszyliśmy przez pustynię prosto na zachód. Przede mną jechał Doc Irving, a jasno było tak, że mogłem policzyć mu włosy na głowie. Jechaliśmy przez całą noc i nad ranem, jak księżyc zaszedł, natknęliśmy się na stado wilków. Rozbiegły się, ale zaraz wróciły, ciche jak dym. Snuły się, czatowały, krążyły wokół koni. Uparte jak muchy. Próbowaliśmy je przepędzić, wymachując pętami, ale tylko robiły uniki, ciche, cichuteńkie, czasem tylko który coś zipnął, jęknął, zakwękał albo kłapnął zębami. Głanton się zatrzymał, one zakotłowały się dokoła, pierzchły i zaraz wróciły. Dwaj Delawarowie cofnęli się po śladach i w lewo, odważniejsze z nich dusze niż ze mnie, no i jak amen w pacierzu znaleźli upolowane zwierzę. To był młody koziołek, padł

poprzedniego wieczoru. Zjedzony tylko do połowy, no tośmy się zabrali nożami za niego, a resztę mięsa upakowaliśmy i potem jedliśmy surowe w siodle, pierwsze mięso od sześciu dni. Pyszności. Grzebaliśmy w ziemi za nasionami z szyszek jak niedźwiedzie, szczęśliwi nie do opisanego, gdy coś się znalazło. Wilkom zostawiliśmy prawie same kości, ale wiedz, że nigdy bym żadnego nie zastrzelił i znam ludzi, co czują tak samo.

Przez ten cały czas sędzia prawie się nie odzywał. O świcie jesteśmy na skraju ogromnego malpais, a wielce szanowny pan sędzia zajmuje miejsce na skałach z magmy i zaczyna do nas przemawiać. To było jak kazanie, ale takiego kazania to żaden z nas do tej pory nie słyszał. Dalej, za malpais, stał wysoki wulkan i o wschodzie słońca zrobił się bardzo kolorowy, małe czarne ptaki fruwały na wietrze i trzepotała stara kapota sędziego, a on wskazał tę samotną nagą górę i wygłosił mowę, po co, tego i wtedy nie wiedziałem, i nie wiem do dziś, a zakończył słowami, że matka ziemia jest okrągła jak jajo i zawiera w sobie wszelkie dobra. Potem się odwrócił i poprowadził konia, na którym jeździł, przez tę szklistą czarną połąć, zdradliwą jednak dla człowieka i zwierzęcia, a my ruszyliśmy za nim jak wyznawcy jakiejś nowej wiary.

Ekksjędz urwał i postukał wygasłą fajką o obcas buta. Zerknął w stronę sędziego, który wystawił obnażony tułów ku płomieniom, jak to miał w zwyczaju. A potem odwrócił się i spojrzął na dzieciaka.

Malpais. To był labirynt. Wychodziłeś na mały cypel i nagle znajdowałeś się w potrzasku, bo dokoła były same strome

rozpadliny, których nie odważyłbyś się przeskoczyć. Krawędzie jak ostre czarne szkło, niżej ostre krzemienne skały. Konie prowadziliśmy z największą ostrożnością, a i tak miały poranione kopyta. Z butów leciały strzępy. Jak gramolisz się po tych zapadniętych, pomarszczonych skałach, to widać, co się porobiło w tym miejscu, że skały się stopiły i stężały jak pudding, że ziemia się przepaliła na wskroś aż po własne gorejące wnętrze, gdzie, o czym wie każdy człowiek, znajduje się piekło. Bo ziemia to kula zawieszona w próżni i tak po prawdzie nie ma u niej góry ani dołu, i oprócz mnie jeszcze paru w tym oddziale widziało małe ślady rozszczępionych kopyt odcisnięte w kamieniu, jakby szła tamtędy sarenka, ale czy kto widział sarenkę idącą po stopionej skale? Trzymam się wprawdzie Pisma Świętego, ale może być, że trafili się grzesznicy tak niesłychanie nikczemni, że ognie ich wypłuły, i zobaczyłem niby, jak to dawno temu przez te ogniste wymioty szły diabły z widłami odzyskać te dusze, co omyłkowo wyrzygano z kotła potępienia na wierzch świata. Ano tak. To taka myśl, nic więcej. Ale gdzieś w dziele stworzenia ten świat musi się stykać z tym drugim. I coś odcisnęło ślady kopyt w tej magmie, bom je sam na własne oczy widział.

A sędzia, on tylko wpatrywał się w ten martwy stożek, co sterczał ze środka pustyni jak wielki wrzód. Szliśmy posępni jak sowy, tak że odwrócił się i widząc nasze miny, aż się roześmiał. U podnóża góry ciągnęliśmy losy, a potem wysłaliśmy dwóch z końmi do przodu. Patrzyłem, jak idą. Jeden z nich siedzi dziś przy tym ognisku i widziałem go, jak prowadzi

konie przez ten żużel jak potępieniec.

Ale mnie się widzi, żeśmy potępieni nie byli. Jak spojrziałem, on już na całego gramolił pod górę, sędzia znaczy, z workiem na ramieniu i karabinem, który trzymał jak czekan. No więc poszliśmy za nim wszyscy. Nie zabrnęliśmy nawet do połowy, jak zobaczyliśmy dzikich na równinie. Wspinaliśmy się dalej. Pomyślałem, że w najgorszym razie rzucimy się w dół do tego kotła, a czortom wziąć się nie damy. Wspinaliśmy się i wspinaliśmy, i wedle mego rozeznania było już południe, jak dotarliśmy na szczyt. Wykończeni do cna. Dzicy niecałe dziesięć mil w dole. Rozejrzałem się po naszych i powiem ci, że marnie wyglądali. Godność z nich uszła. Każdy jeden dobra dusza i aż mi się serce ścisnęło na ten widok, i pomyślałem sobie, że sędziego zesłano nam jak klątwę. Ale on pokazał, że się myłę. Tam wtedy pokazał. I teraz znów jestem w rozterce.

Chociaż z niego wielgus, pierwszy dotarł na krawędź stożka, stanął i patrzył sobie, jakby przyszedł podziwiać widoki. A potem usiadł i zaczął nożem skrobać skałę. Jeden za drugim dotelepaliśmy się na górę, a on siedział odwrócony plecami do tej ziejącej dziury i ciachał, i ciachał, i nam kazał robić to samo. To była siarka. Obfitość siarki, siarka wszędzie dokoła tego kotła, jasnożółta, tu i tam połyskiwały małe płatki krzemionki, ale przeważnie to były wykwitły czystej siarki. Poodłupywaliśmy to i posiekali nożami, aż uzbierało się ze dwa funty, a wtedy sędzia wziął sakwy, schował się w osłoniętym miejscu pośród

skał i wysypał węgiel drzewny i saletrę, pomieszał ręką i dodał siarki.

Tyle się na tym wyznawałem, żem już myślał, że będziemy musieli dolać do tego własnej krwi, jak jacy wolnomularze, ale tak się nie stało. Urobił to rękami, a dzicy przez cały czas zbliżali się ku nam po równinie, a gdy się obróciłem, sędzia wstał, ten wielki bezwłosy niedołęga, wyjął siura i zaczął szczać na tę mieszankę, szczał z wielką zaciętością i podniesioną ręką wezwał nas, byśmy zrobili to samo.

A niech to lichy, i tak byliśmy już na wpół obłąkani. No to stanęliśmy wszyscy w szeregu. Delawarowie i cała reszta. Każdy jeden oprócz Glantona, bo ten tylko patrzył jak sroka w gnat. Wyciągnęliśmy członki i dalejże, do roboty, a sędzia już klęczał i ugniatał toto gołymi rękami, szczyzny przyskały dokoła, a on wrzeszczał na nas, żebyśmy szczali, szczajcie, ludzie, szczajcie dla zbawienia dusz waszych, bo czyż nie widzicie czerwonoskórych, co ku nam idą, a mówiąc to, cały czas się śmiał i ugniatał to wielkie paskudztwo jak wstrętne czarne ciasto na wypieki, co śmierdziało, jakby pochodziło od samego diabła, a nie widzi mi się, żeby sędzia był jakimś cholernym cukiernikiem, ale wyciąga nóż i zaczyna to rozsmarowywać po skale od południa, cieniutko rozmazuje ostrzem, jednym okiem zezując na słońce, sam pomazany na czarno, cuchnący szczykami i siarką, rozchachany, nożem wywijał z tak zadziwiającą zręcznością, jakby to robił od urodzenia. A jak skończył, usiadł prosto, wytarł ręce o pierś i patrzył na dzikich, a my tak samo.

Wtedy to już byli na malpais i mieli tropiciela, co wypatrywał naszych śladów na tej nagiej skale, i cofał się, jak gubił trop, i nawoływał swoich. Pojęcia nie mam, za czym szedł. Może za naszym smrodem. Zaraz potem usłyszeliśmy, jak gęgają. A potem nas zobaczyli.

Jeden Bóg na niebie wie, co sobie myśleli. Szli rozproszeni po magmie i pierwszy wskazał ręką, i wszyscy spojrzeli. To jakby w nich piorun strzelił. Zobaczyć jedenastu ludzi przycupniętych na najwyższej krawędzi tego spalonego zakątka jak zbzikowane ptaki. Zaczęli się naradzać, a myśmy patrzyli, czy wyślą paru po konie, ale nie wysłali. Chciwość przeważyła i ruszyli pod górę, gramoląc się po magmie na wyścigi.

Podług mnie została nam godzina. Patrzyliśmy na dzikich i patrzyliśmy, jak wstrętna mikstura urobiona przez sędziego schnie na skałach, i jeszcze patrzyliśmy na chmurę, co płynęła w stronę słońca. Jeden za drugim przestajemy patrzeć na skały, przestajemy patrzeć na dzikich, bo wygląda, że chmura wali prosto na słońce i przepłynie dopiero za godzinę, a przecież my czasu więcej nie mamy. A sędzia siedzi sobie i robi zapiski w książeczce, i nagle zobaczył nadchodzącą chmurę, jak my wszyscy, i odłożył ten notatnik, i patrzył razem z nami. Nikt słowa nie powiedział. Nie było czego przeklinać ani do kogo się modlić, tośmy tylko patrzyli. A chmura zasłoniła różek słońca i ruszyła dalej, i żaden cień nie padł na nas, a sędzia wziął książkę i zaczął pisać jak przedtem. Patrzyłem na niego. A potem zszedłem kawałek i pomacałem ręką tę miksturę. Ciepło od niej

biło. Polazłem po krawędzi, dzicy wspinali się ze wszystkich stron, bo nie było żadnej lepszej drogi na tej nagiej żuźlowej stromiźnie. Wypatrywałem jakichś głazów, co można by stoczyć, ale były same kamienie, nie większe od pięści, i drobny żużel, i płyty zastygłej lawy. Spojrzałem na Glantona. Patrzył na sędziego i wyglądał, jakby mu rozum odjęło.

A sędzia zamknął książeczkę, wziął swoją koszulę ze skóry, rozłożył ją w osłoniętym miejscu i zawołał, byśmy przynieśli miksturę. Wszystkie noże poszły w ruch, skrobaliśmy na całego, a on ostrzegł nas, byśmy ognia przypadkiem nie skrzesali o krzemień. Usypaliśmy toto na koszulę, wtedy on zaczął siekać jeszcze drobniej i ugniatać. Kapitanie Glanton, woła.

Kapitanie Glanton. Dasz wiarę? Nazwał go kapitanem. Pojędź pan tutaj i załaduj tę swoją armatę, a zobaczymy, czy zda się na coś to, co tu mamy.

Glanton podszedł z karabinem, zgarnął pełną garść, załadował obie lufy, owinął dwie kule, wprowadził do komory, nałożył kapiszony i zrobił krok ku krawędzi. Ale nie tak chciał sędzia.

Tam, w przepaść, mówił, a Glanton go słuchał. Poszedł na tę krawędź od środka, na sam skraj tej przeraźliwej otchłani, wysunął broń, wycelował prosto w dół, odciągnął kurek i strzelił.

Długo nie usłyszę drugiego takiego huku. Jeszcze dziś ciarki mnie przechodzą na wspomnienie. Wypalił z obu luf, potem spojrzął na nas i na sędziego. Sędzia tylko ręką machnęła i dalej ugniatała, a potem zawołał nas, żebyśmy napełnili rogi i prochownicę, no tośmy napełnili, jeden po drugim, tłocząc się przy

nim jak do komunii świętej. Kiedy każdy już wziął dla siebie, sędzia napełnił swoją prochownicę, wyciągnął rewolwery i zaczął podsypywać. Pierwsi dzicy byli ledwie o jedną ósmą mili od nas, a my już gotowi, żeby dać im łupnia, ale sędziemu ani się śniło. Zaczął strzelać w kocioł, równo raz za razem, waląc ze wszystkich dziesięciu komór. Przestrzegł nas, żebyśmy zeszli z widoku i załadował od nowa. Te wszystkie strzały pewnikiem pomieszały dzikim w głowach, bo chyba myśleli, że nie mamy ani garści prochu. Potem sędzia poszedł nad krawędź, a wziął ze sobą dobrą białą koszulę z płótna, co ją wyjął z torby, zamachał nią do czerwonoskórych i zawołał po hiszpańsku.

Rozbeczałbyś się, jakbyś go usłyszał. Oni nie żyją, wszyscy do ostatniego, tylko ja zostałem, krzyczał. Mieście litość nade mną. Todos muertos. Todos. I wymachiwał koszulą. Boże, rzucili się jak sfora psów, a sędzia odwraca się do nas, z tym swoim uśmiechem, i mówi: Panowie. Tylko tyle, nic więcej nie powiedział. Rewolwery zatknął za plecy i teraz wyciągnął jeden i drugi, obie ręce ma tak samo władne, pajak jaki czy co? Potrafi pisać obiema jednak, sam widziałem, no i zaczyna ubijać Indianców. Nie trzeba nam było większej zachęty. Boże, co to była za rzeź. Za pierwszą salwą ubiliśmy ich okrągły tuzin, ale nie mieliśmy zamiaru popuścić. Gdy już ostatni biedny czar-nuch zbiegł na dół, wśród żwiru leżało ich ukatrupionych pięćdziesięciu ośmiu. Lecieli w dół jak plewy z wialni, jedni obracali się w tę stronę, inni w tamtą, a na dole to się układali w taki

niby-łańcuch. Oparliśmy lufy na skale i załatwiliśmy jeszcze dziewięciu, którzy uciekali po magmie. Wystawieni jak kaczkę, ot co. Robiliśmy zakłady. Ostatni, cośmy go ustrzelili, był od nas dobry kawał mili, a czmychał jak zając. Celnie żeśmy sobie tego dnia poczynali, oj celnie, niby taki dziwny proch, a każdy jeden strzał to trafienie.

Ekskșiadz odwrócił głowę i spojrział na dzieciaka. To właśnie wtedy widziałem sędziego pierwszy raz. Tak, tak. Zagadkowy z niego człowiek.

Dzieciak popatrzył na Tobina. A od czego jest ten sędzia?, spytał.

Od czego?

Od czego sędzia.

Tobin zerknął przez ogień. Ejże, chłopaku, odparł, cicho bądź. Jeszcze cię usłyszy. Uszy ma jak lis.

XI

W GÓRY • STARY NIEDŹWIEDŹ • PORWANY DELAWAR

• POSZUKIWANIA

• KOLEJNA SCHEDA • W WĄWOZIE

• RUINY • KEET SEEL • SOLERETTE

• RZECZY I ICH ODWZOROWANIA

• OPOWIEŚĆ SĘDZIEGO • STRACONY MUŁ

• DOŁY PO MESKALU • NOCNA SCENA

Z KSIĘŻYCEM, KWIATAMI I SĘDZIĄ

• OSADA • GLANTON O OSWAJANIU ZWIERZĄT

• SZLAK

Zapuszczali się coraz dalej w góry, a droga prowadziła przez wysokie sosnowe lasy, z wiatrem wśród drzew i rzewnie nawołującym ptactwem. Niepodkute muły ciągnęły zygzakiem przez suchą trawę i igliwie. W żłobinach na północnych stokach wąskie warkoczki starego śniegu. Jechali serpentyną przez samotny zagajnik osikowy, gdzie na mokrym czarnym szlaku leżały strącone liście podobne do małych płatków złota. Mieniły się w białych leśnych korytarzach niczym miliony cekinów i Glanton wziął jeden, obrócił go w dłoni jak wachlarz, trzymając za szypułkę, a potem upuścił, świadom jego doskonałości. Przejechali przez wąskie wypłuczysko, pełne liści okrytych szronem, a o zachodzie słońca przebyli wysoko położone siodło, gdzie pikowały niesione wiatrem dzikie gołębie, przelatując kilka stóp nad ziemią przez rozstępy w skale, lawirując szaleńczo między kołami i spadając w błękitną otchłań poniżej. Minęli ciemny las jodłowy, a małe hiszpańskie koniki wdychały rozrzedzone

powietrze, o zmierzchu zaś, gdy wierzchowiec Glantona gramolił się przez zwalony pień, z żerowiska naprzeciwko wyłonił się chudy płowy niedźwiedź i popatrzył na jeźdźców mętnymi świńskimi ślepiami.

Koń stanął dęba, a Glanton przywarł do jego szyi i wyciągnął rewolwer. Tuż za nim znajdował się jeden z Delawarów, jego wierzchowiec bryknął do tyłu, jeździec próbował zawrócić, okładając zwierzę zaciśniętą pięścią po łbie, a niedźwiedź wyciągnął długi pysk w ich stronę w wyrazie oszołomienia, zdumiony ponad wyobrażenie, ze wstrętnym ochłapem zwisającym z paszczy, z kłami zabarwionymi krwią. Glanton strzelił. Kula trafiła niedźwiedzia w pierś, a ten nachylił się, stękając dziwnie, chwycił Delawara i ściągnął go z konia. Glanton wypalił ponownie w gęste futrzane kędziory porastające ramię, niedźwiedź zaczął się obracać, a człowiek zwisający z jego szczęk spojrział na wszystkich z góry, przytulony policzkiem do zwierzęcia, obejmując go ręką za szyję niczym szalony zdrajca w prowokacyjnym geście serdeczności. Las wypełnił się gwarem okrzyków i odgłosami uderzeń, którymi mężczyźni próbowali zmusić konie do posłuszeństwa. Glanton po raz trzeci odciągnął kurek, a niedźwiedź stał już tyłem, z Indianinem dyndającym u pyska jak lalka, otulając go morzem ubabranych krwią miodowych kłaków, odorem padliny i własną ziemistą wonią. Kula wznosiła się i wznosiła, mały rdzeń metalu przewiercający powietrze w drodze ku odległym splotom materii, i poleciała cicho na zachód ponad wszystkim. Huknęło kilka strzałów karabinowych, ale bestia pomknęła ze swoim zakładnikiem,

sadząc straszliwe susy, i przepadła wśród ciemnych drzew.

Przez trzy dni Delawarowie tropili niedźwiedzia, oddział zaś ruszył dalej. Pierwszego dnia, podążając po śladach krwi, dotarli do miejsca, w którym niedźwiedź zatrzymał się na odpoczynek i zalizał rany, nazajutrz w wysokim lesie zobaczyli ślady wleczenia zdobyczy przez runo, trzeciego dnia było już widać tylko bardzo niewyraźne znaki na kamieniach wysokiej masy, a potem nic. Szukali do zmroku, później zasnęli na nagich głazach, nazajutrz wstali i popatrzyli na dziką kamienną krainę widoczną od północy. Niedźwiedź porwał ich współplemieńca niczym jakaś legendarna bestia z baśni, ziemia zaś wchłonęła obu bez najmniejszej szansy na ratunek lub odkupienie. Odnaleźli swoje konie i zawrócili. Oprócz wiatru wszystko było nieruchome na tym wysoko położonym odludziu. Milczeli. Byli ludźmi innych czasów, bo choć nosili chrześcijańskie imiona, całe życie spędzili w dziczy, tak samo jak ich ojcowie. Wojowania nauczyli się na wojnie, pokolenie za pokoleniem spychane przez kontynent coraz dalej od wschodniego wybrzeża, od popiołów Gnadenhutten na prerie i do wrót krwawych ziem na zachodzie. Jeśli coś stanowiło tajemnicę na tym świecie, to nie jego granice, bo przecież był bezkresny i nieogarniony, chodziły po nim stworzenia jeszcze straszniejsze, ludzie innego koloru skóry i istoty, jakich człowiek dotąd nie oglądał, a jednak nic z tego nie było im bardziej obce niż własne serca, co tam największa dzicz, co tam największa bestia.

Przeციęli szlak, którym podążał oddział, i dogonili go następnego dnia przed zapadnięciem nocy. Koń porwanego wojownika stał osiodłany w caballado, tak jak go zostawili, zdjęli więc worki i podzielili między siebie jego dobytek, i nigdy więcej nie wymówili imienia tego człowieka. Wieczorem sędzia przyszedł do ogniska i usiadł z nimi, przepytał ich, narysował mapę i się jej przyjrzał. Potem wstał, podeptał mapę obcasami, a rankiem pojechali dalej jak przedtem.

Droga prowadziła wśród karłowatych dębów i ostrokrzewów przez kamienistą ziemię, gdzie na stokach stały czarne drzewa wrośnięte korzeniami w żyły skał. Jechali w słońcu przez wysoką trawę, a późnym popołudniem dotarli na skarpe, która wydawała się krańcem znanego świata. Poniżej w gasnącym świetle ćmiły równiny San Agustín, ciągnące się na północny wschód, ziemia opadała długą krzywizną, niema pod majaczącymi kłębam dymu z podziemnych pokładów węgla, płonącego od tysiąca lat. Konie ruszyły ostrożnie po krawędzi, a jeźdźcy spoglądali raz po raz na tę pradawną nagą krainę.

W dniach, które nastąpiły, jechali przez tereny, gdzie skała parzyła dłonie, a oprócz skały nie było niczego. Sunęli wąską kolumną po szlaku pokrytym wysuszonymi kozimi bobkami, odwracając twarze od skalnej ściany i buchającego od niej palącego powietrza, ukośne czarne sylwetki jeźdźców wyrysowane na kamieniu, sylwetki o ostrych, nieprzejednanych konturach, niczym formy zdolne do zerwania przymierza z ciałem, które je wydało, i samodzielnej wędrówki po nagich skałach, bez

odniesień do słońca, człowieka i boga.

Wyjechali z tej krainy przez głęboki wąwóz, stukając po kamiennych w rozszepionym, chłodnym niebieskim cieniu. Na suchym piasku na dnie arroyo stare kości i kawałki porozbijanej malowanej ceramiki, w skale nad głowami wyryte piktoqramy koni, kuguarów, żółwi i konnych Hiszpanów, w hełmach i z puklerzami, pełnych wzdryki wobec kamienia, ciszy i samego czasu. W uskokach i rozpadlinach sto stóp powyżej znajdowały się gniazda uplecione ze słomy i szczątków naniesionych przez dawne wysokie przypyływy, a z bezimiennej dali dobiegał pomruk grzmotu i jeźdźcy spoglądali na wąski skrawek nieba, wypatrując mroku zwiastującego deszcz, sunąc między ciasnymi ścianami kanionu, pośród suchych białych głazów na dnie dawnej rzeki, okrągłych i gładkich jak tajemnicze jaja.

Tej nocy obozowali w ruinach dawnej cywilizacji głęboko w kamiennych górach, w małej osadzie ze strugą czystej wody i bujną trawą. Pod nawisem skalnym stały ogrodzone zabudowania z błota i kamienia, a na dnie jaru widniały ślady po rowach nawadniających. Sypki piasek pokrywały okruchy ceramiki i szerniałe kawałki drewna, ziemię przecinały w różnych kierunkach tropy saren i innych zwierząt.

O zmierzchu sędzia obszedł ruiny, stare pomieszczenia wciąż okopcone dymem z ognisk, wewnątrz krzemienie i strzaskane gliniane garnki wśród popiołów i małych wyschniętych kaczanów kukurydzy. Przy ścianach domostw nadal stało kilka spróchniałych drewnianych drabin. Zajrzał do zrujnowanych

kivas i zabrał stamtąd trochę przedmiotów, a potem usiadł na wysokim murku i rysował w książce aż do zmroku.

Nad kanion wytoczył się okrągły księżyc, a jar spowiała głęboka cisza. Być może kojoty trzymał z dala strach przed własnym cieniem, bo nie było ich słyszeć, nie było też słyszeć wiatru ani ptaków, tylko woda szemrała cicho, płynąc po piasku w mroku poniżej ognisk.

Przez cały miniony dzień sędzia robił małe wypadki między skały jaru, do którego wjechali, i teraz rozpostarł na ziemi przy ognisku płachtę z wozu i zaczął układać i porządkować swoje znaleziska. Trzymając na kolanie książeczkę oprawioną w skórę, brał do ręki każdy kolejny przedmiot, krzemień, skorupę, narzędzie lub kość, i umiejętnie odrysowywał go w notatniku. Szkicował z łatwością i wprawą; na nagim czole nie pojawiła się żadna zmarszczka i nie ściągały się osobliwe dziecięce usta. Przesunął palcami po kawałku glinianej ceramiki, na którym odcisnęły się sploty wikliny, i oszczędnymi pociągnięciami ołówka odwzorował go w formie ładnych półcieni. Jest przecież także rysownikiem, potrafi podjąć zadanie. Od czasu do czasu podnosił wzrok na ogień, swoich towarzyszy broni albo na noc dokoła. Wreszcie postawił przed sobą trzewik ze zbroi wykutej w Toledo przed trzystu laty, małe stalowe tapadero, kruche i zmurszałe. Narysował znalezisko z boku i perspektywy, notując starannym charakterem pisma wymiary i uwagi na marginesie.

Glanton patrzył na niego. Sędzia skończył, podniósł osłonę stopy, obrócił ją w rękę i znów się jej przyjrzał, a potem zgniół

ją w kulę cynfolii i rzucił w ogień. Pozostałe przedmioty zebrał i także cisnął w płomień, wytrzepał płachtę i schował zwiniętą razem z notatnikiem do juków. A potem usiadł z rękoma ułożonymi na kolanach i wydawał się bardzo zadowolony ze światła, jakby przy jego stworzeniu zasięgnięto jego rady.

Na sędziego patrzył pewien mężczyzna z Tennessee, niejaki Webster, i teraz spytał go, po co mu te zapiski i rysowane obrazki, a on wyszczerzył się i odparł, że jego zamiarem jest usunięcie ich z ludzkiej pamięci. Webster się uśmiechnął, sędzia roześmiał. Tamten spojrzał na niego spode łba i powiedział: Był pan gdzieś rysownikiem, bo te obrazki takie dobre, że wystarczą za rzeczy. Ale żaden człowiek nie zdoła zmieścić świata na kartkach książki. Tak samo jak nie idzie w takiej wszystkiego narysować.

Słusznie powiedziane, Marcusie, odparł sędzia.

I mnie żeby pan nie rysował. Nie chcę być w pańskiej książce.

Nieważne, czy będziesz w mojej, czy w innej, rzekł sędzia. To, co ma nastąpić, ani na jotę nie różni się od księgi, w której jest zapisane. Bo jak może być inaczej? Byłaby to fałszywa księga, a fałszywa księga to nie księga.

Pan mówi wielkimi zagadkami i w słowach panu nie dorównam. Tylko niech pan trzyma moją wygarbowaną skórę z dala od swojej książki, bo ja bym nie chciał, żeby ją obcym pokazywać.

Sędzia się uśmiechnął. Bez względu na to, czy się znajdziesz w mojej książce, wiedz, że każdy człowiek to przybytek drugiego

i na odwrót, i tak dalej w nieskończonym łańcuchu istnienia i świadczenia aż po najodleglejsze krańce świata.

Ja tam wolę świadczyć sam za siebie, odparł Webster, lecz w tej samej chwili inni zaczęli mu zarzucać zarozumiałość, poza tym kto by chciał oglądać jego cholerny portret, he, he, pewnikiem doszłoby do mordobicia, jakby się ludzie cisnęli w tłumie, czekając na jego odsłonięcie, a może skończyłoby się na tym, że unurzaliby obraz w smołę i piórach, skoro brakowałoby pierwowзору. Wreszcie sędzia podniósł rękę i wezwał do opamiętania, i powiedział, że uczucia Webstera są innego rodzaju, a u ich podłoża nie leży bynajmniej próżność i że jednego razu narysował portret starego hueco, czym nieumyślnie przywiązał tego człowieka do jego własnej podobizny. Bo tamten nie spał ze strachu, że wróg ją skradnie i zbezczesci, tak udany był ten portret, i nie mógł znieść myśli, że ktoś podarłby go lub choćby dotknął, więc wyruszył z nim przez pustynię do miejsca, gdzie, jak słyszał, przebywa sędzia, i poprosił go o radę, jak ma ocalić swoją podobiznę, a sędzia zabrał go głęboko w góry i zakopali ją razem na dnie jaskini, gdzie leży do dziś, z tego co sędziemu wiadomo.

Kiedy skończył swoją opowieść, Webster splunął, otarł usta i znów na niego zerknął. Tamten, powiedział, to był jeden wielki nieuk i dziki poganin.

W rzeczy samej.

Ja to co innego.

Znakomicie, rzekł sędzia, sięgając po swój kuferek. Nie masz więc nic przeciwko rysunkowi?

Nie będę się wystawiał do żadnych portretów, powiedział Webster. Ale to wcale nie jest tak, jak pan mówił.

W oddziale zapadła cisza. Ktoś wstał, żeby doglądnąć ognia, księżyc wspiął się wyżej, malejąc nad zniszczonymi domostwami, a mały strumień wijący się po piasku na dnie doliny migotał jak tkany metal i oprócz szmeru wody nie było innych odgłosów.

Panie sędzio, co tutaj mieszkali za Indianie?

Sędzia podniósł głowę.

Ja bym powiedział, że martwe, a pan, panie sędzio?

Nie takie znowu martwe, odrzekł sędzia.

Całkiem niekiepscy z nich byli kamieniarze, trzeba przyznać. Te czarnuchy, co nastali teraz, nie dorastają im do pięt.

Nie takie znowu martwe, powtórzył sędzia. I opowiedział im drugą historię, a brzmi ona tak:

Gdy jakiś czas temu zachodnia część Alleghenów była jeszcze odludziem, mieszkał tam pewien człowiek, który wyrabiał uprząż w warsztacie przy drodze federalnej. Fach miał dobry, ale roboty mało, bo w okolicy rzadko się trafiał wędrowiec. Dlatego wkrótce nabrał zwyczaju przebierania się za Indianina i czatowania przy trakcie kilka mil od domu, by prosić o pieniądze każdego, kto się napatoczy. W tamtych czasach nikomu jeszcze krzywdy nie zrobił.

Jednego dnia nadszedł jakiś człowiek, więc rymarz, cały w koralikach i piórach, wyszedł zza drzewa i poprosił go o datek. Był to młody mężczyzna. Odmówił, a rozpoznawszy w rymarzu

białego, odezwał się do niego takimi słowy, że ten się zawstydzil i zaprosil go do swojego domu parę mil dalej.

Mieszkał w chacie z kory, którą sam zbudował, miał żonę i dwoje dzieci, a wszyscy troje uważali starego za szaleńca i tylko czekali sposobności, żeby uciec od niego i tej głuszy, do której ich sprowadził. Przywitali więc gościa, a kobieta przyrządziła mu kolację. Gdy mężczyzna się posilał, stary znowu spróbował wyłudzić od niego pieniądze, mówiąc, że rodzina jest biedna, co odpowiadało prawdzie. Wędrowiec go wysłuchał, a potem wyjął dwie monety. Stary je wziął i obejrzał dokładnie, bo nigdy wcześniej takich nie widział, i pokazał synowi, a nieznamy skończył jeść i powiedział mu, że może zatrzymać pieniądze.

Ale na tym świecie niewdzięczność to rzecz powszechniejsza, niż mogłoby się wydawać, i rymarzowi wciąż było mało, zaczął więc dawać do zrozumienia, że powinien dostać jeszcze jedną monetę dla żony. Wędrowiec odsunął talerz, obrócił się na krześle i jął go pouczać, a w tym pouczeniu stary usłyszał to, co już wiedział, ale o czym dawno zapomniał, i jeszcze dodatkowo nowe słowa. Na koniec nieznamy powiedział mu, że stracony jest i dla Boga, i dla ludzi, i tak już będzie, póki nie otworzy serca na bliźnich tak, jakby się otworzył na samego siebie, gdyby napotkał własną osobę w skrajnej potrzebie pośrodku wielkiej pustyni.

Kiedy skończył przemowę, drogą akurat nadszedł czarnuch, ciągnący karawan dla jednego ze swoich. Karawan pomalowany był na różowo, a czarnuch ubrany pstrokato jak błazen w karnawale i młody mężczyzna wskazał go, idącego drogą, i

powiedział, że nawet taki czarny czarnuch...

W tym momencie sędzia urwał. Dotąd patrzył w ogień, ale nagle podniósł głowę i się rozejrzał. Snuł opowieść, jakby recytował, i wcale nie stracił wątku. Uśmiechnął się do siedzących wkoło słuchaczy.

Powiedział, że nawet taki zbzikowany czarny czarnuch jest nie gorszym człowiekiem wśród ludzi. A wtedy wstał syn starego i zaczął wygłaszać własną mowę. Wskazał palcem na drogę i wołał, żeby zrobić miejsce dla czarnucha. Takie były dokładnie jego słowa. Zrobić miejsce. Ma się rozumieć, do tego czasu czarnuch i jego karawan zniknęli im z oczu.

Na to stary znów okazał skruchę, zaklinając się, że chłopak ma słuszość, a siedząca przy ogniu stara kobieta słuchała tego wszystkiego z wielkim zdumieniem i kiedy gość oznajmił, że pora się pożegnać i ruszać dalej, prawie się rozplakała, a mała dziewczynka wybiegła zza łóżka i uczepiła się jego rękawa.

Stary zaofiarował się, że odprowadzi go kawałek, wyprawi w dalszą wędrowną i pokaże, gdzie trzeba skrócić na rozstajach, bo trudno o znaki przydrożne w tej okolicy.

Po drodze rozmawiali o życiu w tak dzikim miejscu, gdzie widuje się ludzi tylko raz i już nigdy więcej, i wkrótce dotarli do rozstajów i wędrowiec podziękował staremu, że towarzyszył mu tak daleko. Pożegnali się i nieznajomy ruszył w swoją stronę. Jednak rymarz najwyraźniej nie mógł znieść rozstania, bo zawołał go i dogonił, żeby przejść z nim dodatkowy kawałeczek.

I wkrótce doszli do zakątka, skąd droga wiodła przez głęboki ciemny las, i tam właśnie stary zabił wędrowca. Zabił go kamieniem, zabrał mu ubranie, zabrał zegarek i pieniądze i zako-
pał go w płytkim grobie przy trakcie. A potem ruszył do domu.

Po drodze podarł na sobie koszulę i poranił się krzemieniem, a żonie powiedział, że napadli ich rabusie i zamordowali młodego wędrowca, on sam zaś zdołał ująć z życiem. Kobieta zapłakała, a po pewnym czasie kazała się zaprowadzić na miejsce napaści i narwała dzikich pierwiosnków, których rosło w bród dokoła, położyła kwiatki na kamieniach i wracała tam potem wiele razy aż do późnej starości.

Rymarz dożył sędziwych lat, gdy jego syn był już dorosły, i nigdy więcej nikogo nie skrzywdził. Kiedy leżał na łożu śmierci, przywołał go i wyznał swój postępek. Syn powiedział, że mu wybacza, jeżeli jego rzeczą jest wybaczyć, a starzec odparł, że owszem, jego jest rzeczą, i skonał.

Ale chłopak nie czuł żalu, bo zazdrosny był o zabitego i zanim poszedł w świat, odszukał to miejsce, odwalił kamienie, wygrzebał kości i rozrzucił je po lesie, a dopiero potem sobie poszedł. Ruszył na zachód i sam został zabójcą.

Stara kobieta jeszcze wtedy żyła i nic nie wiedziała o tym, co zaszło, pomyślała więc, że to dzikie zwierzęta odgarnęły kamienie i rozwłóczyły kości. Ułożyła z powrotem wszystkie, które udało się jej znaleźć, okryła grób i przysypała kamieniami, i znów nosiła tam kwiaty jak dawniej. Kiedy zrobiła się bardzo

stara, mówiła ludziom, że to jej syn jest tam pogrzebany i wtedy być może już tak było.

W tym momencie sędzia podniósł wzrok i się uśmiechnął. Najpierw zapadła cisza, a potem wszyscy zaczęli się przekrzykiwać, żeby sprostować.

Nie rymarz żaden to był, tylko szewc, i oczyszczono go ze wszystkich zarzutów, zawołał jeden.

A drugi: Nigdy nie mieszkał w głuszy, przecież miał warsztat w samym sercu Cumberland w Marylandzie.

Nikt nie umiał powiedzieć, skąd się tam wzięły te gnaty. Stara była wariatką, wiadoma to rzecz.

W tej trumnie leżał mój brat, śpiewak i tancerz z Cincinnati w Ohio, co dostał kulkę w awanturze o babę.

I jeszcze inne słowa sprzeciwu, póki uniesionymi rękoma sędzia nie nakazał milczenia. Zaczekajcie no, powiedział. Jest dopisek do tej opowieści. Na wędrowca, z którego kośćmi już się obznajomiliśmy, czekała narzeczona, a w łonie nosiła dziecko, którego był ojcem. Syn ten znajduje się w niekorzystnym położeniu, bo ma ojca, którego istnienie na tym świecie z faktu stało się domysłem, jeszcze zanim sam przyszedł na ten świat. Przez całe życie próbuje doścignąć wzór doskonałości, ale nijak mu nie dorówna. Martwy ojciec wydziedziczył syna. Bo to do śmierci ojca syn ma tytuł i śmierci tej jest spadkobiercą w większej mierze niż jego majątku. Nigdy się nie dowie o małych nędznych zasadach, które utemperowały tego człowieka, gdy żył. Nie zobaczy, jak ojciec szamocze się w dylematach własnego autorstwa. Nie. Świat, który odziedziczył, daje mu fałszywe

świadełstwo. Jest pogiębiony przed obliczem zimnego boga i nigdy nie odnajdzie swojej drogi.

Prawda o jednym człowieku, powiedział sędzia, to prawda o innych. Lud, który dawniej tu żył, nazywał się Anasazi. Najstarszy lud. Odeszli stąd, wygnani przez suszę, choroby albo włóczące się bandy maruderów, wiele stuleci temu zniknęli i pograżyli się w mrokach niepamięci. Po tej krainie krążą pogłoski i duchy, a obdarzane są wielką czcią. Narzędzia, sztuka, budowle — rzeczy te to osąd nad późniejszymi rasami. Mimo to nie ma nic, czego można by się chwycić. Starzy odeszli jak widma, a dzicy włóczą się dziś po tych kanionach przy wtórze dawnego śmiechu. Kucają po ciemku w swych prymitywnych chatach, zasłuchani w strach sącący się ze skał. Wszelki ruch z porządku wyższego ku niższemu znaczą ruiny, tajemnica i osad bezimiennego gniewu. Tak. Tutaj są martwi ojcowie. Ich duch jest zakuty w skale. Przygniata tę krainę taką samą wszechobecnością. Bo ten, kto buduje dla siebie schronienie z gałęzi i zwierzęcych skór, zaprzął swego ducha do wspólnego przeznaczenia wszystkich stworzeń i ze słabowitym okrzykiem na powrót osunie się w pierwotne błoto. Ten zaś, kto buduje z kamienia, pragnie odmienić porządek wszechświata, i tak się rzecz miała z tymi kamieniarzami niezależnie od tego, jak prostackie może się nam wydawać ich dzieło.

Nikt się nie odezwał. Sędzia siedział półnagi i spocony, choć noc była chłodna. Wreszcie eksksjusz Tobin podniósł głowę.

Zastanawia mnie, powiedział, że obaj synowie po równo są pokrzywdzeni. Jak więc wychować dziecko?

Już od pierwszych lat, odparł sędzia, należy wrzucać dzieci do dołu ze wściekłymi psami. Aby z właściwych wskazówek wyrozumowały, za którymi z trojga drzwi nie kryją się dzikie lwy. Należy zmusić je do biegania nago po pustyni, póki nie...

Jedną chwileczkę, przerwał Tobin. Pytanie zadane było z pełną powagą.

I tak samo udzielana jest odpowiedź, rzekł sędzia. Gdyby Bóg chciał się wtrącać w upadek ludzkości, to czy już dawno by tego nie zrobił? Chłopie, przecież wilki eliminują chore sztuki ze swego stada. Jakie inne stworzenie mogłoby tak robić? A czy człowiek nie jest bardziej drapieżną istotą niż wilk? Dola świata to wzrosnąć, rozkwitnąć i obumrzeć, ale sprawy ludzkie nie znają schyłku i szczyt możliwości człowieka zapowiada nadzieje nocy. Jego duch wyczerpuje się w apogeum dokonań. Jego południk to zarazem mrocznienie i zmierzch jego dnia. Uwielbia gry? Niechaj więc gra na stawki. To, co tutaj widzicie, te ruiny, które wprawiają w zdumienie plemiona dzikusów, myślicie, że zostaną odbudowane? A pewnie. A potem znowu. Z innym ludem, z innymi synami.

Sędzia popatrzył dokoła. Ubrany tylko w spodnie, siedział przy ognisku i trzymał dłonie na kolanach. Zamiast oczu miał puste otwory w głowie. Nikt z oddziału nie wiedział, co oznacza ta postawa, ale w tej siedzącej pozycji tak się upodobił do ikony,

że stali się ostrożni i szeptali między sobą bardzo powściągliwie, jakby nie chcieli zbudzić śpiącego licha.

* * *

Następnego wieczoru, gdy dotarli na krawędź od zachodu, stracili jednego muła. Stoczył się w dół po ścianie kanionu, a zawartość koszów wyleciała bezgłośnie w gorące suche powietrze. Spadał w słońcu i cieniu, obracając się w samotnej pustce, aż zniknął w zimnej niebieskiej przestrzeni, która odarła go ze wspomnień w umyśle wszelkiej żywej istoty. Glanton osadził konia i spojrzął uważnie w nieubłaganą otchłań. Ze skał w dole poderwał się kruk. Zakrakał i zakołował. W ostrym świetle nagą ścianę skalną pokrywały dziwne rysy, a na tym nawisie jeźdźcy wydawali się bardzo mali nawet we własnych oczach. Glanton zerknął szybko w górę, jakby na nieskalanym porcelanowym niebie było coś wymagającego sprawdzenia, a potem trącił piętami konia i ruszyli.

Gdy w następnych dniach ciągnęli przez wysoko położoną mesę, natknęli się na wypalone doły, w których Indianie gotowali meskal. Jechali też przez dziwaczne lasy maguey — inaczej agawy, kantali — o ogromnych kwitnących łodygach, które sterczały w pustynnym powietrzu na wysokość czterdziestu stóp. Każdego ranka, gdy siodłali konie, spoglądali na blade góry na północy i zachodzie, wypatrując dymu. Nic. Zwiadowcy wyruszyli wcześniej, znikali w mroku przed wschodem słońca i wracali dopiero po zmierzchu, odnajdując obozowisko na tym nieznanym mapom odludziu w najbledszej poświacie gwiazd

albo nawet w najczarniejszej ciemności, w której oddział siedział pośród skał, bez ognia i chleba, w przyjaźni nie większej niż u stadnych małą. Kucali w milczeniu, jedli surowe mięso zwierząt upolowanych przez Delawarów z luków na równinie i spali wśród kości. Nad czarnym zarysem gór ukazał się jabłkowaty księżyc, przyćmiewając światłem gwiazdy na wschodzie, a na pobliskiej grani wiatr poruszał kwiatami juki i nocą z jakichś podziemnych rejonów świata nadleciały nietoperze, i zawieszane na skórzanych skrzydłach niczym ciemne diabelskie kolibry żywiły się z kielichów tych kwiatów. Tuż obok, wyżej na półce skalnej z piaskowca, siedział sędzia, błądy i nagi. Podniósł rękę i nietoperze odfrunęły w popłochu, a potem ją opuścił i siedział jak przedtem, wkrótce zleciały się więc z powrotem do kwiatostanów.

* * *

Glanton nie zamierzał zawrócić. Brał w rachubę największą przebiegłość nieprzyjaciół. Mówił o zasadzkach. Nawet on, mimo całej swej pychy, nie sądził, że oddział dziewiętnastu mężczyzn ogołocił obszar dziesięciu tysięcy mil kwadratowych z wszelkich żywych istot ludzkich. Dwa dni później zwiadowcy wrócili po południu i zameldowali o znalezieniu porzuconej osady Apaczów, ale nie chciał do niej wjechać od razu. Obozowali na mesie i rozpaliwszy dla zmyłki ogniska, przeleźli całą noc z karabinami w rękę na tym kamienistym uroczysku. Rankiem wyłapali konie i zjechali do dzikiej doliny usianej chatynkami i popiołem po ogniskach. Zsiedli z koni i ruszyli między

szalasy, kruche budowle z młodych drzewek i chwastów za-
tkniętych w ziemię i wygiętych u góry, na które narzucono
strzępy skóry albo stare koce. Ziemię pokrywały kości i odłam-
ki krzemienia i kwarcytu, zobaczyli też kawałki dzbanów, stare
kosze, połamane kamienne moździerz, stare otwarte strąki
jadłoszynu, dziecięcą lalkę ze słomy i strzaskane prymitywne
skrzypki z jedną struną, i jeszcze fragment naszyjnika z wysu-
szonych pestek melona.

Prawie żaden szalas nie był na tyle wysoki, by mogli w nim
stać. Wejścia sięgały do pasa i zwrócone były na wschód.
Ostatniego, do którego weszli Glanton i David Brown, bronił
wielki wredny pies. Brown wyciągnął rewolwer zza pasa, ale
Glanton go powstrzymał. Przykłęknął i przemówił do zwierzę-
cia. Pies przywarł do tylnej ściany, obnażając kły, kiwając łbem
na boki i tuląc uszy.

Chapnie cię, ostrzegł Brown.

Przynieś mi kawałek ścierwa.

Przykucnął, mówiąc do psa. Pies patrzył na niego.

Nie obłaskawisz tego skurkowańca, powiedział Brown.

Mogę obłaskawić każde zwierzę, które musi jeść. Przynieś
mi kawałek ścierwa.

Gdy Brown wrócił z suszonym mięsem, pies zaczął się roz-
glądać niepewnie. A kiedy ruszyli z kanionu na zachód, dreptał
przy nodze konia Glantona, lekko utykając.

Podążyli po kamieniach starym szlakiem i dalej przez wyso-
ką przełęcz, z mułami wspinającymi się po półce skalnej jak

kozice. Glanton prowadził swojego konia, nawołując pozostałych, i nastąpiła ciemność, spowił ich mrok, gdy rozciągnięty oddział posuwał się wzdłuż uskoku w ścianie urwiska. Powiódł ich złorzeczających przez najgęstsze ciemności, ale droga u góry tak się zwęziła i podłoże stało się tak zdradliwe, że musieli się zastrzymać. Delawarowie wrócili piechotą, zostawiwszy wcześniej konie na przełęczy, a Glanton zagroził im, że jeżeli oddział zostanie zaatakowany w tym miejscu, to ich zastrzeli.

Każdy z nich noc spędził pod nogami swego wierzchowca, stojącego między pionową ścianą a pionową przepaścią. Glanton siedział na czele kolumny z rewolwerami przed sobą. Obserwował psa. Rankiem podnieśli się i ruszyli dalej, zabierając pozostałych zwiadowców z końmi na szczycie przełęczy, a potem znów wysłali ich do przodu. Tego dnia jechali bez końca przez góry i jeśli Glanton w ogóle spał, to nikt tego nie zauważył.

Delawarowie ocenili, że osada stała opuszczona od dziesięciu dni, a małe grupki Gileños uciekły wszelkimi możliwymi drogami. Nie zostały żadne ślady, którymi można było podążać. Oddział jechał gęsiego przez góry. Zwiadowców nie było przez dwa dni. Trzeciego dnia wrócili do obozu na koniach zajeżdżonych prawie na śmierć. Rankiem zobaczyli ogień na wąskiej niebieskiej mesie pięćdziesiąt mil na południe.

XII

- PRZEZ GRANICĘ • BURZE • LÓD I BŁYSKAWICA
 - POMORDOWANI POSZUKIWACZE ZŁOTA
- AZYMUT • PUNKT ZBORNY • NARADY WOJENNE
 - RZEŹ GILEÑOS • ŚMIERĆ JUANA MIGUELA
 - TRUPY W JEZIORZE • WÓDZ
 - DZIECKO APACZÓW • NA PUSTYNI
 - OGNIE NOCĄ • EL VIROTE • ZABIEG
 - SĘDZIA BIERZE SKALP • UN HACENDADO
 - GALLEGO • CIUDAD DE CHIHUAHUA

Przez następne dwa tygodnie jechali nocą i nie palili ognisk. Odbili podkowy z końskich kopyt, a dziury po podkowiakach zapchali gliną. Ci, którzy nadal mieli tytoń, spluwali do kapciuchów i wszyscy spali w jaskiniach i na gołych kamieniach. Przejeżdżali po śladach własnych stóp, zakopywali swoje odchody jak koty i rzadko się odzywali. Sunąc przez te jałowe żwirowe rafy, wydawali się dalecy i odcieleśnieni. Jak patrol skazany na służbę prawnikową kłatwą. Jak rzecz, której obecność w mroku odgadniona zostaje po skrzypnięciu skóry i brzęku metalu.

Poderżnęli gardła zwierzętom jucznym, porwali i podzielili między siebie mięso i wędrowali szeroką sodową równiną pod kapą dzikich gór, a z południa docierały suche grzmoty i odpryski światła. Pod garbatym księżycem koń i jeździec przytroczeni byli do własnego cienia na białoniebieskim stepie i z każdym migotem błyskawicy zwiastującej nadciągającą burzę formy te powielają się w akcie straszliwego nadmiaru jak trzeci aspekt

ich obecności, czarny i dziki — wykuty na nagiej ziemi. Jechali. Jechali jak ludzie mający wytyczony cel przed swych narodzin, jak spadkobiercy nakazu, który jest równie nieodwołalny, co odległy. Bo choć żaden nie bratał się z drugim, pospołu tworzyli coś, czego nigdy nie było, a w ich zbiorowej duszy kryły się pustkowiec niezbadane prawie tak samo jak wyblakłe regiony na starych mapach, gdzie żyją monstra i prócz domyślnych wiatrów nie ma żadnych form znanego świata.

Przecięli del Norte i podążyli na południe w głąb jeszcze bardziej nieprzyjaznej krainy. Przez cały dzień siedzieli w kucki jak sowy w cieniu rachitycznej akacji i patrzyli na skwierczący świat. Na widnokręgu unosiły się demony kurzu niczym dym z dalekich ognisk, a wokół nie było żadnej żywej istoty. Zerkali na wędrujące słońce, a o zmierzchu, kiedy niebo na zachodzie stało się krwistoczerwone, ruszyli na stygnącą równinę. Zatrzymali się u studni i pili łeb w łeb razem ze swoimi końmi, potem dosiedli ich znowu i pojechali dalej. W ciemności ujadały małe wilki pustynne, a pies Glantona truchtał pod brzuchem jego wierzchowca, stawiając łapy dokładnie między kopytami.

Nocą nawiedziła ich plaga gradu, który spadł z nieskazitelnego nieba, i konie zaczęły się płoszyć i rzeć, mężczyźni zaś usiedli na ziemi, trzymając siodła nad głowami, a gradowe kulki skakały po piasku jak małe przezroczyście jajeczka, stworzone przez alchemika z ciemności spowijającej pustynię. Gdy wreszcie osiodłali konie i ruszyli dalej, przez wiele mil jechali po

lodowym bruku, a nad krańcami świata ukazał się polarny księżyc jak oko ślepego kota. Nocą minęli światła osady na równinie, nie zбочyli jednak z kursu.

Z nadejściem dnia zobaczyli ognie na horyzoncie. Glanton wysłał Delawarów na zwiad. Słoneczna gwiazda jarzyła się blade na wschodzie. Delawarowie wrócili i przykucnęli z Glantonem, sędzią i braćmi Brown, rozmawiali, gestykulowali, a potem wszyscy dosiedli koni i ruszyli w drogę.

Pośrodku pustyni dopalało się pięć wozów. Jeźdźcy zeskończyli z wierzchowców i zaczęli chodzić w milczeniu między ciałami zabitych poszukiwaczy złota, zwykłych pielgrzymów, którzy leżeli teraz bezimienni pośród kamieni, ze straszliwymi ranami, z wnętrzościami wyłazącymi z boków, nagie tułowia najeżone strzałami. Sądząc po brodach, przynajmniej kilku było mężczyznami, między nogami mieli jednak dziwne męstrualne rany i najemnicy nie zobaczyli ani jednego, któremu nie odcięto by przyrodzenia i nie wepchnięto, ciemnego i dziwnego, do rozciągniętych ust. Leżeli w perukach z zakrzepłej krwi, patrząc małpimi oczami na brata słońce, wstającego na wschodzie.

Z wozów zostały już tylko zwęglone kształty, wzmocnione poczerniałymi żelaznymi pierścieniami i obręczami, a rozżarzone do czerwoności osie kół drżały w grząskim popiele. Jeźdźcy przysiedli przy ogniu, ugotowali wodę, napili się kawy, upiekli mięso i położyli się spać wśród zmarłych.

Wieczorem oddział ruszył dalej, zdążając znów na południe. Ślady morderców ciągnęły się na zachód, ale byli nimi biali,

którzy atakowali podróżnych na tym odludziu, pozorując napady dzikusów. Ludzi podejmujących ryzykowne przedsięwzięcia trapi myśl o przypadku i przeznaczeniu. Jak powiedziano, wędrówka poszukiwaczy złota zakończyła się wśród popiołów, a w punkcie zetknięcia się dróg na środku tego pustkowia, gdzie serca i starania jednej małej wspólnoty pożarte zostały i unicestwione przez inną, eksksjadz spytał, czy ktoś nie mógłby się w tym dopatrzeć ręki cynicznego boga, z jakże wielką niewzruszonością i drwiną krzyżującego ludzkie ścieżki. Obecność świadków z trzeciego albo czwartego szlaku może być z kolei poczytana za dowód działania zwykłego przypadku, ale sędzia, który ponaglił konia, żeby zrównać się z filozofującymi, odparł, że w tym właśnie wyraża się sama natura świadectwa, a ich pobyt tutaj jest sprawą nie trzecio-, lecz nadrzędną, bo czy można powiedzieć, że dzieje się cokolwiek uchodzącego uwagi?

O zmierzchu Delawarowie wysforowali się do przodu i kolumnę poprowadził Meksykanin John McGill, który od czasu do czasu zeskakiwał z siodła, żeby położyć się płasko na ziemi i wypatrywać na tle nieba jadących przed nim zwiadowców, potem dosiadał konia w biegu, nie zatrzymując oddziału, który sunął z tyłu. Posuwali się jak koczownicy pod wędrującą gwiazdą, a delikatna arkatura ich śladów na piasku odzwierciedlała ruchy samej Ziemi. Na zachodzie zwały chmur piętrzyły się nad górami jak ciemny namuł z firmamentu, a nad głowami jeźdźców wisiały w bezmiernej pustce rozgwieżdżone otchłanie galaktyk.

Dwa dni później Delawarowie wrócili z porannego zwiadu i zameldowali, że Gileños obozują nad brzegiem płytkiego jeziora oddalonego o niespełna cztery godziny jazdy na południe. Mieli ze sobą kobiety i dzieci, a było ich wielu. Glanton odłączył się od narady i przez długi czas stał pośrodku pustyni, patrząc w ciemność.

Przysposobili broń, rozładowując i ładując ją z powrotem. Mówili przyciszonymi głosami, choć pustynia rozpościerała się dokoła jak wielki jałowy talerz drżący w upale. Po południu pododdział zaprowadził konie do wodopoju, a potem wrócił, a z zapadnięciem zmroku Glanton i jego porucznicy pojechali za Delawarami, żeby podejrzeć pozycje nieprzyjaciela.

Pozostali wbili kij we wzniesienie na północ od obozowiska i ustawili go wzdłuż boku Wielkiego Wozu, po czym Toadvine i Vandiemender dali rozkaz do wymarszu, ruszyli więc wszyscy za tamtymi na południe, skrępowani pętami najsurowszego przeznaczenia.

W ostatnich chłodnych godzinach nocy dotarli na północny kraniec jeziora i skierowali się wzdłuż brzegu. Woda była bardzo czarna, na piasku leżały resztki piany, słyszeli kaczki kwaczące na jeziorze. W dole widzieli półkole żaru z obozowych ognisk niczym światła dalekiego portu. A z przodu na tym odludnym brzegu siedział na koniu samotny jeździec. Był to jeden z Delawarów. Zawrócił bez słowa, a oni pojechali za nim przez zarośla na pustynię.

Oddział zaczął się w wierzbowym zagajniku pół mili od obozu nieprzyjaciół. Zakryli koniom łby derkami i zakapturzone

wierzchowce stały teraz z tyłu, wyprężone jak na warcie. Nowo przybyli zeskoczyli z koni, przywiązali je i usiedli na ziemi, a Glanton przemówił:

Mamy godzinę, może trochę więcej. Kiedy tam nadjedziemy, każdy troszczy się o własną skórę. Wytluc wszystko do ostatniego kundla.

Ilu ich jest, John?

A ty co, żeś się w tartaku nauczył gadać szeptem?

Wystarczy dla każdego, odparł sędzia.

Nie marnować prochu ani kul na tych, co nie mogą do nas strzelać. Jak nie wybijemy czarnuchów do ostatniego, zasługujemy na to, żeby nas wybatożono i odesłano do domu.

Na tym skończyła się narada. Godzina, która potem nastąpiła, była długa. Podprowadzali zakapturzone konie i stawali. W oddali widzieli obozowisko, ale obserwowali widnokrąg na wschodzie. Zawołał ptak. Glanton odwrócił się do swojego wierzchowca i ściągnął z niego kaptur jak sokolnik o poranku. Zerwał się wiatr, a koń podniósł łeb i wciągnął powietrze w nozdrza. Pozostali mężczyźni poszli za przykładem dowódcy. Derki leżały tam, gdzie upadły. Dosiedli koni, z rewolwerami w dłoniach, z nadgarstkami oplecionymi rzemieniami maczug z surowej skóry i kamieni rzecznych, przypominających rekwizyty w jakichś prymitywnych zawodach hippicznych. Glanton spojrział przez ramię na swoich ludzi, a potem szturchnął konia.

Gdy ruszyli kłusem po białym solnym brzegu, z krzaków wyłonił się starzec, który tam przykucnął. Odwrócił się w ich

stronę. Psy, czekające, żeby upomnieć się o jego odchody, skoczyły, ujadając. Z jeziora poderwały się kaczki, pojedynczo i parami. Ktoś powalił starca ciosem maczugi, jeźdźcy dźgnęli końskie boki ostrogami i najechali kawalkadą na obozowisko, przed nimi psy, maczugi świszczące w powietrzu, psy wyjące niczym w jakiejś piekielnej scenie łowieckiej, dziewiętnastu awanturników atakujących osadę, w której spało z górą tysięcy dusz.

Glanton przejechał przez pierwszy szałas, tratując jego mieszkańców. Z niskich wejść umykały postacie. Jeźdźcy przemknęli przez obóz w pełnym galopie, zawrócili i znowu natarli. Wojownik zastąpił im drogę, nastawiając włócznię, ale Glanton go zastrzelił. Nadbiegło trzech innych, pierwszych dwóch Glanton zabił strzałami oddanymi tak szybko, że runęli w tej samej sekundzie, a trzeci rozpadł się w biegu, trafiony półtuzinem kul.

Zaledwie w ciągu minuty rozpętała się powszechna rzeź. Kobiety i dzieci wrzeszczały, przytruchtał starzec wymachujący parą białych gaci. Wpadłszy między nich, jeźdźcy zabili wszystkich maczugami i nożami. Setka uwiązanych psów wyła, inne miały się między szałasami, kłusząc w szale siebie nawzajem i te, które przywiązano. Wrzawa i zamęt nie ustawały ani nie słabły od chwili ataku. Płonęły pierwsze szalasy, a kolumna uciekających już ciągnęła na północ wzdłuż brzegu, zawodząc płacząco, wśród nich napastnicy niczym pasterze w stadzie, rozbijając czerepy maruderom.

Glanton i jego oficerowie zawrócili do wioski, ludzie umykali spod kopyt, konie parły naprzód, niektórzy jeźdźcy uwijali się już z pochodniami między szałasami i wyciągali z nich ofiary, umazane i broczące krwią, dobijając konających i ucinając głowy tym, którzy klękali, żeby błagać o zmiłowanie. W obozie przetrzymywano grupkę meksykańskich niewolników, którzy nadbiegli teraz, wołając po hiszpańsku, ale padli od maczug i kul, a jeden z Delawarów wyłonił się z dymu, trzymając w dłoniach dwoje dyndających nagich niemowląt, przykucnął nad kamiennym kręgiem i chwyciwszy dzieci za nóżki, zamachnął się jednym, potem drugim i roztrzaskał im główki o kamienie, aż spod ciemiaczek krwawą miazgą bryznęły mózgi, tymczasem dokoła miotali się płonący ludzie, wrzeszcząc jak opętani, jeźdźcy zakłuwali ich ogromnymi nożami, przybiegła młoda kobieta i objęła rękoma zakrwawione przednie nogi rumaka, którego dosiadał Glanton.

Z rozproszonej remudy wyłonił się mały oddział konnych wojowników. Natarli na wioskę i wśród płonących szałasów zagrzechotał grad strzał. Glanton wyciągnął karabin z futerału, trafił konie dwóch pierwszych Indian, schował karabin, wyszarpnął rewolwer z kabury i zaczął strzelać między uszami swojego wierzchowca. Wojownicy skłębili się dokoła padłych i wierzgających koni, miotali się w kręgu, ginąc od kul jeden po drugim, aż wreszcie tuzin ocalałych zawrócił i popędził wzdłuż jeziora, obok kolumny jęczących uciekinierów, niknąc w ruchomej ścianie sodowego pyłu.

Glanton obrócił konia. Jedni zabici dryfowali w płytkiej wodzie jak ofiary morskiej katastrofy, inni leżeli pokotem na słonym brzegu w strugach krwi i pośród splotów trzewi. Jeźdźcy wyciągali ciała z czerwonego jeziora, a piana, która lekko obmywała piasek, miała jasnorożowy kolor w świetle wstającego słońca. Kręcili się wokół zabitych, ścinając nożami plon czarnych włosów, zostawiając ofiary z nagimi czaszkami, które wyglądały jak osobliwe krwawe czepce. Konie z zagrody przegalopowały przez buchający oparami brzeg i zniknęły w kłębach dymu, a po chwili przybiegły z powrotem. Jeźdźcy brodzili w czerwonych wodach, dźgając bezmyślnie zmarłych, inni leżeli na brzegu, spółkując z padłymi od maczug lub konającymi młodymi kobietami. Nadszedł jeden z Delawarów, niosąc kiść odciętych głów, jak jakiś dziwny handlarz w drodze na targ, włosy owinięte wokół przegubu, głowy obracające się i dyndające razem. Glanton zdawał sobie sprawę, że za każdą chwilę zwłoki na tej ziemi nieuchronnie dostaną potem odpłatę na pustyni, jeździł więc dokoła, ponagłając swoich ludzi.

Zza trzaskającego ognia wyłonił się McGill i stanął, patrząc posepnie na roztaczającą się wokół scenę. Został przebity włócznią, której drzewce trzymał przed sobą. Była zrobiona z łodygi dasylirionu i przywiązanej starej kawaleryjskiej szabli, której zakrzywione pióro sterczało z pleców Meksykanina. Dzieciak wylazł z wody i podszedł, a McGill usiadł ostrożnie na piasku.

Odsuń się, rozkazał Glanton.

McGill odwrócił się, żeby na niego spojrzeć, i w tej samej chwili dowódca opuścił rękę z rewolwerem i przestrzelił mu głowę. Włożył rewolwer do olstra, przysunął trzymany pionowo pusty karabin do siodła, przycisnął go kolanem i wyspał porcję prochu do lufy. Ktoś krzyknął. Wierzchowiec zadrżał i cofnął się o krok, lecz Glanton przemówił do niego łagodnie, owinął dwie kule i załadował. Obserwował wzniesienie na północy, gdzie na tle nieba czerniła się grupa Apaczów na koniach.

Znajdowali się w odległości ćwierci mili, pięciu lub sześciu, a ich okrzyki brzmiały słabo i żałośnie. Glanton oparł karabin na zgięciu ręki, założył jeden kapiszon, obrócił lufy i założył drugi, cały czas wpatrzony w Apaczów. Webster zsunął się z konia, wyjął stempel, przyklęknął na jedno kolano, wbił stempel w piach na sztorc i oparł karabin czółenkiem o pięść, którą na nim zacisnął. Broń miała przyspiesznik podwójnego spustu. Odciągnął tylny cyngiel i przyłożył kolbę do policzka. Uwzględnił siłę wiatru, blask słońca po drugiej stronie srebrnej muszki, dodał wysokości i wypalił. Glanton siedział nieruchomo. W pustej przestrzeni rozległ się głuchy, martwy trzask, uniosła się smuga dymu. Przywódca grupy na wzniesieniu osadził wierzchowca. A potem zachwiał się w siodle i runął na ziemię.

Glanton wydał okrzyk radości i zaszarżował. Czterech mężczyzn ruszyło za nim. Wojownicy na pagórku zeskoczyli z koni, żeby podnieść rannego. Glanton obrócił się w siodle, nie spuszczać wzroku z Indian, i podał karabin najbliższemu jeźdźcowi.

Był nim Sam Tate, który odebrał broń i tak ostro osadził konia, że zwierzę o mało się nie wywróciło. Glanton gnał z pozostałymi trzema, a Tate oparł karabin na stemplu, przykucnął i strzelił. Koń, na którym posadzono rannego wodza, potknął się, ale pędził dalej. Tate obrócił lufy, wystrzelił drugi raz i zwierzę zaryło w ziemię. Apacze zahamowali, krzycząc przenikliwie. Glanton nachylił się i zaszeptał swemu rumakowi do ucha. Indianie wsadzili wodza na grzbiet innego wierzchowca i znów ruszyli, okładając końskie zady. Glanton wyciągnął rewolwer i zamachał nim do jadących za nim ludzi, a wtedy jeden zatrzymał się, zeskoczył na ziemię, padł płasko na brzuch, wy dobył i odbezpieczył rewolwer, zdjął pobjczyk, wbił go w piach, chwycił broń oburącz i wycelował, z podbródkiem zagrzebanym w ziemi. Uciekający znajdowali się w odległości dwustu jardów. Po drugim strzale koń wodza wierzgnął, a wojownik, który z nim jechał, wyciągnął ręce, żeby przejąć cugle. Próbowali w pędzie zdjąć wodza z trafionego zwierzęcia, gdy nagle padło.

Glanton pierwszy dopadł umierającego. Uklękawszy, tulił tę obcą, barbarzyńską głowę na udach niczym makabryczny pielęgniarz z jakiegoś koszmaru, odpędzając pozostałych Indian rewolwerem. Krążyli przez chwilę po równinie, potrząsając łukami, puszczać parę strzał w jego kierunku, a potem zawrócili i odjechali. Z piersi wodza buchała krew. Skierował do góry gasnące oczy, które już się zaszklily, naczynia włosowate pękały. W obu tych ciemnych kałużach pływało idealne małe słońce.

Glanton wrócił do obozu na czele małego oddziału, z głową wodza uwiązaną u pasa za włosy. Mężczyźni nawijali skalpy na rzemienie, a część zamordowanych miała wycięte na plecach wielkie płyty skóry, z których zamierzano zrobić pasy i uprząż. Zabity Meksykanin McGill został oskalpowany, krwawe czaszki już czerniały w słońcu. Większość szałasów doszczętnie spłonęła, a ponieważ znaleziono trochę złotych monet, kilku jeźdźców rozkopywało nogami dymiące popioły. Glanton skłął ich, po czym wziął włócznię i zatknął na niej głowę wodza, aż kiwała się i podrygiwała jak tykwa w karnawale, i jeździł dokoła, skrzykując wszystkich, nawołując, żeby zagnali konie i ruszali w drogę. Zawrócił i zobaczył sędziego, siedzącego na ziemi. Sędzia zdjął kapelusz i pił wodę ze skórzanego bukłaka. Spojrzał na Glantona.

To nie on.

Co nie on?

Sędzia ruszył podbródkiem. No, tamten.

Glanton przekreślił drzewce. Głowa z długimi ciemnymi kosmykami obróciła się twarzą do niego.

A kto to według ciebie, jak nie on?

Sędzia wzruszył ramionami. To nie Gómez. Znów wskazał podbródkiem trofeum. Ten dżentelmen to sangre puro. A Gómez to Meksykanin.

Ale nie czysty Meksykanin.

Nie można być czystym Meksykaninem. Tak jak nie można być czystym kundlem. To nie Gómez. Widziałem Gómeza i to nie on.

A ujdzie jako on?

Nie.

Glanton spojrział na północ. A potem na sędziego. Nie widziałeś mojego psa?

Sędzia pokręcił głową. Zamierzasz gnać to stado?

Tak, chyba że ktoś mi je zabierze.

To może nastąpić bardzo szybko.

Może i tak.

Ile czasu według ciebie potrzeba dzikusom, żeby się pozbiierać?

Glanton splunął. To nie było pytanie, więc nie odpowiedział. Gdzie twój koń?

Przepadł.

Jak chcesz się zabrać z nami, to lepiej szybko znajdź sobie nowego. Spojrział na głowę na kiju. Byłeś jakimś cholernym wodzem, powiedział. Stuknął wierzchowca piętami i ruszył wzdłuż skraju wody. Delawarowie brodzili w jeziorze, szukając stopami utopionych ciał. Zatrzymał się na chwilę, a potem obrócił konia i przejechał przez splądrowane obozowisko. Jechał ostrożnie, z rewolwerem przy udzie. Trzymał się śladów ciągnących z pustyni, stamtąd, skąd przybyli. Kiedy wrócił, miał skalp starca, który o świcie wyszedł z zarośli.

W ciągu godziny wyruszyli w drogę, zdążając na południe, zostawiając za sobą na stratowanym brzegu morze krwi, soli i popiołu, gnając przodem pół tysiąca koni i mułów. Sędzia jechał na czele kolumny, trzymając przed sobą w siodle osobliwe ciemne dziecko pokryte popiołem. Miało nadpalone włosy i

siedziało w milczeniu, jak odmieniec patrząc obojętnie wielkimi czarnymi oczami na przesuającą się wokół krainę. W trakcie jazdy mężczyźni zaczęli czernieć w słońcu z powodu krwi na twarzach i ubraniach, później zbieleli powoli od unoszącego się kurzu i wreszcie kolejny raz przybrali barwę ziemi, którą przemierzali.

Jechali przez cały dzień, a kolumnę zamykał Glanton. Tuż przed południem dogonił ich pies. Pierś miał ciemną od krwi. Glanton posadził go na łęku siodła i wiozł, dopóki nie odpoczął. W godzinach długiego popołudnia pies dreptał znowu w cieniu wierzchowca, a o zmierzchu potruchtał do przodu na równinę, gdzie wysokie cienie koni przesuwały się na pajęczych nogach po chaparralu.

Na północy ukazała się cienka linia kurzu, oni zaś jechali aż do zmroku, a Delawarowie zeskakiwali z koni i kładli się z uchem przy ziemi, a potem jechali dalej.

Kiedy zatrzymali się na postój, Glanton nakazał rozpalić ogniska i opatrzyć rannych. Na pustyni oźrebiła się jedna z klaczy i wkrótce nowo narodzone stworzenie zawisło nad kupą węgla, nadziane na paloverde, a między Delawarami krążyła tykwa ze zsiadłym mlekiem wytoczonym z jego żołądka. Z niewielkiego wzniesienia na zachodzie widać było ogniska nieprzyjaciół, oddalone o dziesięć mil na północ. Jeźdźcy siedzieli w sztywnych od krwi ubraniach, liczyli skalpy i zatykali je na kije, granatowoczarne włosy zmatowiały i lepkie od zakrzepłej posoki. David Brown snuł się między tymi rzeźnikami w łachmanach, przycupniętymi dokoła ognisk, bo nie mógł znaleźć

lekarza. W udzie miał strzałę, całą do kompletu z piórami, a nikt nie chciał jej wyjąć. A już najmniej Doc Irving, bo Brown nazwał go kiedyś grabarzem i konowałem i odtąd ci dwaj krzywo na siebie patrzyli.

Chłopaki, powiedział Brown, sam bym się oporządził, ale nie mogę jej dobrze uchwycić.

Sędzia spojrzął na niego i się uśmiechnął.

Pomożesz, Holden?

Nie, Davy, nie pomogę. Ale powiem ci, co zrobię.

Niby co?

Wypiszę ci polisę na życie na wypadek wszelkich nieszczęść prócz stryczka.

Niech cię piekło pochłonie.

Sędzia zachichotał. Brown potoczył wzrokiem. Ludzie, nikt mi nie ulży?

Milczeli.

Niech was wszyscy diabli.

Usiadł, wyciągnął nogę przed siebie i spojrzął na nią, umazany krwią bardziej niż pozostali. Chwycił drzewce i napał. Pot wystąpił mu na czoło. Drugą ręką trzymał nogę i klął cicho. Niektórzy na niego patrzyli, inni nie. Dzieciak wstał. Daj, ja spróbuję.

Dobry chłopak, powiedział Brown.

Przyciągnął sobie siodło, żeby się oprzeć. Przesunął nogę w stronę poświaty z ogniska, złożył pas na dwoje i trzymając go w rękach, syknął do klęczącego przed nim dzieciaka. Chwyć mocno, chłopaku. I pchaj prosto. Potem włożył sobie pas w zęby i się położył.

Dzieciak ujął drzewce strzały przy samej nodze i napał całym ciężarem ciała. Brown uczeplił się rękoma ziemi, odrzucając

głowę na bok, a w blasku płomieni zabłysły jego mokre zęby. Dzieciak chwycił drugi raz i znów zaczął pchać. Brown, któremu na szyi wystąpiły żyły grubości sznura, wysyłał jego duszę do piekła. Przy czwartej próbie grot strzały przebił skórę na udzie i krew splamiła ziemię. Dzieciak usiadł w kucki i otarł czoło rękawem koszuli.

Brown wypuścił pas z ust. Przeszła?, spytał.

Przeszła.

A ostrze? Gdzie ostrze? No mówże, człowieku.

Dzieciak wyjął nóż, umiejętnie odciął grot i podał go Brownowi. Ten przysunął go do ognia i się uśmiechnął. Zakrwawiony grot, zrobiony z wyklepanego kawałka miedzi, był pogięty w miejscach mocowania na drzewcu, ale pozostał cały.

Dzielny chłopak, będzie jeszcze z ciebie niezgorszy łapiduch. Teraz wyciągaj.

Dzieciak wyjął zręcznie drzewce strzały z nogi, a Brown osunął się na ziemię upiornie kobiecym ruchem, świszcząc chrapliwie przez zęby. Leżał przez chwilę, a potem usiadł, wziął strzałę od dzieciaka, wrzucił ją do ogniska, wstał i poszedł przygotować sobie posłanie.

Gdy dzieciak wrócił na swój koc, eksksjadz nachylił się do niego i szepnął mu do ucha:

Głupcze. Bóg nie będzie cię kochał w nieskończoność.

Dzieciak odwrócił się i spojrział na niego.

Nie wiesz, że wzięłby cię ze sobą? Wzięłby cię, chłopcze. Jak oblubienicę do ołtarza.

* * *

Niedługo po północy podnieśli się i ruszyli dalej. Glanton kazał rozpaść duże ogniska, po czym odjechali, a płomienie oświetlały ziemię dokoła, ciemne sylwetki pustynnych roślin płąsały po piaskach, jeźdźcy tratowali własne wiotkie, migotliwe cienie, aż wreszcie wchłonął ich mrok, którym się stali.

Konie i muły rozbiegły się po stepie całe mile na południe, więc zapędzili je z powrotem do stada. Sieroce błyskawice wyłuskiwały z nocy ciemne łańcuchy gór na krańcu świata, a z przodu klusowały po równinie na wpół dzikie konie w błękitnym stroboskopowym świetle, jak drżące rumaki wywołane z otchłani.

W szarudze świtu oddział we krwi i łachmanach, wiozący skórki z makabrycznych łowów, nie przypominał zwycięzców, ale udreńczoną ariergardę jakiejś wyniszczonej armii wycofującej się przez południki chaosu i zatwardziałej nocy — konie się potykały, zmorzeni snem ludzie kiwali się w siodłach. Wykluty dzień odsłonił dokoła tę samą jałową ziemię co przedtem, a na północy wznosił się cienkimi nieruchomymi smugami dym z nocnych ognisk. Równie odległy wydawał się błądy kurz wzbijany przez nieprzyjaciół, którzy zamierzali tropić ich aż do bram miasta, wlekli się więc w narastającym upale, popędzając przed sobą oszalałe konie.

Późnym rankiem ugasili pragnienie mętą wodą z dołu, nad którym przeszło trzysta zwierząt. Odpędzali je od wody, zsiadali z wierzchowców, żeby napić się z kapeluszy, a potem

pojechali dalej korytem wyschniętego strumienia, kopyta stukające po kamienistym gruncie, suchych skałach i głazach, ziemia znów czerwona i piaszczysta, wszechobecne góry pokryte rzadką trawą, porośnięte ocotillo i dasylirionem, wiekowe agawy kwitnące jak fantasmagorie w krainie maligny. Nocą wysłali paru jeźdźców na zachód, żeby rozpalili ogniska na pre-rii, a reszta oddziału ułożyła się w mroku do snu, podczas gdy nad głowami pośród gwiazd bezgłośnie kursowały nietoperze. Kiedy wyruszali rankiem, było wciąż ciemno, a konie ledwo trzymały się na nogach. Dzień przyniósł groźbę szybko nadciągającej pogoni. Nazajutrz o świcie stoczyli z Indianami pierwszą potyczkę i walczyli z nimi przez kolejne osiem dni i nocy — na równinie i pośród skał w górach, zza murów i z dachów opuszczonych hacjend — i nie stracili ani jednego człowieka.

Trzeciej nocy przycupnęli za osłoną starych murów z osuwającego się błota, a ognie nieprzyjaciół zapłonęły na pustyni prawie milę dalej. Sędzia siedział z indiańskim chłopcem, który obserwował wszystko czarnymi, jagodowymi oczami, a kilku z nich zaczęło się z nim bawić przy ognisku i go rozśmieszać, dali mu mięso, więc żuł, patrząc posepnie na rosłe postacie kręcące się dokoła. Okryli go kocem, a rankiem, gdy mężczyźni siodłali konie, sędzia bujał go na kolanie. Toadvine widział ich razem, kiedy przechodził obok, a gdy wrócił dziesięć minut później z osiodłanym koniem, dziecko już nie żyło, sędzia zaś zdjął mu skalp. Toadvine przystawił lufę rewolweru do wielkiej kopuły jego głowy.

Niech cię szlag, Holden.

Albo strzelaj, albo to zabieraj. Decyduj się szybko.

Toadvine zatknął rewolwer za pas. Sędzia uśmiechnął się i wytarł skalp o nogawkę spodni, potem wstał i się odwrócił. Po kolejnych dziesięciu minutach znów gnali po prerii, umykając przed Apaczami.

Piątego dnia po południu przekroczyli stępem suchą nieckę, pędząc przed sobą konie, Indianie z tyłu w zasięgu strzału, wołający do nich po hiszpańsku. Od czasu do czasu ktoś z oddziału zsiadał z karabinem i wyciorem, a wtedy Indianie pierzchali jak przepiórki, miotając się na koniach i kryjąc za nimi. Na wschodzie widać było drżące w upale cienkie białe mury hacjendy i cienkie, zielone sztywne drzewa, wznoszące się zza nich jak scena w dioramie. Godzinę później popędzili konie — teraz około stu — wzdłuż murów i dalej wydeptanym szlakiem w kierunku źródła wody. Wyjechał im na spotkanie młody mężczyzna i powitał ich oficjalnie po hiszpańsku. Nikt mu nie odpowiedział. Młody jeździec spojrzął za nieckę, na pola pobrużdżone rowami melioracyjnymi, gdzie robotnicy w zakurzonych białych ubraniach zastygli z motykami w dłoniach pośród nowej bawełny i kukurydzy, wysokiej do pasa. Popatrzył znów na północny zachód. Apacze, siedemdziesięciu, osiemdziesięciu, właśnie wyłonili się zza pierwszego rzędu chat, podążając gęsiego szlakiem w cieniu drzew.

Peoni na polu zobaczyli ich niemal w tej samej chwili. Rzucili narzędzia i puścili się biegiem, niektórzy wrzeszczeli, inni chwyтали się za głowę. Młody don spojrzął na Amerykanów,

a potem popatrzył jeszcze raz na zbliżających się dzikusów. Krzyknął coś po hiszpańsku. Amerykanie minęli źródło, zagłębiając się w zagajnik topól. Gdy widzieli go po raz ostatni, wyciągnął mały pistolet z cholewy buta i odwrócił się w stronę Indian.

Wieczorem pociągnęli za sobą Apaczów przez Gallego, gdzie ulice przemieniły się w rynsztoki z błota, patrolowane przez świny i parszywe wyłysiałe psy. Miasto wydawało się opuszczone. Młoda kukurydza na polach przy drodze, obmyta przez niedawne deszcze, przeżyła się, biała i świetlista, odbarwiona przez słońce niemal do przezroczystości. Jechali prawie całą noc, a nazajutrz Indianie wciąż podążali ich śladem.

Walczyli z nimi znowu w Encinillas, walczyli z nimi na suchych przełęczach prowadzących do El Sauz i na niskich wzgórzach, z których widać już było iglice kościelne w mieście na południu. Dwudziestego pierwszego lipca 1849 roku wjechali do Chihuahua, witani jak bohaterowie, pędząc przed sobą ulicami w kurzu pstrokate konie w pandemonicznych błyskach kłów i zbiegających ślepi. Między kopytami biegali mali chłopcy, a zwycięzcy w odrażających łachmanach uśmiechali się spod warstw brudu, kurzu i zakrzepłej krwi, wioząc na kijach wysuszone głowy nieprzyjaciół w ułudzie kwiatów i muzyki.

XIII

- W ŁAŻNI • KUPCY • TROFEA WOJENNE
 - BANKIET • TRIAS • BAL • PÓŁNOC
 - COYAME • GRANICA • HUECO TANKS
 - MASAKRA TIGUA • CARRIZAL
 - ŹRÓDŁO NA PUSTYNI • MEDAÑOS
 - ŚLEDZTWO W SPRAWIE ZĘBÓW • NACORI
 - KANTYNA • NA NOŻE I REWOLWERY
 - W GÓRY • ZDZIESIĄTKOWANA OSADA
 - LAN S JERZY • POTYCZKA
 - POGOŃ ZA NIEDOBITKAMI
 - RÓWNIANY CHIHUAHUA • RZEŻ ŻOŁNIERZY
 - POGRZEB • CHIHUAHUA • NA ZACHÓD

Pochód wzbierał za sprawą nowych jeźdźców, chłopców na mułach i starych mężczyzn w plecionych kapeluszach, oraz delegacji, która przejęła schwyte konie i muły i popędziła je wąskimi ulicami w kierunku areny dla byków, gdzie zamierzano trzymać stado. Obdarci awanturnicy parli dalej, kilku z kieliszkami trzymanymi w dłoniach, machając przegniłymi kapeluszami do gromadek dam na balkonach, podnosząc rozchybotane na kijach głowy, z sennymi twarzami, na których zastygł wyraz nudy, otoczeni tak gęstym zbiegowiskiem, że wydawali się awangardą jakiegoś powstania łachmaniarzy, które zwiastowali idący przodem dwaj werbliści, jeden skretyniały, obaj bosi, oraz trębacz, maszerujący z ręką uniesioną nad głową w wojskowym geście, dmący bez ustanku. W tym stylu wjechali przez wysoką bramę pałacu gubernatorskiego, przez wytarte kamienne progi, wprost na dziedziniec, gdzie pozbawione

podków, omiecione kopyta koni najemników zastygły na bruku z osobliwym szylkretowym grzechotem.

Kiedy na kamieniach przystąpiono do liczenia wysuszonych skalpów, dokoła zaczęły się cisnąć setki gapiów. Żołnierze z muszkietami powstrzymywali napór tłumu, a dziewczęta patrzyły na Amerykanów wielkimi ciemnymi oczami, wyrostki podczołgiwały się do przodu, żeby dotknąć przerażających trofeów. Naliczono sto dwadzieścia osiem skalpów i osiem głów. Na dziedziniec wmaszerował porucznik gubernatora wraz ze swym orszakiem, by powitać przybyłych i podziwiać ich dzieło. Obiecano im pełną zapłatę w złocie podczas kolacji, którą na ich cześć zamierzano wydać wieczorem w hotelu Riddle'a i Stephensa, na co Amerykanie poczęli wiwatować i ponownie wsiedli na koń. Nadbiegły stare kobiety w czarnych szalach, by ucałować rąbki ich cuchnących koszul, wznosząc małe ciemne dłonie w geście błogosławieństwa, jeźdźcy zawrócili wycięczone wierzchowce i przecisnęli się przez hałaśliwą cizbę na ulicę.

Skierowali się do łaźni publicznej, gdzie jeden po drugim weszli do wody, każdy bielszy od poprzednika, każdy wytatuowany, napiętnowany albo zszyty, wielkie fastrygowane szramy pochodzące Bóg wie skąd, spod ręki jakich barbarzyńskich chirurgów, znaczące klatki piersiowe i brzuchy niczym ślady po przemarszu gigantycznych stonóg, niektórzy oszpeceni, bez oka albo palców, na czołach i ramionach wypalone litery i cyfry, jakby byli towarem przeznaczonym do inwentaryzacji. Klientela obu płci usunęła się pod ściany, patrząc, jak woda

zmienia się w rozrzedzoną breję z krwi i brudu, i nikt nie mógł oderwać oczu od sędziego, który rozebrał się jako ostatni i obszedł łaźnię dokoła królewskim krokiem, z cygarem w ustach, sprawdzając wodę zaskakująco drobną stopą. Jaśniał jak księżyc, tak był blady, a na całym jego ogromnym ciele nie było widać ani jednego włoska, w żadnym zakamarku ani choćby w wielkich dziurkach od nosa, ani na piersi, ani w uszach, żadnych klaczków nad oczami czy na powiekach. Olbrzymia lśniąca kopuła jego nagiej czaszki wyglądała jak czepek do kąpieli naciągnięty ponad ogorzałą twarz i szyję. Gdy niedźwiedzia postać zsunęła się do basenu, poziom wody dostrzegalnie się podniósł, a sędzia, zanurzywszy się aż po oczy, popatrzył wokół z wyraźnym zadowoleniem, z lekko zmrużonymi powiekami, jakby się uśmiechał, niczym blady i spuchnięty manat pod powierzchnią bagna, podczas gdy za małym, osadzonym blisko głowy uchem tuż nad taflą wody delikatnie kopciło cygaro.

Na glinianych kafelkach z tyłu kupcy zaczęli już wykładać towary, komplety ubrań europejskiego wyrobu i kroju, koszule z kolorowego jedwabiu i mechate kapelusze z bobrowych skórek, eleganckie hiszpańskie buty, laski o srebrnych główkach i palcaty, siodła ze srebrnymi okuciami i rzeźbione fajki, małe pistoleciki i zestaw szpad z Toledo o rękojeściach z kości słoniowej, i pięknie kute noże, a fryzjerzy stawiali fotele dla gości, wykrzykując nazwiska znanych klientów, którym świadczą usługi, a każdy z tych przedsiębiorców zapewniał o możliwości

udzielenia kredytu na najbardziej dogodnych warunkach.

Gdy jeźdźcy szli przez plac, wystrojeni w nową galanterię, kilku w surdutach z rękawami ledwo sięgającymi łokci, na żelazny treliaż altany nawlekano właśnie skalpy, niczym ozdoby z myślą o jakimś barbarzyńskim święcie. Odcięte głowy zatknięto na palach powyżej latarni i teraz kontemplowały zapadniętymi pogańskimi oczami wysuszone skóry swych pobratymców i przodków, wywieszzone na kamiennej fasadzie katedry, grzechoczące cicho na wietrze. Potem, gdy zapalono latarnie, w łagodnej poświacie wyglądały jak tragiczne maski, a kilka dni później były już upstrzone na białą i całkiem strędowaciałe od odchodów ptaków, które na nich przesiadywały.

* * *

Tenże Angel Trias, gubernator stanu, w młodości wysłany został za granicę do szkół, był więc człowiekiem czytany w dziełach klasycznych i znawcą języków obcych. Był też nietuzinkowym mężczyzną i wydawało się, że prymitywni wojownicy, których najął do obrony swojego terytorium, rozpalali w nim jakieś ciepło. Gdy porucznik zaprosił Glantona i jego oficerów na kolację, ten odparł, że on i jego ludzie nie jadają osobno. Porucznik ustąpił z uśmiechem, a Trias zachował się podobnie. Stawili się w należyтым porządku, ogoleni i ostrzyżeni, wystrojeni w nowe buty i ubrania, Delawarowie osobliwie surowi i groźni we frakach, wszyscy zgromadzeni wokół stołu,

na którym stała przygotowana dla nich zastawa. Podano cygara, do kieliszków nalano sherry, a gubernator, wyprężywszy się u szczytu biesiadnego stołu, wygłosił powitanie i wydał szambelanowi rozkaz, aby spełniono każde życzenie gości. Usługiwali im żołnierze, którzy przynosili dodatkowe kieliszki, serwowali wino i przypalali cygara od ogarka w srebrnej oprawce, zrobionej wyłącznie do tego celu. Sędzia przybył jako ostatni, ubrany w dobrze skrojony garnitur z niewybielonego lnu, uszyty na miarę tego samego popołudnia, co pochłonęło całe bele materiału i wysiłek brygady krawców. Stopy miał obute w pięknie wyglansowane kamasze z szarej gienzy, a w ręku trzymał panamę tak umiejętnie zrobioną z dwóch identycznych mniejszych kapeluszy, że prawie nie było widać ściegów.

Kiedy sędzia wreszcie się zjawił, Trias zajął już swoje miejsce, ale gdy tylko go zobaczył, wstał ponownie i serdecznie uścisnął mu dłoń, a potem posadził go po prawej stronie i od razu wdał się z nim w rozmowę w języku, którego nikt z obecnych na sali nie rozumiał, z wyjątkiem paru ohydnych epitetów przywleczonych z północy. Ekskskiądz usiadł naprzeciw dzieciaka i uniósłszy brew, ruchem oczu wskazał szczyt stołu. Dzieciak, w pierwszej w swym życiu wykrochmalonej koszuli i pierwszym fularze, siedział niemo jak manekin krawiecki.

Kolacja już się rozpoczęła i po kolei wjeżdżały potrawy, ryby, drób i wołowina, krajowa dziczyzna i pieczone prosię na tacy,

rondelki smakołyków, desery, butelki wina i koniak z winnic w El Paso. Zaintonowano patriotyczne toasty, adiutanci gubernatora wzniesli kieliszki na cześć Waszyngtona i Franklina, Amerykanie odpowiedzieli litanią nazwisk bohaterów swojej ojczyzny, wszystkim im obca sztuka dyplomacji, podobnie jak postaci z panteonu siostrzanej republiki. Zaczęli jeść i jeść, nie przestawali, aż opróżniono wpierw kuchnię, potem spiżarnię hotelu. W miasto posłano kurierów po więcej, ale i to zniknęło, wysłano ich zatem jeszcze raz, aż wreszcie hotelowy kucharz zatarasował drzwi własnym ciałem, a usługujący żołnierze po prostu rzucali na stół wielkie tace ciast i smażonych mięsnych obrzynków, kręgi sera i wszystko, co udało im się znaleźć.

Gubernator postukał w kieliszek i wstał, by przemówić staranną angielszczyzną, ale nażarci i bekający najemnicy wołali cały czas o trunki, łypiąc dokoła, kilku wciąż wykrzykiwało toasty, które przemieniły się teraz w obsceniczne obietnice składane uroczyście kurwom z różnych południowych miast. Wprowadzonego intendenta powitały wiwaty, gwizdy i wzniesione kufle. Glanton odebrał od niego długi płócienny wór z herbem stanu i przerywając gubernatorowi w pół słowa, podniósł się, wysypał złoto na stół między kości, łupiny i kałuże rozlanego wina i w doraźnym trybie podzielił stos ostrzem noża, tak że każdy najemnik dostał przyrzeczoną część i na tym sprawę zakończono. W kącie kapela ludowa uderzyła w smętne tony i pierwszy wstał z miejsca sędzia, po czym wprowadził muzykantów z instrumentami do sąsiedniej sali balowej, gdzie

pod ścianami siedziały już na ławkach damy, po które posłano, wachlujące się bez wyraźnej trwogi.

Amerykanie ruszyli na parkiet pojedynczo, parami i w grupkach, krzesła odsunięte albo przewrócone, pozostawione tam, gdzie upadły. W całej sali zapalono lampy ścienne z blaszanymi zwierciadłami, a zgromadzeni uczestnicy bankietu rzucali krzyżujące się cienie. Łowcy skalpów szczyrzyli się do dam, ssąc zęby, wyglądając prostacko w kusych ubraniach, uzbrojeni w noże i rewolwery, z szaleństwem w oczach. Sędzia toczył gorączkową rozmowę z muzykantami i po chwili kapela zaintonowała kadryla. Rozpoczęło się wielkie kołysanie i tupanie nogami, a sędzia, uprzejmy i szarmancki, z naturalną swobodą przeprowadził jedną, później drugą damę przez zawilości tańca. O północy gubernator pożegnał towarzystwo, muzykanci zaczęli się wymykać z sali. Ślepy uliczny harfiarz stał przerażony na stole biesiadnym pośród kości i tac, a między tańczących wmieszała się banda kurew o trupim wyglądzie. Niedługo potem wybuchła strzelanina z rewolwerów, a pan Riddle, który pełnił w mieście rolę amerykańskiego konsula, zszedł, by upomnieć hulaków, został jednak przepędzony. Wszczynano bójki. Łamano meble, wymachiwano nogami od krzeseł i kandelabrami. Dwie kurwy szczipione w walce przechyliły się na kredens i upadły na podłogę wśród huku rozbijanych kieliszków. Jackson wyskoczył na ulicę z rewolwerami w obu dłoniach, zaklinając się, że odstrzeli dupę Jezusowi Chrystusowi, temu białemu skurwielowi na długich nogach. O świcie sylwetki

nieprzytomnych opojów chrapały pośród ciemnych rozbryzgów krzepnącej krwi. Bathcat i harfiarz spali w objęciach na stole. Rodzina złodziei zakradła się na to pobojowisko, żeby przetrząsnąć śpiącym kieszenie, a na ulicy przed wejściem dopalało się ognisko, które strawiło większość hotelowych mebli.

Sceny takie i podobne powtarzały się noc w noc. Mieszkańcy udali się z petycją do gubernatora, lecz był on jak uczeń czar-noksiężnika — mógł skłonić skrzata do wypełnienia swej woli, nie umiał go jednak zmusić, by zaprzestał działania. Łaźnie przemieniły się w burdele, wypłoszona klientela znikła. Stojąca na placu fontanna z białego kamienia zapełniała się nocą nagimi pijanymi mężczyznami. Wystarczył widok dwóch najem-ników, by kantyny pustoszały w okamgnieniu i Amerykanie siadali w barach widmach, gdzie na stolikach stały bezpieczeństwa trunki, a w popielniczkach dopalały się bezpieczeństwa cygara. Wjeżdżali konno pod dachy i w miarę jak topniały zapasy złota, sklepikarze za całe półki wydanych towarów dostawali oświadczenia o niewypłacalności, sporządzone w obcym języku na rzeźnickim papierze. Zamykano składy. Na pobielonych ścianach pojawiały się hasła wypisane węglem. Meior los indios. Wieczorem ulice świeciły pustkami i nie było paseos, a zabarykadowane w domach młode dziewczęta już się nie pokazywały.

Piętnastego sierpnia wyjechali. Tydzień później oddział poganiaczy bydła doniósł, że opanowali miasteczko Coyame, położone osiemdziesiąt mil na północny wschód.

* * *

Kilka lat wcześniej Gómez i jego banda nałożyli na miejscowość Coyame coroczną kontrybucję, kiedy więc przybył Glanton ze swoimi ludźmi, powitano ich jak świętych. Kobiety biegły obok koni, żeby dotykać butów najemników, wciskano im różne podarki, aż każdy wiózł zawstydzający plon melonów, wypieków i spętanych kurcząt, upchany przy łęku siodła. Gdy odjeżdżali trzy dni później, ulice były opustoszałe i nawet kundel nie odprowadził ich do bramy.

Pociągnęli na północny wschód aż do miasteczka Presidio na teksańskiej granicy. Przekroczyli rzekę i ociekając wodą, zapuścili się na ulice. Była to ziemia, na której Glanton podlegał aresztowi. Wyjechał w pojedynkę na pustynię, zatrzymał się i patrzył razem z koniem i psem na pofałdowany step, jałowe pieprzowe wzniesienia i góry, na porośłą zaroślami płaską ziemię i równinę ciągnącą się dalej, gdzie czterysta mil na wschód znajdowali się jego żona i dziecko, których już nigdy nie zobaczy. W spalonej piaszczystej niecce z przodu wydłużał się jego własny cień. Nie ruszył za nim. Zdjął kapelusz, żeby wieczorny wiatr ochłodził mu głowę, wreszcie włożył go z powrotem, odwrócił się i dołączył do oddziału.

Snuli się po pograniczu tygodniami, wypatrując śladów Apaczów. Rozproszeni na równinie, poruszali się w nieustannej elizji, wyświęceni przedstawiciele terażniejszości, dokonujący podziału zastanego świata i pozostawiający za sobą popioły —

wszystko już było i nic już nigdy nie będzie takie samo. Jeźdźcy-zjawy, bladzi od kurzu, anonimowi w niezłomnym upale. Nade wszystko wydawali się zdani na łaskę losu, pierwotni, prowizoryczni, pozbawieni porządku. Jak istoty wydobyte z litej skały, które — bezimienne i spętane własnymi mirażami — skazane są na niemą wędrówkę niczym gorgony włóczące się po bezludziach Gondwany w czasach, gdy nie wymyślono jeszcze nazw, a jedno było wszystkim.

Zabijali dziką zwierzynę i prawem rekwizycji zabierali co potrzeba z puebli i estancias, przez które przejeżdżali. Pewnego wieczoru, mając niemal w zasięgu wzroku El Paso, spojrzeli na północ, gdzie zimowali Gileños, i zrozumieli, że tam nie pojadą. Tej nocy obozowali w Hueco Tanks, skupisku naturalnych skalnych cystern wyrastających z pustyni. Niemal w każdym osłoniętym miejscu kamień pokrywały pradawne malowidła, sędzia więc szybko stanął pośród nich, odrysowując co wyraźniejsze w swoim zeszycie, by zabrać wizerunki ze sobą. Przedstawiały ludzi, zwierzęta i łowy, zdarzały się też dziwaczne ptaszyska i tajemne mapy, i wytwory fantazji tak wybujałej, że usprawiedliwiały cały strach i wszystko inne, co przepełnia człowieka. Malowideł tych — z których część zachowała żywe kolory — były setki, a jednak sędzia chodził między nimi z dużą pewnością siebie, kopiując tylko te, które były mu przydatne. Gdy skończył, zostało jeszcze trochę światła, wrócił więc na półkę i posiedział tam chwilę, wpatrzony w rysunki na skale. Potem wstał i kawalkiem odhupanego rogowca starł malowidło,

aż nie pozostał po nim żaden ślad prócz świeżych rys na kamieniu. Wziął zeszyt i wrócił do obozu.

Rankiem wyruszyli na południe. Niewiele mówili i nie sprzeczekali się między sobą. Trzy dni później napadli na grupę pokojowo usposobionych Indian Tigua obozujących nad rzeką, wybijając ich do ostatniego.

Wieczorem poprzedniego dnia przykucnęli dokoła ogniska, syczącego cicho w deszczu, odlali kule i pocięli owijki, jakby o losie tubylców rozstrzygnęła zupełnie inna moc sprawcza. Jakby ta forma przeznaczenia wyryta była z dawien dawna w skale dla oczu tych, którzy potrafią czytać. Żaden nie wziął Indian w obronę. Toadvine i dzieciak rozmawiali we dwóch, a gdy nazajutrz w południe oddział wyruszył w drogę, kłusowali obok Bathcata. Jechali w milczeniu. Te skurkowańce nikomu nic złego nie robią, powiedział Toadvine. Vandiemlander spojrział na niego. Spojrział na sine litery wypalone na jego czole i na cienkie tłuste włosy zwisające z głowy pozbawionej uszu. Spojrział na naszyjnik ze złotych zębów na jego piersi. Jechali dalej.

W rozrzedzonym świetle dnia nadciągnęli w stronę nędznych namiotów, sunąc z wiatrem południowym brzegiem rzeki, gdzie czuć było dym z ognisk. Kiedy zaszczekały pierwsze psy, Glanton dał ostrogę i wypadli zza drzew między suche zarośla, długie końskie szyje wyciągnięte w pyle łapczywie jak ogary w biegu, wierzchowce poganiane batami w stronę słońca, na którego tle widać było sylwetki kobiet wstających od swych robót, płaskie i sztywne przez moment, nim dotarła do nich prawda

o realności tego piekielnego tętentu w tumanach kurzu. Stały oniemiale i bose, ubrane w niewybieloną bawełnę tej krainy. Ścisnęły chochle, ścisnęły nagie dzieci. Po pierwszej salwie kilkanaście z nich skuliło się i osunęło na ziemię.

Pozostałe rzuciły się do ucieczki, starcy wymachiwali rękoma, dzieci truchtały, mrugając w błyskach wystrzałów. Nadbiegło kilku młodych mężczyzn z napiętymi łukami, ale padli od kul, a jeźdźcy przetoczyli się przez osadę, tratując chaty z trawy i roztrzaskując czaszki mieszkańców.

Tej nocy, długo po zapadnięciu zmroku, kiedy księżyc już się wytoczył na niebo, do obozu wróciła grupa kobiet, które suszyły ryby w górze rzeki. Snuły się pośród zniszczeń, zawodząc. Na ziemi wciąż dogasał ogień i psy czmychały od trupów. Pewna starucha uklękła na poczerniałych kamieniach przed wejściem do swojego spalonego domu, wcisnęła gałązkę w popiół, rozdmuchała płomień i zaczęła ustawiać wywrócone garnki. Wszędzie dokoła leżeli martwi o nagich czaszkach, jak polipy pokryte niebieską wilgocią albo świetliste melony stygnące na księżycowym płaskowyżu. W dniach, które nadejdą, kruche czarne rebusy krwi zastygłej w tutejszych piaskach popękają, rozpadną się i znikną, i w ciągu zaledwie kilku pochodów słońca wszelki ślad zagłady tych ludzi ulegnie zatarciu. Pustynny wiatr obsypie ich szczątki solą i nie zostanie nic, ni duch, ni pieśniarz, który opowiedziałby wędrującemu pielgrzymowi, jak to się stało, że w tym miejscu żyli ludzie i tutaj pomarli.

Drugiego dnia po południu Amerykanie wjechali do miasta Carrizal, na koniach ozdobionych girlandami skalpów zabitych Tiguańców. Miasteczko popadło w ruinę. Wiele domów zostało porzuconych, presidio osunęło się z powrotem w ziemię, z której je wybudowano, a sami mieszkańcy wydawali się nieobecni za sprawą starych lęków. Ciemnymi smutnymi oczami obserwowali przejazd zbrukanej krwią armii po ulicach. Wydawało się, że najemnicy przybyli z jakiejś baśniowej krainy, bo zostawiali za sobą dziwny osad, niczym powidok pod powieką, a wzburzone przez nich powietrze było odmienione i się skrzyło. Minęli zwalone mury cmentarza, gdzie zmarłych układano we wnękach, a ziemia usłana była kośćmi, czaszkami i kawałkami rozbitych garnków niczym jakieś stare ossuarium. Z tyłu, na pokrytych kurzem ulicach, pojawili się ludzie w łachmanach; stanęli i patrzyli za oddziałem.

Tej nocy rozłożyli się obozem obok ciepłego źródła na szczycie wzgórza, pośród ruin starych hiszpańskich murów, rozebrali się i weszli do wody jak akolici, a po piasku umykały ogromne białe pijawki. Kiedy wyruszyli rankiem, wciąż było ciemno. Daleko na północy strzelały rwane łańcuchy błyskawic, wywołując z pustki poszarpane sylwetki jałowych niebieskich gór. Dzień roztoczył się nad parującym bezmiarem pustyni, osnutej ciemnym woalem w oddali, gdzie jeźdźcy naliczyli pięć osobnych burz, uszeregowanych na krańcach okrągłej ziemi. Jechali w miążkim piasku, a konie męczyły się tak bardzo, że zmuszeni byli zsiąść i je prowadzić, z mozołem pokonując strome eskery,

z których wiatr wywiewał biały pumeks przypominający pianę wzburzonego morza, piasek się zaskorupiał i przybierał niewyraźne formy, i nic innego tam nie było prócz gładkich kości tu i ówdzie. Cały dzień spędzili wśród wydm, a wieczorem, zszedłszy z ostatnich niskich piaszczystych wzgórz między kocie łapki i krzewy cierniowe, byli spieczoną i wynędzniałą zgrają, jednakowo zwierzę i człowiek. Gdy sprowadzili konie na równinę, z padłego muła zerwały się harpie i zatoczyły koło ku zachodowi, wprost w słońce.

Dwa dni później, gdy biwakowali na górskiej przełęczy, zobaczyli w dole rój świateł odległego miasta. Przycupnęli rzędem od zawietrznej na łupkowej grani, ogień miotał się i wił w podmuchach wichru, a oni patrzyli na ogniki migoczące trzydzieści mil dalej w głębi dna granatowej nocy. Obok nich w mroku przeszedł sędzia. Iskry z ogniska frunęły na wietrze. Sędzia zajął miejsce między porysowanymi płytkami łupka i tak siedzieli wszyscy, niczym istoty z pradawnych czasów, obserwując, jak dalekie światełka gasną jedno po drugim, aż miasto na równinie skurczyło się do wielkości małego jasnego rdzenia, którym mogło być płonące drzewo, samotny obóz wędrowców albo jakiś całkiem niepojęty ogień.

* * *

Gdy wyjeżdżali przez wysoką drewnianą bramę gubernatorskiego pałacu, dwaj żołnierze, którzy stali obok i liczyli oddział, zrobili krok do przodu i chwycili konia Toadvine'a za ogłowie. Glanton wyminął go po prawej stronie i pojechał dalej.

Toadvine wyprężył się w siodle.

Glanton!

Kopyta zastukały na ulicy. Dowódca obejrzał się przez ramię tuż za bramą. Dwaj żołnierze rozmawiali z Toadvine'em po hiszpańsku, jeden mierzył do niego z muszkietu.

Ja nie noszę niczych zębów, powiedział Glanton.

Bo zastrzelę tych dwóch głupców na miejscu.

Glanton splunął. Popatrzył w głąb ulicy, a potem na Toadvine'a. Wreszcie zsiadł i zaprowadził wierzchowca z powrotem na dziedziniec. Vamonos, powiedział. Spojrzał na Toadvine'a. Złaz z konia.

Dwa dni później wyjechali pod eskortą z miasta. Droga konwojowała ich z górą stu żołnierzy — niepewna siebie zbieranina, umundurowana i uzbrojona w byle co — którzy szarpali końmi i popędzali je piętami przez bród, gdzie wierzchowce Amerykanów zatrzymały się u wodopoju. U podnóża wzgórz, powyżej akweduktu, stłoczyli się po jednej stronie, a najemnicy przejechali gęsiego obok nich, zagłębili się między skały i opuncje i przepadli, wchłonięci przez cienie.

Ruszyli w góry na zachodzie. Przejeżdżali przez małe osady, gdzie uchylali kapeluszy na widok mieszkańców, których wymordują przed upływem miesiąca. Przejeżdżali przez puebla z błota, ciągnące się jak zadżumione miasta, ze zbożem gnijącym na polach i ostatnimi nierozkradzionymi jeszcze przez Indian zwierzętami gospodarskimi, wałęsającymi się swobodnie, a dokoła nikogo, kto by je zapędził, kto by ich doglądał,

większość osad niemal całkowicie opuszczona przez mężczyzn, przerażone kobiety i dzieci skulone w norach, nasłuchujące, póki w oddali nie ucichnie stukot kopyt ostatniego konia.

W mieście Nácori była kantyna i przed nią właśnie najemnicy zsiadli z koni i wtoczyli się do środka, zajmując stoliki. Tobin zgłosił się do pilnowania koni. Stał na ulicy, patrząc to w jedną, to w drugą stronę. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Tu-tejsi ludzie widzieli wielu Amerykanów, całe kurzem pokryte kolumny awanturników, miesiącami na pograniczu, upojonych mocą swej obecności na tym bezkresnym i krwawym odludziu, żądających posiłku albo mięsa, dogadzających skrytemu upodobaniu do gwałtu kosztem śliwkowookich dziewcząt tej krainy. Teraz zbliżała się pierwsza po południu i ulicą w kierunku kantyny nadeszło kilku robotników i handlarzy. Gdy przechodzili obok konia Glantona, jego pies się zjeżył. Ominęli go i szli dalej. W tej samej chwili grupka miejscowych kundli, pięć lub sześć, przydreptała na plac. Patrzyły na psa Glantona. Jednocześnie zza rogu wyłonił się żongler prowadzący kondukt żałobny. Wziął jedną z petard trzymany pod pachą, zapalił ją od cygara w ustach i rzucił na środek placu, gdzie wybuchła. Gromada psów pierzchła na boki oprócz dwóch, które dalej szły ulicą. Kilka meksykańskich koni uwiązanych przed kantyną wierzgnęło tylnymi nogami, pozostałe zaczęły się niespokojnie kręcić. Pies Glantona nie odrywał wzroku od mężczyzn zbliżających się do drzwi. Żaden z koni Amerykanów nawet nie zastrzygł uchem. Dwa psy, które przecięły ulicę przed konduktem,

odsunęły się od wierzgających koni i ruszyły w stronę kantyny. Na ulicy wybuchły następne dwie petardy i nagle ukazał się cały kondukt ze skrzypkami i trębaczem na czele, wygrywającymi skocznią melodię. Psy, znalazłszy się w potrzasku między orszakami a końmi najemników, zastygły, kładąc uszy po sobie. Potem umknęły ku tyłowi konduktu. Okoliczności te przyniosły zgubę robotnikom wchodzącym do kantyny. Odwrócili się plecami do drzwi i stanęli z kapeluszami przy piersi. Obok przeszła asysta niosąca mary. Wśród kwiatów gapie zobaczyli ubraną w pogrzebowe szaty młodą kobietę o zszarzałej twarzy, podrygującą sztywno. Dalej ubrani na czarno tragarze nieśli trumnę zrobioną z niewyprawionej skóry i poczernioną sadzą, wyglądającą jak prymitywna łódka. Na końcu posuwała się grupa żałobników, pijący mężczyźni, zawoźzące stare kobiety w zakurzonych chustach, przeprowadzane przez dziury w ziemi, dzieci z kwiatami, zerkające nieśmiało na gapiów.

Ledwo Amerykanie usiedli w kantynie, na nogi poderwała ich rzucona od sąsiedniego stołu mrukliwa obelga. Dzieciak odezwał się do Meksykanów marną hiszpańszczyzną, pytając, który to z posępnych moczymordów śmiało otworzyć usta. Zanim ktokolwiek zdążył się przyznać, na placu, jak powiedziano, wybuchła pierwsza petarda i wszyscy Amerykanie rzucili się do drzwi. Od stołu zerwał się pijak z nożem i skoczył za nimi. Przyjaciele wołali go, ale tylko machnął ręką.

Na dwór najpierw wypadli John Dorsey i Henderson Smith, dwaj chłopcy z Missouri. Za nimi wybiegli Charlie Brown

i sędzia. Sędzia, górujący głową nad wszystkimi, podniósł dłoń, żeby powstrzymać pozostałych. Ulicą akurat niesiono mary. Skrzypek i trębacz kłaniali się lekko jeden drugiemu, wystukując stopą wojskowy rytm granej melodii. To pogrzeb, stwierdził sędzia. Kiedy wymówił te słowa, pijak zataczający się w drzwiach wbił nóż w plecy po rękojeść niejakiemu Grimleyowi. Nikt tego nie widział oprócz sędziego. Grimley uchwycił się szorstkiej drewnianej framugi. Ukatrupili mnie, powiedział. Sędzia wyciągnął rewolwer zza pasa, wycelował nad głowami najemników i strzelił pijakowi prosto w czoło.

Amerykanie stojący na dworze zobaczyli przed sobą ziejącą lufę rewolweru i gdy sędzia wypalił, padli na ziemię. Dorsey przeturlał się na bok i zerwał na nogi, zderzając się z robotnikami, którzy właśnie oddawali hołd zmarłej. Wkładali z powrotem kapelusze, kiedy huknął strzał. Zabity mężczyzna runął na plecy w głąb kantyny, a z jego głowy trysnęła krew. Grimley odwrócił się i najemnicy zobaczyli drewnianą rękojeść noża sterczącą z jego pociemniałej koszuli.

W robocie były już inne noże. Dorsey walczył z robotnikami, a Henderson Smith wyciągnął bowiego i prawie odrąbał nim rękę jednemu z przeciwników, który stał teraz, trzymając w palcach przeciętą tętnicę, żeby powstrzymać krwawienie. Sędzia postawił Dorseya na nogi i razem wycofali się do kantyny, atakowani przez wymachujących nożami Meksykanów. Ze środka dobiegały nieprzerwane odgłosy strzelaniny, a drzwi wypełnił dym. Sędzia odwrócił się w progu i przestąpił kilka

trupów zaścielających podłogę. Olbrzymie rewolwery grzmiały bez ustanku w pomieszczeniu i około dwudziestu Meksykanów, którzy dotąd siedzieli przy stolikach, leżało w różnych pozach, poszatkowani kulami wśród wywróconych krzesel i stołów, dokoła drzazgi, w ścianach z błota wielkie dziury po kulach stożkowych. Ci, którzy ocalili, rzucili się ku światłu w drzwiach, ale pierwszy z nich natknął się na sędziego, próbował więc dźgnąć go nożem. Sędzia jednak przypominał kota: zrobił unik, złapał mężczyznę za rękę, złamał mu ją i chwycił go za głowę. Z uśmiechem przygwoździł Meksykanina do ściany, a temu krew trysnęła z uszu, spływając między palcami sędziego i na jego dłonie, i gdy sędzia wreszcie go puścił, z jego głową było naprawdę źle, bo osunął się na podłogę i więcej nie wstał. Biegący z tyłu nadziali się tymczasem na salwę ognia, martwi i konający zatarasowali drzwi i nagle w kantynie zapadła głucha cisza. Sędzia stał pod ścianą. Dym rozwiął się jak mgła, ukazując nieruchome okopcone postacie. Na środku sali zastygli Toadvine i dzieciak, zetknięci plecami, z koltami wycelowanymi ku górze, jak do pojedynku. Sędzia podszedł do drzwi i krzyknął nad stosem trupów do eksksjędza, stojącego między koźmi z rewolwerem w garści.

Dorwij gapiów, księżulu, gapiów.

Nie zabijali dotąd publicznie ludzi w tak dużym mieście, lecz nic już nie dało się na to poradzić. Ulicą uciekali trzech mężczyzn, dwaj inni czmychali przez plac. Oprócz tego wokół nie było

żywej duszy. Tobin wyszedł spomiędzy koni, wycelował z trzymanego oburącz rewolweru i zaczął strzelać, a broń odskakiwała w tył. Uciekający potknęli się i runęli na twarz. Zabił dwóch na placu, obrócił się i zastrzelił pozostałych na ulicy. Ostatni runął w drzwiach domu. Tobin wyszarpnął z kabury drugi rewolwer, obiegł konia i rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak życia na dworze i w domach. Sędzia cofnął się z progu do kantyny, gdzie stali Amerykanie, patrząc na siebie i trupy z wyrazem swoistego zadziwienia. Spojrzeli na Glantona. Omiótł wzrokiem zadymione pomieszczenie. Jego kapełusz leżał na stole. Podszedł, wziął go, nasadził na głowę, poprawił. Rozejrzał się. Najemnicy już ładowali kule do pustych bębenków. Kudły, chłopaki, powiedział. Ciągłe robimy w skórkach.

Gdy dziesięć minut później wyszli z kantyny, na ulicach nie było nikogo. Oskaltowali wszystkich zabitych, ślizgając się po klepisku, które zmieniło się w blocko koloru wina. W barze leżało dwudziestu ośmiu Meksykanów, a na dworze kolejnych ośmiu, w tym pięciu, których zabił eksksiądz. Dosiedli wierzchowców. Grimley siedział przechylony pod ścianą z błota. Nie podniósł wzroku. Na udzie trzymał rewolwer i patrzył w głąb ulicy, a oni obrócili konie, ruszyli północnym skrajem placu i znikli.

Ludzie wyszli z domów dopiero po upływie pół godziny. Mówili szeptem. Kiedy zbliżali się do kantyny, w jej drzwiach niczym upiorna zjawa stanął jeden z mężczyzn. Został oskaltowany i krew spływała mu do oczu, a dłonią zatykał w piersi

ogromną dziurę, z której toczyła się różowa piana. Jeden z mieszkańców położył mu rękę na ramieniu.

A dónde vas?, spytał.

A casa, odparł mężczyzna.

* * *

Następne miasteczko, do którego dotarli, leżało o dwa dni drogi w głębi sierry. Nigdy się nie dowiedzieli, jak się nazywało. Skupisko chat z błota na nagim płaskowyżu. Gdy nadjechali, ludzie zaczęli umykać jak ścigana zwierzyna. Ich pokrzykiwania, a może wyraźna słabość, zdawały się pobudzać Glantona. Brown patrzył na niego. Glanton ponaglił konia, wyciągnął rewolwer i w mgnieniu oka w ospałym pueblo rozpętała się rzeź. Wielu mieszkańców uciekło do kościoła, gdzie uklękli uczepieni ołtarza, ale jednego po drugim wywleczono ich wśród wrzasków z tego schronienia, zabito i oskalpowano na posadzce prezbiterium. Kiedy oddział przejeżdżał z powrotem przez tę osadę cztery dni później, zmarli wciąż leżeli na ulicach, pożerani przez myszołowy i świnię. Padlinożercy patrzyli w ciszy, jak jeźdźcy suną obok niczym statyści we śnie. Kiedy ostatni z nich zniknął, zabrali się z powrotem do jedzenia.

Jechali przez góry bez odpoczynku. Za dnia i po zmroku ciągnęli wąskim szlakiem przez ciemne sosnowe lasy, w ciszy przerywanej tylko chrzęstem ekwipunku i sapaniem koni. Nad poszarpanymi szczytami zastygła cienka lúpina przechylonego księżycy. Pod koniec nocy zjechali do górskiej osady, gdzie nie było ani lampy, ani stróża, ani psa. O szarym brzasku usiedli

pod ścianą w oczekiwaniu na dzień. Zapiał kogut. Trzasnęły drzwi. Ścieżką obok chlewu z gliny nadeszła stara kobieta dzwigająca dzbany na nosidle. Wstali. Było zimno i parowały oddechy. Zdjęli żerdki z zagrody i wyprowadzili konie. Wjechali w uliczkę. Zatrzymali się. Wierzchowce kręciły się z zimna i przestępowały z nogi na nogę. Glanton ściągnął wodze i wyjął rewolwer.

Zza muru po północnej stronie osady wyłonił się oddział konnych, który zamknął uliczkę. Mieli wysokie czaka z metalowymi płytkami i kitami z końskiego włosia, zielone kurtki przyozdobione szkarłatem i szkarłatne szarfy, uzbrojeni byli w lance i muszkiety, a ich wierzchowce nosiły piękne rzędy i nadjechały rozkołysane i dumne, kawaleria, dorodni młodzi mężczyźni. Najemnicy popatrzyli na Glantona. Wsunął z powrotem rewolwer do kabury i wyciągnął karabin. Kapitan lansjerów wznosił szablę, żeby zatrzymać oddział. W następnej chwili wąską uliczkę wypełniły kłęby dymu prochowego, a na ziemi leżało kilkunastu martwych i konających żołnierzy. Konie stały dęba, rżały, wywracały się, przygniatając nawzajem, lansjerzy padali, zrywali się z ziemi, usiłując chwycić wodze. Druga salwa przerzedziła szeregi. Cofnęli się w popłochu. Amerykanie dobyli rewolwerów i natarli.

Meksykański kapitan krwawił z rany w piersi, stał jednak w strzemiionach, czekając z szablą w dłoni na szarżę. Glanton przestrzelił mu głowę i kopniakiem strącił go z konia, a potem zabił kolejnych trzech żołnierzy. Czwartym, zrzuconym wcześniej

na ziemię, skoczył na niego z lancą, gdy nagle z ciżby walczących wyłonił się jeden z najemników, poderżnął mu gardło i zniknął. W wilgotnym powietrzu poranka siarczany dym spowił ulicę szarym całunem, a barwni lansjerzy, z dzikim wzrokiem, sztywni i milczący, padali pod koźmi w tej zabójczej mgle jak żołnierze zabijani we śnie.

Kilku na tyłach oddziału zdołało zawrócić konie i ruszyło ku wylotowi ulicy, Amerykanie zaś okładali bezpańskie konie łufami koltów, zwierzęta kotłowały się wokół, strzemiona fruwały, kopyta tratowały poległych. Zagonili zwierzęta z powrotem, przedarli się przez wąski wylot uliczki u stóp góry i zaczęli strzelać do uciekających lansjerów, którzy z trudem wspinali się szlakiem pośród grzechotu spadających kamyków.

Glanton wysłał pogoń w sile pięciu ludzi, sam zaś zawrócił z sędzią i Bathcatem. Dołączyli do reszty oddziału, wszyscy zsiędli i zaczęli grabić zabitych, którzy leżeli w uliczkach jak martwi muzykanci, rozbijali ich muszkiety o ściany domów, łamali szable i lance. Na odjezdnym napotkali powracającą grupę pościgową. Lansjerzy zjechali ze szlaku i rozproszyli się w lesie. Dwa dni później, obozując na szczycie ponad rozległą równiną, zobaczyli w oddali na pustyni ognisty punkt niczym odbicie pojedynczej gwiazdy w jeziorze niezgłębionej ciemności.

Zwołali naradę. Na szorstkiej skale tańczył i wił się ogień z chrustu, a oni wpatrywali się w niezgłębiony mrok poniżej, ziejący jak rozszczepione oblicze ziemi.

Jak daleko są według was?, spytał Glanton.

Holden pokręcił głową. Mają pół dnia przewagi nad nami, odparł. Jest ich co najwyżej dwunastu, czternastu. Nie wysła nikogo przodem.

A jak daleko do Chihuahua?

Cztery dni. Trzy. Gdzie Davy?

Glanton się odwrócił. Jak daleko do Chihuahua, David?

Brown stał tyłem do ognia. Kiwnął głową. Jeżeli to oni, będą tam za trzy dni.

Myślisz, że damy radę ich dopaść?

Nie wiem. Zależy, czy się połapią, że ich ścigamy.

Glanton odwrócił się i splunął w ogień. Sędzia podniósł nagie blade ramię i zaczął szukać czegoś palcami pod pachą. Uważam, że jeśli zjedziemy z tej góry przed świtem, powiedział, to uda nam się ich dopędzić. Inaczej lepiej jechać do Sonory.

Możliwe, że oni właśnie są z Sonory.

To tym bardziej trzeba ich dopaść.

Skalpy moglibyśmy zawieść do Ures.

Płomienie pełzały po ziemi, po czym znów się podniosły.

Trzeba ich dopaść, powtórzył sędzia.

O świcie zjechali na równinę, jak radził, a w nocy widzieli ogień Meksykanów, odbijający się na niebie od wschodu, poza krzywizną ziemi. Przez cały następny dzień i noc jechali bez ustanku, kołyszac się i podrygując we śnie w siodłach jak oddział spazmatyków. Rankiem trzeciego dnia zobaczyli przed sobą lansjerów na równinie, ich sylwetki wyraźne na tle słońca, a wieczorem mogli ich już policzyć, sunących mozolnie po

jałowym skalnym odludziu. Gdy wstało słońce, w gęstniejącym świetle ukazały się na wschodzie blade cienkie mury miasta, oddalonego o dwadzieścia mil. Najemnicy osadzili konie. Lan-sjerzy ciągnęli szeregiem drogą parę mil na południe. W kapi-tulacji nie było ratunku, tak samo jak w dalszej ucieczce, ale skoro jechali, jechali dalej. Amerykanie kolejny raz ponagliли wierzchowce.

Przez moment jedni i drudzy posuwali się prawie równole-gle ku bramom miasta, dwa oddziały zakrwawionych łachma-niarzy na potykających się koniach. Glanton zawołał do nich, żeby się poddali, ale nie usłuchali. Wyjął karabin. Ciągnęli bez-ładnie drogą jak otępiałe zwierzęta. Ściągnął koniowi wodze, a gdy zwierzę zastygło na szeroko rozstawionych nogach, z falu-jącą pierśią, wycelował i strzelił.

Było ich dziewięciu, a większość nie miała już nawet broni. Zatrzymali się, zawrócili, przypuścili szarżę po kamienistym i porośniętym zaroślami stepie i wszyscy zginęli w ciągu minuty.

Najemnicy wyłapali ich konie, zapędzili wszystkie na drogę, odcięli rzędy i siodła. Zdarli z zabitych mundury i spalili je ra-zem z bronią, siodłami i pozostałym ekwipunkiem, a potem wykopali dół przy drodze i pogrzebali trupy we wspólnej mogi-le, poranione nagie ciała jak ofiary eksperymentów chirurgicz-nych, leżące w dziurze, wpatrzone martwym wzrokiem w niebo nad pustynią, kiedy sypał się na nie piach. Udeptali to miejsce kopytami koni, żeby wyglądało podobnie jak droga, wyciągnęli z popiołów dymiące zamki od muszkietów, ostrza szabel

i sprzączki po popręgach, zanieśli wszystko trochę dalej i zakopali w osobnym miejscu, a bezpieczeństwa konie przegnali na pustynię, wieczorem zaś wiatr rozdmuchał popioły i dmąc po nocy, owiał dogasający żar, rozproszył ostatni snop iskier, ulotnych niczym błysk między dwoma krzemieniami w bezmiennej ciemności pradawnego świata.

Wjechali do miasta wynędzniali, brudni i cuchnący krwią ludności, do której obrony ich wynajęto. Skalpy pomordowanych wieśniaków zawisły w oknach gubernatorskiej rezydencji, a najemnicy otrzymali zapłatę ze świecących pustkami kufrów, jednak Sociedad rozwiązano i odmówiono im dalszej hojności. Nie minął tydzień od ich wyjazdu z Chihuahua, gdy za głowę Glantona wyznaczono nagrodę w kwocie ośmiu tysięcy pesos. Ruszyli drogą na północ, jak to robiły oddziały zmierzające do El Paso, ale zanim jeszcze znaleźli się poza zasięgiem wzroku mieszkańców, skręcili na zachód i pojechali na swych makabrycznych wierzchowcach jak zahipnotyzowani i na wpół oślepli w kierunku czerwonego kresu dnia, ku wieczornym krajinom i odległemu pandemonium słońca.

XIV

BURZE W GÓRACH

- JESÚS MARÍA • GOSPODA • SKLEPIKARZE • BODEGA
- SKRZYPEK • KSIĄDZ • LAS ANIMAS • PROCESJA
- CAZANDO LAS ALMAS • GLANTON WPADA W SZAŁ
- PSY NA SPRZEDAŻ • SĘDZIA PRESTIDIGITATOREM
- FLAGA • STRZELANINA • UCIECZKA • CONDUCTA
- KREW I RTEĆ • U BRODU • JACKSON ODNALEZIONY
- DŻUNGLA • ZIELARZ • SĘDZIA GROMADZI OKAZY
- UZASADNIENIE JEGO DOCIEKAŃ NAUKOWYCH
- URES • LUDNOŚĆ • LOS PORDIOSEROS • FANDANGO
- PARSZYWE PSY • GLANTON I SĘDZIA

Z chmur burzowych na północy padał deszcz czarnymi strugami przypominającymi smugi sadzy na porcelanie, a nocą słyszeli dudnienie ulewy na prerii w odległości wielu mil. Gdy wjechali na skalistą przełęcz, błyskawica ukazała w oddali drżące góry i zadudniły skały wokół, pęki niebieskiego ognia przywarły do koni jak rozżarzone duszki, których nie sposób odpędzić. Po metalowych częściach upręży pomknęły łagodne światełka, na lufach zaniebieściły się płynne płomyki. Przerazone zające wyskoczyły z kryjówek i stanęły słupka w błękitnej poświacie, a wysoko wśród tych rozdzwonionych skalnych rozpadlin kulily się nastroszone jastrzębie, łypiąc żółtymi ślepiami na błyski w dole.

Jechali całymi dniami w deszczu i gradzie, i znowu w deszczu. W szarym świetle burzy przecięli zalaną równinę, a człapiące sylwetki koni odbijały się w wodzie pośród chmur i gór, jeźdźcy zgarbieni, słusznie nie wierząc w migoczące miasta

widoczne na odległym brzegu tego morza, po którym kroczyli jak cudotwórcy. Wjechali na wysokie pofalowane hale, gdzie na wietrze umykały małe ptaki, rozszczebiotane, a spośród kości wzbił się myszołów, łopocząc skrzydłami — łusz, łusz, łusz — jak dziecięca zabawka nanizana na sznurek, i w rozciągniętej czerwieni zachodzącego słońca tafle wody leżały na równinie poniżej jak kałuże prehistorycznej krwi.

Przejechali przez wysoką łąkę usłaną dzikimi kwiatami, akry złotego starca zwyczajnego, cynii i ciemnofioletowej goryczki, dzikie wąsy niebieskiego wilca i szeroka równina różnych małych kwiatków, ciągnąca się w dal jak drukowana bawełna ku poszarpanym najdalszym krańcom ziemi, niebieskim od mgły, i nieustępliwym łańcuchom górskim, wznoszącym się znikąd jak grzbiety morskich stworów o świcie w okresie dewonu. Znowu padało i jechali skuleni w płaszczach wyciętych z natłuszczonych i na wpół wyprawionych skór, tak zgarbieni w tych barbarzyńskich ubraniach pod ciosami siekącego szarego deszczu, że wyglądali jak wysłannicy jakiejś niewiadomej sekty, którzy próbują przeciągnąć na swoją wiarę stworzenia tej krainy. Przed nimi rozpościerała się zawoalowana i ciemna ziemia. Jechali o długim zmierzchu, słońce zaszło, księżyc nie wszedł, a góry na zachodzie drżały raz po raz w ruchomych kadrach i ostatecznie spłonęły w ciemności, i tylko deszcz szumiał w krainie spowitej głuchą nocą. U podnóża wzniesień ruszyli pod górę, między sosny i nagie skały, potem jechali wśród jałowców i świerków, nielicznych wielkich agaw i strzelistych

łodyg juki o bladym kwieciu, cichym i jakby z innego świata na tle roślin zimozielonych.

Nocą ruszyli śladem górskiego potoku płynącego w dzikim jarze, zatarasowanym mechatymi głazami, ciągnęli pod ciemnymi grotami, gdzie pluskała skapująca woda i pachniało żelazem, i zobaczyli srebrne strugi kaskad, rozpołowionych na licach odległych ostańców, które były jak znaki, jak cuda w niebie — tak pomroczyła ziemia, na której stały. Przejechali przez spalony czarny las i okolicę rozłupanych skał, gdzie leżały wielkie rozprute głazy o gładkich, pozbawionych rysów obliczach, na stokach tych żelazistych wyżyn stare ścieżki ognia i poczerniałe kości drzew zgładzonych przez górskie burze. Następnego dnia zaczęli napotykać ostrokrzew i dąb, lasy krzepkich drzew, bardzo podobne do tych, które opuścili w młodości. W zagłębieniach stoków od północy leżał grad jak tektyty pośród liści, a noce były chłodne. Ciągnęli wyżyną coraz głębiej w góry, ku legowiskom burz, ku rozdźwięcznionej ognistej krainie, gdzie po wierzchołkach przemykały białe płomienie, a od ziemi bił swąd kruszonego krzemienia. Nocą w ciemnych lasach świata poniżej nawoływały się wilki, jakby były przyjaciółmi człowieka, a pies Glantona dreptał, skomląc, pomiędzy nogami nieprzerwanie maszerujących koni.

Dziewiątego dnia po wyjeździe z Chihuahua przebyli górską przełęcz i zaczęli schodzić szlakiem biegnącym przy licu urwiska tysiąc stóp ponad chmurami. Jeszcze wyżej, z szarego zbocza, patrzył na nich kamienny mamut. Ciągnęli gęsiego.

Przejechali przez tunel wydrążony w skale i po drugiej stronie, wiele mil w dole, zobaczyli dachy miasteczka w wąwozie.

Zjechali serpentyną i dalej, przez koryta strumieni, gdzie stojące na białych płetwach pstrągi przyglądały się chrapom pijących koni. Z wąwozu uniosły się tafle mgły, pachnącej i smakującej jak metal, otuliły ich i posunęły w stronę lasu. Pojechali konie przez bród i dalej na szlak, i o trzeciej po południu w mżawce wjechali do starego miasta z kamienia o nazwie Jesús María.

Wierzchowce zastukały kopytami na obmytym deszczem bruku oblepionym liśćmi, przejechali przez kamienny most i zagłębili się w uliczkę pod ociekającymi deszczem okapami domów z gankami, wzdłuż górskiego potoku, który płynął przez miasteczko. W gładkich głazach pośrodku strumienia wywiercone były otwory, z których wydobywano rudę, wszędzie dokoła wycięto chodniki w skałach i postawiono rusztowania, wzgórze oszpecono wyrobiskami i żuzłem. Beładne przybycie jeźdźców obwieściło wyciem kilka mokrych psów przycupniętych na progach domów, skręcili w uliczkę i zatrzymali się przemoczeni przed wejściem do gospody.

Glanton walnął pięścią w drzwi, otworzyły się i wyjrzał chłopak. Pojawiła się młoda kobieta, spojrzała na nich i cofnęła się do środka. Wreszcie wyszedł mężczyzna i otworzył. Był podpiity. Przytrzymał skrzydło bramy, jeźdźcy wjechali jeden za drugim na mały zalany deszczem dziedziniec, a potem zamknął za nimi bramę.

Rankiem deszcz ustał, wyłonili się więc na ulicy, śmierzdzący i obdarci, udekorowani częściami ludzkich ciał jak kanibale.

Za pasem mieli ogromne kolty, a wstrętne skórzane ubrania były mocno poplamione krwią, przesiąknięte dymem i prochem strzelniczym. Wyszło słońce, a wyposażone w wiadra i szmaty stare kobiety, szorujące kamienne stopnie przed sklepikami, odwracały głowy i patrzyły na nich, a sprzedawcy kiwali im niepewnie głowami na powitanie. Wydawali się dziwną klientelą pośród oferowanych dóbr. Mrugając, zatrzymali się przed sklepami, gdzie w oknach wisiały wiklinowe klatki z ziębami i zielono-miedzianymi papugami, które stały na jednej nodze i skrzeczały lękliwie. Były też warkocze suszonych owoców i papryki, pęki blaszanych naczyń, wiszące jak kuranty, pulque w bukłakach ze świńskiej skóry, dyndających pod belkami niczym wieprze w ubojni. Posłali po kieliszki. Pojawił się skrzypek, który przysiadł na kamiennym progu i zaczął rzępolić jakąś mauretańską melodię, i nikt spośród zdążających raniem do swoich obowiązków nie potrafił oderwać wzroku od tych cuchnących białych olbrzymów.

W południe znaleźli bodegę prowadzoną przez niejakiego Franka Carrolla, niską knajpę w dawnej stodole, której sklecone drzwi stały otworem ku ulicy, wpuszczając do środka jedyne światło. Skrzypek ruszył za nimi, rzekłbyś, z wielkim smutkiem i zajął pozycję tuż przed drzwiami, skąd widział obcokrajowców, pijących i brzęczących złotymi dublonami na stole. W drzwiach stał starzec napawający się słońcem. Z trąbką z koziego rogu trzymaną przy uchu nachylił się w stronę hałasu

dobiegającego ze środka i zaczął kiwać głową w wyrazie nieustannego potakiwania, choć nie padło ani jedno słowo w języku, który by rozumiał.

Sędzia obserwował ukradkiem muzykanta, w końcu zawołał do niego i rzucił mu monetę, która zabrzęczała na kamieniach. Skrzypek uniósł ją na moment do światła, jakby mogła stanowić niewystarczającą zapłatę, po czym wsunął ją pod ubranie, wpassował instrument pod podbródek i zaintonował melodię, która była stara już dwieście lat wcześniej w górach Hiszpanii. Sędzia wszedł w smugę światła w drzwiach bodegi i z osobliwą precyzją wykonał na kamieniach serię tanecznych kroków, aż wydawało się, że on i skrzypek to minstrele z obcych krain, zetknięci wyrokiem przypadku w tym średniowiecznym mieście. Sędzia zdjął kapelusz i uklonił się dwóm damom, które zboczyły w głąb ulicy, żeby przejść obok bodegi, i wykonał piruet, wirując na drobnych stopach, po czym nalał pulque z kielicha do trąbki starca. Starzec szybko zatkał trąbkę opuszkami kciuka, wznosił ją ostrożnie do góry, powiercił palcem w ucho i wypił.

O zmroku ulice wypełniły się pijanymi w sztok awanturnikami, którzy chwiali się na nogach, klęli i budzili kościelne dzwony strzałami z rewolwerów, wszczynając bezbożny rejwach, aż pojawił się ksiądz z krucyfiksem, żeby upomnieć ich melodeklamowanymi wersetami łaciny. Poturbowali go, dźgając obscenicznie, i obrzucili złotymi monetami, gdy leżał na ulicy, ściskając przy piersi święty wizerunek. Kiedy wstał, okazał zbyt wielką dumę, by podnieść monety, ale nadbiegli mali

chłopcy, żeby pozbierać pieniądze, więc nakazał im je przynieść, a barbarzyńcy wiwatowali i pili na jego cześć.

Gapie się rozeszli, wąska uliczka opustoszała. Kilku Amerykanów wślizgnęło się do chłodnych wód strumienia, żeby się popluskać, potem mokrzy wytoczyli się na ulicę i stali tam, ciemni, parujący, apokaliptyczni, w bladej poświacie lamp. Noc była zimna, więc pobiegli w oparach przez wybrukowane ulice jak bestie z baśni i znów rozpadał się deszcz.

Nazajutrz wypadło święto Las Animas i ulicami przeszła procesja z zaprzężonym w konie wozem, na którym jechał prymitywny Chrystus na poplamionym starym katafalku. Dalej gromadą szli świeccy akolici, na ich czele ksiądz dzwoniący małym dzwoneczkiem. Pochód zamykali bosi braciszkwowie ubrani na czarno, niosący berła z badyli. Chrystus podskakiwał, licha figura ze słomy z rzeźbioną głową i stopami. Na głowie miał koronę z górskiego wrzośca, na czole namalowano mu krople krwi, a na starych drewnianych policzkach niebieskie łzy. Wieśniacy klękali, żegnali się, niektórzy podchodzili, dotykali Chrystusowych szat i całowali opuszki swych palców. Żałobna procesja pociągnęła dalej, a w drzwiach domów siedziały małe dzieci jedzące ciasteczka w kształcie trupich główek, patrzące na kondukt i deszcz na ulicy.

Sędzia siedział samotnie w kantynie. On też patrzył na deszcz, małymi oczami w wielkiej gołej twarzy. Kieszenie nappełnił cukierkami w kształcie czaszek. Siedząc przy samych drzwiach, próbował częstować nimi dzieci przechodzące

chodnikiem pod okapami, ale płoszyły się jak kucyki.

Wieczorem mieszkańcy zeszli grupkami z cementarza na górskim zboczu, a później, po zmroku, znów ukazali się przy blasku świec i lamp w drodze do kościoła na modły. Wszyscy starannie omijali grupki podpitych Amerykanów, a brudni przybysze niezdarnie uchylali kapeluszy i szczerząc się, składali dziewczętom nieobyczajne propozycje. Carroll zamknął o zmroku obskurne bistro, po czym otworzył je znowu, bo inaczej wyłamałoby drzwi. We wczesnych godzinach nocnych nadjechał oddział konnych zdążających do Kalifornii, wszyscy zgięci wół ze skrajnego wyczerpania. Mimo to w ciągu godziny wyruszyli w dalszą drogę. O północy, kiedy podobno zjawiają się dusze zmarłych, łowcy skalpów znów wyli po ulicach i strzelali z rewolwerów na przekór deszczowi i śmierci, i tak to trwało z przerwami aż do świtu.

W południe dnia następnego będący w stanie upojenia Glanton dostał napadu szału. Wskoczył obłąkany i rozchelstany na mały dziedziniec i zaczął strzelać z kolta. Po południu leżał przywiązany do łóżka jak wariat, a obok siedział sędzia, który ocierał mu czoło mokrymi szmatami i przemawiał do niego cichym głosem. Dobiegały wołania ze stoków. Zaginęła mała dziewczynka, więc grupki mieszkańców rozpoczęły poszukiwania w szybach kopalnianych. Po chwili Glanton zasnął, a sędzia wstał i wyszedł.

Było szaro i padał deszcz, wiatr rozwiewał liście. Z drzwi obok drewnianej rynny wyłonił się obszarpany wyrostek

i pociągnął sędziego za ramię. W podwiniętej koszuli niósł dwa szczeniaki, które oferował do sprzedaży, trzymając jednego za kark.

Sędzia patrzył w głąb ulicy. Kiedy spojrział na chłopca, ten podniósł drugiego psa. Wisiały bezwładnie.

Perros a vende, powiedział.

Cuánto quieres?, spytał sędzia.

Chłopiec popatrzył na jednego i drugiego szczeniaka, jakby chciał wybrać tego, który najlepiej będzie odpowiadał usposobieniu sędziego, jeśli gdzieś na świecie w ogóle był taki pies. Wysunął do przodu trzymanego w lewej ręce.

Cincuenta centavos.

Szczeniak wił się i szarpał w chłopięcej garści, jak zwierzę cofające się przed przepaścią, płaskie jasnyniebieskie ślepia przerażone po równo chłodem, deszczem i Holdenem.

Ambos, odparł sędzia. Zaczął szukać pieniędzy w kieszeniach.

Sprzedawca uznał to za fortel kupiecki i znów przypatrzył się psom, jakby chciał lepiej ocenić ich wartość, ale sędzia już wyjął spod zabrudzonego ubrania złotą monetę wartą cały buszel psiaków w tej cenie. Położył monetę na dłoni, wysunął ją, a drugą ręką wziął psy od właściciela, trzymając oba jak parę skarpet. Podrzucił monetę.

Andale, powiedział.

Wyrostek patrzył na złoto.

Sędzia zamknął i otworzył dłoń. Moneta znikła. Poruszył palcami w powietrzu, sięgnął chłopcu za ucho, wyjął monetę

i mu ją wręczył. Chłopak trzymał pieniędzy przed sobą w obu dłoniach jak niewielką monstrancję. Podniósł wzrok na sędziego. Ale ten już się oddalał, ze szczeniakami dyndającymi w ręku. Wmaszerował na kamienny most, spojrzął w spienioną wodę, podniósł ramię i wrzucił psy do strumienia.

Przeciwny koniec mostu przechodził w uliczkę biegnącą wzdłuż brzegu. Tam właśnie stał Vandienenlander, oddając mocz z kamiennego muru do wody. Kiedy zobaczył, że sędzia rzuca szczenięta z mostu, wyszarpnął kolta zza pasa i krzyknął.

Psy zniknęły w kipiącej wodzie. Szeroki zielony nurt porwał jednego, potem drugiego, nad powierzchnią wygładzonych skał, w kierunku leżącego niżej rozlewiska. Vandienenlander wycelował i odbezpieczył rewolwer. W czystych wodach rozlewiska wirowały liście wierzby jak klenie z nefrytu. Kolt szarpnął się w dłoni i jeden ze szczeniaków podskoczył w wodzie, a najemnik znów odciągnął kurek i wypalił. Rozlała się różowa plama. Po raz trzeci odbezpieczył i strzelił, a wtedy drugi szczeniak bryznął czerwienią i zaraz utonął.

Sędzia szedł dalej przez most. Wyrostek nadbiegł i spojrzął w wodę, wciąż ściskając monetę. Vandienenlander stał po drugiej stronie ulicy, w jednym ręku trzymając siura, w drugim rewolwer. Dym rozwiął się wzdłuż brzegu, a w rozlewisku nie było już nic.

Późnym popołudniem Glanton obudził się i zdołał wyswobodzić z więzów. Zaraz potem gruchnęła wieść, że ściał nożem meksykańską flagę przed cuartelem i przywiązał ją mułowi do ogona. Dosiadł go i pop dził dokoła placu, ciągnąc z tyłu świętą

banderę przez błoto.

Zatoczył koło po ulicach i znów pojawił się na placu, wściekle kopiąc zwierzę piętami w boki. Kiedy skręcał, huknął strzał i muł padł pod nim martwy, z kulą z muszkietu tkwiącą w mózgu. Glanton przeturlał się na bok, zerwał na nogi i zaczął strzelać na oślep. Stara kobieta w milczeniu osunęła się na kamienie. Z knajpy Franka Carrolla nadbiegli pędem sędzia, Tobin i Doc Irving, przyklekli w cieniu murów i ostrzelali okna na piętrze. Zza rogu po drugiej stronie placu wyszło kolejnych kilku Amerykanów i dwóch z nich zaraz padło w bezładnej kanonadzie. Grudki ołowiu dzwoniły na kamiennych płytach, a w wilgotnym powietrzu zawisła nad ulicą chmura dymu. Glanton i John Gunn przedarli się do stodoły na tyłach posady, gdzie trzymano konie, i zaczęli je wyprowadzać. Na podwórze wbiegło następnych trzech członków oddziału i po chwili wyrzucali już na dwór ekwipunek i siodłałi wierzchowce. Strzelanina trwała nieprzerwanie, Amerykanie leżeli na placu, dwaj martwi, inni ranni, wołający o pomoc. Kiedy pół godziny później najemnicy uciekali z miasteczka, zostawili w nim sześciu swoich, a ścigał ich chaotyczny ogień z muszkietów oraz grad kamieni i butelek.

Godzinę później dopędzili ich Carroll i drugi Amerykanin, o nazwisku Sanford, który też osiadł w tym zakątku. Mieszkańcy podpalili bodegę. Ksiądz najpierw ochrzcił rannych Amerykanów, a potem cofnął się o krok, bo dobijano ich strzałem w głowę.

Jeszcze przed zapadnięciem zmroku napotkali wspinającą się po zachodnim stoku conductę stu dwudziestu dwóch mułów wiozących butle rtęci do kopalń. Słyszeli trzask biczy i pokrzykiwania arrieros na serpentynie hen w dole, widzieli obładowane zwierzęta kroczące z trudem jak kozy przy uskoku pionowego urwiska. Zły los. Dwadzieścia sześć dni po wyruszeniu znad morza i tylko o dwie godziny drogi od celu. Muły sapwały, gramoląc się po osypisku, popędzane przez mężczyzn w podartych kolorowych strojach. Kiedy pierwszy z nich zobaczył przed sobą jeźdźców, stanął w strzemionach i obejrzał się przez ramię. Kolumna mułów ciągnęła krętym szlakiem na długości ponad pół mili, a kiedy stanęły, stłoczone, w oddali na odcinkach szlaku widać było kolejne części karawany, tu osiem, tam dziesięć zwierząt, zwróconych to w jedną, to w drugą stronę, ogony tych z przodu ogryzione do czysta jak kości przez sztuki idące z tyłu, rtęć pulsująca w butlach z gutaperki, jakby wieziono tajemnicze stworzenia, istoty dobrane w pary, ruchliwe i oddychające z trudem w pękatych naczyniach. Poganiacz znów odwrócił głowę i spojrzął na szlak. Glanton już szarżował. Mężczyzna przywitał Amerykanów przyjaźnie. Glanton przemknął obok bez słowa, trzymając się po stronie skalnej ściany, niebezpiecznie spychając muła Meksykanina między luźne kawałki łupka. Twarz mężczyzny spochmurniała, odwrócił się i zawołał do swoich ludzi. Obok przejeżdżali już pozostali najemnicy, oczy zmrużone, twarze czarne jak u maszynistów powalanych sadzą. Poganiacz zsiadł z muła i wyciągnął muszkiet spod

siedziska siodła. W tej właśnie chwili naprzeciw niego znalazł się David Brown, z rewolwerem w dłoni przy boku konia. Przerzucił rękę nad lękiem i strzelił Meksykaninowi prosto w pierś. Mężczyzna usiadł bezładnie na ziemi, a gdy Brown trafił go drugi raz, runął ze skał w przepaść.

Pozostali z oddziału nawet nie próbowali zorientować się w sytuacji. Wszyscy strzelali z bliska do poganiaczy. Meksykanie spadali z koni na szlak, niektórzy zsuwali się z urwiska i niknęli w dole. Poganiacze jadący z tyłu zawrócili, próbując umknąć, obładowane muły cisnęły się pod pionową ścianą jak ogromne szczury. Jeźdźcy wdarli się między skałę a zwierzęta i metodycznie zaczęli spychać wszystkie w przepaść, muły spadały cicho jak męczennicy, obracając się spokojnie w pustce, w dole zdumiewające eksplozje krwi i srebra z pękających butli, wielkie strugi i płyty rtęci falujące w powietrzu, małe drżące satelity, łączące się w najrozmaitsze formy, które płynęły kamieniami arroyos jak pogwałcenie jakiegoś ostatecznego procesu alchemicznego, wysączonego z tajemnego mroku w głębi serca ziemi, umykający jeleni starożytnych, ulotny na górskim stoku, jasny i chyży na suchej ścieżce szlaków burzowych, wypalający oczodoły w skale, mknący stromizną z jednej półki skalnej na drugą, skrzący się i zwinny jak węgorz.

Poganiacze rozpierzchli się na szlaku, w miejscu gdzie stok wydawał się łagodny, i jechali dalej, spadali z hukiem między jałowce i sosny pośród bezładnych krzyków, a jeźdźcy popędzili

ostatnie muły i pognali w dół skalistej ścieżki jak ludzie na łąsce jakiejś straszliwej mocy. Carroll i Sanford oddzielili się wcześniej od najemników, a gdy dotarli na taras, za którym zniknęli ostatni arrieros, zatrzymali konie i spojrzeli do tyłu na szlak. Był pusty, z wyjątkiem zwłok kilku mężczyzn z conducte. Z urwiska spadło pół setki mułów i w zakolu na dnie widzieli teraz ich połamane sylwetki zaścielające skały, w wieczornym świetle widzieli też jasne kształty zastygłej rtęci. Konie tupwały i wyciągały szyje. Dwaj jeźdźcy popatrzyli w głąb nieszczęsnej otchłani, a potem na siebie nawzajem, ale słowa były zbędne, szarpnęli więc wodze i dali ostrogę, ruszając dalej.

O zmroku dogonili oddział. Konie rozsiadłano po drugiej stronie rzeki, a dzieciak i jeden z Delawarów odpędzali spienione zwierzęta od brzegu. Carroll i Sanford ruszyli do brodu i przeszli przez wodę sięgającą końskich brzuchów, zwierzęta kluczące między kamieniami, zerkające przerażonym wzrokiem w górę rzeki, gdzie z katarakty w ciemniejszym lesie spadała z hukiem wodna masa w nakrapiane i wrące rozlewisko. Kiedy wyjechali z brodu, sędzia zastąpił im drogę i chwycił konia Carrolła za szczękę.

Gdzie czarnuch?, spytał.

Carroll spojrział na niego. Ich oczy znajdowały się prawie na tej samej wysokości, choć siedział na koniu.

Nie wiem, odparł.

Sędzia zerknął na Glantona. Glanton splunął.

Ilu naszych widziałeś na placu?

Nie było czasu liczyć. Oberwało trzech albo czterech, tyle wiem.

Czarnuch był między nimi?

Nie widziałem.

Sanford pchnął konia do przodu. Na placu nie było czarnucha, powiedział. Widziałem, jak dobijali chłopaków i każdy jeden był biały jak ty i ja.

Sędzia puścił konia Carrola i poszedł po swojego wierzchowca. Dwaj Delawarowie odłączyli się od oddziału. Było już prawie ciemno, gdy ruszyli w górę szlaku, a pozostali wycofali się do lasu, postawili czujki u brodu i obozowali bez ognia.

Ścieżką nikt nie nadjechał. We wczesnych godzinach nocy zapadł gęsty mrok, ale pierwsza zmiana straży przy brodzie zobaczyła, że się rozjaśnia, bo nad kanionem zawisł księżyc, i wtedy ujrzeli schodzącego nad wodę niedźwiedzia, który stanął po drugiej stronie rzeki, pociągnął nosem i się wycofał. Tuż przed świtem wrócił sędzia i Delawarowie. Wieźli ze sobą Murzyna. Miał na sobie tylko koc, którym się owinął. Stracił nawet buty. Dosiadał jednego z mułów o łysych ogonach z conducty i dygotał z zimna. Uratował jedynie swój rewolwer. Trzymał go pod kocem przy piersi, bo inaczej nie miał go jak nosić.

* * *

Droga z gór w kierunku morza na zachodzie prowadziła przez zielone jary gęsto porośnięte winoroślą, gdzie skrzeczały bystrookie kolorowe ary i papugi o długich ogonach. Szlak biegł wzdłuż wezbranej błotnistej rzeki, a po drodze było wiele brodów, bez przerwy więc przejeżdżali z jednego brzegu na

drugi. Na pionowej górskiej ścianie wisiały blade kaskady, buchające ze śliskiej skały dzikimi kłębami pary. Przez osiem dni nie napotkali żadnych wędrowców. Dziewiątego zobaczyli starca, który próbował zejść ze szlaku, poganiając trzcinką dwa osły do lasu. Gdy dotarli do tego miejsca, przystanęli i Glanton odwrócił się w stronę drzew, gdzie szeleściły mokre liście, i wytropił starca w krzakach, siedzącego samotnie jak gnom. Osły podniosły ślepią, strzygąc uszami, a potem opuściły łby i pasły się dalej. Starzec patrzył na Glantona.

Por qué se esconde?

Starzec milczał.

De dónde viene?

Wydawało się, że sama myśl o rozmowie budzi w nim niechęć. Kucał w liściach, z rękoma założonymi na piersi. Glanton nachylił się i splunął. Ruchem podbródka wskazał osły.

Qué tiene allá?

Starzec wzruszył ramionami. Hierbas, odparł.

Glanton spojrział na zwierzęta, potem na starca. Zawrócił konia, żeby dołączyć do oddziału na szlaku.

Por qué me busca?, zawołał za nim mężczyzna.

Ruszyli w dalszą drogę. W dolinie widzieli orły i inne ptaki, do tego mnóstwo saren, rosły tam też dzikie orchidee i bambusowe zarośla. Rzeka w tym miejscu była dość szeroka, tocząc wody po ogromnych głazach, a wszędzie dookoła z gęstej dżungli lały się wodospady. Sędzia wysforował się naprzód z jednym Delawarem, trzymając w ręku karabin naładowany małymi twardymi pestkami z owoców nopalu, a wieczorem fachowo

oporządzał ustrzelone kolorowe ptaki, nacierając ich skórę prochem strzelniczym i wypychając motkami ugniecionej trawy, a gotowe okazy pakował do swoich juków. Między kartki zeszytu wkładał liście drzew i roślin, z koszulą rozpostartą w obu dłoniach skradał się na palcach za górskimi motylami, przemawiając do nich szeptem, sam niezgorszy oryginał. Kiedy usiadł, żeby zapisać coś w notatniku, podsuwając go ku poświęceniu ogniska, Toadvine popatrzył na niego, a potem spytał, jaki jest sens tego wszystkiego.

Zastygło pióro skrobiące po papierze. Sędzia spojrział na Toadvine'a. Następnie znowu zabrał się do pisania.

Toadvine splunął w ognisko.

Sędzia pisał dalej, wreszcie zatrzaskał zeszyt, odrzucił go na bok, złożył dłonie, przesunął nimi po nosie i ustach i oparł na udach.

Skoro coś istnieje, powiedział. Skoro coś istnieje na tym świecie bez mojej wiedzy, istnieje bez mojej zgody.

Rozejrzał się po ciemnym lesie, w którym biwakowali. Ruchem głowy wskazał zgromadzone okazy. Być może te beziemienne stworzenia wydają się mało ważne w skali całego świata, ciągnął. A jednak może nas pożreć najmniejszy okruch. Najmniejsza drobinka pod tamtą skałą, żyjąca bez naszej wiedzy. Tylko natura może zniewolić człowieka, więc dopiero gdy istnienie ostatniego bytu wygnane zostanie z kryjówki i postawione przed nim nagie, wtedy będzie on suzerenem na tej ziemi.

Co to suzeren?

Władca. Władca albo król.

To czemu nie mówić władca?

Bo suzeren to szczególnie władca. Panuje nawet tam, gdzie są inni władcy. Unieważnia osąd miejscowych.

Toadvine splunął.

Sędzia położył ręce na ziemi. Spojrzał na swojego rozmówcę. Do tego roszczę sobie prawo, powiedział. A jednak wszędzie tutaj są zakamarki, w których tętni niezależne życie. Niezależne. Aby ziemia mogła być moja, niczemu nie wolno istnieć bez mego zezwolenia.

Toadvine siedział po turecku przed ogniskiem. Żaden człowiek nie pozna wszystkiego, co chodzi po tej ziemi, odparł.

Sędzia przekrzywił wielką głowę. Człowiek wierzący, że tajemnice świata na zawsze pozostaną ukryte, żyje w otumanieniu i strachu. Zabobon przyczyni się do jego upadku. Deszcz wypłucze jego czyny z kart życia. Ale człowiek, który postanawia wywlec nić porządku z wielkiego gobelinu, na mocy tego postanowienia stanie się panem świata, a stając się nim, będzie mógł kształtować swój los na własnych warunkach.

Nie wiem, co to ma wspólnego z łapaniem papug.

Wolność ptaków to dla mnie zniewaga. Zamknąłbym wszystkie w ogrodach zoologicznych.

Byłby to ogród jak diabli.

Sędzia się uśmiechnął. Tak, odparł. W rzeczy samej.

W nocy szlakiem przejechała karawana, łby koni i mułów zawinięte w serape, prowadzone w ciszy po ciemku, jeźdźcy upominający jeden drugiego palcem przyłożonym do ust.

Sędzia, siedzący na szczycie górującego głazu, patrzył na ich przejazd.

Rankiem najemnicy wyruszyli w drogę. Przeszli brodem błotnistą rzekę Yaquí i jechali dalej przez kępy słoneczników, wysokich jak człowiek na koniu, a ich martwe oblicza były zwrócone na zachód. Z przodu otwierała się nowa kraina, na zboczach widzieli zasadzoną kukurydzę i polany w gęstwinie, gdzie stały szałas z trawy oraz rosły drzewa pomarańczowe i tamaryndowce. Ale ani żywego ducha. Drugiego grudnia 1849 roku wjechali do Ures, stolicy stanu Sonora.

Nie przebyli nawet pół miasta, gdy otoczył ich orszak osobników tak różnorodnych i plugawych, jakich dotąd nie napotkali, żebracy i nadzorczy żebraków, kurwy i alfonsi, uliczni sprzedawcy i dzieci, całe delegacje ślepców i kalek, wszyscy natrętnie wołający: por dios, kilku na plecach popędzanych tragarzy, nieprzebrana rzesza ludzi w każdym wieku i stanie, których przygnała ciekawość. Na balkonach odpoczywały znane powszechnie w okolicy damy o twarzach pomalowanych wulgarnie w kolorach indygo i ochry, podobnych do małych tyłków, zerkając zza wachlarzy ze swoistą ponurą nieśmiałością jak transwestyci w domu wariatów. Sędzia i Glanton jechali na czele nielicznej kolumny, rozmawiając. Konie biegły niespokojnie, a gdy pojawiała się ręka próbująca złapać któregoś wierzchowca za uprząż, jeździec dźgał ją ostrogą i wtedy się cofała.

Na noc zatrzymali się w zajeździe na skraju miasta, prowadzonym przez Niemca, który oddał im w posiadanie cały przybytek i nie pojawił się ani razu przez czas świadczenia usługi.

Glanton wałęsał się po wysokich zakurzonych pokojach z sufitymi z łożyny i wreszcie w pomieszczeniu, które zapewne służyło za kuchnię, choć prócz koksownika i kilku glinianych garnków nie było tam żadnych przyborów do gotowania, znalazł kulącą się ze strachu starą criadę. Wcisnąwszy jej w dłoń garść srebrnych monet, kazał podgrzać wodę do kąpieli i polecił przygotować wikt. Patrzyła zastygła na pieniądze, aż wreszcie ją przegonił, poszła więc korytarzem, trzymając monety w stulonej dłoni jak ptaszka. Zniknęła u góry schodów, wołając, i wkrótce dokoła zakrzątnęło się parę kobiet.

Kiedy Glanton się odwrócił, by przejść korytarzem, zobaczył, że tarasuje go cztery albo pięć koni. Przepędził zwierzęta kapeluszem, podszedł do drzwi i wyjrzał wprost na tłum milczących gapiów.

Mozos de cuadra, krzyknął. Venga. Pronto.

Do przodu przepchało się dwóch chłopców. Podeszli do drzwi. Inni ruszyli za nimi. Glanton kiwnął na najwyższego, położył mu rękę na głowie, odwrócił go i popatrzył na pozostałych.

Este hombre es el jefe, powiedział. Jefe stał z poważną miną, tocząc wzrokiem dokoła. Glanton znów go odwrócił i spojrział mu w oczy.

Te encargo todo, entiendes? Caballos, sillas, todo.

Sí. Entiendo.

Bueno. Andale. Hay caballos en la casa.

Mianowany przywódca odwrócił się i zawołał po imieniu swych przyjaciół. Pół tuzina chłopców wyłoniło się z tłumu i weszło do środka. Kiedy Glanton ruszył korytarzem, prowadzili

już odważnie zwierzęta — niejedno było bestią, która tratowała ludzi — w kierunku bramy, najmniejszy niewiele wyższy niż nogi zwierzęcia, nad którym przejął opiekę. Glanton wyszedł na tył budynku i zaczął się rozglądać za ekskșiędzem, którego lubił posyłać po kurwy i alkohol, lecz nigdzie nie było go widać. Próbując znaleźć podkomendnych, którzy dawaliby jakąkolwiek rękojmię powrotu, zdecydował się na Doca Irvinga i Shelby'ego. Dał im garść monet i wrócił do kuchni.

O zmroku na podwórku za zajazdem piekło się na roznach pół tuzina młodych kóz, ich poczerńiałe sylwetki połyskiwały w przydymionym świetle. Sędzia przechadzał się w lnianym garniturze, ręką z cygarem dowodząc kucharzami, a za nim jak cień podążała kapela smyczkowa złożona z sześciu muzykantów, wszyscy starzy, wszyscy poważni, trzymający się trzy kroki w tyle, grający przez cały czas. Pośrodku podwórka stał trójnóg z bukłakiem pełnym pulque. Irving wrócił z dwudziestoma, trzydziestoma dziwkami w różnym wieku i o różnym wyglądzie, a przed wejściem do budynku zatrzymała się istna karawana fur i wózków wszelkiego rodzaju, przywleczonych przez samozwańczych markietanów, z których każdy wykrzykiwał ceny rozmaitych towarów w otoczeniu ruchliwego tłumu gapiów, kilku półdzikich koni na sprzedaż, stojących dęba i rżących, wychudłego bydła, owiec i świń wraz z ich właścicielami, aż wreszcie miasto, od którego Glanton i sędzia mieli nadzieję się odgrodzić, stanęło u ich drzwi w uroczystej atmosferze

zabarwionej radością i zarazem szpetotą, rzecz typowa dla zgromadzeń w tej części świata. Na podwórzu rozdmuchano ognisko tak wielkie, że z ulicy wydawało się, iż na tyłach zajazdu wybuchł pożar, i wciąż przybywali nowi kupcy z towarami i nowi gapie wraz z grupkami najmowanych do roboty posępnych Indian Yaqui w przepaskach biodrowych.

O północy na ulicy porozpalano ogniska, rozpoczęły się tańce i pijaństwo, zajazd rozbrzmiewał piskami kurew, a na zaciemnione i zadymione podwórze wdarły się wrogie watahy psów, które zaczęły wściekle walczyć o zwęglone kości kóz, i tam właśnie padły pierwsze strzały tej nocy, a ranne psy zawyły i czołgały się dokoła, aż wreszcie pojawił się sam Glanton i dobił je nożem, ponura scena w migotliwym świetle, postrzelone kundły ciche, tylko kłapały zębami, wlokąc się po podwórku jak foki albo coś innego, skulone pod murami, podczas gdy on chodził od jednego do drugiego i rozłupywał im czaszki ogromnym nożem podbitym miedzią. Ledwo wrócił do środka, przy rożnach powarkiwały już nowe psy.

W późnych godzinach nocnych prawie wszystkie lampy w zajazdzie pogasły, a pokoje wypełniło pijackie chrapanie. Markietanie z wózkami zniknęli, na ulicy pozostały czarne wypalone kręgi po ogniu, jak kratery po pociskach, a dogasające szczapy zaciągnięto w jedno miejsce i wrzucono do ostatniego ogniska, przy którym siedzieli starcy i chłopcy, palący cygara i opowiadający historie. Gdy o świcie na wschodzie ukazały się zarysy gór, nawet oni przepadli. Na tyłach zajazdu ocalałe psy

rozwłóczyły kości po podwórku, a pozostałe, martwe, leżały w ciemnej galarecie własnej krwi zakrzepłej w kurzu; zaczęły pisać koguty. Gdy w drzwiach wejściowych stanęli Glanton i sędzia, ubrani w garnitury, pierwszy na biało, drugi na czarno, jedynym obecnym był jeden z małych stajennych, zmorzony snem na kamieniach.

Joven, powiedział sędzia.

Chłopiec zerwał się na nogi.

Eres mozo del caballado?

Sí señor. A su servicio.

Nuestros caballos, powiedział. Chciał opisać konie, ale chłopiec już pobiegł, żeby wykonać polecenie.

Było zimno i dął wiatr. Słońce nie wzeszło. Sędzia stał na schodkach, a Glanton przechadzał się tam i z powrotem, wpatrzony w ziemię. W ciągu dziesięciu minut pojawił się chłopiec w towarzystwie drugiego; prowadzili po ulicy dziarskim kłusem dwa osiodłane i oporządzone konie, chłopcy biegli ile sił w nogach, boso, konie buchały parą z pysków, kołyszac z gracją łbami na boki.

XV

- NOWY KONTRAKT • SLOAT
- MASAKRA NAD NACOZARI
- STARCIE Z ELIASEM • ŚCIGANI
- CIĄgniĘCIE LOSÓW
- SHELBY I DZIECIAK • OKUŁAŁY KOŃ
- WIATR Z PÓŁNOCY • DWA ŚNIEŻNE KOPCE
- UCIECZKA • WOJNA NA RÓWNINIE • W DÓŁ
- GOREJĄCE DRZEWO • NA SZLAKU • TROFEA
- DZIECIAK ODNAJDUJE ODDZIAŁ • SĘDZIA
- OFIARA NA PUSTYNI • ZWIADOWCY NIE WRACAJĄ
- OGDOAD • SANTA CRUZ • MILICJA • ŚNIEG
- DACH NAD GŁOWĄ • OBORA

Piątego grudnia wyruszyli przed świtem na północ w zimnym mroku, wioząc podpisany przez gubernatora Sonory kontrakt na dostarczanie skalpów Apaczów. Na ulicach było pusto i cicho. Carroll i Sanford opuścili oddział, ale z najemnikami jechał teraz chłopak o nazwisku Sloat, którego, gdy zachorował przed paroma tygodniami, pozostawił w mieście na łasce losu ciągnący na wybrzeże tabor poszukiwaczy złota. Kiedy Glanton spytał chłopaka, czy jest krewnym komandora o tym samym nazwisku, ten splunął i odparł spokojnie, że nie, ani ja jego, ani on moim. Jechał blisko czoła kolumny, sądząc z pewnością, że wyrwał się z potrzasku, ale jeśli dziękował za to jakiemuś bogu, czynił to przedwcześnie, bo kraina ta wciąż miała z nim niedokończone porachunki.

Skierowali się na północ ku rozległej sonorskiej pustyni i tygodniami snuli po spieczonym odludziu w pogoni za pogłoską i

cieniem. Kilka rozproszonych band zbójnickich Chiricahua, widzianych podobno przez pastuchów z podupadłego i opuszczonego rancza. Kilku peonów, zwabionych w zasadzkę i zabitych. Dwa tygodnie po wyjeździe dokonali masakry na mieszkańcach puebla nad rzeką Nacozari, a dwa dni później, kiedy ruszyli ze skalpami w kierunku Ures, na równinie na zachód od Baviácora natknęli się na armię sonorskiej kawalerii pod komendą generała Eliasa. Wywiązał się pościg, w trakcie którego trzech z oddziału Glantona zginęło, siedmiu innych zostało rannych, z tych zaś czterej niezdolni byli do dalszej jazdy.

W nocy widzieli ogniska armii niespełna dziesięć mil na południe. Przesiedzieli noc po ciemku, ranni wołali o wodę. W zimnym bezruchu przed świtem ognie wciąż płonęły w oddali. O brzasku Delawarowie wjechali do obozu i usiedli z Glantonem, sędzią i Brownem. W poświacie od wschodu ogniska na równinie zbladły jak zły sen i dokoła rozpostarła się teraz naga kraina, połyskująca w czystym powietrzu. Gdzieś tam Elias ruszył już na nich z armią w sile pięciuset żołnierzy.

Wstali, żeby osiodłać konie. Glanton wyjął kołczan zrobiony ze skóry ocelota i odliczył strzały, żeby było ich tyle, ilu członków oddziału, porwał kawał czerwonej flaneli, przywiązał strzepy przy nasadkach czterech strzał, potem włożył jedne i drugie do kołczana.

Usiadł na ziemi z kołczanem na sztorc między kolanami, a pozostali zaczęli podchodzić gęsiego. Dzieciak wybrał strzałę, którą chciał wyciągnąć, lecz nagle zastygł, bo zobaczył, że sędzia mu się przygląda. Spojrzał na Glantona. Puścił trzymaną

strzałę i wyjął drugą, z czerwonym chwostem u dołu. Znowu zerknął na sędziego, ale ten nie patrzył, więc ruszył dalej i zajął miejsce obok Tate'a i Webstera. Na końcu dołączył do nich niejaki Harlan z Teksasu, który wybrał ostatnią feralną strzałę, i tak stali we czterech, podczas gdy reszta osiodłała konie i wyprowadziła je z obozu.

Wśród rannych było dwóch Delawarów i jeden Meksykanin. Czwartym był Dick Shelby, który siedział z boku, obserwując przygotowania do odjazdu. Pozostali Delawarowie w oddziale zaczęli rozmawiać między sobą, a potem jeden z nich zbliżył się do czterech Amerykanów i przyjrzał im po kolei. Przeszedł przed nimi, zawrócił i wziął strzałę od Webstera. Webster spojrzął na Glantona, który stał nieopodal przy swoim koniu. Potem Delawar wziął strzałę Harlana. Odwrócony plecami Glanton przywarł czołem do żeber wierzchowca, zacisnął popręg i wskoczył na siodło. Poprawił kapelusz. Wszyscy milczeli. Harlan i Webster poszli po swoje wierzchowce. Glanton wstrzymał konia, a gdy najemnicy przejechali obok jeden za drugim, zawrócił i ruszył ich śladem na równinę.

Delawar poszedł po swojego wierzchowca i zaczął go prowadzić w pętach przez zagłębienia w piachu, pozostałe po ciałach śpiących. Jeden z rannych Indian leżał spokojnie, oddychając ciężko z zamkniętymi oczami. Drugi śpiewał coś rytmicznie. Delawar puścił wodze, wyjął maczugę z juków, stanął okrakiem nad pierwszym Indianinem, wziął zamach i jednym uderzeniem roztrzaskał mu głowę. Mężczyzna przygarbił się, targnięty

drobnym spazmem, i znieruchomiał. Z drugim postąpił tak samo, a potem podniósł koniowi nogę, oswobodził ją z pęt, wstał, schował sznur i maczugę do juków, dosiadł wierzchowca i obrócił go. Spojrzał na dwóch stojących obok mężczyzn. Twarz i klatkę piersiową miał zbryzgane krwią. Dotknął pięta-
mi końskich boków i odjechał.

Tate przykucnął na piachu, zwieszając ręce. Odwrócił głowę i popatrzył na dzieciaka.

Kto załatwi Meksykanina?, spytał.

Dzieciak nie odpowiedział. Obaj patrzyli na Shelby'ego. On patrzył na nich.

Tate ścisnął w garści kamyki, które upuścił teraz po kolei na piasek. Zerknął na dzieciaka.

Jak chcesz, to jedź, rzekł dzieciak.

Spojrzał na martwych Delawarów w kocach. Możesz nie dać rady.

Nie twoje zmartwienie.

Glanton może wrócić.

Może i może.

Tate spojrzał w kierunku leżącego Meksykanina, a potem znowu popatrzył na dzieciaka. Wypadło na mnie, powiedział.

Dzieciak milczał.

Wiesz, co tamci z nimi zrobią?

Splunął. Wyobrażam sobie.

Nie, nie wyobrażasz.

Mówiłem, że droga wolna. Rób jak chcesz.

Tate wstał i spojrzał na południe, ale rozpościerająca się w oddali pustynia była czysta, niepodeptana przez żadną

zbliżającą się armię. Zadygotał z zimna. Indiance, powiedział. Dla nich to pestka. Przeszedł przez obóz, wziął swojego konia, podprowadził go i dosiadł. Spojrzał na charczącego cicho Meksykanina, któremu różowa piana wystąpiła na usta. Potem na dzieciaka. W końcu ponaglił konia, wjechał między suche akacje i zniknął.

Dzieciak siedział na piachu, patrząc na południe. Meksykanin oberwał w płuca, więc i tak miał umrzeć, ale Shelby'emu kula strzaskała tylko biodro i był całkiem przytomny. Leżał, wpatrując się w dzieciaka. Pochodził z wpływowej rodziny z Kentucky, uczęszczał do Transylvania College i jak wielu innych młodych mężczyzn z jego klasy społecznej wyruszył na zachód z powodu kobiety. Patrzył na dzieciaka i na ogromne słońce wrzące na krańcach pustyni. Każdy bandyta i szuler wiedziałby, że przegra ten, który pierwszy się odezwie, ale Shelby i tak już przegrał.

Na co czekasz?, spytał. Rób swoje.

Dzieciak spojrzał na niego.

Jak bym miał broń, tobym cię zastrzelił, powiedział Shelby.

Dzieciak milczał.

Wiesz o tym, co?

Ale nie masz.

Znowu popatrzył na południe. Coś się poruszało, może pierwsze warstwy gorąca. Ani śladu kurzu o tak wczesnej porze. Gdy znowu spojrzał na Shelby'ego, ten płakał.

Nie podziękujesz mi, jak ci daruję?

No to rób swoje, ty skurwysynu.
Siedział. Z północy wiał lekki wiatr, a w zaroślach za plecami zaczęły gruchać gołębie.
Jak chcesz, żebym cię zostawił, to odjadę.
Shelby milczał.
Dzieciak rył obcasem w piachu. Musisz powiedzieć.
Dasz mi broń?
Wiesz, że nie mogę ci nic dać.
Jesteś taki sam jak on. Taki sam.
Dzieciak nie odpowiedział.
A jak wróci?
Glanton?
Tak?
No to co?
Zabije mnie.
Nic na tym nie stracisz.
Ty skurwysynu.
Dzieciak wstał.
Ukryjesz mnie?
Ukryję?
Tak.
Splunął. Nie dasz rady się ukryć. Niby gdzie?
Czy on wróci?
Nie wiem.
Nie chcę umierać w tak strasznym miejscu.
A jest gdzieś jakieś dobre?
Shelby otarł oczy wierzchem dłoni. Widzisz ich?, spytał.
Na razie nie.
Zaciągniesz mnie w krzaki?

Dzieciak odwrócił się i spojrział na niego. Popatrzył znowu w dal, po czym przeszedł przez nieckę, przykucnął za Shelbym, wziął go pod pachy i dźwignął. Shelby'emu głowa opadła do tyłu i zerknął w górę, a potem chwycił za kolbę rewolweru, który dzieciak nosił za pasem. Dzieciak złapał go za rękę. Opuścił Shelby'ego na ziemię, odsunął się i pomaszerował na drugą stronę obozu. Gdy wrócił, prowadząc konia, Shelby znowu płakał. Wyjął rewolwer zza pasa, wetknął go między tobołki przywiązane do tylnego łęku siodła, wziął manierkę i podszedł do rannego.

Shelby leżał z odwróconą głową. Dzieciak przelał trochę wody do jego manierki, wetknął z powrotem korek wiszący na rzemyku i dopchnął go nasadą dłoni. Wstał i spojrział na południe.

Już jadą, powiedział.

Shelby uniósł się na łokciu.

Dzieciak zerknął na niego, potem popatrzył na niewyraźne, bezkształtne kłębowisko na widnokręgu od południa. Shelby opadł na plecy. Patrzył w niebo. Od północy nadciągała ciemna chmura i zerwał się wiatr. Z krzaków wierzbin na skraju piaszczystej niecki wyfrunęła wiązka liści i zaraz nadleciała z powrotem. Dzieciak podszedł do konia, wziął rewolwer, włożył go za pasek, powiesił manierkę na łęku siodła, wsiadł i spojrział jeszcze raz na rannego mężczyznę. Potem odjechał.

* * *

Ciągnął kłusem na północ, gdy z przodu w odległości może mili zobaczył drugiego wędrowca. Był niewyraźny i posuwał się

znacznie wolniej. Po chwili dzieciak dostrzegł, że prowadzi konia, a jeszcze później, że koń utyka.

Był to Tate. Usiadł z boku i patrzył na zbliżającego się dzieciaka. Koń stał na trzech nogach. Tate milczał. Zdjął kapelusz, zajrzał do niego i włożył go z powrotem. Dzieciak odwrócił się w siodle, żeby spojrzeć na południe. A potem popatrzył na Tate'a.

Nie może iść?

Nie bardzo.

Zsiadł i podniósł nogę konia. Podeszwa kopyta była rozcięta i zakrwawiona, skóra na ramieniu zdrzała. Postawił nogę. Słońce było już na niebie drugą godzinę, a na widnokregu ukazał się kurz. Dzieciak spojrział na Tate'a.

Co chcesz robić?

Nie wiem. Spróbuję go poprowadzić. Zobaczę, czy pójdzie.

Daleko nie zajdzie.

Wiem.

Możemy na zmianę jechać na moim.

Albo możesz jechać sam.

Mogę.

Tate spojrział na niego. No to jedź, jak chcesz, powiedział.

Dzieciak splunął. Chodź.

Za nic nie zostawię siodła. Ani konia, jeśli już o to chodzi.

Dzieciak chwycił wiszące wodze swojego wierzchowca. Lepiej się zastanów, czy to byłoby za nic, odparł.

Ruszyli, prowadząc zwierzęta. Okulały koń nie chciał iść i Tate ciągnął go za sobą. Chodź, głupi, powiedział. Te czarnuchy wcale nie spodobają ci się bardziej niż ja.

W południe słońce było bladą rozmazaną plamą na niebie, a z północy dął zimny wiatr. Kłaniali mu się nisko, zarówno zwierzę, jak i człowiek. Nawiewał kłujące drobinki żwiru, nasuwały więc kapelusze głęboko na czoła i brnęli dalej. Suche źdźbła pustynnej trawy fruwały w powietrzu razem z kotłującymi się ziarenkami lotnego piasku. Po kolejnej godzinie zniknęły ślady jadącego przed nimi oddziału. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, niebo było jednakowo szare i wiatr nie ustawał. Po chwili zaczął padać śnieg.

Dzieciak wyjął koc i się nim owinął. Odwrócił się plecami do wiatru, a koń pochylił łeb i przytulił policzek do jego twarzy. Rzęsy miał przyprószone płatkami śniegu. Nadszedł Tate i stali teraz we dwóch, patrząc na południe, dokąd wiatr gnał śnieg. Widzieli na odległość ledwie kilku stóp.

Co za piekło.

Twój koń nie poprowadzi?

Skąd, cholera. Ledwo mogę go zmusić, żeby za mną szedł.

Jak się nam popłaczą strony świata, to się jeszcze nadziejemy prosto na Hiszpanów.

Nigdy nie widziałem, żeby tak szybko zrobiło się zimno.

Co chcesz robić?

Lepiej iść dalej.

Trzymajmy się wzgórz. Jak będziemy cały czas szli pod górę, to przynajmniej będzie wiadomo, że nie krążymy w koło.

Zostaniemy odcięci. Nie odnajdziemy Glantona.

Już jesteście odcięci.

Tate odwrócił się i popatrzył ponuro na wirujące płatki śniegu gnane na północ. Chodźmy, powiedział. Nie możemy tak stać.

Ciągnęli za sobą konie. Ziemia była już pokryta bielą. Potem na zmianę jechali na zdrowym koniu i prowadzili chorego. Przez wiele godzin wspinali się w górę skalistego koryta, a śnieg padał bez ustanku. Ukazały się pierwsze sosny, dęby karłowate i rozległe hale i wkrótce na tych wysoko położonych łąkach leżał śnieg do połowy łydki, a konie buchały kłębami pary jak lokomotywy i robiło się coraz zimniej i ciemniej.

Spali w śniegu, okutani w koce, gdy dopadli ich zwiadowcy z przedniej straży armii Eliasa. Jechali przez całą noc jedyną widoczną drogą, coraz dalej i dalej, żeby nie stracić z oczu szlaku płytkich wgłębień w terenie zasypywanych przez śnieg. Było ich pięciu, wyłonili się w mroku spomiędzy roślin zimozielonych, prawie potykając się o śpiących, dwa białe kopce, z których jeden nagle się rozwarł i ukazała się postać niczym straszny stwór wykluty z jaja.

Śnieg przestał padać. Dzieciak widział wyraźnie ludzi i konie na tle jasnej ziemi, mężczyźni znieruchomieli w pół kroku, konie buchały parą. Trzymając w jednym ręku buty, a w drugim rewolwer, wyskoczył z koca, wycelował i wypalił w pierś najbliższej

stojącego mężczyzny, a potem się odwrócił i rzucił do ucieczki. Pośliznął się i upadł na jedno kolano. Z tyłu huknął muszkiet. Dzieciak zerwał się na nogi i pędził dalej, chłostany przez ciemne gałęzie sosen, kierując się wzdłuż stoku. Zadudniły kolejne strzały, a gdy się odwrócił, zobaczył mężczyznę wybiegającego spośród drzew. Tamten przystanął i uniósł łokcie, więc dzieciak padł na ziemię. Między gałęziami świsnęła kula z muszkietu. Przeturlał się i odbezpieczył rewolwer. Lufa musiała być zatkana śniegiem, bo gdy nacisnął spust, rozbłysła pomarańczowa aureola i rozległ się dziwny trzask. Obmacał rewolwer, żeby sprawdzić, czy się nie rozpadł, ale był cały. Mężczyzna zniknął, więc dzieciak zerwał się z ziemi i zaczął biec. Zdyszany, usiadł u podnóża pagórka, wciągnął buty i patrzył między drzewa. Nic się nie poruszało. Wstał, wetknął rewolwer za pasek i poszedł dalej.

* * *

Wschodzące słońce zastało go skulonego pod skalnym nawisem, wpatzonego w równinę na południu. Siedział tak przez godzinę albo dłużej. Po przeciwległej stronie arroyo pasło się stadko saren, sunąc przed siebie. Po chwili wstał i ruszył granią.

Przez cały dzień szedł po wyżynach, jedząc po drodze garście śniegu zbierane z gałęzi iglaków. Podążał wśród jodeł szlakami dzikiej zwierzyny, a wieczorem znalazł się na turni, skąd widział pochyłą pustynię na południowym zachodzie, upstrzoną bryłami śniegu, które przypominały kształtem chmury

płynące na południe. Na skałach zakrzepł lód, a miriady sopli na chojakach połyskiwały krwistą czerwienią, odbijając pożogę dogasającego słońca, rozlaną po prerii od zachodu. Usiadł oparty plecami o głaz i czując na twarzy ciepło, patrzył, jak rozżarzone słońce gęstnieje i tonie, ciągnąc za sobą całe różowoczerwono-karmazynowe niebo. Zerwał się lodowaty wiatr i nagle jałowce pociemniały na tle śniegu, a potem był już tylko bezruch i chłód.

Wstał i ruszył dalej, gramoląc się po luźnych kamieniach. Szedł przez całą noc. Gwiazdy przesuwwały się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, Wielki Wóz się toczył, Plejady migotały u samego szczytu firmamentu. Szedł tak długo, że skostniałe palce u stóp prawie grzechotały w butach. Droga przez turnię wiodła coraz dalej w góry nad krawędzią głębokiego jaru i nie widział żadnego miejsca, w którym mógłby zejść. Usiadł, z trudem ściągnął buty i po kolei rozcierał dłońmi zmarznięte stopy. Nie mógł ich ogrzać, szczękę miał sztywną z zimna, a gdy próbował włożyć z powrotem buty, stopy przypominały kulasy z drewna. Kiedy wreszcie mu się udało, wstał i tupnął zdrętwiałymi nogami. Wiedział, że odtąd musi iść bez odpoczynku aż do wschodu słońca.

Zrobiło się jeszcze zimniej i zapadła długa noc. Szedł bez przerwy, podążając w ciemności śladem żłobin, ogołoconych ze śniegu przez wiatr. Gwiazdy patrzyły na niego niewzruszenie jak oczy bez powiek, opuszczając się coraz niżej i niżej, a tuż przed świtem dotarł pośród zwietrzliny na grań sięgającą nieba, na połąć nagiej skały, całej spowitej tą pstrą tkaniną, aż

gwiazdy słały mu się u stóp, a odpryski płonącej materii prze-
mykały nieustannie dokoła, krzyżując swe wędrowne szlaki
pozbawione kierunku. W szarudze brzasku dotarł na nawis i
jako pierwszy ze wszystkich stworzeń tej krainy zaznał ciepła
wstającego słońca.

Zasnął skulony wśród skał z rewolwerem przyciśniętym do
piersi. Odmarzające stopy piekły, aż się obudził i leżał wpa-
trzony w niebo z błękitnej porcelany, na którym hen wysoko
krążyła leniwie dokoła słońca para jastrzębi, dwa idealne bie-
guny jak papierowe ptaki na kiju.

Przez cały dzień zmierzał na północ, a w świetle długiego
zmiernu zobaczył z turni starcie armii, dalekich i milczących
na równinie poniżej. Biegały małe czarne wierzchowce, krajo-
braz przesuwał się w gasnącym świetle, a z tła wykluły się
ciemniejące zarysy gór. Konni jeździli i zadawali ciosy w oddali,
i po chwili spłynęła na nich niewyraźna smuga dymu, a potem
ruszyli ku czerniejącemu cieniowi doliny, zostawiając za sobą
sylwetki śmiertelników, którzy stracili życie w tym miejscu.
Patrzył na te wydarzenia rozgrywające się w ciszy, uporządko-
wane i bezsensowne, aż wreszcie walczących wchłonął nagły
napór mroku, który zasnuł pustynię. Wokół rozpościerała się
teraz zimna i granatowa kraina bez właściwości, a słońce
oświetlało tylko wysokie skały, na których stał. Ruszył dalej i
wkrótce sam wkroczył w ciemność, z pustyni wiał wiatr, nad
krańcem świata na zachodzie znów zamigotały postrzępione
druty błyskawic. Szedł wzdłuż urwiska, aż dotarł do wyłomu w
skalnej ścianie, zbiegającego do kanionu w głębi gór. Stał

i patrzył w otchłań, w której szumiały czubki poskręcanych iglaków, a potem zaczął schodzić.

Zsuwał się przez głębokie doły pełne śniegu, którymi podziurawiony był stok, podpierając się rękami na nagich kamieniach, aż dłonie zgrabiały mu z zimna. Minął ostrożnie zwirowe osypisko i ruszył przez rumosz wśród małych sękatych drzew. Upadał raz po raz i szukał w mroku podparcia dla rąk, podnosił się i obmacywał rewolwer za paskiem. Mozolił się tak przez całą długą noc. Kiedy dotarł na taras skalny nad dnem kanionu, usłyszał szum strumienia płynącego w jarze poniżej, szedł więc dalej, potykając się, z dłońmi wetkniętymi pod pachy, jak uciekinier w kaftanie bezpieczeństwa. Dobrnał do wyschniętego koryta rzeczki i ruszył po piachu, który wywiódł go z powrotem na pustynię, gdzie ledwo żywy i zziębnięty stanął i popatrzył tępo dokoła w poszukiwaniu jakiegokolwiek gwiazdy na zachmurzonym niebie.

Na równinie prawie cały śnieg stopniał lub odleciał z wiatrem. Od północy nadciągała burza za burzą, w oddali przetaczały się grzmoty, było zimno i pachniało mokrym kamieniem. Ruszył przez jałową nieckę, gdzie rosły tylko małe kępy trawy i gdzieniegdzie juki, stojące samotnie i cicho na tle niskiego nieba jak posterunki istot z zaświatów. Na wschodzie z pustyni wyrastały czarne góry. Przed sobą widział posępne masywne urwiska i nawisy, wcinające się w piach jak cyple. Wlókł się dalej, zmarznięty, bez czucia w stopach. Nie jadł od prawie dwóch dni i niewiele odpoczywał. Rozeznając się w terenie

dzięki rzadkim zygzakom piorunów, szedł dalej i wreszcie okrążył ciemny występ skalny po prawej stronie i przystanął, dygocząc i chuchając w zaciśnięte zimne dłonie. W oddali, na prerii, palił się ogień, samotny płomień postrzępiony przez wiatr, który to wzmaczał się, to słabł, rozsypując na falach burzy, niczym gorący łupież, snopy iskier przywiane z jakiejś niepojętej kuźni buzującej na bezludziu. Dzieciak usiadł i patrzył. Nie umiał ocenić, jak daleko znajduje się ogień. Położył się na brzuchu, żeby ujrzeć wyraźniej teren na tle nieba, żeby zorientować się, co to za ludzie, ale nie było ani nieba, ani ziemi. Przez długi czas leżał i patrzył, nic więcej jednak nie zobaczył.

Gdy znowu ruszył w drogę, wydawało się, że ogień się cofa. Między nim a światłem przemknęła grupka sylwetek. Potem znowu. Może wilki. Szedł dalej.

Na środku pustyni płonęło pojedyncze drzewo. Heraldyczne drzewo podpalone przez przelotną burzę. Samotny pielgrzym, którego przyciągnęło, przebył daleką drogę, żeby dotrzeć do tego miejsca, teraz więc ukląkł na gorącym piasku i wyciągnął skostniałe dłonie, a ze wszystkich stron do tego koła garnęły się wspólnoty mniejszych wyznawców, zwabione przez ten dzień w nocy, małe sowy kucające i przestępujące z nogi na nogę w ciszy, tarantule i solfugi, pająki Majów i wredne ptaszniki, helodermi o paszczach czarnych jak u chow-chow, śmiertelnie niebezpieczne dla człowieka, małe pustynne bazyliuszki, które tryskają krwią ze ślepi, i drobne żmije piaskowe podobne do eleganckich bóstw, ciche i takie same jak w Dżuddzie, w Babilonie.

Konstelacja rozognionych ślepi na skraju świetlistego kręgu, wszystkie związane kruchym rozejmem na widok tej pochodni, której jasność wtoczyła gwiazdy z powrotem w czeleść nieboskłonu.

Słońce wstało, a on spał pod dogasającym szkieletem poczerniałego pnia. Burza przeniosła się na południe, nowe niebo było surowe i błękitne, smuga dymu ze spalonego drzewa wznosiła się pionowo w nieruchomym powietrzu poranka jak cienka igła, wskazująca godzinę swym wyraźnym, lekko oddychającym cieniem rzucanym na oblicze ziemi, bez niego pozabawione wszelkich wyznaczników. Znikły stworzenia, które nocą czuwały u boku dzieciaka, a dokoła pozostały tylko osobliwe koralowe formy fulgurytów wytopionych z piaskowych bruzd w miejscach, gdzie po ziemi przetoczył się z sykiem kulisty piorun cuchnący siarką.

Usiadłszy po turecku w oku lejkowatego odludzia, patrzył, jak świat przemienia się na rubieżach w migotliwe przywidzenie okalające pustynię. Po pewnym czasie wstał, wyszedł z niecki i ruszył wzdłuż suchego arroyo, podążając za małymi demonicznymi śladami, aż natknął się na pekari chlepczące wodę z kałuży. Chrumkając, pierzchły w chaparral, a on legł na podeptanym mokrym piasku, napił się, odetchnął chwilę i znów się napił.

Po południu ruszył w głąb doliny, z brzuchem ciężkim od wypitej wody. Trzy godziny później napotkał końskie ślady ciągnące półkolem z południa, skąd nadjechał oddział. Szedł obok, porządkując w myśli wzór, obliczając liczbę jeźdźców.

Uznał, że galopowali. Wlókł się po tych śladach przez kilka mil, a ich gmatwanina wskazywała, że wszyscy jechali razem, wyrócone małe kamienie i zdeptane dołki świadczyły, że jechali nocą. Staął i osłoniwszy dłonią oczy, spoglądał w dal, wypatrując kurzu albo jakichś oznak obecności Eliasa. Nie było nic. Ruszył dalej. Po przejściu kolejnej mili natknął się na dziwne poczerwiałe kłębowisko pośrodku szlaku, przypominające spalone ścierwo jakiejś bezbożnej bestii. Ominął je łukiem. Odciski butów i kopyt zdeptane były przez wilki i kojoty, pokryte śladami podchodów zbiegającymi się pośrodku tej zwęglonej materii i rozbiegającymi promieniście na wszystkie strony.

Były to szczątki skalpów wziętych nad Nacozari, które spalono bez miłosierdzia w cuchnącym zielonym ognisku, żeby po skazanych na zagładę poblanos nie pozostało nic oprócz spopielonych paprochów. Spalenia dokonano na małym wzniesieniu i Dzieciak uważnie przyjrzał się każdemu skrawkowi ziemi dokoła, ale nic nie zobaczył. Ruszył dalej, idąc po śladach zapowiadających pościg i śmierć, wypatrując ich w rzednącym świetle. Po zachodzie słońca zrobiło się zimno, ale nie aż tak jak w górach. Osłabiony postem, usiadł na piachu, żeby odpocząć, a gdy się obudził, leżał skulony na ziemi. Na niebie świecił księżyc, półksiężyc wiszący jak dziecięca łódeczka w rozstępie między czarnymi papierowymi górami na wschodzie. Wstał i ruszył w dalszą drogę. Wokół ujadły kojoty, nogi się pod nim ugiwały. Po kolejnej godzinie wędrówki natknął się na konia.

Koń stał na szlaku, a potem uskoczył w bok i się zatrzymał. Dzieciak przystanął i wyciągnął rewolwer. Koń minął go,

ciemna sylwetka, z jeźdźcem lub bez, trudno było powiedzieć. Zawrócił i podszedł.

Dzieciak przemówił do niego. Słyszał jego głęboki oddech wydobywający się z płuc, słyszał, jak się porusza, a gdy się zbliżył, poczuł jego woń. Szedł za nim prawie przez godzinę, mówiąc do niego, pogwizdując, wyciągając ręce. Kiedy zdołał podejść na tyle blisko, że mógł go wreszcie dotknąć, chwycił za grzywę i wtedy koń pokłusował, a dzieciak biegł obok, uczepiony, aż w końcu oplótł mu nogami przednią nogę i przewrócił go gwałtownie na ziemię.

Zerwał się pierwszy. Koń nieporadnie próbował wstać, więc dzieciak pomyślał, że się zranił przy upadku, ale tak nie było. Zaciśnął pasek na pysku i wskoczył na grzbiet, a wtedy koń podniósł się i wyprężył na szeroko rozstawionych nogach, rozdygotany pod ciężarem jeźdźca. Dzieciak poklepał go po kłębie i znów zagadał, a zwierzę ruszyło niepewnie do przodu.

Uznał, że to jedno ze zwierząt jucznych kupionych w Ures. Koń stanął, więc go ponaglił, ale bez skutku. Dźgnął konia obcasami w zębra, aż ten przysiadł na tylnych nogach i się zachwiał. Wyciągnął rękę, zdjął pasek z pyska, znów kopnął go piętami i smagnął paskiem, i wtedy zwierzę ruszyło dziarskim krokiem. Owinął sobie grube pasmo grzywy wokół zaciśniętej dłoni i jechał, przywierając do nagiego końskiego grzbietu, wyczuwając pod skórą dyskretnie poruszające się kręgi.

W trakcie jazdy dołączył do nich drugi koń, który nadbiegł z pustyni i zaczął iść obok, i szedł aż do świtu.

W nocy ślady jeźdźców zlały się ze śladami większego oddziału i teraz środkiem doliny prowadził na północ szeroki wydeptany szlak. Gdy nastał dzień, dzieciak pochylił się i z twarzą przytuloną do końskiego ramienia wpatrywał się w odciski kopyt. Były to ślady niepodkutych indiańskich wierzchowców, około stu. To nie Indianie ruszyli tropem jeźdźców, lecz odwrotnie. Jechał dalej. Mały koń, który przyłączył się do nich nocą, oddalił się na sporą odległość i teraz spoglądał czujnie, a koń pod dzieciakiem był niespokojny i umęczony brakiem wody.

W południe zaczął się słaniać. Dzieciak próbował zmusić zwierzę, żeby zeszło ze szlaku, bo chciał pochwycić drugie, ale nie zamierzało zboczyć z obranego kursu. Ssał kamyk i obserwował teren. Później z przodu dostrzegł jeźdźców. Najpierw nic, a potem nagle już byli. Zrozumiał, że to ich bliskość strwożyła oba konie, ale jechał dalej, obserwując to zwierzęta, to widnokrąg na północy. Wstrząsana dreszczami chabeta, której dosiadał, szła ostatkiem sił. Po chwili zobaczył, że jeźdźcy mają kapelusze. Popędził konia, a oni zrobili sobie postój i usiadłszy na ziemi, patrzyli, jak nadjeżdża.

Wyglądali źle. Byli wyczerpani i pokrwawieni, oczy mieli zapadnięte, rany obwiązane brudnymi i poplamionymi na czerwono szmatami, ubrania sztywne od zakrzepłej krwi i prochu strzelniczego. Oczy Glantona, wyzierające z czarnych oczodołów, ziały chęcią mordy; on i jego jeźdźcy patrzyli smętnie na dzieciaka, jakby w ogóle do nich nie należał, tak bardzo zjednoczyły ich chwile wspólnej niedoli. Zsunął się z konia i stanął

między nimi, wychudły i spragniony, przypominający szaleńca. Ktoś rzucił mu manierkę.

Stracili czterech ludzi. Pozostali pojechali na zwiady. Przez całą noc i cały dzień Elias parł w góry i w końcu dopadł ich po zmroku w śniegu na równinie, czterdzieści mil na południe. Gnani przez pustynię na północ jak bydło, umyślnie ruszyli szlakiem Indian, żeby zgubić prześladowców. Nie wiedzieli, jak daleko z tyłu są Meksykanie ani jak blisko z przodu są Apacze.

Upił wody z manierki, a potem się im przyjrzał. Nie wiedział, kto z nieobecnych pojechał na zwiady, a kto zginął na pustyni. Toadvine przyprowadził mu konia, na którym rekrut Sloat wyruszył z Ures. Kiedy zebrali się do drogi pół godziny później, dwa wierzchowce nie chciały wstać, musieli je więc zostawić. Dzieciak siedział zgarbiony w chybotliwym drewnianym siodle na koniu należącym do nieboszczyka, kołysał się na boki i po chwili, zwiesiwszy bezwładnie ręce i nogi, zaczął podskakiwać we śnie jak marionetka kawalerzysty. Gdy się obudził, obok zobaczył eksksjędza. Znowu zasnął. Kiedy się ocknął drugi raz, jechał przy nim sędzia. On też zgubił kapelusz i miał teraz na głowie wieniec upleciony z pustynnych badyli, który upodabniał go do nędznego barda ze słonych ziem, ale na ocalonego popatrzył z tym samym uśmiechem co dawniej, jakby wszystko na świecie toczyło się tylko po jego myśli.

Jechali przez resztę dnia między pofałdowanymi niskimi wzgórzami, pokrytymi opuncją i głógiem. Od czasu do czasu któryś z luzaków zatrzymywał się na szlaku i słaniając się, niknął za ich plecami. W zimny niebieski wieczór zjechali długim

stokiem od północy na jałową bajadę, porośniętą tu i ówdzie juką i kępami perzu, i rozbili obóz na płaskim terenie. Przez całą noc wiał wiatr i widzieli inne ogniska na pustyni po północnej stronie. Sędzia poszedł obejrzeć konie, wybrał najlichszego w całej remudzie i go złapał. Stał z koniem nieopodal ogniska i zawołał, żeby ktoś go przytrzymał. Nikt się nie podniósł. Eksksjędz nachylił się do dzieciaka.

Żebyś nie zwracał na niego uwagi, chłopcze.

Sędzia znów krzyknął z ciemności poza kręgiem poświęty, a Tobin położył ostrzegawczo rękę na ramieniu dzieciaka. Ale ten wstał i splunął w płomienie. Odwrócił się i łypnął na eksksjędza.

Myślisz, że się go boję?

Tobin nie odpowiedział, a dzieciak odwrócił się i wszedł w mrok, w którym czekał sędzia.

Stał, trzymając konia. W blasku ogniska widać było tylko jego połyskujące zęby. Odeszli z koniem na parę kroków, dzieciak przejął pleciony arkan, a Holden wziął okrągły kamień, ważący może ze sto funtów, i jednym uderzeniem roztrzaskał zwierzęciu głowę. Krew trysnęła z uszu i koń runął na ziemię bezwładnie, a przednia noga chrupnęła z głuchym chrzęstem.

Mężczyźni zdarli skórę z zadu, nie patrosząc brzucha, potem odcięli poście mięsa i upiekli je na ognisku, a resztę pokroili w pasy i wywiesili do uwędzenia. Zwiadowcy nie wrócili, postawiono więc czujki, a pozostali położyli się spać, każdy z bronią przyciśniętą do piersi.

Przed południem dnia następnego przecięli alkaliczną równinę, na której zgromadzono kolekcję ludzkich głów. Oddział stanął, a Glanton i sędzia podjechali bliżej. Głów było osiem, każda w kapeluszu, ułożone w krąg twarzami na zewnątrz. We dwóch zatoczyli koło wokół tego miejsca, a Holden zatrzymał konia, zsiadł i kopnął jedną, jakby chciał się upewnić, że reszta ciała nie jest zakopana w ziemi. Pozostałe głowy patrzyły wyschniętymi oczami beznamiętnie jak członkowie jakiejś świątobliwej sekty, którzy ślubowali oddanie milczeniu i śmierci.

Jeźdźcy spojrzeli na północ. Ruszyli w dalszą drogę. Za niskim wzniesieniem leżały w zimnym popiele szczątki dwóch wozów i nagie tułowia. Wiatr poruszał popiołem, a żelazne osie kół wyznaczały zarysy pojazdów, podobnie jak nadstępki przypominają o kształcie statku, który szczeł na dnie morza. Ciała były częściowo pożarte i gdy nadjechali, do lotu zerwały się gawrony, a dwa czarne myszołowy podreptały po piasku, rozpościerając skrzydła niczym wstrętne chórzystki, obscenicznie potrząsając jakby ogolonymi głowami.

Ruszyli dalej. Przecięli wyschnięte ujście rzeki na płaskiej pustyni i po południu przez ciąg wąskich skalnych rozstępów wjechali do krainy pofałdowanych wzgórz. Czuli woń dymu z ognisk i przed zapadnięciem zmroku dotarli do Santa Cruz.

Miasteczko to, podobnie jak wszystkie presidios na pograniczu, bardzo podupadło w porównaniu z dawnymi czasami, wiele domów było opuszczonych i zrujnowanych. Wjazd oddziału

obwieściły krzyki, wzdłuż drogi ustawił się więc szpaler mieszkańców, którzy patrzyli obojętnie na najemników, stare kobiety w czarnych chustach, mężczyźni uzbrojeni w przedpotopowe muszkiety, skałkówki i strzelby zrobione z części osadzonych niedbale w łożyskach z topolowego drewna, ociosanych z grubsza jak zabawkowa broń dla chłopców. Niektórzy mieli nawet pukawki bez zamków, a jako zapłon służyło cygaro wetknięte do otworu w boku lufy, wskutek czego zastępujące amunicję kamyki rzeczne frunęły z sykiem w powietrzu, obierając własną drogę jak kapryśne meteoryty. Amerykanie popędzili konie. Znow zaczął padać śnieg, a od przodu wąską uliczką wiał zimny wiatr. Pomimo swego oplakanego stanu z jawną pogardą spoglądali z siodeł na dziadowską milicję.

Stanęli między końmi w małej obskurnej alamedzie, wiatr potrząsał drzewami, uczezione gałęzi ptaki zawodziły w szarym wieczornym świetle, śnieg wirował po niewielkim placu, zasnuwając sylwetki domów z błota i tłumiąc nawoływania sprzedawców, którzy szli śladem przyjezdnych. Wrócił Glanton z Meksykaninem z oddziału, wszyscy dosiedli koni, wyjechali gęsiego na ulicę i dotarli do starej drewnianej bramy prowadzącej na dziedziniec. Dziedziniec był przyprószony śniegiem, a trzymano na nim drób i zwierzęta gospodarskie — kozy i osła — które na widok jeźdźców zaczęły bezmyślnie skrobać i drapać mur. W rogu stał trójnóg z poczerniałych kijów, a pod nim była ogromna plama krwi, częściowo przysypana śniegiem, która w ostatnich promieniach słońca rozaczała bladoróżowy

blask. Z domu wyszedł jakiś mężczyzna, zamienił kilka słów z Glantonem, a potem z Meksykaninem, i gestem polecił najemnikom schronić się pod dachem.

Usiedli na podłodze w długim, wysokim pomieszczeniu ze zszarzałymi od dymu belkami, a kobieta i dziewczyna przyniosły miski guisado z koźliny i stos niebieskich tortilli na glinianym talerzu, podały też miski z fasolą, kawę i kleik kukurydźniany z małymi kawałkami nierafinowanego brązowego cukru piloncillo. Na dworze było ciemno i wirowały płatki śniegu. W pomieszczeniu nie rozpalono ognia, a znad jedzenia unosiła się gęsta para. Po posiłku zapalili cygara, kobiety zebrały miski i po chwili pojawił się chłopiec z lampą, żeby wyprowadzić ich na zewnątrz.

Przeszli przez podwórko między parszczącymi końmi, chłopiec otworzył prymitywne drewniane drzwi do obory i stanął z boku, trzymając wysoko lampę. Wnieśli siodła i koce. Na dworze konie tupały z zimna.

W oborze stała klacz z oseskiem i chłopiec chciał wyprowadzić zwierzęta, ale krzyknęli, żeby je zostawił. Przynieśli sobie słomę z boksu i przygotowali legowiska, a chłopiec przyświecał im lampą. W środku pachniało gliną, słomą i łajnem, w blasku mętnego światła ich oddechy buchały kłębamii pary. Kiedy posłali sobie koce, chłopak opuścił rękę, wyszedł na podwórko i zamknął za sobą drzwi, pozostawiając ich w głębokiej, nieprzeniknionej ciemności.

Nikt się nie poruszył. W tej zimnej stajni zatrzaśnięcie drzwi mogło przywołać w niektórych sercach wspomnienie innych

przybytków zamieszkiwanych z przymusu. Klacz parskła niepokojnie, a źrebak łąził dokoła. I wtedy jeden po drugim zaczęli zrzucać z siebie wierzchnie ubrania, płaszcze ze skór, chusty z surowej wełny i kamizelki, i wszyscy po kolei rozsnuli wokół mrowie trzaskających iskier, i wszyscy nosili całun z blade-go ognia. Od ruchliwych rąk ściągających ubrania bił blask, a każdą ciemną duszę spowijały słyszalne formy światła, jakby zawsze tak było. Klacz stojąca pod przeciwległą ścianą prychnęła spłoszona na widok jasności istot ogarniętych przecież wielkim mrokiem, a źrebak odwrócił się i ukrył głowę w zagłębieniu matczyne boku.

XVI

- DOLINA SANTA CRUZ • SAN BERNARDINO
- ZDZICZAŁE BYKI • TUMACÁCORI • MISJA
- PUSTELNIK • TUBAC • ODNALEZIENI ZWIADOWCY
- SAN XAVIER DEL BAC • PRESIDIO W TUCSON
- PADLINOŻERCY • CHIRICAHUA • KLINCZ
- MANGAS COLORADO • CUDAK
- ZABÓJSTWO OWENSA • W KANTYNIE
- OGLĘDZINY GŁOWY PANA BELLA
- SĘDZIA O PRAWIE • PSY Z PIEKŁA RODEM
- FANDANGO • SĘDZIA I METEORYT

Rankiem, gdy wyruszyli, było jeszcze zimniej. Na ulicach ani żywego ducha, na świeżym śniegu żadnych śladów. Na skraju miasta zobaczyli miejsce, w którym drogę przecięły wilki.

Jechali wzdłuż małej rzeki, znajdującej się pod cienką warstwą lodu, obok zamarznętego mokradła, po którym przechadzały się niezadowolone kaczki. Po południu przebyli bujną dolinę, z suchą trawą sięgającą końskich brzuchów. Dokoła puste pola ze zgniłymi plonami i sady jabłoni, pigw i granatów, pełne leżących na ziemi zmarniałych owoców. Wypatrzyli stadko saren stłoczonych na łące i ślady bydła, a w nocy, kiedy usiedli przy ognisku, żeby upiec żeberka i udziec młodej łani, słyszeli porykiwanie byków w ciemności.

Nazajutrz minęli ruiny dawnej hacjendy w San Bernardino. Na jej terenie zobaczyli dzdizczałe byki, tak stare, że na biodrach miały hiszpańskie piętna; kilka zwierząt zaszarżowało na odział, zostały więc zastrzelone na miejscu, ale z zagajnika akacji

wyłonił się kolejny i aż po mozdzeń zatopił rogi w boku konia, na którym jechał James Miller. Miller dostrzegł atakujące zwierzę i wyszarpnął stopę ze strzemienia, a siła uderzenia o mało nie zrzuciła go z siodła. Wierzchowiec zakwicział i wierzgnął, byk stał jednak mocno na nogach i uniósł konia, jeźdźca i wszystko z ziemi, zanim Miller zdążył dobyć broni, a gdy przyłożył rewolwer bykowi do czoła i wypalił, cała ta groteskowa piramida runęła. Wygramolił się z kłębowiska i odmaszerował, zniesmaczony, z dymiącym rewolwerem w dłoni. Wierzchowiec próbował wstać, więc Miller wrócił, zastrzelił go, wepchnął broń za pasek i zaczął szarpać za sprzączkę popręgu. Dopiero po dłuższej chwili zdołał wyciągnąć siodło, bo koń przygniatał byka całym ciężarem. Pozostali jeźdźcy stanęli i patrzyli, ktoś przygnał ostatniego luzaka z remudy, ale poza tym nikt nie zaofiarował pomocy.

Ruszyli dalej, wzdłuż biegu Santa Cruz, przez zagajniki ogromnych topól wyrastających z dna rzeki. Nie widzieli żadnych oznak bytności Apaczów, nie znaleźli śladów zaginionych zwiadowców. Nazajutrz dotarli do starej misji San José de Tumacácori i sędzia oddalił się, żeby obejrzeć kościół, stojący o jakąś milę od szlaku. Wygłosił krótką rozprawę na temat dziejów i architektury tego przybytku, a ci, którzy go słyszeli, nie mogli uwierzyć, że nigdy wcześniej tutaj nie był. Towarzyszyło mu trzech z oddziału, Glanton zaś patrzył za nimi, ogarnięty mrocznym przecuciem. Ruszył z pozostałymi dalej, ale po pokonaniu krótkiego odcinka drogi zatrzymał oddział i zawrócili.

Stary kościół był w ruinie. Gdy przez otwartą zdezelowaną bramę w wysokim murze Glanton i jego ludzie wjechali na pusty dziedziniec, między suchymi drzewami owocowymi i winoroślą zobaczyli cztery konie bez jeźdźców. Glanton trzymał karabin w gotowości, opierając stopkę kolby na udzie. Przy nodze jego konia dreptał pies. Najemnicy ostrożnie zbliżyli się do popękanych murów kościoła. Wjechaliby przez wrota do środka, ale w tej samej chwili z wewnątrz dobiegł strzał, gołębie się spłoszyły, a oni zsunęli się z wierzchowców i przykucnęli za nimi z karabinami w rękach. Glanton zerknął przez ramię na pozostałych i pchnął swojego wierzchowca przez próg, żeby zajrzeć do kościoła. Górna część murów była zwalona, podobnie jak prawie cały dach, a na posadzce leżał człowiek. Glanton zaprowadził konia do zakrystii, stanął wraz z innymi i patrzył.

Mężczyzna leżący na popękanych glinianych kafelkach konał, cały ubrany we własnoręcznie uszyty przyodziewek z owczej skóry, włącznie z butami i dziwną czapką. Przewrócili go na plecy i wtedy poruszył szczęką, a na dolnej wardze załśniła krwawa ślina. Miał zmatowiałe oczy, a jednak wyzierał z nich strach i coś jeszcze. John Prewett oparł karabin kolbą o podłogę i sięgnął po róg, żeby odmierzyć porcję prochu.

Widziałem drugiego, jak uciekał, powiedział. Dwóch ich było.

Mężczyzna się poruszył. Uniósł rękę znad pachwiny i wskazał palcem. Czy ich samych, czy wysokość, z której spadł, czy swoją drogę do wieczności, tego nie wiedzieli. Potem umarł.

Glanton popatrzył na ruiny.

Skąd się tu wziął ten skurwysyn?

Prewett kiwnął głową w kierunku kruszącego się glinianego gzymsu. A tam siedział. Nie wiem, co robił. Siedział, to strzeliłem do skurwysyna.

Glanton spojrzał na sędziego.

Wydaje mi się, że to był imbecyl, odparł Holden.

Glanton zabrał swojego konia i wyszedł na dziedziniec przez nieduże drzwi przy bocznej nawie. Siedział na ziemi, gdy przyprowadzili drugiego pustelnika. Jackson szturchał go w plecy lufą karabinu, małego chudzielca, niemłodego już. Okazało się, że zabity to jego brat. Dawno temu wskoczyli na statek u wybrzeży i dotarli do tego miejsca. Był przerażony, nie mówił po angielsku i znał ledwie parę hiszpańskich słów. Sędzia zagadnęła go po niemiecku. Mieszkali tutaj od lat. Zmarły brat dostał tu obłądu, a stojący przed nimi, w dziwacznych skórkach i botkach, też nie był całkiem zdrowy na umyśle. Zostawili go. Gdy odjeżdżali, człapał po dziedzińcu, nawołując. Najwyraźniej nie docierało do niego, że jego brat został zabity w kościele.

Sędzia dopędził Glantona i dalej jechali obok siebie.

Dowódca splunął. Tamtego też trzeba było zastrzelić, powiedział.

Sędzia się uśmiechnęła.

Nie lubię widzieć białych w takim stanie, dodał Glanton. Szwab, nie Szwab. Nie lubię.

Ruszyli na północ śladem rzeki. Drzewa były ogołoczone, liście na ziemi oblepione łuskami lodu, cętkowane kościste gałęzie topól wyraźne i grube na tle wywatowanego nieba nad

pustynią. Wieczorem przebyli Tubac, wokół nikogo, tylko zwiędła pszenica na zimowych polach, ulice zarośnięte trawą. Na schodkach siedział ślepiec, zwrócony w stronę placu, a gdy go mijali, pochylił głowę, nasłuchując.

Pojechali dalej, żeby rozłożyć się obozem na pustyni. Nie było wiatru, a z okolicznej ciszy, podobnie jak z całej otwartej krainy, chętnie korzystali wszelkiego typu zbiegowie, bo w zasięgu wzroku nie było żadnych gór, na których czarnym tle mógłby się ukryć wróg. Wstali przed świtem i osiodłali konie, potem jechali w grupie, z bronią gotową do strzału. Lustrowali pospołu teren, a każdy ruch najmniejszego nawet stworzenia tej krainy rejestrowany był w ich zbiorowej świadomości, aż wszystkich razem spętała niewidzialnymi drutami czujność i przemierzali ten krajobraz jako pojedynczy tętent. Mijali opuszczone hacjendy i przydrożne mogiły, a przed południem natknęli się na ślady Apaczów, ciągnące z zachodu, sunące ku nim po sybkim piasku wyschniętego koryta rzecznego. Zsiedli, każdy wziął ze skraju szlaku szczyptę udeptanego piasku i starł ją w palcach, oceniając wilgotność ziarenek według pozycji słońca, a potem otrzepał dłonie i spojrzął w górę rzeki między nagie drzewa. Dosiedli znów koni i ruszyli dalej.

Zaginieni zwiadowcy wisieli głowami w dół na konarach okopconego paloverde. Nadzy i szarzy, z piętami przebitymi ostrymi szpikulcami z zielonego drewna, dyndali nad wygasłymi popiołami ogniska, na którym ich usmazono, aż zwęgliły się głowy, mózgi zabulgotały w czaszkach, a z nosów buchnęła

para. Wyciągnięte z ust języki mieli przybite do ciała zastruganymi patykami, uszy oberżnięte, a z rozkrojonych tępymi krzemieniami tułowi zwisały wnętrzności. Kilku z oddziału przepchnęło się do przodu z nożami, odcięli ich i zostawili leżących w popiele. Dwoma ciemniejszymi postaciami byli ostatni Delawarowie, a oprócz nich Vandiemienlander i mężczyzna ze wschodu o nazwisku Gilchrist. W rękach barbarzyńców żaden nie zaznał lepszego ani gorszego traktowania niż reszta, wszyscy czterej cierpieli więc po równo i jednakowo skonali.

Nocą oddział przejechał przez misję San Xavier del Bac, kościół ciemny i niewzruszony w poświacie gwiazd. Nie szczeknął żaden pies. Wydawało się, że w skupiskach chat Papago nikt nie mieszka. Powietrze było czyste i chłodne, a ziemię tu i w oddali okrywał mrok, do którego nie rościła sobie prawa nawet sowa. Zza doliny za plecami wyłonił się bladozielony meteor, przeleciał wysoko i zniknął w pustce.

O świcie na granicy presidia Tucson minęli ruiny kilku hacjend, później nowe oznaczenia przy drodze, gdzie zabito ludzi. Dalej na równinie stała mała estancia. Budynki wciąż się dopalały, a na odcinkach ogrodzenia zbitego z pędów kaktusa siedziały bok przy boku sępy, zwrócone na wschód, ku obietnicy słońca, podnosząc to jedną, to drugą nogę, rozpościerając skrzydła jak poły płaszczy. Zobaczyli kości świń, które pozdychały w chlewie z gliny, widzieli też wilka przyczajonego na chudych łokciach pośrodku poletka melonów, który obserwował

ich przejazd. Na równinie od północy leżało miasto rysujące się cienką linią bladych murów, stłoczyli więc konie przy niskim eskerze ze żwiru, a potem lustrowali miasto, okolicę i łańcuchy nagich gór w oddali. Pustynne kamienie leżały w pętach mrocznego cienia i wiatr dał od słońca, które osiadło ociężałe i pulsujące na wschodnich krańcach ziemi. Wsiedli, popędzili konie i wytoczyli się na równinę, podobnie jak szlak Apaczów przed nimi, dwudniowy i stukonny.

Jechali z karabinami opartymi na udach, w równym szyku. Z przodu jarzyło się wschodzące nad pustynią słońce, a z chaparralu wzlatywały pojedynczo i parami synogarlice, cienko pokrzykując. Po pokonaniu tysiąca jardów zobaczyli Apaczów, obozujących pod murami od południa. Ich konie pasły się pośród wierzb w korycie wyschniętej rzeki po zachodniej stronie miasta, a to, co wyglądało na kamienie i gruz, okazało się skupiskiem nędznych przyścianków i szałasów zrobionych z kijów, skór i brezentów zdartych z wozów.

Kłusowali dalej. Zaszczekało kilka psów. Pies Glantona kluczył niespokojnie, a z obozu wyjechała delegacja jeźdźców.

Byli to Apacze Chiricahua, w liczbie dwudziestu, dwudziestu pięciu. Choć słońce już wzeszło, panował chłód, mimo to byli półnaczy, ubrani tylko w przepaski biodrowe, buty i skórzane czapki z piórami, dzicy z epoki kamiennej, z wymalowanymi tajemniczymi symbolami, wysmarowani sadłem i cuchnący, farba na koniach wyblakła pod warstwą kurzu, dumne konie,

buchały kłębami pary na zimnie. Uzbrojeni we włócznie i łuki, paru w muszkiety, wszyscy mieli długie czarne włosy i czarne beznamietne oczy, które wlepiali w najemników, oceniając ich wyposażenie, białka zaczerwienione i matowe. W całkowitym milczeniu wjechali w oddział w sekwencji rytualnych ruchów, jakby niektóre skrawki ziemi musiały być podeptane we właściwej kolejności, niczym w dziecięcej zabawie, tyle że stawka gry była straszliwsza.

Szakałim wojownikom przewodził niski mężczyzna w znalezionym meksykańskim stroju. Miał szpadę, a za rozdartą kolorową szarfą nosił kolta jednego ze zwiadowców. Osadził konia przed Glantonem i zerknąwszy na swoich ludzi, odezwał się dobrą hiszpańszczyzną, pytając najemników, dokąd zmierzają. Gdy tylko się odezwał, wierzchowiec Glantona wyciągnął szyję i ugryzł jego konia w ucho. Trysnęła krew. Koń zarżał i stanął dęba, Apacz przywarł do jego grzbietu, żeby nie spaść, wydobyl szpadę i wtedy zobaczył wpatrzoną w siebie czarną lemniskatę — otwory luf dwururki Glantona. Glanton zdzielił dwa razy swego konia w pysk i zwierzę zarzuciło łbem, łypiąc dziko i plując krwią. Apacz szarpnął do tyłu swojego wierzchowca, a gdy Glanton obrócił konia, żeby sprawdzić pozycję swoich ludzi, zobaczył, że zastygli z dzikusami w kłinczu, spleceni razem z bronią w napiętej, kruchej konstrukcji niczym układanka, w której miejsce każdego elementu określone jest z góry przez usytuowanie wszystkich pozostałych i żaden nie może nawet drgnąć, bo cała struktura rozsypie się w drobny mak.

Pierwszy odezwał się przywódca. Wskazując ręką zakrwawione ucho swego konia, przemówił gniewnie w narzeczu apaczańskim, a jego czarne oczy unikały wzroku Glantona. Sędzia wysunął się do przodu.

Vaya tranquilo, powiedział. Un accidente, nada más.

Mire, odparł Indianin. Mire la oreja de mi caballo.

Przytrzymał wierzchowca za szyję, żeby pokazać ranę, ale zwierzę wyrwało łeb i potrzęsnęło nim, a krew z nadgryzionego ucha obryzgała jeźdźców. Krew końska czy nie końska, dreszcz przeszył ten chwiejny układ, wierzchowce zeszytywniały, dygocząc w czerwonym świetle wschodzącego słońca, a pustynia pod ich kopytami warczała jak werbel. Cienkie postronki prowizorycznego rozejmu naprężone były do granic wytrzymałości, gdy nagle sędzia uniósł się lekko w strzemionach, podniósł rękę i wykrzyknął słowa powitania.

Od strony miasteczka nadjechało kolejnych ośmiu lub dziesięciu wojowników. Dowodził nimi ogromny mężczyzna o wielkiej głowie, ubrany w kombinezon z nogawkami uciętymi na wysokości kolan, żeby nie przeszkadzały cholewom mokasyków, kraciatą koszulę i czerwoną chustkę. Był nieuzbrojony, ale wojownicy jadący po obu jego stronach mieli krótkolufowe karabiny, oprócz tego rewolwery przy siodłach i inny ekwipunek zamordowanych zwiadowców. Gdy nadjechali, pozostali dzicy odsunęli się, robiąc im miejsce. Indianin na ugryzionym koniu wskazał zranione ucho, ale wódz tylko skinął przyjaźnie głową. Ustawił wierzchowca bokiem do sędziego, zwierzę wygięło szyję, jeździec osadził konia. Buenos días, odezwał się. De dónde viene?

Sędzia uśmiechnął się, dotykając ręką uschniętego wieńca na głowie, bo prawdopodobnie zapomniał, że nie ma kapelusza. W sposób bardzo oficjalny przedstawił swojego wodza Glantona. Dokonano wzajemnej prezentacji. Mężczyzna miał na imię Mangas, zachowywał się przyjaźnie i mówił biegle po hiszpańsku. Kiedy Indianin na pogryzionym koniu ponownie zgłosił swoją skargę, Mangas zsiadł, wziął łeb zwierzęcia w dłonie i obejrzał ranę. Mimo dużego wzrostu miał pałakowate nogi i dziwnie nieproporcjonalne ciało. Spojrzał z ziemi na Amerykanów, spojrzął na pozostałych jeźdźców i machnął do nich ręką.

Andale, powiedział. Odwrócił się do Glantona. Ellos son amigables. Un poco borracho, nada más.

Apacze zaczęli wyjeżdżać spomiędzy Amerykanów jak ludzie wylazący z ciernistych krzaków. Najemnicy postawili karabiny na sztorc, a Mangas podprowadził do przodu ugryzionego konia i zadarł mu do góry łeb, dłońmi całkowicie panując nad zwierzęciem, które dziko lypało białymi ślepiami. Po krótkiej rozmowie stało się jasne, że bez względu na wysokość oszacowanej szkody zadośćuczynieniem nie może być żaden inny towar niż whiskey.

Glanton splunął i zerknął na Indianina. No hay whiskey, stwierdził.

Zapadła cisza. Apacze popatrzyli jeden na drugiego. A potem popatrzyli na juki, manierki i tykwy. Cómo, spytał Mangas.

No hay whiskey, powtórzył Glanton.

Indianin puścił ogłowie z niewyprawionej skóry. Jego ludzie patrzyli na niego. Spojrzał w kierunku obwarowanego miasta i na sędziego. No whiskey?

No whiskey.

Wśród spochmurniałych twarzy jego jako jedyna wydawała się niewzruszona. Przyjrzał się Amerykanom i ich ekwipunkowi. Nie wyglądali na takich, którzy mogą mieć niewypitą wódkę. Sędzia i Glanton siedzieli na koniach, nie proponując innej rekompensaty.

Hay whiskey en Tucson, powiedział Mangas.

Sin duda, przytaknął sędzia. Y soldados también. Pchnął konia do przodu, z karabinem w jednym ręku, z wodzami w drugim. Glanton też ruszył. Jeździec stojący z tyłu dźgnął wierzchowca ostrogą. A potem Glanton się zatrzymał.

Tiene oro?, spytał.

Sí.

Cuánto?

Bastante.

Spojrzał na sędziego i znowu na Mangasa. Bueno, rzekł. Tres días. Aquí. Un barril de whiskey.

Un barril?

Un barril. Glanton szturchnęła piętami konia, Apacze się rozstąpili, a wtedy on, sędzia i pozostali pojechali gęsiego ku bramom wstrętnego miasta, rozświetlonego o wschodzie słońca na zimowej równinie.

Porucznik, który dowodził małym garnizonem, nazywał się Couts. Ruszył na wybrzeże pod komendą majora Grahama, a

gdy wrócił zaledwie przed czterema dniami, okazało się, że miasteczko jest nieoficjalnie oblegane przez Apaczów. Pili tiświn własnego wyrobu, przez dwie noce z rzędu wybuchały strzelaniny i nieustannie wszczynano awantury o whiskey. Garnizon miał dwunastofuntową półkolubrynę naładowaną kulami muszkietowymi i ustawioną na umocnionym wale, a Coutts liczył, że dżicy się wycofają, jeśli nie dostaną nic więcej do picia. Zachowywał się bardzo oficjalnie i tytułował Glantona kapitanem. Żaden z obdartych najemników nie zsiadł z konia. Patrzyli dokoła na ponure miasteczko w ruinie. Przypięty do belki osioł z zawiązanymi oczami poruszał kieratem młocarni, zataczając koła w nieskończoność, skrzypiąc drewnianym sztyftem na umocowaniach. Kury i mniejsze ptaki grzebały w ziemi pod młocarnią. Belka znajdowała się dobre cztery stopy nad ziemią, a jednak ilekroć przesuwiała się nad ich głowami, ptaki za każdym razem kuliły się i przysiadły. W kurzu na placu leżało paru mężczyzn, którzy chyba spali. Indianie, Meksykanie, biali. Niektórzy okryci kocami, inni nie. Po przeciwległej stronie znajdował się publiczny pręgierz, ciemny u podstawy, bo obszczały go psy. Porucznik podążył wzrokiem za spojrzeniami najemników. Glanton zsunął kapelusz na tył głowy i popatrzył z grzbietu konia.

Gdzie można się napić w tym szambie?, spytał.

Były to pierwsze słowa, które wypowiedzieli. Coutts przyjrzał im się uważnie. Obdarci, nawiedzeni, spaleni słońcem. W zmarszczki i pory wżarła się sadza z czyszczonych luf. Nawet konie wyglądały inaczej niż te, które porucznik dotąd widywał,

bo były ozdobione ludzkimi włosami, zębami i skórą. Gdyby nie broń, klamry i metalowe części uprząży, przybysze przywoziliby na myśl cywilizację nieznaną koła.

Jest kilka miejsc, odparł Coutts. Ale obawiam się, że o tej porze są jeszcze zamknięte.

No to się zaraz otworzą, odpowiedział Glanton i ponaglił konia. Na tym skończył rozmowę, pozostali też milczeli. Gdy przejeżdżali przez plac, kilku włóczęgów wystawiło głowy spod koców, żeby popatrzeć za nimi.

Bar, do którego weszli, okazał się kwadratowym pomieszczeniem o ścianach z błota, a właściciel zabrał się do usługiwania w samej bieliźnie. Usiedli w półmroku na ławie przy drewnianym stole i pili w ponurej atmosferze.

Skąd jesteście?, spytał gospodarz.

Glanton i sędzia wyszli, żeby zwerbować nowych najemników z hołoty wylegującej się na placu. W kurzu siedziało paru mężczyzn, mrużąc powieki od słońca. Jeden z nich, z nożem traperskim, szukał chętnych do walki na pieniądze, żeby dowieść, czyja stal jest lepsza. Uśmiechnięty sędzia wszedł między nich.

Kapitanie, a co wieciecie w tych jukach?

Glanton się odwrócił. On i sędzia nieśli torby przerzucone przez ramię. Mężczyzna, który zadał pytanie, siedział pod słupem, opierając łokieć na podciągniętym do góry kolanie.

W tych tutaj?, odparł Glanton.

Ano w tych.

Pełno w nich złota i srebra.

Próżniak wyszczerzył zęby w uśmiechu i splunął.

Dlatego chce mu się jechać do Kalifornii, rzucił inny. Bo już ma worki pełne złota.

Sędzia uśmiechnął się życzliwie do obiboków. Wilka złapiecie, jak tu będziecie tak sterczeć, powiedział. No, to który chce jechać z nami na złote pola?

Jeden z mężczyzn podniósł się, odszedł na parę kroków i zaczął sikać na ulicy.

Może cudak z wami pojedzie, krzyknął ktoś. On i ten Cloyce ani chybi by się dla was nadali.

Od dawna kulasami przebiera, żeby się stąd wyrwać.

Glanton i sędzia ruszyli we wskazaną stronę. Prymitywny namiot ze starego brezentu. I wywieszka głosząca: Zobacz Cudaka Za Ćwierć Dolara. Za zasłoną z płótna od wozu stała prymitywna klatka z palików, a w niej siedział w kucki nagi półgłówek. Podłogę klatki pokrywały odchody i rozdeptane jedzenie, wszędzie roiło się od much. Imbecyl był małym człowiekiem o zdeformowanym ciele, a twarz miał umazaną kałem. Siedział i patrzył na nich z wyrazem tępej wrogości, żując w milczeniu własnego balasa.

Z tyłu nadszedł właściciel, potrząsając głową. Tu nikomu nie wolno. Zamknięte.

Glanton rozejrzał się po nędznej zagródce. W namiocie cuchnęło naftą, dymem i odchodami. Sędzia przykucnął, żeby przyjrzeć się półgłóWKowi.

To coś jest twoje?, spytał Glanton.

Tak. Tak, moje.

Splunął. Jeden nam gadał, że chcesz jechać do Kalifornii.

No niby tak. No tak. Chcę.
Co zamierujesz z nim zrobić?

Zabrać.

Jak?

Mam konia i wóz. Na wozie.

Pieniądze jakieś masz?

Sędzia się wyprostował. To kapitan Glanton, oznajmił. Prowadzi ekspedycję do Kalifornii. Jest gotów wziąć pod swoją eskortę kilku pasażerów pod warunkiem, że odpowiednio mu to wynagrodzą.

No tak. Mam trochę pieniędzy. A ile by się należało?

Ile masz?, spytał Glanton.

Hm, tyle, ile trzeba, jak mi się wydaje. Ile trzeba.

Glanton przyglądał się mężczyźnie. Powiem ci, co zrobię. Chcesz jechać do Kalifornii czy strzepisz jezora na darmo?

Z całą pewnością chcę jechać.

Zabiorę cię za sto dolarów. Płatne z góry.

Mężczyzna przeniósł spojrzenie z Glantona na sędziego i z powrotem. Chciałbym mieć tyle pieniędzy, odparł.

Zostajemy tu parę dni, rzekł Glanton. Znajdziesz więcej chętnych, to będziecie mogli podzielić opłatę równo między siebie.

Kapitan będzie was dobrze traktował, dodał sędzia. Może pan być o to zupełnie spokojny.

Rozumiem, proszę pana.

Kiedy mijali kłatkę, Glanton obrócił głowę, żeby znów spojrzeć na imbecyla. Pozwalasz kobietom na niego patrzeć?, spytał.

Nie wiem, odparł właściciel. Na razie żadna nie prosiła.

W południe oddział przeniósł się do jadalni. Kiedy się zjawili, w środku siedziało trzech lub czterech mężczyzn, którzy natychmiast wstali i wyszli. Na podwórku za budynkiem był piec z gliny i kadłub zniszczonego wozu z kilkoma garnkami i imbrykiem. Stara kobieta w szarej chuście rąbała tasakiem żeberka wołowe, obserwowana przez dwa siedzące psy. Tylnymi drzwiami do sali wszedł chudy mężczyzna w zakrwawionym fartuchu i przyjrzał się najemnikom. Zbliżył się, pochylił i oparł obie ręce na stole.

Panowie, rzekł, nie odmawiamy obsługiwania kolorowych. Służę wszystkim z miłą chęcią. Proszę jednak, żeby usiąść tam, przy tym drugim stole. O tam.

Cofnął się o krok i wyciągnął rękę w osobliwym geście gościnności. Jego klienci popatrzyli po sobie.

O czym on gada, do ciężkiej cholery?

O tam, przy tamtym stole, powtórzył mężczyzna.

Toadvine spojrział naprzeciwko, gdzie siedział Jackson. Kilka głów odwróciło się w stronę Glantona. Położył dłonie przed sobą na blacie i pochylił lekko czoło jak do modlitwy przed posiłkiem. Sędzia się uśmiechał, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Wszyscy byli podpici.

On myśli, że my czarnuchy.

Siedzieli w ciszy. Kobieta na dziedzińcu zaczęła śpiewać jakąś rzewną piosenkę, a właściciel stał z wyciągniętymi rękami. Tuż obok drzwi piętrzył się stos juków, toreb, olstrów i broni.

Glanton podniósł głowę i spojrział na mężczyznę.

Jak się nazywasz?, spytał.

Moje nazwisko Owens. Jestem właścicielem.

Panie Owens, gdybyś pan był kimś więcej niż skończonym głupcem, wystarczyłoby ci jedno spojrzenie na nas, by wiedzieć na sto procent, że zjemy tu, gdzieśmy usiedli, i nigdzie indziej się nie przeniesiemy.

W takim razie was nie obsłużę.

Jak sobie chcesz. Tommy, spytaj babę, co dają do zarcia.

Harlan siedział na końcu stołu. Pochylił się i zawołał do starszej kobiety przy garnkach, pytając po hiszpańsku, co ma do jedzenia.

Spojrzała w stronę domu. Huesos, odparła.

Huesos, powtórzył Harlan.

Każ jej przynieść.

Ona nic wam nie przyniesie bez mojego pozwolenia, powiedział mężczyzna. Jestem tutaj właścicielem.

Harlan wołał przez otwarte drzwi.

Wiem na pewno, że ten, co tam siedzi, to czarnuch.

Jackson spojrział na Owensa.

Do Owensa odwrócił się Brown.

Masz broń?, spytał.

Broń?

No broń. Masz broń?

Przy sobie nie mam.

Brown wyciągnął zza paska małego pięciostrzzałowego kolta i mu go rzucił. Owens złapał rewolwer i trzymał go niepewnie.

No to już masz. A teraz zastrzel czarnucha.

Zaraz, chwileczkę, cholera jasna.

Zastrzel czarnucha, powtórzył Brown.

Jackson podniósł się i wyjął zza pasa wielkiego sześciostrzałowca. Owens wycelował w niego. Odłóż to, powiedział.

Przestań mu rozkazywać, tylko weź go zastrzel.

Odłóż to, do cholery, odłóż. Człowieku, powiedz mu, żeby to odłożył.

Zastrzel go.

Owens napiął kurek.

Jackson strzelił. Ruchem szybkim jak błysk iskry przesunął lewą dłoń nad rewolwerem, uruchamiając iglicę. Wielki kolt podskoczył w palcach, podwójna garść mózgu Owensa wytrysnęła z potylicy i pacnęła na podłogę. Mężczyzna osunął się bezgłośnie na ziemię i leżał w niedbałej pozie, z otwartym okiem, a z wyrwy w głowie buchała krew. Jackson usiadł, Brown zaś wstał i wziął swój rewolwer, zluzował kurek i wsadził broń za pasek. Najstraszniejszy czarnuch, jakiego widziałem, powiedział. Rozejrzyj się za jakimiś talerzami, Charlie. Wątpię, by stara pani jeszcze tu była.

Pili w kantynie położonej pięćdziesiąt kroków od jadłodajni, gdy w drzwiach pojawił się porucznik z sześcioma uzbrojonymi żołnierzami. Kantyna, pojedyncze pomieszczenie, miała w suficie wybitą dziurę, przez którą na klepisko padał snop słonecznego światła. Postacie poruszające się dokoła uważnie obchodziły tę świetlistą kolumnę, jakby zetknięcie z nią groziło poparzeniem. Byli to starzy bywalcy kantyny, kursowali do baru i z powrotem w lachmanach i skórach, jak jaskiniowcy dokonujący

wymiany nienazwanych towarów. Porucznik okrążył to ob-
skurne solarium i stanął przed Glantonem.

Kapitanie, przyszedłem aresztować człowieka odpowiedzialnego za śmierć pana Owensa.

Glanton podniósł wzrok. A pan Owens to kto?, spytał.

Pan Owens prowadził jadłodajnię tuż obok. Został zastrze-
lony.

Przykro mi to słyszeć. Siadaj pan.

Porucznik zignorował zaproszenie. Kapitanie, chyba nie
zamierza pan zaprzeczać, że jeden z pańskich ludzi go zastrze-
lił?

Właśnie tak zamierzam zrobić.

Kapitanie, to się kupy nie trzyma.

Z mroku wyłonił się sędzia. ...bry wieczór, poruczniku, po-
wiedział. Czy ci panowie są świadkami tego zdarzenia?

Couts spojrzął na swojego kaprała. Nie, odparł. Nie są
świadkami. Do licha, kapitanie. Wszyscy widzieli, jak wchodzi-
cie do jadłodajni, a potem, gdy padł strzał, jak z niej wyszliście.
Czy zamierza pan zaprzeczać, że jadł pan tam posiłek ze swoimi
ludźmi?

Zaprzeczam każdemu cholernemu słowu, które do tej pory
usłyszałem, odparł Glanton.

Na Boga, udowodnię, że tam jedliście.

Niech pan będzie łaskaw kierować swoje uwagi do mnie, po-
ruczniku, rzekł sędzia. Reprezentuję kapitana Glantona we
wszystkich kwestiach prawnych. Po pierwsze, powinien pan
zdawać sobie sprawę, że kapitan bardzo nie lubi być nazywany

kłamcą, a ja dwa razy bym się zastanowił, zanim wdałbym się z nim w spór natury honorowej. Po drugie, przebywałem z nim cały dzień i zapewniam pana, że ani on, ani żaden z jego ludzi nie postawił stopy w lokalu, o którym pan wspomniał.

Porucznik wydawał się oszołomiony bezczelnością tych zaprzeczeń. Przeniósł wzrok z sędziego na Glantona i z powrotem. Niech to szlag, mruknął, przecisnął się między swoimi ludźmi i wyszedł z kantyny.

Glanton odchylił się na krześle i oparł plecami o ścianę. Spośród miasteczkowej hołoty zwerbowali mało obiecujący duet, dwóch rekrutów, którzy gapili się teraz z końca ławy, z kapeluszami w dłoniach. Glanton zlustrował ich, a potem wbił spojrzenie ciemnych oczu we właściciela imbecyla, który siedział po drugiej stronie sali, patrząc na niego.

Pijasz?, spytał.

Że co?

Powoli wypuścił powietrze przez nos.

Tak, tak, pijam.

Na stole przed Glantonem stał ceber z blaszaną chochłą, wypełniony w jednej trzeciej samogonową whiskey, wytoczoną z baryłki przy kontuarze. Glanton wskazał go ruchem głowy.

Ja ci nie przyniosę.

Właściciel wstał, wziął swój kubek i podszedł do stołu. Chwył chochłę, nalał sobie i odłożył ją do cebra. Wzniósł kubek niepewnie jak do toastu, przystawił do ust i wypił.

Jestem wielce zobowiązany.

Gdzie twój małpolud?

Mężczyzna spojrział na sędziego. A potem znowu na Glantona.

Nie prowadzę go ze sobą.

Skądżeś go wytrzasnął?

Dostał mi się. Matka umarła. Nie miał kto się nim opiekować. Przysłali mi go. Z Joplin w Missouri. Wsadzili do skrzyni i wysłali. Jechał pięć tygodni. Wcale mu nie przeszkadzało. Otworzyłem skrzynię, a on siedział w środku.

Należ sobie jeszcze.

Mężczyzna wziął chochlę i napełnił kubek.

Klnę się na Boga, nigdy go nie skrzywdziłem. Kazałem zrobić dla niego włosiennicę, ale ją zeżarł.

I nikt w mieście nie oglądał tego skurwysyna?

Nie, nie, oglądali. Ale muszę się dostać do Kalifornii. Tam będę mógł liczyć za wstęp pół dolara.

Albo cię wytarzają w smole i pierzu.

To już było. W Arkansas. Twierdzili, że coś mu dałem. Że go podtrułem. Zabrali go i czekali, żeby wydobrał, ale nic z tego. No to wezwali kaznodzieję, coby się nad nim modlił. W końcu mi go oddali. Gdyby nie on, dawno bym już do czegoś doszedł w życiu.

Czy dobrze rozumiem?, spytał sędzia. Ten półgłówek to twój brat?

Owszem, proszę pana. Tak właśnie się sprawy mają.

Sędzia wyciągnął ręce, wziął głowę mężczyzny w dłonie i zaczął badać jej kształt. Mężczyzna wybałuszył oczy i chwycił go za nadgarstki. Sędzia trzymał jego głowę w uścisku niczym jakiś

ogromny uzdrowiciel. Tamten się wyprężył, jakby chciał ułatwić oględziny, a gdy sędzia go puścił, cofnął się o krok i spojrział na Glantona białymi w półmroku oczyma. Rekruci siedzący na końcu ławy patrzyli z rozdziawionymi ustami. Sędzia przyjrzał się mężczyźnie spod zmrużonych powiek, a potem znów wyciągnął ręce, chwycił go i trzymając jedną dłonią za czoło, zaczął opuszkami kciuka obmacywać potylicę. Gdy wreszcie uwolnił mężczyznę, ten cofnął się i runął przez ławkę, a rekruci zarechotali z uciechy, podrygując. Właściciel imbecyla rozejrzał się po nędznej knajpie, patrząc po kolei na twarze, jakby żadna mu nie wystarczała. Podniósł się z podłogi i wymiął ławkę. Kiedy był w połowie sali, zawołał go sędzia.

Zawsze taki był?

Tak. Od samego urodzenia.

Odwrócił się, żeby odejść. Glanton wypił, odstawił kubek i podniósł wzrok. A ty?, spytał. Ale mężczyzna pchnął już drzwi na oścież i zniknął w oślepiającym świetle na dworze.

Wieczorem znów zjawił się porucznik. Przysiadł się do sędziego, a ten po kolei wyjaśniał mu kwestie prawne. Porucznik kiwał głową, zaciskając usta. Sędzia przetłumaczył mu łacińskie terminy sądowe. Przytoczył sprawy z trybunałów cywilnych i wojskowych. Zacytował Coke'a i Blackstone'a, Anaksymandra, Talesa.

Rankiem wyniknął nowy kłopot. Porwano meksykańską dziewczynę. Zakrwawione strzępy jej ubrania znaleziono pod północnym murem, przez który najprawdopodobniej ją przerzucono. Na pustyni widać było ślady wleczenia. I but. Ojciec

dziewczynki klęczał, przyciskając do piersi poplamiony krwią łachman, głuchy na namowy, by wstał i odszedł. Wieczorem na ulicach rozpalono ogniska i zarżnięto wołu, a Glanton i jego ludzie ugościli pstre towarzystwo, złożone z mieszkańców, żołnierzy, zmalących Indian, czyli tontos, jak nazywali ich pobratymcy obozujący za murami. Odszypuntowano baryłkę whiskey i wkrótce pijani mężczyźni zataczali się w kłębach dymu. Kupiec z miasta przyniósł psi miot, a wśród szczeniąt jedno miało sześć łap, drugie dwie, a trzecie czworo oczu w głowie. Zaproponował ich kupno Glantonowi, lecz ten go przepędził precz, grożąc, że zastrzeli zwierzęta.

Wołowina obgryziona została do kości, kości wyniesiono, ze zniszczonych domów przyciągnięto belki i rzucono w płomień. Ludzie Glantona byli już w większości nadzy, łazili dokoła chwiejnym krokiem, a sędzia skrzyknął ich do tańca, sam rzępoląc na zarekwirowanych prymitywnych skrzypkach; wstrętne skóry, które z siebie zrzucili, czerniły się w ogniu, kopcąc i cuchnąc, a czerwone iskry ulatywały w niebo jak dusze zamieszkujących w nich małych żyjątek.

O północy mieszkańcy się ulotnili, a po mieście wałęsali się uzbrojeni nadzy mężczyźni, grzmocąc pięściami w drzwi, dopominając się wódki i kobiet. We wczesnych godzinach poranka, kiedy dogasające ogniska przemieniły się w kupki popiołów, a ostatnie skry pofrunęły z wiatrem wiejącym po gliniastych ulicach, do palenisk przytruchtały piekielne psy, żeby porwać szerniałe ochłapy mięsa, przed drzwiami domów leżeli

zaś skuleni goli mężczyźni, obejmując się za ramiona i chrapiąc na zimnie.

W południe znów byli na nogach, z zaczerwienionymi oczami włóczyli się po uliczkach, w większości wystrojeni w nowe koszule i spodnie. Odebrali konie od kowala, on zaś postawił im wódkę. Był małym krzepkim mężczyzną o imieniu Pacheco. Za kowadło służył mu ogromny żelazny meteoryt w kształcie wielkiego trzonowca i po zawarciu zakładu sędzia podniósł go z ziemi, a po kolejnej rundzie zakładów dźwignął nad głowę. Kilku mężczyzn przepchnęło się do przodu, żeby dotknąć meteorytu, gdy znalazł się z powrotem na ziemi, sędzia zaś wykorzystał tę sposobność, żeby wypowiedzieć się na temat żelaznej budowy ciał niebieskich oraz ich mocy i roszczeń. Na ziemi narysowano dwie linie w odległości dziesięciu stóp jedna od drugiej i po raz trzeci obstawiono zakłady, wyjmując monety z pół tuzina krajów, bite w złocie i srebrze, a nawet kilka boletas — banknotów i skryptów dyskontowych z kopalń w pobliżu Tubac. Sędzia chwycił wielki gład — od nie wiadomo ilu tysięcy lat w drodze z nie wiadomo jakiego niepojętego zakątka wszechświata — uniósł go nad głowę, zaparł się na drżących nogach i rzucił. Meteoryt upadł dobrą stopę poza linię, a sędzia zgarnął bilon usypany na derde u stóp kowala, wszystko dla siebie, bo nawet Glanton nie okazał chęci poręczenia w trakcie trzeciej próby.

XVII

- WYJAZD Z TUCSON • BEDNARSTWO • WYMIANA
- KAKTUSOWE LASY • GLANTON PRZY OGNISKU
- ODDZIAŁ GARCII • PARASELENE • BOŻY OGIEŃ
- EKSKSIĄDZ O ASTRONOMII • SĘDZIA
- O ŻYCIU POZAZIEMSKIM, PORZĄDKU I TELEOLOGII
- WSZECHŚWIATA • SZTUCZKA Z MONETĄ
- PIES GLANTONA • MARTWE ZWIERZĘTA • PIASEK
- UKRZYŻOWANIE • SĘDZIA O WOJNIE • KSIĄDZ MILCZY
- TIERRAS QUEBRADAS, TIERRAS DESAMPARADAS
- TINAJAS ATLAS • UN HUESO DE PIEDRA
- RZĘKA KOLORADO • WĘDROWCY • INDIANIE JUMA
- PRZEWOŹNICY • DO OBOZU JUMÓW

Wyruszyli o zmierzchu. Z wartowni nad bramą wyszedł kapral i zawołał, żeby się zatrzymali, ale nie posłuchali wezwania. Jechali w sile dwudziestu jeden mężczyzn, w asyście psa, ciągnąc niewielki wóz, na którym umocowano klatkę z półgłównikiem, jakby go czekał rejs po morzu. Za klatką przywiązano beczkę, którą opróżnili poprzedniego wieczora. Beczkę najpierw rozebrał, a potem złożył z powrotem człowiek, którego Glanton mianował bednarzem na czas wyprawy, a w środku znajdował się teraz bukłak z żołądka owcy, zawierający może ze trzy kwarty whiskey. Bukłak przymocowano do szpuntu, a resztę beczki napełniono wodą. Tak przygotowani, wyjechali za mury na prerię, której bezmiar pulsował w prążkowanym zmierzchu. Mały wóz kołysał się i skrzypiał, a idiota ścisnął pręty klatki i skrzeczał chrapliwie do słońca.

Glanton jechał na czele kolumny, w nowym kawaleryjskim

siodle z metalowymi okuciami i nowym czarnym kapeluszu, który dodawał mu prezenji. Rekruci, a było ich pięciu, szczyrzyli się do siebie nawzajem, zerkając przez ramię w kierunku wartowni. David Brown jechał na końcu, zostawiwszy w tym mieście brata — jak się okaże, na zawsze — był więc w tak podłym nastroju, że bez żadnego powodu strzelił do wartownika. Kiedy wartownik zawołał po raz drugi, Brown okręcił się w siodle, z karabinem w rękach, a tamten miał dość rozumu, żeby dać nura za osłonę, i więcej się nie odezwał. Dzicy wyjechali im na spotkanie w godzinie długiego zmierzchu i wymieniono whiskey na zawartość rozpostartego na ziemi koca z Saltillo. Glanton nie zwracał większej uwagi na negocjacje. Ale kiedy Indianie odliczyli odpowiednią w mniemaniu sędziego ilość złota i srebra, wszedł na koc, zsunął obcasem monety, cofnął się i kazał Brownowi zabrać wszystko. Mangas i jego zastępcy wymienili posępne spojrzenia, lecz Amerykanie dosiedli koni i odjechali, i nikt oprócz rekrutów nawet nie obejrzał się przez ramię. Wiedzieli o oszustwie, więc jeden przykłusował do Browna i spytał, czy Apacze nie zaczną ich ścigać.

Nie będą jechali po nocy, odpowiedział Brown.

Nowicjusz spojrzął do tyłu na sylwetki stłoczone wokół beczki pośrodku czerniejącego spalonego pustkowia.

Dlaczego nie?

Brown splunął.

Bo ciemno.

Ruszyli z miasta na zachód, u podnóża małej góry, przez ob-
skurne miasteczko zasłane kawałkami ceramiki wytapianej w

piecu, który tam niegdyś stał. Opiekun idioty jechał obok przechylonej na koślach klatki, a ten, uczepony kurczowo prętów, w milczeniu patrzył na przemierzaną krainę.

Tej nocy przedarli się przez lasy karnegii i zagłębili między wzgórza na zachodzie. Niebo było zachmurzone, a mijane smukłe kolumny przypominały ruiny ogromnych świątyń, uszeregowane, poważne i ciche, z wyjątkiem nieśmiałego pohukiwania sówek. Porastająca gęsto ziemię opuncja przyczepiała się do końskich boków kolcami, które przebiłyby podszwę buta aż po kość stopy, spomiędzy wzgórz zaś nadciągnął wiatr i przez całą noc syczał wściekle jak żmija w tym lesie nieprzeliczonych cierni. Jechali dalej, a kraina stawała się coraz bardziej niegościnna. Tam właśnie, na terenach bez wody, zakończyli pierwszą z wielu jornadas, rozkładając się obozem. Tej nocy Glanton długo wpatrywał się w żar ogniska. Wszędzie dokoła spali jego ludzie, ale dużo się zmieniło. Wielu odeszło, padło, zginęło. Delawarowie wybici do ostatniego. Spoglądał w płomienie, lecz jeśli dostrzegł w nich przepowiednię, wcale się nie przejął. Miał dożyć chwili, gdy zobaczy morze na zachodzie, a cokolwiek wydarzyłoby się potem, sprostałby temu, bo o każdej porze dnia i nocy był w pełni sobą. Nieważne, czy jego dzieje potoczyłyby się dalej wśród ludzi i narodów, czy dobiegłyby kresu. Dawno już przestał rozważać następstwa swoich czynów i choć dopuszczał możliwość, że przeznaczenie jest człowiekowi narzucone, uznał śmiało, że on sam zawiera w sobie wszystko, czym mógłby się stać dla świata i czym świat mógłby go

obdarzyć, rościł więc sobie prawo do bycia siłą sprawczą, nawet gdyby jego los wykuty został w najpradawniejszym kamieniu, mówił o tym i gnał niemiłosierne słońce ku jego ostatecznemu zmrocznieniu, jakby sam nakazał taki finał przed wszystkimi wiekami, nim gdziekolwiek wytyczono ścieżki, nim nastali ludzie i słońca świecące nad ich głowami.

Naprzeciw niego siedziała ogromna ohydna postać sędziego. Pólnagi, pisał w swojej księdze. W ciernistym lesie, który przebyli, ujadły małe pustynne wilki, odpowiadały im inne — z suchej równiny rozciągającej się z przodu, a wiatr owiewał węgle, w które wpatrywał się Glanton. Gnaty opuncji rozżarzone opalizującą mozaiką pulsowały jak rozplamione strzykwy w fosforyzującej ciemności morskich głębin. Klatkę przysunięto bliżej ognia, a idiota patrzył niezmordowany w płomień. Kiedy Glanton podniósł głowę, po drugiej stronie zobaczył dzieciaka, który siedział na kocu, obserwując Holdena.

Dwa dni później natknęli się na legion łachmaniarzy pod komendą pułkownika Garcii. Był to oddział wysłany z Sonory za bandą Apaczów dowodzonych przez Pabla, liczący blisko stu jeźdźców. Niektórzy nie mieli kapeluszy, inni spodni, jeszcze inni pod kurtkami byli całkiem nadzy, wyposażeni w zdezelowaną broń, stare fuzje i skałkówki, łuki ze strzałami lub tylko w kawałek sznura służący do duszenia przeciwnika.

Glanton i jego ludzie zlustrowali ten oddział z kamiennym rozbawieniem. Meksykanie na wyścigi wyciągali ręce z prośbą

o tytoń, Glanton wymienił z pułkownikiem zdawkowe uprzejmości i przepchnął się przez bandę natrętów. Ci jeźdźcy należeli do innego narodu, a cała kraina na południu, z której pochodzili, i wszelka kraina na wschodzie, do której mogliby zmierzać, były dla niego martwe, odległe i odarte z materii, zarówno ziemia, jak i każdy jej bywalec. Uczucie to przeniknęło do całego oddziału, zanim jeszcze Glanton przecisnął się przez tłum — każdy z nich ponaglił więc konia, ruszając za dowódcą, i nawet sędzia nie odezwał się ani słowem, żeby się wymówić od rozmowy.

Ruszyli w mrok, na rozpościerające się przed nimi pobielone księżycową poświatą odludzie, zimne i blade, a księżyc wisiał w górze w oprawie pierścienia, w którym tkwił drugi, fałszywy księżyc, z własną zimną szarością i perłowymi morzami. Rozbili obóz na wąskiej ławie, gdzie ściany suchego osuwiska wyznaczały dawniej koryto rzeki, rozpalili ogień, usiedli w milczeniu dokoła, a oczy psa, idioty i paru innych jarzyły się na czerwono jak węgle. Płomienie tańczyły na wietrze, żar przygasał, buchał, przygasał, buchał, niczym krew brocząca z jakiegoś wybebeszonego stworzenia, i patrzyli w ogień, który zawiera w sobie coś człowieczego w tej mierze, w jakiej ludzie bez niego ubożają, w jakiej są wygnańcami odciętymi od swych korzeni. Bo każdy ogień to cały ogień, pierwszy i ostatni, który zapłonie. Niedługo potem sędzia wstał i oddalił się z jakąś nieznaną misją, a po chwili ktoś spytał eksksiedza, czy to prawda, że dawniej

były dwa księżycy na niebie, a ten łypnął okiem na fałszywy księżyc nad głową i odparł, że być może tak było. Jednak mądry Bóg na wysokości, niezadowolony z pieniącego się na ziemi obłędu, niechybnie poślinił kciuk, wychylił się z otchłani i zgasił jeden, aż ten z sykiem przepadł w pomroce. A gdyby znalazł inny sposób, żeby ptaki mogły wytyczać w ciemności swe szlaki, być może tak samo postąpiłby z drugim.

Wówczas padło pytanie, czy na Marsie albo innych planetach w przestworzach żyją ludzie lub inne podobne stworzenia, a wtedy sędzia, który już wrócił do ogniska i stał obok, półnagi i spocony, powiedział, że nie ma żadnych innych istot i w całym wszechświecie ludzie żyją tylko na tej ziemi. Gdy to mówił, słuchali go wszyscy — i ci, którzy odwrócili głowy w jego stronę, i ci, którzy tego nie zrobili.

Prawda o świecie, rzekł, polega na tym, że wszystko jest możliwe. Gdybyście nie poznali świata od kołyski, wskutek czego zatraciła się w waszych oczach dziwna jego natura, jawiłby się wam taki, jaki jest, jako sztuczka z kapeluszem w luna-parku, majaki w malignie, trans zaludniony chimerami, co nie mają żadnego pierwowzoru ani podobieństwa, wędrowny karnewał, objazdowy cyrk, którego ostateczny cel po postojach na wielu błotnistych polach jest niewymownie tragiczny, tragiczny ponad wyobrażenie.

Wszechświat to nie ciasna kieszeń, a panujący w nim porządek nie jest spętany żadnym ograniczeniem u źródeł powstania, żeby w jednej części musiało się powtarzać to, co istnieje w

drugiej. Nawet na tym świecie więcej rzeczy istnieje poza naszą świadomością niżli w jej obrębie, a porządek, który widzimy w dziele stworzenia, to porządek, któryśmy sami mu nadali, jak sznurek rozpięty w labiryncie, by nie zgubić drogi. Istnienie ma własny porządek, którego nie ogarnie żaden ludzki umysł, bo sam umysł to tylko jedna z wielu okoliczności.

Brown splunął w ogień. Znowu te twoje wariactwa, powiedział.

Sędzia się uśmiechnął. Złożył dłonie na piersi, wciągnął nocne powietrze w płuca, podszedł, przysiadł i wyciągnął rękę. Odwrócił ją i wtedy między palcami zobaczyli złotą monetę.

Gdzie jest pieniądz, Davy?

Uważaj, bo zaraz usłyszysz, gdzie masz go sobie wsadzić.

Sędzia machnął ręką, a moneta zabłysła nad ich głowami w blasku płomieni. Niechybnie przyczepiona była do cienkiej nitki, może do końskiego włosa, bo zatoczyła krąg nad ogniskiem i wróciła do sędziego, a on chwycił ją w dłoń i znów się uśmiechnął.

Łuk, po którym przemieszcza się krążące ciało, określony jest przez długość uwięzi, powiedział sędzia. Księżyce, monety, ludzie. Poruszał dłonią, jakby wyciągał coś z kulaka serią rytmicznych szarpnięć. Patrz na monetę, Davy.

Rzucił, a moneta zakreśliła łuk w blasku ognia i zniknęła w ciemności. Obserwowali noc, w której przepadła, obserwowali sędziego, a w tym obserwowaniu jednego lub drugiego wszyscy byli wspólnym świadkiem.

Moneta, Davy, moneta, szepnął sędzia. Siedział wyprostowany. Dźwignął rękę i uśmiechnął do wszystkich wokół.

Wróciła z ciemności, z cichym wysokim sykiem przecinając płomień. Uniesiona dłoń sędziego w jednej chwili była pusta, a w następnej trzymała monetę. Rozległo się pacnięcie i moneta się pojawiła. Mimo to niektórzy stwierdzili, że jedną wyrzucił, a drugą, podobną, miał w dłoni, dźwięk natomiast wykonał językiem, bo sprytny z niego stary malabarista, w dodatku kiedy chował monetę, sam powiedział to, o czym wszyscy wiedzieli, mianowicie że są monety prawdziwe i fałszywe. Rankiem kilku poszło tam, gdzie poleciała moneta, ale jeśli któryś ją znalazł, zachował to dla siebie, a o wschodzie słońca dosiedli koni i ruszyli w dalszą drogę.

Wóz z idiotą w klatce włókł się na końcu kolumny, a pies Glantona zwolnił kroku, żeby dreptać obok, być może powodowany opiekuńczym instynktem, jaki w zwierzętach budzą dzieci. Glanton go zawołał, a gdy ten nie usłuchał, przyhamował konia, zrównał się z tyłem małej kolumny, pochylił i zaczął wściekle chłostać psa pętami, popędzając go przed sobą.

Natrafiali na coraz więcej łańcuchów i juków, wideł od dyszli i wozów. Siodła ogryzione z niewyprawionej skóry i zbielełe jak kości, na krawędziach ślady mysich zębów w postaci drobnych szlaczków. Jechali przez krainę, w której żelazo nie rdzewiało, a metal nie pokrywał się śniedzią. Żebrowane sylwetki martwego bydła pod płachtami zeschniętej skóry leżały jak

szczałki prymitywnych łodzi, wywróconych do góry dnem na bezbrzeżnej pustce; śmiertelnie bladzi i surowi minęli czarne sylwetki padłych z pragnienia koni i mułów, które porzucili wędrowcy. Wyschnięte na wiór zwierzęta skonały w piachu, wyciągając z bólu szyje, teraz wyprężone i ślepe, przechylone, ze strzępami czarnej uprzęży zwisającymi ze szkieletów, w ukłonie, z długimi pyskami wyjąłymi do nieskończonego pochodu przetaczających się nad nimi słońc. Jeźdźcy ruszyli dalej. Przecięli rozległe wyschnięte jezioro z rzędem wygasłych wulkanów w oddali, uszeregowanych jak kopczyki będące dziełem ogromnych owadów. Na południu jak okiem sięgnąć ciągnęły się spękane formy scorii w rzece magmy. Pod końskimi kopytami alabastrowy piasek usypywał się w osobliwie symetryczne rozety, jak układ opiółków żelaza w polu magnetycznym, i kształty te rozkwitały i więdły, rezonując na tej harmonicznej ziemi i wirując, żeby w końcu zgasnąć na playa. Jakby nawet w najmniejszym odprysku rzeczy zawierał się osad czucia. Jakby w wędrowce tych jeźdźców kryło się coś tak fundamentalnie straszliwego, że odciskało się nawet w najbardziej miałkiej formie istnienia.

Na wzniesieniu przy zachodnim krańcu playa minęli prymitywny drewniany krzyż, na którym Indianie Marikopa ukrzyżowali Apacza. Pomarszczony trup wisiał na krzyżu, z rozdzielionymi ustami niczym wybita dziura, ot, rzecz zrobiona ze skóry i kości wyczyszczonych przez pumeksowe wiatry znad jeziora, pomiędzy gałęzi bladych żeber zwisaly strzępy skóry.

Pojechali dalej. Konie posepnie deptały obcy świat, okrągła ziemia toczyła się pod nimi, mówiąc w ciszy większą od siebie otchłań, która zawierała wszystko. W obojętnej surowości tej krainy wszelkie zjawiska nacechowane były osobliwą równością i nic, ani pajak, ani kamień, ani źdźbło trawy nie mogło rościć sobie prawa do pierwszeństwa. Sama wyrazistość rzeczy negowała ich przyswajalność, bo oko wnosi o całości na podstawie pojedynczej cechy lub części, tutaj zaś nic nie było bardziej świetliste czy ocienione niż reszta i w tej optycznej demokracji krajobrazów wszelkie preferencje stawały się kaprysem, a człowieka i skałę łączyło nieodgadnione pokrewieństwo.

W tych dniach wychudli i zmizernieli pod białym słońcem, a ich zapadnięte puste oczy przypominały oczy lunatyków zaskoczonych nadejściem dnia. Skuleni pod kapeluszami, podobni byli do zbiegów w jakiejś większej skali, do istot, których pragnie słońce. Nawet sędzia stał się cichy i zamyślony. Mówił o oczyszczeniu się ze wszystkiego, co rości sobie prawo do człowieka, ale ta grupa ludzi, która słuchała jego słów, uważała się za wolną od wszelkich roszczeń. Jechali dalej, a wiatr gnał przed nimi drobinki kurzu, sunęli jak armia szarych bród, szarych ludzi, szarych koni. Góry na północy ciągnące się ukosem ku słońcu miały kształt falistych fałd, dni były chłodne, noce zimne, i siadali przy ognisku, każdy okutany we własny zwój ciemności, wykrojony z większego wokół, idiota zaś spoglądał z klatki na skraju poświaty. Obuchem siekiery sędzia połamał golenie antylopy i na kamienie spadły krople dymiącego szpiku.

Patrzyli na niego. Tematem była wojna.

Wielka księga mówi, że ten, kto mieczem wojuje, od miecza ginie, powiedział Murzyn.

Sędzia się uśmiechnął, z twarzą połyskującą od tłuszczu. A który zacny człowiek chciałby inaczej?, spytał.

W wielkiej księdze wojna faktycznie jest zła, rzekł Irving. Ale mnóstwo w niej opowieści o krwawym wojowaniu.

Nie ma znaczenia, co ludzie myślą o wojnie, odparł sędzia. Wojna przetrwa. Równie dobrze możecie zapytać ludzi, co myślą o kamieniu. Wojna była zawsze. Zanim nastał człowiek, już czekała na niego. Wojna to rzemiosło najwyższej rangi, czekające na swojego najznamienitszego rzemieślnika. Tak było i tak będzie. Tak, nie inaczej.

Odwrócił się do Browna, z którego ust dobiegł bełkotliwy szept, a może sprzeciw. Och, Davy, rzekł, przecież to twój fach tutaj opiewamy. Powinieneś się raczej uklonić. Okażmy sobie wzajemny szacunek.

Mój fach?

Z całą pewnością.

A jaki jest mój fach?

Wojna. Twój fach to wojna. Nie mam racji?

A twój niby nie?

Mój też. Jak najbardziej.

A te twoje księgi, kości i reszta?

W wojnie zawiera się każdy inny fach.

Dlatego wojna przetrwa?

Nie. Przetrwają dlatego, że młodzi ludzie ją kochają, a starzy dlatego kochają młodych. I ci, którzy walczyli, i ci, którzy nie walczyli.

To twoja opinia.

Sędzia się uśmiechnął. Ludzie rodzą się do gry. Do niczego innego. Każde dziecko wie, że zabawa to szlachetniejsze zajęcie niż praca. Wie też, że wartość lub sens gry nie zawiera się w niej samej, ale w stawce, o jaką się toczy. Żeby gra losowa miała sens, musi zostać zawarty zakład. Gra sportowa wymaga od przeciwników umiejętności i tężyzny, a upokorzenie z powodu porażki i duma ze zwycięstwa stanowią wystarczająco wysoką stawkę, ponieważ zakorzenione są w wartości samych zawodników i ich określają. Bez względu na to, czy będzie to próba losu czy charakteru, wszystkie gry odnoszą się do zasady wojny, bo to, co stawiamy w zakładzie, pochłania grę, gracza, wszystko.

Wyobraźmy sobie dwóch mężczyzn przy kartach, którzy do zaoferowania nie mają nic prócz swego życia. Kto nie słyszał takiej opowieści? Karta się odwraca. Dla takiego gracza cały wszechświat dążył z mozołem do tej właśnie chwili, bo w niej okaże się, czy zginie z ręki tamtego, czy tamten z jego ręki. Czy może być dobitniejsze uprawomocnienie wartości człowieka? Gra wyniesiona do tej najwyższej rangi wyklucza wszelkie argumenty co do natury przeznaczenia. Wskazanie jednego człowieka kosztem drugiego to wyrok absolutny i nieodwołalny, i zaiste tępakiem byłby ten, kto w tym głębokim rozstrzygnięciu nie dopatrzyłby się mocy sprawczej i ostatecznego sensu. W

grze, jej stawką jest śmierć przegranego, rozstrzygnięcia nie budzą wątpliwości. A więc tenże człowiek, trzymający w dłoni konkretny układ kart, tym samym zostaje usunięty ze sfery istnienia. Oto natura wojny, której stawką jest zarazem gra, władza i uprawomocnienie. W ten sposób postrzegana wojna stanowi najprawdziwszą formę przepowiedni. To sprawdzian naszej woli i woli drugiego człowieka w ramach woli większej, która zmuszona jest dokonać wyboru, bo wiąże nas obu. Wojna to gra najwyższej rangi, bo wojna wymusza jedność istnienia. Wojna to bóg.

Brown wpatrywał się w sędziego.

Jesteś obłąkany, Holden. Na całego.

Sędzia się uśmiechnął.

Siła nie rodzi prawości, odparł Irving. Ten, kto wygrywa w jakiejś okrutnej grze, wcale nie jest usprawiedliwiony moralnie.

Prawo moralne to wymysł ludzkości mający na celu ograbienie silnych z korzyścią dla słabych. Prawo historii obala je na każdym kroku. Nie ma żadnego rzetelnego sprawdzianu, który mógłby dowieść słuszności lub błędności poglądu moralnego. To, że jakiś człowiek padł w pojedynku, nie świadczy jeszcze, że błędził w swoich poglądach. Natomiast jego udział w tym sprawdzianie dowodzi przyjęcia nowego, szerszego poglądu. Gotowość przeciwników do zaprzestania sporu, uznanego za trywialny, bo taki jest w istocie, i poddania się wyrokowi historycznego absolutu wskazuje wyraźnie, jak mało ważne są ich odrębne stanowiska i jak ogromnie ważna jest różnica między nimi. Bo spór rzeczywiście jest trywialny, inaczej jednak

wygląda zamanifestowana w ten sposób kwestia odrębnej woli jednego i drugiego człowieka. Próżność ludzka swym ogromem faktycznie może się zbliżyć do nieskończoności, ale wiedza ludzka pozostaje niepełna i choćby nie wiem jak bardzo człowiek cenił swoje poglądy, w ostatecznym rozrachunku musi je poddać pod osąd trybunału wyższej instancji. Od tego nie ma odwołania. W tym trybunale względy równości, prawości i pryncypiów moralnych zostają pozbawione treści i uzasadnienia, a poglądy toczących spór budzą pogardę. Decyzja w sprawie życia i śmierci, w sprawie tego, co będzie i czego nie będzie, nie uwzględnia kwestii słuszności. Wyrokowi tej rangi muszą się podporządkować wszystkie mniejsze racje: moralne, duchowe, naturalne.

Sędzia potoczył wzrokiem dokoła w poszukiwaniu adwersarzy. A co na to ksiądz?, spytał.

Tobin podniósł głowę. Ksiądz milczy, odparł.

Ksiądz milczy, powtórzył sędzia. Nihil dicit. Ale tak naprawdę ksiądz przemówił. Bo ksiądz zrzucił szaty swej posługi i wziął do rąk narzędzia tego wyższego powołania, do którego wszyscy odnoszą się z szacunkiem. A zatem ksiądz także przestał być sługą bożym, a stał się samym bogiem.

Tobin pokręcił głową. Masz bluźnierczy jęzor, Holden. A tak po prawdzie nigdy nie byłem księdzem, tylko nowicjuszem w zakonie.

Wędrowny kapłan albo kapłan terminujący, odrzekł sędzia. Ludzi boga i ludzi wojny łączą dziwne powiązania.

Nie przyznam ci racji, odparł Tobin. Nie prosź o to. Och, księże, westchnął sędzia. O co jeszcze mógłbym cię prosić, czego już mi nie dałeś?

* * *

Nazajutrz przekroczyli na piechotę malpais, prowadząc konie po jeziorze magmy, całym spękanym i czerwono-czarnym niczym niecka zakrzepłej krwi, przemierzając tę złą krainę ciemnobursztynowego szkliwa jak niedobitki jakiegoś szarego legionu gramolące się z ziemi przeklętej, przenosząc na ramionach mały wóz przez rozpadliny i krawędzie, z idiotą uczepionym prętów, wołającym ochryple za słońcem niczym jakiś osobliwy nieokiełznany bóg, uprowadzony z królestwa zwyrodnialców. Przebyli żuźlową krainę spieczonego szlamu i popiołów wulkanicznych, niepojętą jak wypalone dno piekła, i wspięli się po niskim łańcuchu jałowych granitowych pagórków na nagi cypel, gdzie sędzia, orientując się wedle widocznych elementów krajobrazu, wytyczył nową marszrutę. Aż po widokrąg rozpościerała się żuźlowa równina. Hen na południu, za czarnymi wzgórzami wulkanicznymi, leżała samotna śnieżnobiała grań z piasku lub gipsu, przypominająca grzbiet jakiegoś bladego morskiego stwora, wynurzającego się z ciemnych archipelagów. Sunęli dalej. Po całym dniu jazdy dotarli do kamiennych zbiorników i wody, której poszukiwali, napili się więc i przelali czerpakami wodę dla koni z wyższych zbiorników do tych suchych poniżej. Dokoła wszystkich wodopojów na pustyni walają się kości, jednak tego wieczoru sędzia przyniósł do ogniska taką, jakiej nikt dotąd nie widział, wielką kość

udową dawno wymarłego stworzenia, którą znalazł w zwietrzalej skale, i teraz, siedząc przy ognisku, mierzył ją taśmą krawiecką i odrysowywał w swoim zeszytcie. Wszyscy w oddziale słyszeli wcześniej, co mówił o paleontologii, ale nie rekruci, którzy patrzyli teraz i zadawali wszelkie pytania, jakie tylko się im nasunęły. Sędzia odpowiadał wyczerpująco, rozwijając ich pytania, jakby byli początkującymi uczonymi. Kiwając tępo głowami, wyciągali ręce i dotykali pocętkowanej i skamieniałej kolumny kości — być może po to, żeby poczuć w palcach ogrom wymiarów czasowych, o których opowiadał sędzia. Opiekun wyprowadził półgłówka z klatki i uwiązał go obok ogniska sznurem z końskiego włosia, którego nie dałoby się przegryźć, i ten stał teraz pochylony w obroży, z rękoma wyciągniętymi do przodu, jakby pragnął światła. Pies Glantona podniósł się z ziemi, przysiadł i patrzył na niego, a idiota kiwał się i ślinił, z matowymi oczami rozjaśnionymi fałszywym blaskiem płomieni. Sędzia trzymał kość udową pionowo, żeby wyraźniej ukazać podobieństwa do kości napotykanych dokoła, a potem rzucił ją na piasek i zamknął książkę.

Nie ma w tym żadnej tajemnicy, powiedział.

Rekruci zamrugali tępo oczami.

W głębi serca pragniecie poznać jakąś tajemnicę. Tajemnica polega na tym, że nie ma tajemnicy.

Wstał i zagłębił się w mrok poza poświatą z ogniska. Akurat, odezwał się eksksjadz, patrząc z wygasłą fajką w zębach. Nie

ma żadnej tajemnicy. Jakby on sam nią nie był, cholerny stary szarlatan.

* * *

Trzy dni później dotarli nad Kolorado. Stanęli na brzegu szerokiej rzeki i patrzyli na zawieszistą wodę koloru gliny, toczącą się z pustyni monotonnym nurtem. W pobliżu zerwały się do lotu dwa żurawie, trzepocząc skrzydłami, a sprowadzone na plażę konie i muły zapuściły się niepewnie w wiry na płyciznach i zaczęły pić, podnosząc mokre pyski i spoglądając na wodę i przeciwległy brzeg.

W górze rzeki natknęli się na obóz niedobitków taboru wytrzebionego przez cholerę. Ci, którzy przeżyli, kręcili się wśród rozpalonych za dnia ognisk albo patrzyli pustym wzrokiem na obszarpanych kawalerzystów, którzy wyłonili się spomiędzy wierzb. Manatki leżały rozrzucone na piasku, a liche mienie zmarłych ułożono obok do podziału. W obozie znajdowała się pewna liczba Indian Juma. Mężczyźni nosili włosy przycięte nożami na odpowiednią długość albo oblepione perukami z błota i włoczyli się ze zwieszonymi maczugami. Zarówno oni, jak i kobiety mieli tatuaże na twarzach, kobiety prawie nagie, ubrane tylko w spódniczki z kory brzozonej uplecionej w sznurki, wiele ładnych, jeszcze więcej ze śladami syfilisu.

Glanton przechadzał się po tym nędznym obozowisku z psem u nogi i karabinem w dłoni. Jumowie popłynęli z kilkoma wychudłymi mułami ocalałymi z taboru na drugi brzeg, a on stał i patrzył na nich. W dole rzeki utopili jedno zwierzę,

wyciągnęli je z wody i poćwiartowali. W rzece moczył nogi starzec z długą brodą, w kurtce podszytej futrem lisa, buty postawił obok.

Gdzie wasze konie?, spytał Glanton.

Zjedli my.

Wpatrywał się w rzekę.

Jak chcecie się dostać na drugą stronę?

Promem.

Spojrzał na przeciwległy brzeg, tam gdzie wskazał stary mężczyzna. Ile bierze za kurs?

Dolara od głowy.

Odwrócił się i popatrzył na pielgrzymów na plaży. Pies pił wodę z rzeki. Glanton powiedział coś do niego, a zwierzę podeszło i usiadło przy jego nodze.

Prom przepłynął rzekę i przybił u góry w miejscu, gdzie znajdował się knecht z dryfujących desek. Łódź zbito z dwóch dopasowanych starych wozów uszczelnionych pakułami. Grupa ludzi czekała z tobołkami na ramionach. Glanton odwrócił się i wszedł na skarpe, żeby wziąć swego konia.

Przewoźnikiem był lekarz ze stanu Nowy Jork o nazwisku Lincoln. Nadzorował załadunek, gdy podróżni wchodzili na pokład z bagażami i kucali przy burtach, patrząc niepewnie na szeroką rzekę. Obserwował to wszystko siedzący na brzegu półmastif. Kiedy Glanton podeszedł, pies podniósł się i zjeżył. Doktor odwrócił się i osłonił oczy ręką. Glanton przedstawił się i uściśnił sobie dłonie. Miło mi, kapitanie. Do usług.

Glanton skinął głową. Lekarz wydał polecenia dwóm swoim pracownikom, po czym obaj ruszyli ścieżką w dół rzeki,

Glanton prowadząc konia, doktor w asyście swojego psa, drepającego dziesięć kroków za nim.

Oddział Glantona rozłożył się obozem na piaszczystej ławie, częściowo w cieniu nadrzecznych wierzb. Kiedy nadeszli we dwóch, idiota w klatce wstał, chwycił się prętów i zaczął pohukiwać, jakby chciał wystraszyć lekarza. Ten obszedł go szerokim łukiem, zerkając na swojego gospodarza, ale zaraz zbliżyli się porucznicy Glantona i chwilę później doktor i sędzia pogrążyli się w rozmowie z wyłączeniem pozostałych.

Wieczorem Glanton, sędzia i pięcioosobowy pododdział pojechali w dół rzeki do obozu Jumów. Przecieli las białych wierzb i sykomor oblepionych gliną z wezbranej rzeki, minęli stare acequias i niewielkie zimowe poletka, gdzie suche łupiny po kukurydzy grzechotały cicho na wietrze, a później brodem Algodones przekroczyli rzekę. Gdy psy obwieściły ich przybycie, słońce już zaszło, ziemia na zachodzie poczerwieniała i kopciła, a oni nadjechali gęsiego, jak kamea na tle bordowego światła, ciemną stroną zwróceniu ku rzece. Pośród drzew dymiły ogniska, od których wyruszyła im na spotkanie mała delegacja dzikich.

Osadzili konie i zastygli. Zbliżający się Indianie wystrojeni byli w tak błazeńskie kostiumy, a zarazem nosili je z tak wielką godnością, że bledsi jeźdźcy z najwyższym trudem zachowywali powagę. Przywódcą był niejaki Caballo en Pelo. Stary kacyk miał na sobie przepasane palto z wełny, które przydałoby się w znacznie zimniejszym klimacie, a pod nim damską bluzkę z haftowanego jedwabiu i portki z szarej żorzety. Był mały,

żyłasty i stracił oko w potyczce z Marikopa, a Amerykanów zaszczycił dziwnym priapicznym grymasem, który dawniej mógł uchodzić za uśmiech. Po jego prawej stronie jechał mniejszej rangi wódz o imieniu Pascual, w kaftanie zapinanym na patki, z nosem przekłutym kością obwieszoną małymi wiśiorkami. Trzecim mężczyzną był Pablo, ubrany w szkarłatny surdut ze zmatowiałym szamerunkiem i epoletami ze srebrnej nici. Był bosy, miał gołe nogi i nosił okrągłe zielone okulary. Tak wyelegantowani, stanęli szeregiem przed oddziałem Amerykanów i kiwnęli posępnie głowami.

Brown splunął na ziemię z odrazą, a Glanton pokręcił głową. Ale z was cudacka banda czarnuchów, powiedział.

Tylko sędzia przyjrzał się Indianom uważnie, zachowując trzeźwość oceny, bo być może sądził, że rzeczy rzadko są tym, czym się wydają.

Buenas tardes, odezwał się.

Kacyk wystawił podbródek, a ten drobny gest zabarwiła dwuznaczność. Buenas tardes, odparł. De dónde viene?

XVIII

POWRÓT • OSWOBODZENIE PÓŁGŁÓWKA

• SARAH BORGINNIS

• KONFRONTACJA

• KĄPIEL W RZECE • SPALENIE KLATKI

• JAMES ROBERT W OBOZIE

• DRUGI CHRZEST

• SĘDZIA I GŁUPIEC

Nastała już ostatnia godzina nocy, kiedy wyjechali z obozu Jumów. Rak, Panna i Lew mknęły wzdłuż ekliptyki na południu, a na północy gwiazdozbiór Kasjopei płonął na czarnym obliczu firmamentu jak sygnatura czarownicy. Podczas całonocnych tajnych rokowań uzgodnili z Indianami warunki przejścia promu. Ruszyli w górę rzeki pośród poplamionych gliną drzew, rozmawiając cicho między sobą jak ludzie wracający ze zjazdu rodzinnego, z wesela albo pogrzebu.

Z nadejściem dnia kobiety obozujące u przeprawy zobaczyły idiotę w klatce. Zgromadziły się dokoła, najwyraźniej nieprzejęte jego nagością ani brudem. Podśpiewywały do niego i narażwały się, i w końcu jedna, niejaka Sarah Borginnis, poprowadziła wszystkie na poszukiwania właściciela. Była kobietą dużej postury, o rumianej twarzy. Zbeształa go.

A w ogóle jak ty się nazywasz?

Cloyce Bell, proszę pani.

A on?

Nazywa się James Robert, ale nikt tak do niego nie mówi.

Gdyby twoja matka go zobaczyła, to jak myślisz, co by powiedziała?

Nie wiem. Matka nie żyje.

Nie wstyd ci?

Nie, proszę pani.

Tylko mi nie pyskuj.

Nie zamierzam. Chce go pani wziąć, niech go pani bierze. Oddam go. Więcej dla niego zrobić nie mogę.

Niech mnie licho, co z ciebie za żalosna istota. Odwróciła się do pozostałych kobiet.

Wszystkie razem. Trzeba go wykąpać i ubrać. Niech no któraś pobiegnie po mydło.

Proszę pani, odezwał się opiekun.

Dalej, zabieramy go nad rzekę.

* * *

Kiedy ciągnęły wóz, minął ich Toadvine z dzieciakiem. Zeszli ze ścieżki i patrzyli. Uczepiony prętów półgłówek pohukiwał w stronę wody, a kilka kobiet zaintonowało pieśń.

Gdzie to biorą?, spytał Toadvine.

Dzieciak nie wiedział.

Cofnęły wóz po grząskim piasku nad samą rzekę, postawiły go i otworzyły klatkę. Borginnis stanęła przed półgłówkiem.

Jamesie Robercie, wyjdź.

Wyciągnęła do niego ramię. Popatrzył na wodę, a potem wziął ją za rękę.

Z ust kobiet wydobyło się westchnienie, kilka zadarło spódnicę, wtykając rąbek za talię, i stanęło w rzece, żeby pomóc idiocie.

Borginnis sprowadziła go, uczepionego jej szyi, z wozu. Kiedy dotknął stopami ziemi, odwrócił się do rzeki. Kobieta była ubabrana odchodami, ale nie zwracała na to uwagi. Spojrzała na towarzyszki stojące na brzegu.

Spalcie to.

Jedna pognąła do ogniska po szczapę. Inne wprowadziły Jamesa Roberta do wody, a klatka została zaraz podpalona i spłonęła.

Chwytał się spódnic, wyciągał rozczapierzone palce, ślinił się i bełkotał.

Widzi swoje odbicie, powiedziały.

Cicho. Wyobraźcie sobie to dziecię zamknięte w potrzasku jak dziki zwierz.

Płomienie z palącego się wozu trzaskały w suchym powietrzu i odgłos ten najwyraźniej zwrócił uwagę półgłówka, bo skierował w tamtą stronę martwe czarne oczy. On rozumie, powiedziały zgodnie wszystkie kobiety. Sarah Borginnis zapuściła się głębiej, ze wzdętą jak balon spódnicą, wciągnęła go i ułożyła w swoich wielkich krzepkich ramionach jak dziecko, choć był dorosłym mężczyzną. Trzymała go na wodzie, nucąc. Jego jasne włosy unosiły się na rzece.

Tego wieczoru dotychczasowi towarzysze zobaczyli go przy ogniskach wędrowców ubranego w garnitur ze zgrzebnej wełny. Cienka szyja obracała się ostrożnie w kołnierzu za dużej koszuli. Natłuszczono mu włosy i zaczesano płasko na głowie, aż wyglądały jak namalowane. Dostał łakocie, więc siedział, śliniąc się i patrząc w ogień ku wielkiemu podziwowi kobiet. Rzeka płynęła w mroku, a nad pustynię od wschodu wytoczył

się księżyc rybiego koloru i w jałowym świetle wyrysował obok ich cienie. Ognie przygasaly, szary dym stał zamknięty w okowach nocy. Zza rzeki dobiegało ujadanie małych szakali, psy obozowe wierciły się i powarkiwały. Sarah Borginnis zabrała półgłówek pod brezent zdjęty z wozu, rozebrała go do nowej bielizny, położyła na sienniku, otuliła i pocałowała na dobranoc, a w obozie zaległa cisza. Kiedy półgłówek znów zjawił się w tym granatowym zadymionym amfiteatrze, był nagi i dreptał obok ognisk jak wyłysiały mylodon. Zatrzymał się, posmakował powietrza i powlókł się dalej. Ominął z dala miejsce przeprawy i zaczął się przedzierać przez wierzby, stękając i napierając chudymi rękami na przeszkody w nocy. A potem stanął samotny na brzegu. Zahuczał cicho i odgłos ten popłynął w dal jako dar tak bardzo potrzebny, że nie wrócił żadnym echem. Wszedł do rzeki. Zanim jeszcze woda sięgnęła mu do pasa, stracił równowagę i zniknął z oczu.

Akurat w tym miejscu przechodził też zupełnie nagi sędzia, odbywający swój nocny obchód — spotkania takie zdarzają się częściej, niż można by sądzić, w przeciwnym razie kto wyszedłby cało z jakiegokolwiek nocnej przeprawy? — więc wmaszerował do rzeki i chwycił tonącego idiotę, jak potężna akuszerka wyciągnął go za pięty i dał mu klapsa w pośladek, żeby wypłuł wodę. Scena narodzin, chrzest albo inny rytuał, niewprowadzony jeszcze do żadnego kanonu. Wyżął łkającemu nagiemu głupcowi wodę z włosów, zamknął go w objęciach, zaniósł do obozu i posadził z powrotem pomiędzy współtowarzyszy.

XIX

HAUBICA • ATAK JUMÓW • POTYCZKA

- GLANTON PRZEJMUJE PROM • POWIESZONY JUDASZ
 - KUFER • WYSŁANI NA WYBRZEŻE • SAN DIEGO
- ZAPROWIANTOWANIE • BROWN U KOWALA • SPÓR
- UWOLNIENIE WEBSTERA I TOADVINE'A • OCEAN
 - ZWADA • CZŁOWIEK SPALONY ŻYWCEM
- BROWN W KAJDANACH • OPOWIEŚĆ O SKARBIE
 - UCIECZKA • MORD W GÓRACH
- GLANTON W SAN DIEGO • WIESZANIE ALCALDE
 - ZAKŁADNICY • POWRÓT NAD KOLORADO
 - DOKTOR I SĘDZIA, CZARNUCH I GŁUPIEC
 - ŚWIT NAD RZEKĄ • WOZY BEZ KÓŁ
 - ŚMIERĆ JACKSONA • MASAKRA

Doktor zmierzał do Kalifornii, kiedy trafił mu się prom, co w dużej mierze było dziełem przypadku. W następnych miesiącach zgromadził pokaźny majątek w złocie, srebrze i kosztownościach. Wraz z dwoma mężczyznami, którzy dla niego pracowali, zamieszkał na wzgórzu na zachodnim brzegu rzeki, z widokiem na przeprawę, pośród szanćów niedokończonych fortyfikacji z kamienia i gliny. Oprócz dwóch wozów, które odziedziczył po oddziale majora Grahama, miał również górską haubicę — dwunastofuntówkę z brązu, o lufie średnicy spodka. Działo to stało beczynnie, niezaladowane, na drewnianej lawecie. Doktor zasiadł w swej prymitywnej kwaterze do herbaty z Glantonem i sędzią oraz Brownem i Irvingiem, a Glanton opisał mu kilka swych przygód z Indianami i stanowczo radził, by wzmocnił swoją pozycję. Doktor zaoponował. Stwierdził, że

dobrze ułożył sobie stosunki z Jumami. Glanton odparł mu prosto w twarz, że każdy człowiek, który ufa Indianinowi, jest głupcem. Doktor spłoszył, ale ugryzł się w język. Wtrącił się sędzia. Spytał doktora, czy uważa, że pielgrzymi stłoczeni po drugiej stronie pozostają pod jego ochroną. Doktor odparł, że w istocie tak uważa. Sędzia zaczął więc mówić rzeczowo i z troską, a kiedy Glanton zjechał ze swym pododdziałem na brzeg, żeby przekroczyć rzekę, miał już pozwolenie od doktora na umocnienie wzgórza i załadowanie haubicy i właśnie w tym celu ulali resztkę ołowiu, aż zebrali prawie cały kapeluszek kul karabinowych.

Tego wieczoru załadowali haubicę mniej więcej funtem prochu i całą odlaną amunicją, po czym zaciągnęli działo na stanowisko ogniowe, skąd widać było rzekę i przeprawę.

Dwa dni później Jumowie zaatakowali. Prom znajdował się akurat na zachodnim brzegu i trwał wyładunek, jak było umówione, wędrowcy zaś stali obok w oczekiwaniu na odbiór bagaży. Dzicy bez uprzedzenia wypadli spomiędzy wierzb, konno i na piechotę, i rzucili się chmarą przez otwarty teren w kierunku promu. Na wzgórzu Brown i Długi Webster przesunęli haubicę, unieruchomili ją, a Brown wcisnął dymiące cygaro w zapłon.

Nawet na otwartej przestrzeni wstrząs był ogromny. Haubica skoczyła do góry na lawecie i kopnąc, szarpnęła się do tyłu po klepisku. Przez odsłonięty teren poniżej przetoczyła się straszliwa niszczycielska siła — kilkunastu Jumów leżało martwych lub wiło się z bólu na piasku. Wyli donośnie. Spośród

nadrzecznych drzew w górze rzeki wypadł Glanton ze swymi jeźdźcami. Natarli na dzikich, którzy wrzasnęli z wściekłości na widok zdrady, próbując okiełznać spłoszone konie. Strzelali z łuków do szarżujących kawalerzystów, lecz padali już od ognia z rewolwerów, a wysadzeni na brzeg podróżni wygrzebali pośpiesznie broń z bagaży, ukłękli i rozpoczęli ostrzał od strony rzeki, kobiety i dzieci leżały zaś plackiem pośród kufrów i skrzyń. Konie Jumów stawały dęba, miotały się i rzęziły, napinając chrapy, łypiąc zbielełymi ślepiami. Ocalali zbiegli między wierzby, skąd wcześniej zaatakowali, zostawiając na polu bitwy rannych, konających i poległych. Glanton i jego ludzie zrezygnowali z pogoni. Zsiedli i zaczęli krążyć między padłymi, strzałem w głowę dobijając jednakowo ludzi i zwierzęta, obserwowani przez podróżnych z promu. Potem wzięli skalpy.

Stojący na niskim szańcu doktor patrzył w milczeniu, jak najemnicy zaciągają trupy nad rzekę i wpychają je lub strącają kopniakiem do wody. Odwrócił się i spojrzał na Browna i Webstera. Przyciągnęli haubicę z powrotem na stanowisko, a Brown usiadł swobodnie na cieplej jeszcze lufie i paląc cygaro, przyglądał się pracy w dole. Doktor obrócił się na pięcie i poszedł do swojej kwatery.

Nie pojawił się nazajutrz. Glanton przejął kierowanie promem. Ludzie, którzy od trzech dni czekali na przeprawę w cenie dolara od osoby, usłyszeli teraz, że opłata wynosi cztery dolary. Ale nawet ta taryfa obowiązywała zaledwie przez kilka dni. Niedługo potem na promie zapanowały bezlitosne warunki,

bo opłaty dostosowano do zasobności podróżnych. Wreszcie całkowicie porzucono pozory i jawnie obrabowywano imigrantów. Bito ich, odbierano im broń i mienie, po czym wypędzano ogołoconych, bez grosza przy duszy, na pustynię. Doktor zszedł nad rzekę, żeby zaprotestować, ale dali mu jego część łupów i odesłali go z powrotem. Zabierali konie, gwałcili kobiety, obok obozowiska Jumów w dole rzeki przepływały trupy. Gdy dalej mnożyły się potworności, doktor zabarykadował się w swojej kwaterze i więcej go nie widziano.

W następnym miesiącu nadciągnęła kompania z Kentucky pod dowództwem generała Pattersona i ze wstrętem odnosząc się do negocjacji z Glantonem, zbudowała własny prom w dole Kolorado, przepłynęła na drugi brzeg i ruszyła dalej. Prom ten przejęli Jumowie, a obsługiwał go dla nich niejaki Callaghan. Jednak w ciągu paru dni prom spłonął, a pozbawione głowy anonimowe ciało Callaghana spłynęło rzeką. Między łopatkami przykrytymi klerykalną czernią stał sęp, milczący wędrowiec w drodze do morza.

Wielkanoc tego roku wypadła w ostatni dzień marca. O świcie dzieciak, Toadvine i chłopak o nazwisku Billy Carr przepłynęli na drugą stronę, żeby naciąć gałęzi wierzbowych, które rosły w górze rzeki za obozem imigrantów. Mijając obóz, przed świtem, napotkali grupę sonorán i zobaczyli wiszącego na szubienicy nędznego Judasza ze słomy i szmat, z namalowanym grymasem na płóciennej twarzy, dowodzącym, że dłoń, która go wykonała, miała zaledwie dziecięce wyobrażenie o tym człowieku i popełnionej przez niego zbrodni. Sonoranie pili już

od północy, rozпалиwszy ognisko na ilastej ławie, gdzie stała szubienica, i krzyknęli do Amerykanów po hiszpańsku, gdy ci przejeżdżali skrajem obozu. Ktoś przyniósł z ogniska witkę z tłącymi się pakułami i podpalił Judasza. W łachmany kukły powtykano petardy i fajerwerki, gdy więc zajęła się ogniem, kolejne jej części zaczęły wybuchać deszczem płonących szmat i słomy. Wreszcie eksplodowała bomba w portkach i wszystko rozprysło się na drobne kawałki w sadzy i odorze siarki. Mężczyźni zaczęli wiwatować, mali chłopcy zaś na koniec obrzucili kamykami wiszące na stryczku poczerniałe szczątki. Jako ostatni przez polanę przejechał dzieciak, sonoranie zawołali go więc, proponując wino z bukłaka, ale wzruszył ramionami pod złaćmanionym płaszczem i pognął dalej.

Z niektórych sonorán Glanton zrobił niewolników i podzielonych na ekipy zapędził do robót przy fortyfikacjach na wzgórzach. W obozie trzymano także siłą grupkę kilkunastu indiańskich i meksykańskich dziewcząt, niektóre były jeszcze niemal dziećmi. Z pewnym zainteresowaniem nadzorował wznoszenie murów, lecz poza tym dał swoim ludziom całkowitą swobodę w obsłudze przewozy. Wydawało się, że nie zwraca większej uwagi na gromadzone bogactwa, choć każdego dnia otwierał w swojej kwaterze mosiężny zamek zabezpieczający wielki kufer z drewna i skóry, podnosił wieko i wsypywał całe worki kosztowności, w środku zaś były już tysiące dolarów w złotych i srebrnych monetach, jak również biżuteria, zegarki, pistolety, złoty kruszec w małych skórzanych sakiewkach, srebro w sztabach,

noże, zastawy i srebra stołowe oraz zęby.

Drugiego kwietnia David Brown z Długim Websterem i Toadvine'em wyprawili się do miasteczka San Diego na starym wybrzeżu meksykańskim w celu uzupełnienia zapasów. Wyruszyli o zachodzie słońca z karawaną zwierząt jucznych, wyjeżdżając spomiędzy drzew, zerkając na rzekę, a potem prowadząc konie w poprzek wydm w objęcia chłodnego niebieskiego zmierzchu.

W ciągu pięciu dni przebyli bez przygód pustynię, wdrapali się na nadmorskie wzgórza, przeprowadzili muły przez zaśnieżoną przełęcz, zesli stokiem od zachodu i wjechali do miasta w leniwej mżawce. Ich skórzane ubrania były nasiąknięte deszczówką, a z uwalanych zwierząt i uprzęży skapywał muł. Na błotnistej ulicy minęli oddział amerykańskiej kawalerii i usłyszeli w oddali huk morza tłukącego się o szary kamienny brzeg.

Brown zdjął z łęku siodła płócienną sakwę pełną monet, po czym cała trójka zsiadła z koni, weszła do składu towarów i bez słowa wysypała zawartość na kontuar.

W sakwie były dublony z Hiszpanii i Guadalajary, półdublony, złote dolary, małe złote półdolarówki, francuskie monety dziesięciofrankowe, złote orły i półorły, „dziurawe” dolary i te bite w Karolinie Północnej i Georgii — dwudziestodwukaratowe. Sklepiarz obliczył wartość zapłaty na wadze, usypując na szalkach kopczyki monet wedle ich pochodzenia, potem odkorkował butelkę i nalał porcje do małych blaszanych kubków

z zaznaczoną pojemnością ćwierci kwarty. Wypili, odstawili kubki, a on pchnął ku nim butelkę po surowych tartacznych deskach.

Mieli listę zapasów, które należało poczynić, a gdy już dogadali się co do ceny mąki, kawy i innych artykułów, wyszli na ulicę, każdy z butelką w garści. Ruszyli po kładce z desek, przeszli przez błoto, minęli rzędy ruder i placyk, za którym zobaczyli przetaczające się niskie morze, małe skupisko namiotów i ulicę, gdzie przysadziste chatki ze skór ciągnęły się nad plażą skrajem obiedki jak dziwne łodzie rybackie, całkiem czarne i błyszczące w deszczu.

To właśnie w jednej z nich obudził się nazajutrz Brown. Niewiele pamiętał z poprzedniego wieczoru, a w środku prócz niego nie było nikogo. Resztką pieniędzy znajdowała się w torbie, którą miał zawieszoną na szyi. Pchnął na oścież drzwi ze skóry i wyszedł wprost w mrok i mgłę. Nie rozkulbaczyli ani nawet nie nakarmili swoich zwierząt, więc wrócił do składu, przed którym wciąż stały przywiązane, usiadł na dechach i patrzył, jak zza wzgórz za miastem wylania się świt.

W południe, kaprawooki i śmierdzący, stanął przed drzwiami alcalde, żądając uwolnienia swoich towarzyszy. Alcalde ulotnił się tylnym wejściem i wkrótce zjawił się amerykański kapral z dwoma żołnierzami i przepędził Browna. Godzinę później Brown zaszedł do kuźni. Stanął ostrożnie w progu i patrzył w półmrok, póki nie dostrzegł zarysów rzeczy w środku.

Kowal pracował przy stole. Brown wszedł i położył przed nim wypolerowany mahoniowy futerał z przytwierdzoną

tabliczką z nazwiskiem. Poluzował zatrzaski, otworzył wieko i wyjął z zagłębienia dwie lufy i osadę strzelby. Przypiął lufy do baskili, postawił dubeltówkę na ławie i zamocował czółenko. Napiął kciukami kurki i opuścił je z powrotem. Wykonana była w Anglii, miała lufy ze stali damasceńskiej i grawerowane zamki, a osadę zrobiono z guzowatego mahoniu. Podniósł głowę. Kowal patrzył na niego.

Naprawiasz broń?

Trochę.

Trzeba skrócić lufy.

Mężczyzna wziął strzelbę. Między lufami znajdowała się listwa łącząca oraz inkrustowane złotem nazwisko rusznikarza z Londynu. Baskilę ozdobiono dwoma platynowymi paskami, w stalowych ryglach i kurkach wyżłobiono głębokie ślimacznice, a po obu stronach nazwiska widniał wizerunek kuropatwy. Lufy, o fioletowym odcieniu, wykonane były z potrójnych arkuszy blachy, a kute żelazo i stal miały płynne kształty podobne do śladów dziwnego starożytnego węża, rzadkiego, pięknego i śmiertelnie niebezpiecznego, kolba zaś, wyfasonowana z ciemnoczerwonej czeczotki, kryła w stopce otwierany sprężyną srebrny schowek na kapiszony.

Kowal obrócił broń w dłoniach i spojrzął na Browna. A potem na futerał. Wyściełany zielonym rypsem z wyciętymi starannie przegródkami, zawierał kulę ćwiczebną, prochownicę z cyny, wyciory i firmowy cynowy kapiszonownik.

Że co trzeba?, spytał.

Uciąć lufy. Tak o tyle. Brown przyłożył palec do strzelby.

Nie mogę.

Spojrzał na kowala.

Nie możesz?

Nie, proszę pana.

Rozejrzał się po kuźni. Cholera jasna, a myślałem, że pierwszy lepszy dureń potrafi urznąć lufę.

Coś z panem nie bardzo. Po co urznąć lufę w takiej broni?

Coś powiedział?, spytał Brown.

Mężczyzna nerwowo obracał dubeltówkę w dłoniach. Chodzi mi tylko o to, że nie rozumiem, po co psuć taką dobrą broń. Ile pan za nią chce?

Nie jest na sprzedaż. Twoim zdaniem coś ze mną nie bardzo, tak?

Nie. Nie o to mi chodziło.

Urzniesz te lufy czy nie?

Nie mogę.

Nie możesz czy nie chcesz?

Na jedno wychodzi.

Brown odebrał dubeltówkę i położył ją na stole.

Ile byś chciał za upiłowanie luf?, spytał.

Nie upiłuję.

A gdyby ktoś zgodził się to zrobić, jaka byłaby uczciwa cena?

Nie wiem. Dolar.

Brown sięgnął do kieszeni i wyjął garść monet. Położył pieniądze na stole. Masz, powiedział. Płacę dwa i pół dolara.

Kowal spojrział niepewnie na monety. Nie trzeba mi pańskiej zapłaty, odrzekł. Nie wezmę pieniędzy za niszczenie takiej broni.

Już wzięłeś, bo ci zapłaciłem.

Nie.

Tu leży forsa. Albo zabierasz się do piłowania, albo odmawiasz, a w tym drugim wypadku upiłuję lufy twoim dupskiem.

Kowal wpatrywał się w Browna. Cofnął się o kilka kroków, a potem odwrócił się i uciekł.

Kiedy zjawił się sierżant straży, Brown rznął lufy dubeltówki unieruchomionej w poprzek stołu. Żołnierz podszedł, żeby widzieć jego twarz.

Czego?, spytał Brown.

Ten człowiek twierdzi, że groził mu pan śmiercią.

Jaki człowiek?

Ten. Sierżant wskazał ruchem głowy wejście do szopy.

Brown piłował dalej. Coś takiego nazywasz człowiekiem?, odparł.

I jeszcze na dodatek bez pozwolenia wchodzi tu i używa moich narzędzi, odezwał się kowal.

I co pan na to?, spytał sierżant.

Na co?

Jak pan odpowie na zarzuty tego człowieka?

Łgarz z niego i tyle.

Nie groził mu pan?

Gdzie tam.

Akurat, cholera jasna, rzucił kowal.

Ja nie grożę ludziom. Powiedziałem, że dostanie po dupie, a to u mnie się liczy jak zapisane u notariusza.

I to niby nie jest groźba?

Brown podniósł wzrok. Nie. To nie groźba, tylko obietnica.

Znowu się pochylał i po kilku kolejnych ruchach piłą lufy spadły na klepisko. Odłożył narzędzie, rozwarł szczęki imadła, wyjął dubeltówkę, odpiął lufy od łoża, spakował części do futerału, zamknął wieko i zapiął zatrzaski.

Czego dotyczył spór?, spytał sierżant.

Nic mi nie wiadomo o żadnym sporze.

Lepiej niech pan go spyta, skąd wziął tę broń, co ją tak zrujnował. Idę o zakład, że komuś ukradł.

Skąd pan ma tę broń?, spytał sierżant.

Brown pochylał się i podniósł odcięte lufy. Miały około osiemnastu cali długości. Trzymał je za końce. Wyszedł zza stołu i wyminął sierżanta. Włożył sobie futerał pod pachę i obrócił się w progu. Kowal zniknął bez śladu. Brown spojrzał na sierżanta.

Coś mi się widzi, że ten człowiek wycofał swoje zarzuty, powiedział. Pewnikiem sobie popił.

* * *

Kiedy Brown szedł przez plac w stronę małego cabildo z błota, napotkał Toadvine'a i Webstera, dopiero co zwolnionych z aresztu. Wyglądali dziko i cuchnęli. Poszli we trzech na plażę, usiedli i patrzyli na podłużne szare bałwany, podając sobie z

rąk do rąk butelkę Browna. Żaden z nich nie widział dotąd oceanu. Brown podszedł i dotknął warstwy piany, która oblewała ciemny piasek. Podniósł dłoń i posmakował soli na palcach, potem spojrzął to w jedną, to w drugą stronę i ruszyli plażą w kierunku miasteczka.

Przez całe popołudnie pili w łazarzowej bodedze prowadzonej przez Meksykanina. Weszli żołnierze. Wywiązała się sprzeczka. Toadvine wstał od stołu, zataczając się. Wśród żołnierzy znalazł się jednak rozjemca i przeciwnicy znów usiedli. Ale parę minut później w drodze powrotnej od kontuaru Brown wylał dzban aguardiente na młodego żołnierza i podpalił go cygarem. Mężczyzna pognał na dwór w ciszy, którą zakłócał tylko syk płomieni, najpierw jasnoniebieskich, a potem niewidocznych w słońcu. Miotał się jak człowiek napadnięty przez rój pszczół albo obłąd, wreszcie upadł i spłonął. Gdy dobiegli do niego z wiadrem wody, leżał już w błocie, pomarszczony i szerniał jak ogromny pająk.

Brown obudził się w małej ciemnej celi, spętany łańcuchami i oszalały z pragnienia. Najpierw sprawdził worek z pieniędzmi. Wciąż wisiał pod koszulą. Wstał ze słomy i przyłożył oko do judasza. Był dzień. Zawołał, żeby ktoś przyszedł. Usiadł, skutymi dłońmi policzył monety i schował je do worka.

Wieczorem żołnierz przyniósł mu kolację. Nazywał się Petit i Brown pokazał mu swój naszyjnik z uszu i pieniądze. Petit odparł, że nie zamierza mu pomagać w żadnych knowaniach. Brown rzekł, że na pustyni zakopał trzydzieści tysięcy dolarów.

Opowiedział o promie, stawiając się w roli Glantona. Znowu pokazał monety i mówił ze znanstwem o miejscach ich pochodzenia, uzupełniając relacje sędziego zmyślonymi na poczekaniu szczegółami. Dzielimy się po równo, szepnął. Tylko ty i ja.

Wpatrywał się zza krat w rekruta. Petit otarł czoło rękawem. Brown zgarnął pieniądze do sakwy i podał mu ją.

Chłopak stał, trzymając niepewnie worek z pieniędzmi. Chciał wepchnąć go z powrotem przez pręty, ale Brown cofnął się i podniósł ręce.

Nie bądź głupi, syknął. Zabiłbym własną matkę, żeby w twoich latach dostać taką szansę od życia.

Gdy Petit wyszedł, usiadł na słomie i spojrział na cienki blaszany talerz z fasolą i tortillami. Po chwili zaczął jeść. Na dworze znowu padało i słyszał konnych przejeżdżających ulicą, a zaraz potem zapadł zmrok.

Uciekli razem wieczorem dwa dni później. Jeden i drugi mieli znośnego wierzchowca, karabin i koc, prowadzili też muła objuczonego zapasami suszonej kukurydzy, wołowiny i daktyli. Wjechali na zadeszczone wzgórza, a o brzasku Brown podniósł karabin i strzelił chłopakowi w tył głowy. Koń bryknął do przodu, Petit runął przez plecy, a spod oderwanej kości czołowej wyrzwał mózg. Brown zatrzymał swojego konia, zeskokczył na ziemię, zabrał worek z pieniędzmi, wziął nóż chłopaka, jego karabin, prochownicę i kurtkę, odciął mu uszy, nawłókł je na swój szkaplerz, a potem dosiadł konia i odjechał. Muł ruszył za nim, a po chwili jego śladem podążył koń żołnierza.

* * *

Webster i Toadvine wrócili do obozu nad Kolorado bez prowiantu i mułów. Glanton wziął pięciu ludzi i wyruszył o zmierzchu, zostawiając sędziego do pilnowania promu. Do San Diego dotarli w środku nocy i spytali o drogę do domu alcalde. Mężczyzna, którego szukali, podszedł do drzwi ubrany w koszulę nocną i szlafmycę, ze świeczką w rękę. Glanton wepchnął go do salonu i posłał ludzi na tył domu, skąd dobiegły zaraz krzyki kobiety, potem kilka stłumionych uderzeń i zapadła cisza.

Alcalde był mężczyzną po sześćdziesiątce. Odwrócił się, chcąc pobiec żonie na pomoc, ale padł uderzony lufą rewolweru. Wstał, trzymając się za głowę. Glanton wepchnął go do pokoju w głębi domu. Ścisnął w garści sznur zawiązany w pętlę, obrócił alcalde, zarzucił mu strzyżek na szyję i mocno pociągnął. Na ten widok siedząca na łóżku kobieta znów zaczęła krzyżeć. Miała podbite oko, które szybko puchło, a jeden z rekrutów uderzył ją na odlew w usta, od czego przewróciła się na skotłowaną pościel i zakryła głowę rękami. Trzymając świeczkę w górze, Glanton kazał jednemu ze swych ludzi wskoczyć na ramiona drugiego. Chłopak sięgnął do vigas, znalazł wolną przestrzeń, przewlókł koniec sznura i spuścił go po przeciwnej stronie. Zaczęli ciągnąć, unosząc w górę milczącego i miotającego się alcalde. Ręce miał wolne, więc chwycił sznur nad głową i próbował się podciągnąć, żeby się nie udusić. Wierzgał nogami, obracając się powoli w półmroku.

Válgame Dios, wystękał. Qué quiere?

Chcę dostać z powrotem moje pieniądze, powiedział Glanton. Chcę moje pieniądze, chcę moje muły i Davida Browna.

Cómo?, zacharczał starszy mężczyzna.

Ktoś zapalił lampę. Kobieta podniosła się i najpierw zobaczyła cień, a potem sylwetkę męża dyndającego na sznurze, więc zaczęła pełznąć po łóżku w jego stronę.

Dígame, stęknął alcalde.

Jeden z rekrutów złapał kobietę, ale Glanton ruchem ręki kazał mu się cofnąć. Ruszyła chwiejnym krokiem i chwyciła męża za kolana, żeby go unieść. Łkała i modliła się o litość po równo do Glantona i do Boga.

Stanął z boku, żeby widzieć twarz alcalde.

Chcę moje pieniądze, powtórzył. Moje pieniądze, muły i człowieka, którego tu przysłałem. El hombre qué tiene usted. Mi compañero.

Nie, nie, wystękał mężczyzna. Búscale. Nie ma żadnego człowieka.

A gdzie jest?

Nie tutaj.

Jest tutaj. W juzgado.

Nie, nie. Madre de Jesús. Nie tutaj. Odszedł. Siete, ocho días.

Gdzie jest juzgado?

Cómo?

El juzgado. Dónde ésta?

Starsza kobieta puściła na moment męża jedną ręką, żeby wskazać kierunek, przyciskając twarz do jego nóg. Allá, powiedziała. Allá.

Dwaj ludzie wyszli, jeden trzymał ogarek świecy i osłaniał płomyk stuloną dłonią. Wrócili z wiadomością, że mały loch w budynku na tyłach jest pusty.

Glanton wpatrywał się w alcalde. Kobieta wyraźnie się chwiała. Zawiazali półszytyk na słupku łóżka, Glanton poluźnił sznur i alcalde runął z żoną na podłogę.

Spętali ich i zakneblowali, a potem pojechali do sklepikarza. Trzy dni później skrepowanego alcalde, jego żonę i sklepikarza znaleziono leżących we własnych odchodach w porzuconej chacie nad oceanem, osiem mil na południe od miasteczka. Zostawiono im ceber z wodą, z którego chleptali jak psy i wyli do huczących fal na odludziu, aż stali się niemi jak kamienie.

Przez dwa dni i dwie noce Glanton i jego ludzie pili na umór. Wieczorem drugiego dnia sierżant dowodzący małym garnizonem amerykańskiego wojska zmierzył się z nimi w pi-jackich zawodach, ale on i jego trzej podwładni zostali pobici do nieprzytomności i rozbrojeni. O świcie oddział żołnierzy kopniakami wyważył drzwi zajazdu, ale w pokoju nikogo już nie było.

Glanton wrócił sam nad Kolorado, bo jego najemnicy pojechali na złotonośne pola. Na zasłanym kośćmi odludziu napotykał nędzne grupki idących pieszo wędrowców, którzy wołali do niego, i tych nieżywych, którzy pomarli tam, gdzie upadli, i tych, którzy dopiero mieli umrzeć, oraz gromadki ludzi stłoczonych wokół ostatniego wozu albo furmanki, pokrzykujących chrapliwie na muły lub woły, popędzających je do dalszej drogi, jakby w tych kruchych drewnianych skrzyniach wieźli nic innego jak samo przymierze. Zwierzęta te czekała śmierć, a wraz

z nimi mieli skonać ludzie i wołali do tego samotnego jeźdźca, żeby go przestrzec przed niebezpieczeństwami czyhającymi u przeprawy, lecz on sunął niezłomnie pod prąd strumienia uchodźców jak bohater z legend ku temu, co bestia wojny, zarazy lub głodu odcisnąć miała na jego nieprzejednanych ustach.

Nad Kolorado dotarł pijany. Ciągnął za sobą na sznurku dwa małe osły, obładowane whiskey i sucharami. Osadził konia i spojrzął na rzekę, strażniczkę rozstajów całego tego świata. Podszedł jego pies i trącił go nosem w strzemień.

W cieniu muru przykucnęła naga meksykańska dziewczyna. Zakrywając piersi rękoma, patrzyła, jak Glanton nadjeżdża. Na szyi miała obrozę z niewyprawionej skóry i była przykuta łańcuchem do palika, a obok stała gliniana miska z poczerniałymi ochłapami mięsa. Glanton przywiązał osły do tego słupka i wjechał konno do kwatery.

Wewnątrz nie było nikogo. Ruszył na brzeg. Gdy patrzył na rzekę, po skarpie zsunął się doktor, chwycił go za stopę i zaczął coś niezrozumiale bełkotać błagalnym tonem. Od tygodni nie dbał o siebie, był brudny i rozczochrany. Ciągnął Glantona za nogawkę, wskazując fortyfikacje na wzgórzu. Ten człowiek, powtarzał, ten człowiek.

Glanton wysunął stopę ze strzemienia i odepchnął doktora nogą, zawrócił konia i znowu wjechał na wzgórze. Na szczycie wzniesienia stał sędzia, widoczny wyraźnie na tle wieczornego słońca, niczym wielki łysy archimandryta. Owinął się togą ze

zwiewnej tkaniny, pod którą był nagi. Z jednego z kamiennych bunkrów wyłonił się czarny Jackson, ubrany w podobny strój, i stanął obok. Glanton wjechał ponownie na wierzchołek do swojej kwatery.

Przez całą noc woda niosła z przerwami odgłosy wystrzałów, śmiech i pijackie przekleństwa. Kiedy zaświtał dzień, nikt się nie pojawił. Prom stał zacumowany. Nad rzekę po drugiej stronie zszedł mężczyzna, zadał w róg, odczekał, a potem zawrócił.

Przez cały dzień prom stał beczynnym. Wieczorem pijaństwo i hulanka rozpoczęły się na nowo, a do obozu pielgrzymów zgromadzonych na przeciwległym brzegu dobiegały krzyki dziewcząt. Ktoś podał półgłówkowi whiskey zmieszaną z sarsaparillą i teraz to coś, co ledwo umiało chodzić, z wielką powagą płaśało przed ogniskiem, sadząc małpie susy i cmokając wilgotnymi ustami.

O świcie Murzyn zszedł na brzeg, żeby oddać mocz do wody. Prom stał trochę dalej w dole rzeki, a jego dno pokrywała kilkucalowa warstwa zapiaszczonej wody. Jackson zgarnął połę swej togi i wskoczył na ławkę pośrodku promu, utrzymując równowagę. Woda ruszyła ku niemu, zalewając deski. Patrzył w dal. Słońce jeszcze nie weszło, a rzekę zasnuło cienkie pasmo mgły. W dole wśród wierzb poruszyły się kaczki. Zatoczyły krąg na wirującej wodzie, zatrzepotały skrzydłami na szerokiej tafli, wzbily się, zakołowały i odfrunęły w górę rzeki. Na dnie promu leżała mała moneta. Może ukrywał ją pod językiem jakiś pasażer? Murzyn schylił się, żeby ją wziąć. Wyprostował się, starł

piasek z monety i podniósł ją do góry, a wtedy długa strzała z trzciny przeszła mu brzuch na wylot i wpadła do wody za jego plecami, znikła, wyłoniła się na powierzchni i obracając się, zaczęła płynąć z prądem.

Spojrzał dokoła, otulony połami szaty. Trzymając się za ramię, drugą ręką grzebał w fałdach tkaniny w poszukiwaniu broni, której nigdzie nie mógł znaleźć. Kolejna strzała minęła go z lewej strony, ale dwie następne trafiły w cel, wbijając się głęboko w klatkę piersiową i pachwinę. Miały pełne cztery stopy długości i unosiły się lekko w rytm jego ruchów niczym rytualne różdżki. Chwycił się za udo, z którego trysnęła na drzewce ciemna krew tętnicza, zrobił krok w kierunku brzegu i runął bokiem do rzeki.

Woda w tym miejscu była płytka. Wykonywał niepewne ruchy, próbując się podnieść, ale wtedy na prom wskoczył pierwszy Juma. Całkiem nagi, z włosami pofarbowanymi na pomarańczowo, z pomalowaną na czarno twarzą przedzieloną karmazynową kreską od wdowiego szpicu po podbródek. Tupnął dwa razy w deski i zamłócił rękoma jak dziki czarnoksiężnik z atawistycznego rytuału. Chwycił Murzyna za szaty, dźwignął go z czerwieniejącej wody i roztrzaskał mu głowę bojową maczugą.

Cała ich chmara wspięła się po wzgórzu na fortyfikacje, za którymi spali Amerykanie — konno i pieszo, wszyscy uzbrojeni w łuki i maczugi, o twarzach poczernionych lub pobielonych farbą, z włosami zlepionymi gliną. Najpierw wtargnęli do kwatery Lincolna. Kiedy wyłonili się z niej kilka minut później,

jeden trzymał za włosy ociekającą krwią głowę doktora, inni wlekli jego psa ze związanym pyskiem, a zwierzę szarpało się i wyrzywało na klepisku. Weszli do szałas z kijów wierzbowych i brezentu i zabili Gunna, Wilsona i Hendersona Smitha, obudzonych kolejno z pijackiego snu, po czym ruszyli cicho między niedokończone surowe mury, połyskując farbą, łojem i krwią w smugach wschodzącego słońca, które już oświetlało wzniesienie.

Gdy weszli do kwatery Glantona, ten poderwał się i potoczył dokoła dzikim wzrokiem. Mały pokój z gliny, który zajmował, wypełniało mosiężne łoże odebrane jakiejś rodzinie wędrowców, siedział teraz na nim jak rozpustny feudalny baron, a obok na kwiatonach wisiała bogata kolekcja jego broni. Caballo en Pelo wspiał się na łoże i stanął. Wtedy ktoś z jego asysty podał mu z prawej strony pospolity topór z orzechowym trzonkiem pokrytym rzeźbionymi pogańskimi motywami i ozdobionym pękami piór drapieżnych ptaków. Glanton splunął.

Rąb, ty parszywy czerwony czarnuchu, powiedział, a stary Indianin podniósł topór i rozplątał Johnowi Joelowi Glantonowi głowę aż po tchawicę.

Kiedy weszli do kwatery sędziego, zobaczyli półgłówka leżącego nago na podłodze z dwunastoletnią być może dziewczynką. Za nimi, też nagi, ukazał się sędzia. Trzymał wycelowaną w Indian haubicę. Drewniana laweta stała obok, pasy były odgięte i wyrwane ze stojaków. Sędzia wetknął działo pod pachę, a w drugiej ręce, zawieszonej tuż nad zapłonem, ścisnął kopcące cygaro. Jumowie wycofali się w popłochu jeden przez drugiego,

sędzia zaś włożył cygaro do ust, wziął swoją sakwę, wymaszerował na dwór, wyminął Indian tyłem i zszedł ze skarpy. Półgłówek, sięgający mu ledwie do pasa, przez cały czas podążał u jego boku i tak we dwóch dotarli do lasu u podnóża fortyfikacji, po czym zniknęli z oczu.

* * *

Dzicy rozpalili na wzgórzu ognisko, do którego powrzucaли sprzęty z kwater białych ludzi, a potem wynieśli na ramionach trupa Glantona jak pokonanego mistrza i cisnęli go w płomień. Do zwłok przywiązali jego psa. Zwierzę, pociągnięte w rytualnym sati w trzaskający ogień, znikło ze skowytem w kłębach dymu ze świeżego drewna. Przywleczono za nogi tułów doktora, dźwignięto go i rzucono na stos. Jego półmastifa też oddano płomieniom. Miotał się i w końcu zsunął po drugiej stronie, a rzemienie, którymi go spętano, najwyraźniej się przepaliły, bo zaczął się czółgać, ślepy, poparzony, kopcający, ale wepchnięto go z powrotem łopatą. Pozostałe ciała, wszystkich osiem, usypano na ognisku; skwierczały teraz, cuchnąc, a obłoki gęstego dymu zasnuły rzekę. Głowę doktora zatknięto na żerdź i obnoszono dokoła, ale w końcu ją też wrzucono w płomień. Indianie podzielili na klepisku broń i ubrania zabitych, tak samo jak złoto i srebro z rozprutego i porąbanego kufra, który wyciągnięto z kwater. Całą resztę ciśnięto w ogień, a wschodzące słońce połyskiwało na pstrych twarzach, oni zaś siedzieli na ziemi, każdy z nowym łupem przed sobą, i patrząc

w ogień, kurzyli fajki niczym jakaś barwna trupa mimów skrzyknięta na odludziu, z dala od miast i motłochu pohukującego zza kopających świateł rampy, dumająca o objeździe miasteczek, lichym tuszu trąbki i werbla i surowych deskach, na których wypisane jest ich przeznaczenie, bo ludzie ci nie byli wcale bardziej wolni i suwerenni niż ich ofiary i na zwęglone czaszki nieprzyjaciół żarzące się w popiele jaskrawo niczym krew patrzyli jak na zapowiedź własnego kresu.

XX

- UCIECZKA • NA PUSTYNIĘ • ŚCIGANI PRZEZ JUMÓW
- ODPÓR • ALAMO MUCHO • JESZCZE JEDEN UCIEKINIER
 - OBŁĘŻENI • GRA W KULKI • OGNIE NOCĄ
 - SĘDZIA ŻYJE • TARGI NA PUSTYNI
 - EKSKSIĄDZ NAWOŁUJE DO ZABÓJSTWA
 - W DROGĘ • KOLEJNE SPOTKANIE
 - POTOK CARRIZO • ATAK • POŚRÓD KOŚCI
 - GRA O WSZYSTKO • EGZORCYZM
 - RANNY TOBIN • NARADA • RZEŻ KONI
 - SĘDZIA O DELIKTACH
- KOLEJNA UCIECZKA, KOLEJNA PUSTYNYA

Toadvine i dzieciak przedarli się w górę rzeki pod gradem strzał grzechoczących w nadbrzeżnych zaroślach. Wypadli z łożyny, wdrapali się na wydmy, zeszli po drugiej stronie i znów się wyłonili, dwie ciemne sylwetki sunące z mozołem po piachu, to biegnące truchtem, to się ślaniające. Wystrzał z rewolweru zabrzmiał głucho i martwo w tej otwartej przestrzeni. Na grzbiecie wydmy ukazało się czterech Jumów, którzy wcale ich nie ścigali, tylko ustalili obrany przez nich kurs w terenie i zawrócili.

Dzieciak miał w nodze strzałę, utkwiała w kości. Zatrzymał się, usiadł, odłamał drzewce kilka cali od rany, wstał i ruszyli dalej. Zatrzymali się na szczycie wzniesienia i spojrzeli za siebie. Jumowie zniknęli z wydmy i widać było tylko dym unoszący się ciemną smugą spomiędzy nadrzecznych skał. Na zachodzie rozpościerała się kraina pofałdowanych piaszczystych pagórków, wśród których człowiek mógł się zaciać w ukryciu, ale

nie było tam żadnego miejsca osłoniętego przed słońcem i jedynie wiatr mógłby zatrzeć ślady.

Możesz iść?, spytał Toadvine.

A co innego pozostaje?

Dużo masz wody?

Mało.

Co chcesz robić?

Nie wiem.

Można by cofnąć się nad rzekę i przywarować, zaproponował Toadvine.

A co potem?

Znów spojrział w kierunku fortu, a potem na ułamaną strzałę w nodze dzieciaka i płynącą krew. Chcesz to spróbować wyciągnąć?

Nie.

To co chcesz?

Iść.

Skorygowali kurs i ruszyli szlakiem taborów, wędrowali przez całe długie przedpołudnie, popołudnie i wieczór. O zmierzchu wypili resztkę wody i brnęli dalej pod obracającym się z wolna kołem gwiazd, potem zasnęli, dygocząc wśród wydm, o świcie podnieśli się i znowu ruszyli. Ranna noga zeszczywniała i dzieciak utykał w tyle, podpierając się kawałkiem dyszla jak kosturem, i dwa razy powiedział Toadvine'owi, żeby go zostawił, ale on nie chciał.

Zobaczyli ich, jak się zbierają od wschodu na uskoku drżącego horyzontu niczym nędzne marionetki. Byli pieszo i wydawało się, że biegną truchtem. Nie upłynęła godzina, gdy zaczęły szyc z łuków.

Dwaj uciekinierzy szli dalej, dzieciak z wyjętym rewolwem, obaj odskakiwali i uchylali się przed strzałami, które ze świstem sypały się ze słońca, błyszcząc na całej długości na tle jasnego nieba, potem mały w skróconej perspektywie i wreszcie zastygły w ziemi. Ułamywali w marszu drzewce, żeby nie mogły być ponownie użyte, i wlekli się na ukos przez wydmy jak kraby, aż wreszcie strzały zaczęły padać tak gęsto i blisko, że musieli się zatrzymać. Dzieciak wyciągnął się na ziemi, wsparty na łokciach, napiął kurek i wycelował z rewolweru. Jumowie znajdowali się w odległości stu jardów. Wzniesli okrzyk. Toadvine przykleknął obok. Broń szarpnęła do tyłu, szary dym zawisł nieruchomo w powietrzu i jeden z dzikich zniknął z oczu jak aktor w scenicznej zapadni. Dzieciak znów odciągnął kurek, ale Toadvine położył dłoń na lufie, więc spojrzął na niego, zluźował mechanizm, usiadł i załadował pustą komorę, dźwignął się, wziął kostur i ruszyli dalej. Z tyłu na równinie słyszeli ciche nawoływania tubylców, którzy zbiegli się dokoła zastrzelonego pobratymca.

Pomalowana horda podążała ich śladem cały dzień. Nie pili wody od dwudziestu czterech godzin, jałowy fresk piachu i nieba zaczął drżeć i pływać i raz po raz nadlatywały ku nim ukosnie strzały, niczym kępy zmutowanych roślin pustynnych pniących się gniewnie w powietrzu. Nie ustawali. Kiedy dotarli do studni w Alamo Mucho, słońce z przodu wisiało już nisko, a na krawędzi zbiornika siedziała jakaś postać. Wstała i zastygła w drżącej soczewce świata, potem wyciągnęła rękę, czy w geście powitania, czy przestrogi, tego nie wiedzieli. Kuśtykali dalej,

osłaniając oczy, a postać przy studni zawołała. Był to eksksiądz Tobin.

Sam, bez broni.

Ilu was?, spytał.

Ilu widać, odparł Toadvine.

Wszyscy padli? Glanton? Sędzia?

Nie odpowiedzieli. Zsunęli się na dno studni, gdzie było kilka cali wody, uklękli i zaczęli pić.

Dziura, w której zbudowano studnię, miała może kilkanaście stóp średnicy, więc zajęli pozycje wokół pochyłych ścian krateru i patrzyli, a Indianie rozbiegli się po równinie, sadząc w oddali powolne susy. Potem skupili się w kilku strategicznych miejscach i zaczęli strzelać do uciekinierów, a Amerykanie ostrzegali się krzykiem przed nadlatującymi strzałami jak oficerowie artylerii, leżąc na odsłoniętej skarpie i obserwując znad studni napastników, z dłońmi rozczapierzonymi po bokach, z nogami ugiętymi w kolanach, gotowi do skoku jak koty. Dzieciak całkowicie wstrzymał ogień i wkrótce od zachodniej strony, którą faworyzowało słońce, zaczęli się zbliżać dzicy.

Dokoła studni piętrzyły się kopce piasku ze starych drążen i Jumowie najwyraźniej chcieli do nich dotrzeć. Dzieciak doczołgał się więc ze swojego stanowiska na zachodni kraniec wykopów i zaczął strzelać do Indian, stojących i siedzących w kucki jak wilki na drżącej równinie. Eksksiądz ukląkł obok niego i kapeluszem osłonił muszkę od słońca, a dzieciak pociągał za spust na skraju wykopów, trzymając broń oburącz. Po drugim strzale jeden z dzikich upadł i leżał nieruchomo na ziemi.

Następny, trafiony, zakręcił się wokół własnej osi, usiadł, wstał, zrobił kilka kroków i znów usiadł. Eksksjędz szeptał słowa zachęty przy łokciu dzieciaka, a gdy ten znów napiął kciukiem kurek, Tobin przesunął trochę kapelusz, żeby wspólnym cieniem objąć muszkę i oko strzelca, a wtedy znów padł strzał, który dobił siedzącego na ziemi rannego Indianina. Eksksjędz zagwizdał cicho.

Ejże, bystryś. Ale podstępnie sobie poczynają, aż odwagi brakuje.

Jumowie wydawali się sparaliżowani stratami. Dzieciak ponownie odciągnął kurek i zastrzelił kolejnego, więc w końcu się zbiegli i zaczęli wycofywać, niosąc poległych, wypuszczając grad strzał, wykrzykując krwawe klątwy w swej przedpotopowej mowie albo wzywając tych bogów wojny lub dobrej fortuny, u których mieli posłuch; uciekali po równinie, aż całkiem zmaleli.

Z prochownicą i ładownicą na ramieniu dzieciak zsunął się na dno studni i starą łopatą wykopał tam drugi mały dół, a potem w wodzie, która przesączyla się z ziemi, umył komory bębenka i lufę rewolweru, wpychając do środka na patyku kawałek swojej koszuli. Gdy wszystko wyczyścił, poskładał z powrotem broń, stukając w złącza, aż bębenek został zamocowany, po czym położył rewolwer na piasku, by wysechł.

Toadvine okrążył wykopy, podszedł do eksksjędza, położył się obok i w popołudniowym słońcu obserwowali wycofujących się Indian, których sylwetki drżały w powietrzu nagrzanym od ziemi.

Ma cela, nie?

Tobin skinął głową i zajął do studni. Dzieciak ładował rewolwer, obracając bębenek, żeby dosypać odmierzanego na oko prochu i osadzić w komorach kule ogonkami do dołu.

Jak stoicie z amunicją?

Kiepsko. Mamy trochę ołowiu, niedużo.

Eksksiądz skinął głową. Nadchodził wieczór, a na czerwonej ziemi od zachodu na tle słońca zbierali się Jumowie.

Przez całą noc na ciemnym obwodzie planety płonęły ognie, a dzieciak odpiął lufę od rewolweru i używając jej jako lunety, obszedł teren po ciepłym piachu i obserwował ognie, wypatrując ruchu. Trudno o bardziej jałowe pustkowia na świecie i choć niektóre stworzenia nie wołają po nocy, teraz jedno wołało i słuchali własnego oddechu w mroku i zimnie, słuchali skurczów krwistoczerwonego serca tłukącego się w piersi. Kiedy nastał dzień, ognie dogasły, z równiny wznosiły się w trzech różnych punktach kompasu wiotkie smugi dymu, a wróg zniknął. Od wschodu zbliżała się ku nim po suchej ziemi duża postać w towarzystwie mniejszej. Toadvine i eksksiądz patrzyli.

Dojrzyś, co to?

Tobin pokręcił głową.

Toadvine zwinął dłoń i gwizdnął przenikliwie na dzieciaka. Ten usiadł z rewolwerem w dłoni. Wgramolił się ze sztywną nogą na stok. Leżeli we trzech i patrzyli.

Był to sędzia z półgłówkiem. Nadzy, szli o świecie po pustyni jak istoty, których egzystencja ledwo styka się ze światem

wokół, ich sylwetki wyraziście żywe, to znów przygaszone w tym samym osobliwym świetle. Jak rzeczy, których sama zapowiedź naznacza zagadkowością. Jak rzeczy tak pełne znaczenia, że ich forma się zaciera. Trzej mężczyźni przy studni obserwowali w milczeniu tę wędrówkę z rodzącego się dnia i choć nie było już wątpliwości, kto się do nich zbliża, nie chcieli tego nazwać. Wlekli się dalej, sędzia bladnoróżowy pod warstwą miążskiego kurzu jak noworodek, półgłówek znacznie ciemniejszy, przemierzali razem równinę niczym jakiś odarty z szat błazeński król i jego trefniś, wygnani na najdalsze kresy ziemi, by tam razem pomrzeć.

Podróżujący po pustyniach rzeczywiście napotykają stworzenia wymykające się wszelkiemu opisowi. Gapie przy studni wstali, aby lepiej widzieć nadejście tamtych dwóch. Półgłówek sadził susy, żeby dotrzymać kroku sędziemu. Sędzia miał perukę z wyschniętego rzeczno błota, z której sterczały kawałki słomy i trawy, a głowę idioty przykrywał kawał futra, z wierzchu poczerniały od krwi. Sędzia niósł w rękę mały płócienny tornister i obwieszony był mięsem, przypominając średnio-wiecznego pokutnika. Wdrapał się na wykop i skinął im głową na powitanie, po czym zsunął się z półgłówkiem do studni, żeby się napić.

Tenże idiota, którego trzeba było karmić ręką. Ukląkł obok sędziego i zaczął głośno chleptać zimną wodę. Podniósł ciemne oczy larwy na trzech mężczyzn przycupniętych u góry na skraju dołu, a potem pochylił się i wypił więcej.

Sędzia zrzucił z siebie bandolierę szerniałego mięsa, a jego białą skórę pokrywały różowe smugi w podobny do nich deseń. Sięgnął po małą glinianą czarke i polał wodą spaloną, obłażącą z naskórka głowę i twarz, napił się znowu, wreszcie usiadł. Podniósł wzrok na towarzyszy. Miał spierzchnięte usta i spuchnięty język.

Ej, Louis, odezwał się. Co chcesz za ten kapelusz?

Toadvine splunął. Nie jest na sprzedaż.

Wszystko jest na sprzedaż. Co chcesz?

Spojrzał niepewnie na eksksjędza. A potem w głąb studni. Muszę mieć swój kapelusz, odpowiedział.

Co chcesz?

Toadvine wskazał podbródkiem pasy mięsa. Pewnikiem zamieniłbyś się na trochę tego ścierwa?

W żadnym razie, odrzekł sędzia. To jest dla wszystkich. No to ile za kapelusz?

A ile byś dał?, spytał Toadvine.

Sędzia wpatrywał się w niego. Dam ci sto dolarów, rzekł.

Nikt się nie odezwał. Wydawało się, że siedzący w kucki półgłówek także czeka na wynik tej rozmowy. Toadvine zdjął kapelusz i popatrzył na niego. Cienkie czarne włosy oblepiały mu głowę po bokach. Nie będzie ci pasował, powiedział.

Sędzia przytoczył jakiś łaciński cytat i się uśmiechnął. Nie troszcz się o to, odparł.

Toadvine włożył z powrotem kapelusz i go poprawił. Zgaduję, że dolary masz w tym tornistrze, powiedział.

Trafnie zgadujesz.

Toadvine spojrzał w stronę słońca.

Dam ci sto, dorzucę jeszcze ćwierć setki i nie będę pytał, skąd go masz, zachęcał sędzieza.

Karty na stół, odrzekł Toadvine.

Sędzieza rozpiął torbę, przechylił ją i wysypał zawartość na piasek. Był tam nóż i może z pół wiadra złotych monet wszelkiej wartości. Odłożył nóż, rozsunał pieniądze i podniósł wzrok.

Toadvine zdjął kapelusz. Zszedł na dół po pochyłości. Przyśiadł naprzeciw sędziego po drugiej stronie jego skarbów, a ten pchnął ku niemu obiecane monety, przesuwając je wierzchem dłoni jak krupier. Toadvine oddał kapelusz i zebrał pieniądze, a sędzieza wziął nóż, przeciął otok z tyłu, rozkroił rondo i główkę, po czym włożył kapelusz i spojrzał w górę na Tobina i dzieciaka.

Chodźcie, powiedział. Chodźcie, zjemy razem mięso.

Ani drgnęli. Toadvine już szarpał zębami trzymany oburącz kawałek. W studni było chłodno, poranne słońce oświetlało jedynie górną część cembrowiny. Sędzieza zgarnął pozostałe monety z powrotem do torby, odstawił ją na bok i pochylił się, żeby się napić. Półgłówek wpatrywał się w swoje odbicie, potem patrzył na pijącego sędziego, potem na uspokajającą się wodę. Sędzieza otarł twarz i spojrzał na sylwetki w górze.

Jak stoicie z bronią?, spytał.

Dzieciak przełożył już jedną nogę do środka, ale teraz ją cofnął. Tobin się nie poruszył. Patrzył na sędziego.

Mamy jeden rewolwer, Holden.

Mamy?

Ten chłopak tutaj.

Dzieciak się wyprostował. Tobin stanął obok niego.

Sędzia również podniósł się na dnie studni, poprawił kapelus i chwycił tornister pod pachę jak ogromny nagi adwokat, którego ta kraina doprowadziła do obłądu.

Zważ, co mu radzisz, księżu, powiedział. Jedziemy na tym samym wozie. Tamtejsze słońce jest jak źrenica Boga i wszyscy jednakowo się usmażymy na tej krzemiennej patelni, zapewniam cię.

Nie jestem księdzem i nie mam żadnej rady, odparł Tobin. Ten chłopak sam sobie rozkazuje.

Sędzia się uśmiechnął. W rzeczy samej, rzekł. Spojrzał na Toadvine'a, potem znów uśmiechnął się do eksksjędza. A zatem?, spytał. Czy mamy się wymieniać przy tej dziurze w ziemi jak wrogie stada małopłodów?

Tobin zerknął na dzieciaka. Stali twarzą w stronę słońca. Przykucnął, żeby sędzia w dole lepiej słyszał.

Myślisz, że jest gdzieś jakaś lista, na której spisuje się studnie na pustyni?

Och, księżu, znasz ten urząd znacznie lepiej niż ja. W tej kwestii nie mam żadnych roszczeń. Mówiłem już, prosty ze mnie człowiek. Wiesz, że zapraszam was, byście tu zeszli, napili się i napełnili manierkę.

Tobin się nie poruszył.

Dawaj manierkę, powiedział dzieciak. Wyjął rewolwer zza pasa, podał go eksksjędzu, wziął skórzany bukłak i zsunął się po ścianie.

Sędzia śledził go wzrokiem. Dzieciak obszedł dno studni, w której nie było ani skrawka miejsca poza zasięgiem rąk Holden'a. Ukląkł naprzeciwko półgłówka, odkorkował bukłak i zanurzył

go w wodzie. Patrzyli we dwóch, jak woda wlewa się do szyjki, patrzyli, jak pieni się i zastyga. Dzieciak zatkał bukłak, pochylił się i napił z kałuży, a potem wyprostował się i spojrzął na Toadvine'a.

Idziesz z nami?

Toadvine zerknął na sędziego. Nie wiem, odparł. Jest na mnie nakaz. Aresztują mnie w Kalifornii.

Aresztują?

Nie odpowiedział. Siedział na ziemi. Rozstawił trzy palce i wbił je przed sobą w piasek, potem podniósł dłoń, obrócił ją i znów wbił palce, aż powstało sześć otworów tworzących gwiazdę albo heksagon. Starł wzór i podniósł wzrok.

Chyba nie myślisz, że człowiek z własnej woli uciekłby z kraju aż tutaj?

Dzieciak wstał i zarzucił ramię bukłaka na ramię. Nogawkę miał czarną od krwi, a z uda sterczał czerwony kawałek strzały jak kołek do wieszania przedmiotów. Splunął, otarł usta wierzchem dłoni i spojrzął na Toadvine'a. Ty żeś nie uciekł z żadnego kraju, odparł. Przeszedł przez kałużę i zaczął się wspinać. Sędzia śledził go wzrokiem. Dzieciak wyszedł na słońce, odwrócił się i spojrzął. Zobaczył, że między nagimi udami sędziego trzyma otwarty tornister.

Pięćset dolarów, powiedział. Ale razem z prochem i ołowiem.

Eksksjusz stanął obok dzieciaka. Załatw go, syknął.

Dzieciak odebrał rewolwer, ale Tobin uczeplił się jego ramienia i dalej szeptał, a gdy dzieciak się wyrwał, przemówił głośniej, tak wielki ogarnął go strach.

Drugiej szansy nie dostaniesz, chłopaku. Zrób to. Jest goły. Bezbronny. Na krew Chrystusa, myślisz, że dasz mu radę w inny sposób? Zrób to, chłopcze. Zrób to z miłości do Boga. Zrób to, bo inaczej stracisz życie, przysięgam ci.

Sędzia uśmiechnął się i popukał palcem w skroń. Ksiądz, rzekł. Ksiądz za długo przebywał na słońcu. Siedemset pięćdziesiąt, to moja ostatnia oferta. Za tyle sprzedasz, a ja za tyle kupię.

Dzieciak wetknął rewolwer za pas. A potem, z nachalnym eksksiedzem u boku, okrążył krater i ruszyli razem równiną na zachód. Toadvine wspiął się na górę i patrzył za nimi. Po chwili nie było ich już widać.

Tego dnia nogi zanosły ich na rozległą mozaikową posadzkę z niewielkich bloków jaspisu, karnelianu i agatu, wielką na tysiąc akrów, gdzie w odstępach niewypełnionych fugą zawodził wiatr. Drogą przez ten teren nadjechał z zachodu na koniu David Brown, prowadząc drugie zwierzę. Luzak miał siodło i ogłowie. Dzieciak stanął z kciukami zahaczonymi o pas i patrzył, jak się zbliża, spoglądając na niedawnych towarzyszy.

Słyszeliśmy, żeś był w juzgado, odezwał się Tobin.

Byłem, odparł Brown. Ale już nie jestem. Zlustrował ich bacznie od stóp do głów. Zerknął na kawałek strzały sterczący z nogi dzieciaka i zajrzał eksksiedzu głęboko w oczy. Gdzie wasz ekwipunek?

Mamy to, co widzisz.

Skłóciliście się z Glantonem?

Glanton nie żyje.

Brown splunął gęstą białą śliną na środek ogromnej spękanej równi. W ustach trzymał mały kamyk, co pomagało powstrzymać pragnienie. Przesunął go w żuchwie i spojrzął na nich. Jurny, powiedział.

Tak, odparł eksksjadz.

Wszystkich wycieli?

Toadvine i sędzia siedzą w takiej jednej studni, o tam.

Sędzia, powtórzył Brown.

Konie patrzyły posepnie na oszalałą kamienną podłogę pod kopytami.

Reszta padła? Smith? Dorsey? Czarnuch?

Wszyscy, potwierdził Tobin.

Brown spojrzął przez pustynię na wschód. Jak daleko do studni?

Ruszyliśmy z godzinę po wschodzie słońca.

Ma broń?

Nie.

Brown wpatrywał się w ich twarze. Ksjadz nie kłamie, powiedział.

Milczeli. Siedział w siodle, dotykając palcem szkaplerza z wyschniętych uszu. Po chwili zawrócił konia i ruszył, prowadząc za sobą wierzchowca bez jeźdźca. Raz po raz oglądał się przez ramię. A potem przystanął.

Widzieliście trupa?, zawołał. Glantona.

Ja widziałem, odparł eksksjadz, bo tak właśnie było.

Pojechał, obrócony lekko w siodle, z karabinem na udzie. Obserwował dwóch wędrowców, a oni jego. Gdy sylwetka zmałała pośrodku równiny, odwrócili się i powlekli dalej.

* * *

Nazajutrz w południe natknęli się na porzucone przez karawany wyposażenie, zżute buty, kawałki uprząży, kości i wyschnięte ścierwa mułów z wciąż zapiętymi alparejas. Sunęli bladym półkolistym brzegiem pradawnego jeziora, gdzie połamane muszle leżały jak odłamki ceramiki, kruche i pokarbowane wśród piasków, a wczesnym wieczorem zesli z wydm i hałd nad potok Carrizo, nikłą strugę wody, która wyciekała spomiędzy kamieni i niknęła na pustyni. W tym miejscu skonało tysiące owiec, dwaj wędrowcy przeszli więc między pożółkłymi kośćmi i ścierwem, nadal porośniętym łatami skołtunionego runa, i uklękli, żeby się napić. Gdy dzieciak podniósł mokrą głowę znad strumyka, kula karabinowa przeszła jego odbicie w wodzie, a echo wystrzału zatrzeszczało między stokami zasłanymi bezlikiem gnatów, zadudniło po pustyni i przebrzmiało.

Określił się, rozplaszczony na brzuchu, i zaczął przesuwać w bok, lustrując widnokraj. Najpierw dojrzał konie, stojące nos w nos w prześwicie między wydmami od południowej strony. Potem zobaczył sędziego, w stroju połatanym z ubrań niedawnych towarzyszy. Trzymał karabin na sztorc za lufę i wsypywał proch do otworu. Nagi półgłówek w kapeluszu przycupnął na piachu u jego stóp.

Dzieciak przemknął na obniżony teren i padł plackiem, z rewolwerem w garści. Obok jego łokcia sączył się strumyk. Odwrócił się w poszukiwaniu eksksjędza, ale nie mógł go znaleźć. Za krzyżakami z gnatów, na osłonecznionym pagórku,

dojrzał Holdena i jego podopiecznego, podniósł więc rewolwer, osadził dłoń w zagłębieniu cuchnącej kości miedniczej i wypalił. Na stoku, za plecami sędziego, zobaczył fontannę piasku. Wtedy sędzia opuścił karabin i strzelił. Kula zagrzechotała wśród kości, po wydmach przetoczył się huk.

Leżał na ziemi, z sercem bijącym jak młot. Napiął kurek i uniósł głowę. Imbecyl siedział jak przedtem, a sędzia maszerował spokojnie po grzbiecie wydmy, patrząc dokoła na sterty kości w poszukiwaniu stanowiska strzeleckiego. Dzieciak znowu ruszył. Poczłogał się nad strumyk i zaczął pić, z rewolwerem i prochownicą w górze, wciągał wodę w usta. A potem umknął na drugą stronę w głąb wąskiej niecki między wydmami, podeptanej przez wilki. Wydawało mu się, że z lewej strony dobiegł go ściszony głos eksksiedza i słyszał szmer wody. Leżał, nasłuchując. Ustawił kurek w pozycji półnapiętej, obrócił bębenek i załadował pustą komorę, nałożył kapiszon, podniósł głowę i się rozejrzał. Niskie wzniesienie, z którego zaatakował sędzia, było teraz gołe, a od południa po piasku zbliżały się dwa konie. Dzieciak napiął kurek i patrzył. Szły swobodnie po jałowej ziemi, bodąc łbami powietrze i machając ogonami. A potem zobaczył półgłówkę gramolącego się za zwierzętami niczym przygłupi neolityczny pastuch. Po prawej stronie, spomiędzy wydm, wyrósł sędzia, zerknął i zniknął. Konie szły dalej, a z tyłu dobiegły szmery i gdy dzieciak się odwrócił, ujrzał eksksiedza szepczącego do niego z niecki.

Zastrzel go.

Obrócił się, wypatrując Holdena.

Głupca, zawołał Tobin chrapliwym półgłosem. Głupca zastrzel.

Uniósł broń. Konie przeszły jeden za drugim przez wyrwę w szpalerze pozólkłych kości, a imbecyl wdrapał się za nimi i przepadł. Dzieciak spojrział przez ramię, ale Tobin też zniknął. Ruszył w głąb niecki, aż dotarł ponownie nad strumyk, trochę zmacony przez pijące konie. Noga znów zaczęła krwawić, położył się więc i moczył ją w zimnej wodzie, a potem napił się, nabrał wody w garść i polał sobie kark. Wąsy krwi wypływające z rany przypominały w nurcie pijawki. Zerknął na słońce.

Witam, zawołał sędzia. Jego głos dobiegł od zachodu. Jakby odezwał się do nowych wędrowców, którzy dotarli nad strumień.

Dzieciak nasłuchiwał. Nie było nikogo nowego. Po chwili sędzia ponownie zawołał. Wyjdźcie. Przecież wody starczy dla wszystkich.

Zarzucił sobie prochownicę na plecy, żeby się nie zamoczyła, i trzymając rewolwer w powietrzu, czekał. W górze potoku konie przestały pić. A potem znów zaczęły.

Gdy przeczolgał się na drugi brzeg, natknął się na ślady ekskieszda, odciski jego rąk i stóp wśród tropów dzikich kotów, lisów i małych pustynnych świń. Dotarł do polanki na tym bezsensownym cmentarzysku i usiadł, nasłuchując. Skórzane ubranie było ciężkie i sztywne od wody, w nodze czuł rwący ból. W odległości stu stóp ukazał się nad kośćmi koński pysk ociekający wodą, po czym zniknął. Sędzia znów zawołał, a jego

głos rozległ się w całkiem innym miejscu. Namawiał do przyjaźni. Dzieciak patrzył na małą karawanę mrówek sunącą między łukami owczych żeber. Patrząc, natknął się wzrokiem na ślepią małej żmii, zwiniętej pod strzępem skóry. Otarł usta i znów ruszył. W ślepych zaułku ślady eksksiedza kończyły się i zawracały. Położył się i nasłuchiwał. Do zmroku pozostały długie godziny. Po chwili dobiegł go spośród kości bełkot półgłówka.

Słyszał wiatr nadciągający z pustyni i własny oddech. Kiedy podniósł głowę i wyrzał, zobaczył eksksiedza. Tobin szedł, potykając się o kości, a w rękach niósł krzyż sklecony z baranich goleni i związany kawałkami skóry. Trzymał go przed sobą na środku pustyni jak obłąkany różdżkarz i wołał w mowie obcej i zarazem wymarłej.

Dzieciak wstał, ściskając oburącz broń. Okręcił się gwałtownie. Zobaczył sędziego, znów w zupełnie innym miejscu, z karabinem przy ramieniu. Holden strzelił, a Tobin odwrócił się w stronę, z której przyszedł, i usiadł, wciąż trzymając krzyż. Holden odłożył karabin i chwycił drugi. Próbując uspokoić drżenie rąk, dzieciak wypalił i padł na piasek. Ciężka karabinowa kula przemknęła w górze jak asteroida, zagrzechotała i zastukała pośród kości rozsypanych na wzniesieniu. Uniósł się na kolana i wyrzał, ale sędzia zniknął. Załadował pustą komorę i znów zaczął się czołgać na łokciach do miejsca, gdzie widział upadającego Tobina, orientując się wedle słońca i zatrzymując od czasu do czasu, żeby nasłuchiwać. Ziemię pokrywały ślady

drapieżników, które ściągały z okolicy w poszukiwaniu padliny, a wiatr wciskający się między wydmy niósł kwaśny odór podobny do smrodu brudnej ścierki do naczyń, i tylko ten wiatr mącił ciszę.

Dzieciak znalazł Tobina nad strumykiem, gdy obmywał ranę kawałkiem szmaty oderwanej z koszuli. Kula przeszła mu szyję na wylot. O włos minęła tętnicę, ale i tak nie mógł zatamować krwi. Spojrzał na dzieciaka, przycupniętego pośród czaszek i żeber wskazujących niebo.

Musisz zabić konie, powiedział. Inaczej nie masz szans. Dopadnie cię.

Moglibyśmy je wziąć.

Nie bądź głupi, chłopaku. Czy ma na nas inną przynętę?

Możemy uciec, jak tylko się ściemni.

A co, nazajutrz dzień już nie wzejdzie?

Dzieciak patrzył na eksksiedza. Samo nie przestanie?, spytał.

Nie.

Co myślisz?

Muszę to zatrzymać.

Krew spływała Tobinowi między palcami.

Gdzie jest sędzia?, spytał dzieciak.

No właśnie, gdzie?

Jak go zabiję, będziemy mogli wziąć konie.

Nie zabijesz go. Nie bądź głupi. Zabij konie.

Dzieciak spojrział na płytki strumyk pośrodku pustyni.

No dawaj, chłopaku.

Popatrzył na eksksjędza i kleksy krwi skapujące powoli do wody, rozkwitające jak pąki róż i blednące. Ruszył w górę strumienia.

Dotarł tam, gdzie konie piły wcześniej wodę, ale już ich nie było. W miejscu, gdzie przeszły strumyk, ujrzał mokry wciąż piasek. Trzymał rewolwer przed sobą, opierając się na nasadach dłoni. Mimo ostrożności dopiero po długiej chwili zobaczył wpatzonego w niego półgłówka.

Imbecyl siedział nieruchomo w altance z kości, z poszatko-
wanym słońcem naklejonym na pustej twarzy. Patrzył jak dziki
leśny zwierz. Dzieciak spojrział na niego, a potem poczołgał się
dalej śladem koni. Luźna szyja obracała się powoli, z bezwład-
nej żuchwy ściekała ślina. Kiedy dzieciak zerknął przez ramię,
ten ciągle patrzył. Dłonie położył przed sobą na piachu i choć
twarz miał pozbawioną wyrazu, wyglądał jak stworzenie pogrą-
żone w wielkiej niedoli.

Konie stały na wzniesieniu nad potokiem i patrzyły na zachód. Leżał cicho, lustrując teren. A potem ruszył wzdłuż wody, usiadł zwrócony plecami do kościanych palików, napiął kurek i oparł łokcie na kolanach.

Dostrzegły, jak się zbliżał od strony strumyka, i teraz go obserwowały. Usłyszawszy szczęk odciąganej kurka, postawiły uszy i ruszyły w jego kierunku po piachu. Pierwszego trafił w pierś. Zwierzę runęło, oddychając ciężko i krwawiąc z nozdrzy. Drugi koń przystanął niepewnie, a gdy zaczął zawracać, dzieciak napiął kurek i strzelił. Ruszył truchtem pośród wydm, więc

dzieciak wypalił drugi raz, a wtedy pod koniem ugięły się przednie nogi, zwałił się do przodu i przewrócił na bok. Podniósł łeb, opuścił go i znieruchomiał.

Dzieciak nasłuchiwał. Pierwszy koń leżał tam, gdzie padł, a piasek dokoła jego łba ciemniał od krwi. Dym popłynął nad strumieniem i rozrzedzony zniknął. Dzieciak poczołgał się w dół potoku i przykucnął pod żebrami zdechłego muła, załadował rewolwer i znów ruszył w kierunku wody. Wybrał inną drogę niż przedtem, więc tym razem nie zobaczył półgłówka. Dotarwszy do strumienia, napił się, zmoczył nogę i znowu się położył, nasłuchując.

Rzuc ten rewolwer, powiedział sędzia.

Zmartwił.

Głos dobiegł z odległości niespełna pięćdziesięciu stóp.

Wiem, co zrobiłeś. Książd cię do tego nakłonił, więc potraktuję to jako okoliczność łagodzącą w ocenie twego czynu i intencji. Miałbym na to wzgląd w przypadku każdego człowieka i popełnionego przez niego przestępstwa. Ale jest jeszcze kwestia własności. Przynieś mi ten rewolwer.

Dzieciak leżał nieruchomo. Usłyszał, że sędzia brodzi w wodzie w górze strumienia. Leżał, licząc cicho pod nosem. Kiedy zmacona woda dopłynęła do miejsca, w którym się znajdował, przestał liczyć i wrzucił do niej wiązkę suchej trawy. Porwał ją nurt. Gdy odliczył tyle samo, prawie już znikła wśród kości. Wyczołgał się z potoku, spojrzął na słońce i ruszył w stronę miejsca, gdzie zostawił Tobina.

Tuż nad wodą znalazł wciąż mokre ślady eksksiędza i bryzgi krwi znaczące jego szlak. Szedł po piasku, aż dotarł tam, gdzie ksiądz się zadekował.

Załatwiłeś je, chłopaku?, zaczął szeptać.

Podniósł rękę.

A jakże, załatwiłeś, bo słyszałem strzały. Aż trzy. Głupca też?

Nie odpowiedział.

Dzielny chłopak z ciebie, ciągnął eksksiędz. Szyję obwiązał koszulą, więc był nagi do pasa i siedząc w kucki pomiędzy cuchnącymi palikami, zerkał na słońce. Na wydmach rozciągały się długie cienie, a w cieniach tych gnaty padłych tutaj zwierząt leżały w osobliwym niejasnym akcie spółkowania szkieletów na piasku. Zostały dwie godziny do zmroku i eksksiędz to powiedział. Leżeli pod sztywną jak deska skórą zdechłego wołu i słuchali nawoływań sędziego. Przedstawiał zagadnienia z zakresu prawoznawstwa, podając konkretne przykłady. Omawiał zasady regulujące prawo własności do oswojonych zwierząt, wskazywał przyczyny utraty tego prawa mające w jego opinii zastosowanie do sprawy skazanej krwi pierwszych, występnych właścicieli koni, które leżały teraz martwe wśród kości. A potem mówił o innych kwestiach. Eksksiędz nachylił się do dzieciaka.

Nie słuchaj go, powiedział.

Nie słucham.

Zatkaj uszy.

Sam sobie zatkaj.

Tobin zakrył uszy dłońmi i spojrzął na dzieciaka. Oczy mu błyszczały od utraty krwi i ogarnęło go wielkie poruszenie.

Zrób to, szepnął. Myślisz, że on mówi do mnie?

Dzieciak odwrócił się w drugą stronę. Wypatrzył słońce przycupnięte na zachodniej krawędzi pustkowia i już się nie odezwali aż do zmierzchu, a potem wstali i ruszyli w drogę.

Wyszli ukradkiem z dolinki, obrawszy kurs przez niskie wydmy, i po raz ostatni spojrzeli na nieckę, gdzie na wietrze na skraju wału migotał rozpalony przez sędziego ogień, widoczny ze wszystkich stron. Nie zamierzali się zastanawiać, czego użył jako opału, a gdy wzeszedł księżyc, zapuścili się już daleko na pustynię.

W krainie tej żyły wilki i szakale, które były przez pierwszą część nocy, póki nie ukazał się księżyc, kiedy to zamilkły, jakby zaskoczone jego widokiem. Ale potem znowu zawyły. Wędrowcy byli osłabieni wskutek ran. Kładli się, żeby odpocząć, lecz za każdym razem najpierw krótko lustrowali widnokrąg od wschodu na wypadek, gdyby zdążyła tamtędy jakaś postać. Dygotali od wiatru, który wiał po nagiej pustyni z jakiegoś bezbożnego, zimnego, jałowego zakątka, niosąc wieści o niczym. Z nastaniem dnia weszli na niewielkie wzniesienie pośrodku bezkresnej krainy i przykucnęli na sypkim łupku. Było zimno i ekskșiadz, w łachmanach i kołnierzu zakrzepłej krwi, obejmował się rękami. Zasnęli na tym małym pagórku, a kiedy się obudzili, był późny ranek i słońce już stało na niebie. Usiedli i się rozejrzeli. W połowie drogi zobaczyli zbliżające się sylwetki sędziego i głupca.

XXI

- TUŁACZKA PO PUSTYNI
- PO WŁASNYCH ŚLADACH
 - KRYJÓWKA
 - WIATR SPRZYMIERZENCEM
 - SĘDZIA WRACA
 - PRZEMOWA • LOS DIEGUEÑOS
 - SAN FELIPE • GOŚCINNOŚĆ DZIKUSÓW
 - W GÓRY • NIEDŹWIEDZIE • SAN DIEGO
 - MORZE

Dzieciak spojrział na Tobina, ale twarz eksksjędza niczego nie wyrażała. Był zobojeźniały i utrudzony, a nadchodzący wędrowcy najwyraźniej nie budzili w nim żadnych skojarzeń. Uniósł lekko głowę i odezwał się, nie patrząc na dzieciaka.

Idź, powiedział. Ratuj się.

Dzieciak wziął bukłak z ziemi, odkorkował, napił się i podsunął go Tobinowi. Ten łyknął wody, a potem siedzieli i patrzyli, wreszcie podnieśli się, odwrócili i ruszyli w drogę.

Wycieńczeni głodem i odniesionymi ranami, złachani, wlekli się dalej. W południe skończyła się woda. Usiedli i patrzyli na jałowe pustkowie. Z północy wiał wiatr. Czuli suchość w ustach. Pustynia, na której zostali uwięzieni, była pustynią absolutną, pozbawioną wszelkich cech, nie mieli więc czym odmierzać swojej wędrówki. Ziemia po obu stronach osuwała się identyczną arkaturą i w tych granicach byli zamknięci, i w tych granicach była ich siedliskiem. Podnieśli się i ruszyli dalej.

Niebo stało się świetliste. Nie widzieli żadnych śladów, którymi mogliby podążać, prócz szczątków wyposażenia pozostawionego przez wędrowców, równych w tym miejscu ludzkim kościom odsłoniętym z mogił w zaskorupiałych piaskach. Po południu teren z przodu zaczął się wznosić i wreszcie stanęli na szczycie niskiego eskera, odwrócili się i podobnie jak przedtem zobaczyli sędziego na równinie, w odległości dwóch mil. Ruszyli dalej.

Okolicę wodopojów na pustyni pokrywało nagromadzone ścierwo padłych zwierząt i teraz też tak było — jakby studni strzegła śmiertelnie niebezpieczna moc. Wędrowcy spojrzeli do tyłu. Sędzia zniknął za wzniesieniem. Przed nimi leżały zbiegłe deski wozu, a dalej sylwetka muła i wołu, ze skórą wyłysiałą i jak płótno gładką od nieustannego tarcia piasku.

Dzieciak wpatrywał się w to miejsce, a potem cofnął po własnych śladach około stu jardów, stanął i spojrzął na płytkie odciski swoich stóp. Wreszcie popatrzył na zasypany piaskiem stok eskera, z którego zeszli, ukląkł, przyłożył dłoń do ziemi i słuchał słabowitego szumu wiatru.

Kiedy podniósł dłoń, na ziemi pozostała cienka krawędź nawianego piasku. Patrzył, jak powoli znika.

Wrócił do eksksjędza. Ukląkł i patrzył na niego. Tobin przedstawiał nędzny widok.

Musimy się schować, powiedział.

Schować?

Tak.

A niby gdzie?

Tu. Musimy się tu schować.
Tu się nie da, chłopaku.
Da się.
Myślisz, że on nie umie iść po śladach?
Wiatr rozdmuchuje ślady. Na stoku już nic nie ma.
Nie ma?
Nie ma. Ani jednego śladu.
Eksksjędz pokręcił głową.
No dawaj, ruszmy się, ponaglił dzieciak.
Nie da rady się schować.
Wstawaj.
Tobin znowu pokręcił głową. Oj, chłopaku, westchnął.
Wstawaj.
Jak chcesz, to idź. No idź. Machnął ręką.
On jest nikim, powiedział dzieciak. Sam tak mówiłeś. Że ludzie zrobieni są z ziemi i prochu. Mówiłeś, że to nie żadna para., para...
Parabola.
Parabola. Że to czysty fakt i że sędzia to taki sam człowiek jak inni.
No to się z nim zmierz, odparł eksksjędz. Zmierz się z nim, skoro tak.
Jasne, on z karabinem, a ja z rewolwerem. On z dwoma karabinami. Chodźże.
Tobin podniósł się z ziemi i stanął na chwiejnych nogach. Oparł się na dzieciaku. Ruszyli, zbaczając z zawianego już szlaku i mijając wóz.
Przeszli obok pierwszej sterty kości i dotarli do miejsca, gdzie leżała para zdechłych mułów. Tam dzieciak ukląkł i zaczął

deską kopać kryjówkę, przez cały czas wpatrując się w widnokrąg na wschodzie. Potem wyciągnął się plackiem pod osłoną kwaśnych kości, niczym padlinożerca z pełnym brzuchem, i czekał, aż sędzia nadejdzie i powlecze się dalej, jeśli powlec się dalej zamierzał.

Nie czekali długo. Ukazał się na wzniesieniu i zatrzymał na moment, po czym ruszył w dół w asyście swego śliniącego się giermka. Przed nimi rozciągał się zasypany piaskiem pofałdowany teren i choć ze szczytu dokładnie widać było całą okolicę, sędzia nie zlustrował jej i nie wydawał się przejęty, że dwaj uciekinierzy zniknęli z pola widzenia. Zszedł pochyłością na płaski teren, a idiota dreptał z przodu na skórzanej smyczy. Holden niósł dwa karabiny, które należały do Browna, a na piersi powiesił na krzyż dwie manierki, do tego miał róg i prochownicę, swój tornister i płócienny plecak, który najpewniej także odebrał Brownowi. Co dziwniejsze, trzymał parasolkę zrobioną ze zgniętych strzępów skóry, rozpiętych na szkielecie z żeber związanych strzępami mięsa. Za rączkę służyła przednia noga jakiegoś zwierzęcia i wydawało się, że ciało sędziego okrywa zaledwie chmura konfetti, tak podziurawione było jego ubranie, by pomieścić całą posturę. Niosący przed sobą tę ohydną parasolkę, z półgłówkiem w obroży szarpiącym za smycz, przypominał jakiegoś zdegenerowanego objazdowego uzdrowiciela, który uciekł przed gniewem publiczności plądrującej jego tabor.

Szli przez płaski teren, a rozciągnięty na ziemi dzieciak obserwował ich zza żeber martwych mułów. Widział ślady swoje

i Tobina, ciągnące się po piasku, niewyraźne i już przysypane, ale jednak wciąż ślady, i patrzył na sędziego, i patrzył na ślady, słuchając piasku sunącego po pustyni. Sędzia oddalił się może na sto jardów, gdy nagle przystanął i wbił wzrok w ziemię. Idiotą przycupnął na czworakach, naprężając smycz niczym bezwłosy lemur. Kiwał głową i pociągał nosem, jakby służył mu do tropienia. Zgubił kapelusz albo może sędzia mu go odebrał. Na nogach miał dziwne łapcie, wycięte z kawałka surowej skóry i przywiązane do podeszew wiązkami konopi uratowanymi z jakiegoś pustynnego wraku. Szarpał się na smyczy i stękał, zwieszając przed sobą zgięte ręce. Kiedy przeszli obok wozu i ruszyli dalej, dzieciak wiedział, że minęli już miejsce, w którym on i Tobin zbroczyli ze szlaku. Spojrzał na ślady. Słabo widoczne odciski stóp ciągnęły się wstecz i nikły. Eksksjadz chwycił go za ramię i syknął, wskazując sędziego, a wiatr szeleścił strzępami skóry na padlinie. Sędzia i imbecyl powędrowali dalej przez pustynię i zniknęli z oczu.

Leżeli bez słowa. Eksksjadz uniósł się i zerknął, a potem popatrzył na dzieciaka. Ten zluzował kurek rewolweru.

Drugiej takiej szansy mieć nie będziesz.

Wetknął broń za pas, dźwignął się na kolana i rozejrzał.

I co teraz?

Dzieciak nie odpowiedział.

Będzie czekał przy następnej studni.

Niech czeka.

Możemy wrócić nad potok.

I co potem?

Poczekamy, aż ktoś będzie przejeżdżał.

Skąd przejeżdżał? Promu już nie ma.

Nad potok przychodzą zwierzęta.

Tobin patrzył w dal zza osłony z kości i skóry. Gdy dzieciak nie odpowiedział, podniósł głowę. Moglibyśmy tam iść, rzekł.

Mam cztery kule.

Dzieciak wstał, żeby rozejrzeć się po królestwie padlinożerców, a Tobin też się podniósł i patrzył razem z nim. Zobaczyli wracającego sędziego.

Zaklął i padł na ziemię. Ekskskiądz przykucnął. Zsunęli się w zagłębienie i z brodami w piachu leżeli jak jaszczurki, i znów patrzyli na idącego Holdena.

Z idiotą na smyczy, ekwipunkiem i parasolką kiwającą się od wiatru jak wielki czarny kwiat minął szczątki wozu i znów wszedł na stok piaszczystego eskera. Na szczycie odwrócił się, a imbecyl przykucnął u jego nóg. Opuścił ku niemu parasolkę i przemówił do okolicy.

To ksiądz cię do tego przywiódł, chłopcze. Wiem, że sam byś się nie schował. Wiem też, że nie masz serca pospolitego zabójcy. Dwukrotnie tego dnia przeszedłem przed twoim celownikiem i przejdę po raz trzeci. Czemu się nie ujawnisz?

Marny z ciebie zamachowiec, zawołał sędzia. I marny bojownik. W tkance twego serca jest skaza. Myślisz, że o tym nie wiem? Ty jeden byłeś zbuntowany. Ty jeden zachowałeś łagodność dla pogan w zakamarku swej duszy.

Imbecyl wstał, uniósł ręce do twarzy, zaskomlał dziko i usiadł.

Myślisz, że zabiłem Browna i Toadvine'a? Żyją, tak samo jak ty i ja. Żyją, są w potrzasku następstw dokonanych przez siebie wyborów. Rozumiesz? Spytaj księdza. Ksiądz wie. Ksiądz nie kłamie.

Sędzia podniósł parasolkę i poprawił tobołki. Być może, zawołał, być może widziałeś to miejsce we śnie. I widziałeś, że tu umrzesz. Zszedł z eskera i kolejny raz minął skupisko kości, prowadzony przez głupca w obroży, aż ich rozrzedzone sylwetki zaczęły drżeć w falach gorącego powietrza, a potem znikły bez śladu.

* * *

Umarliby, gdyby nie znaleźli ich Indianie. Przez wczesną część nocy mieli Syriusza po lewej stronie na widnokręgu od południowego zachodu, Wieloryb nurkował w otchłani, a Orion obracał się z Betelgezą nad ich głowami. Spali, skuleni i zziębnięci w ciemności na równinie, a gdy się obudzili, niebo całkiem się odmieniło i znikły gwiazdy, wedle których się kierowali, jakby sen trwał przez kilka pór roku. W świetle kasztanowego świtu zobaczyli na wzniesieniu od północy półnagich dzikusów, przycupniętych i stojących w rzędzie. Dźwignęli się i ruszyli, a ich długie, wąskie cienie skradały się komicznie na cienkich owadzich nogach. Zarysy gór na zachodzie zatarły się w brzasku. Tubylcy ruszyli piaszczystym szczytem. Po chwili eksksiądz usiadł, a dzieciak stanął nad nim z rewolwerem, dzicy

zaś zesli z wydm i niczym wymalowane duszki zbliżyli się skokami przez płaski teren.

Byli to Diegueños. Uzbrojeni w krótkie łuki, zgromadzili się wokół dwóch wędrowców, przyklękli i dali im wodę z tykwy. Widzieli już wcześniej podobnych tułaczy, cierpiących jeszcze bardziej. Wiedli rozpaczliwie nędzne życie na tej ziemi, wiedzieli więc, że tylko jakaś nieprzejednana dążność może przywieść człowieka do takiego stanu, i każdego dnia czekali, aby to coś wylęzło się ze swej straszliwej kryjówki w domu słońca i stanęło do boju na krawędzi wschodniego świata, a czekali z osobliwą niewzruszonością, bo obojętne, czy byłyby to armie, pomór, zaraza, czy coś jeszcze bardziej niepojętego.

Zaprowadzili uciekinierów do swego obozu w San Felipe, skupiska prymitywnych chat z trzciny, służących za dom brudnym i wynędzniałym istotom ubranym przeważnie w bawełniane koszule wędrowców napotkanych w okolicy, w koszule i nic więcej. Przynieśli gorącą potrawkę z jaszczurek i szczuroskoczków w glinianych miskach i jakby pinole z wysuszonych startych pasikoników, przykucnęli dokoła i patrzyli z wielką powagą, jak ci dwaj jedzą.

Jeden wyciągnął rękę, dotknął rękojeści rewolweru za pasem dzieciaka i cofnął dłoń.

Pistola, powiedział.

Dzieciak jadł.

Dzicy pokiwali głowami.

Quiero mirar su pistola?, spytał mężczyzna.

Dzieciak nie odpowiedział. Kiedy Indianin ponownie wyciągnął rękę, chwycił ją i odsunął. Gdy ją puścił, mężczyzna znowu wyciągnął dłoń, a dzieciak znowu ją odepchnął.

Indianin wyszczerzył zęby w uśmiechu. Sięgnął po raz trzeci. Dzieciak postawił miskę między nogami, wyjął rewolwer, odciągnął kurek i przytknął mężczyźnie lufę do czoła.

Siedzieli nieruchomo. Pozostali patrzyli. Po chwili dzieciak opuścił broń, zlizował kurek, wetknął rewolwer za pas, wziął miskę i zaczął jeść. Mężczyzna wskazał rewolwer i odezwał się do swoich, a ci pokiwali głowami. Siedzieli dalej jak przedtem.

Qué pasó con ustedés?

Dzieciak obserwował znad miski mężczyznę ciemnymi pustymi oczami.

Indianin spojrzał na eksksiędza.

Qué pasó con ustedés?

Tobin, w czarnej koloratce z zakrzepłej krwi, odwrócił się całym tułowiem i popatrzył na tego, który przemówił. Potem zerknął na dzieciaka. Ten jadł rękoma i teraz oblizwał palce, i wytarł je o nogawkę brudnych spodni.

Las Yumas, powiedział.

Westchnęli donośnie i zaklaskali językami.

Son muy malos, rzekł gaduła.

Claro.

No tiene compañeros?

Dzieciak i eksksiędz zerknęli na siebie.

Sí, odparł pierwszy. Muchos. Machnął ręką na wschód. Llegaran. Muchos compañeros.

Indianie przyjęli te wieści z kamiennym spokojem. Kobieta przyniosła więcej pinole, ale zbyt długo obywali się bez jedzenia, żeby mieć duży apetyt, więc przegonili ją machnięciem ręki.

Po południu wykąпали się w strumieniu i zasnęli na ziemi. Kiedy się obudzili, zobaczyli, że przygląda im się grupka dzieci i kilka psów. Idąc przez obóz, zobaczyli Indian siedzących na skalnej półce, wpatrzonych niezmordowanie w krainę na wschodzie w oczekiwaniu na to, co może się tam ukazać. Nikt słowem nie wspomniał o sędzim, a oni nie pytali. Dzieci i psy odprowadziły ich aż za obóz. Obrali szlak wiodący na niskie wzgórza na zachodzie, dokąd już zmierzało słońce.

Nazajutrz późną porą dotarli do Warner's Ranch, gdzie podreperowali siły w tamtejszych gorących źródłach siarczanych. Wokół nie było nikogo. Ruszyli dalej. Na zachodzie rozpościerała się pofałdowana trawiasta kraina, dalej, aż na wybrzeże, ciągnęły się góry. Tej nocy zasnęli wśród karłowatych cedrów, a rankiem trawa była zmarznięta i słyszeli nawoływania ptactwa, brzmiące jak zaklęcia przeciw posępnym brzegom pustki, z której się wyłonili.

Przez cały dzień pięli się przez leśne wyżyny porośnięte juką krótkolistną i obramowane nagimi granitowymi ostańcami. Wieczorem nad przełęczą przefrunęły stada orłów, a na trawiastych tarasach zobaczyli niezdarne sylwetki niedźwiedzi grizly, przypominające bydło wypasane na górskich halach.

W załomach skalnych półek leżały płyty śniegu i również w nocy spadło go trochę. Kiedy skostniali wyruszyli o świcie, po stokach przetaczały się rafy mgły, a na świeżym śniegu zobaczyli tropy niedźwiedzi, które zeszyły z wysokości, żeby tuż przed brzaskiem węszyć za zwierzyną.

Tego dnia nie było słońca, jedynie bladość we mgle, całą krainę pobieliała szadz, a zarośla przypominały izomery polarne o swoistych kształtach. Dzikie barany skakały jak duchy w górę skalistych jarów, a wirujący wiatr spadał zimny i szary ze śnieżnych wierzchołków, z dymiącej krainy skłębionych mgieł, napierających przez rozstępy, jakby świat w górze stał w ogniu. Coraz mniej ze sobą rozmawiali, aż wreszcie zamilkli na dobre, jak to się często dzieje z wędrowcami, którzy zbliżają się do kresu podróży. Pili wodę z zimnych górskich strumieni i obmywali rany, upolowali młodą łanię przy źródle, zjedli tyle, ile dali radę, resztę mięsa pocięli na cienkie płyty, uwędzili i zabrali ze sobą. Wprawdzie nie widzieli więcej niedźwiedzi, ale dostrzegli ślady ich bytności, oddalili się zatem stokiem o dobrą milę od miejsca, w którym oprawili łanię, i dopiero wtedy ułożyli się na noc. Rankiem przebyli skupisko głazów na wrzosowisku, przypominających skamieniałe jaja jakiegoś przedwiecznego nietota. Szli wzdłuż linii cienia pod górą, trzymając się słonecznej strony dla ciepła, a po południu pierwszy raz zobaczyli morze, hen w dole, niebieskie i pogodne pod chmurami.

Szlak ciągnął się przez niskie wzgórza i łączył z trasą wozów, i podążali tam, gdzie zablokowane koła wpadały w poślizg,

a żelazne obręcze rysowały powierzchnię skał, morze w dole pociemniało aż po czerń, słońce spadło, kraina dookoła stała się niebieska i zimna. Spali pod porośniętym drzewami nawisem, przy akompaniamencie sówich pohukiwań i wśród zapachu jałowca, a w bezdennej nocy roily się gwiazdy.

Nazajutrz wieczorem dotarli do San Diego. Eksksjadz oddalił się, żeby poszukać dla nich lekarza, a dzieciak ruszył dalej prymitywnymi uliczkami z błota, mijając rzędy chat ze skór, i przez pas żwiru dotarł na plażę.

Nad wodą leżały gumowatym pokotem luźne wąsy wodorostów bursztynowego koloru. Martwa foka. Za zatoką fragment rafy w formie cienkiej linii, jak coś, co położono tam, by morze połamało sobie na tym zęby. Przykucnął na piasku i popatrzył w słońce na kutej tafli wody. W oddali obłoki jak wyspy osadzone na otwartym łososiowym morzu. Sylwetki morskich ptaków. Z boku dobiegało głuche dudnienie fal. Stał tam koń zaparty w ciemniejące tonie i żreback, który bryknął, odbiegł i wrócił.

Dzieciak siedział i patrzył, a słońce z sykiem zanurzyło się w odmętach. Klacz rysowała się ciemno na tle nieba. W mroku huczały fale, czarna skóra oceanu marszczyła się w wybrukowanej poświacie gwiazd, a długie blade bałwany gnały susami z głębi nocy i rozbijały się o brzeg.

Wstał i odwrócił się ku światłom miasta. Między ciemnymi skałami, gdzie pełzały fosforyzujące kraby, jarzyły się jak piece hutnicze kałuże przyplýwu.

Idąc przez słoną trawę, obejrzał się do tyłu. Koń ani drgnął. Pośród fal zamigotało światło statku. Żrebak stał z opuszczonym łbem obok klaczy, a ona patrzyła hen w dal poza ludzkim pojmowaniem, tam gdzie toną gwiazdy, a wieloryby taszcą swe ogromne dusze przez jednorodne czarne morze.

XXII

- ARESztOWANY • SĘDZIA SKŁADA WIZYTE
- OSKARŻENIE • ŻOŁNIERZ, KSIĄDZ, URZĘDNIK MIEJSKI
 - NA WŁASNĄ RĘKĘ • U CHIRURGA
 - USUNIĘCIE STRZAŁY • DELIRIUM
- PODRÓŻ DO LOS ANGELES • PUBLICZNA EGZEKUCJA
 - LOS AHORCADOS • POSZUKIWANIA EKSKSIĘDZA
 - JESZCZE JEDEN GŁUPIEC • SZKAPLERZ
 - DO SACRAMENTO • NA ZACHODZIE
 - ODEJŚCIE Z ODDZIAŁU • POKUTNICY
 - KARAWAN • KOLEJNA MASAKRA
 - STAROWINA WŚRÓD SKAŁ

W drodze powrotnej, mijając ulicami okna rozświetlone pomarańczowym blaskiem i ujadające psy, natknął się na oddział żołnierzy, ale w mroku wzięli go za starszego człowieka i przeszli obok. Zajrzał do gospody i usiadł w ciemnym kącie, przypatrując się gromadkom mężczyzn przy stołach. Nikt go nie spytał, czego szuka w tym miejscu. Wydawało się, że czeka na kogoś, a po pewnym czasie weszło czterech żołnierzy i został aresztowany. Nawet go nie pytali o nazwisko.

W celi zaczął mówić z osobliwym przejęciem o tym, czego niewielu ludzi w życiu doświadczyło, współwięźniowie uznali więc, że pomieszało mu się we łbie od krwawych zbrodni, w których brał udział. Pewnego ranka obudził się i zobaczył sędziego stojącego przy kracie, z kapeluszem w rękę. Uśmiechał się do niego. Ubrany był w garnitur z szarego płótna i nowe wyglansowane buty. Spod rozpiętej marynarki wyglądała kamizelka z broszą i łańcuszkiem od zegarka, a przy pasku miał

skórzaną kaburkę, w której trzymał posrebrzany pistolecik z rękojeścią z palisandru. Spojrzał w głąb korytarza w prymitywnym budynku z błota, włożył kapelusz i znów się uśmiechnął do więźnia.

No cóż, odezwał się. Jak się miewasz?

Dzieciak milczał.

Chcieli, żebym im powiedział, czy od początku byłeś szalony. Mówią, że to przez ten kraj. Że to ten kraj tak odmienia ludzi.

Gdzie Tobin?

Powiedziałem im, że mój kretyn to szacowny doktor nauk teologicznych, wypuszczony z Harvardu ledwie w marcu tego roku. I że zdrowy rozsądek zachowywał jeszcze w górach Aquarius. Dopiero dalej kraina odebrała mu rozum. Razem z ubraniem.

A Toadvine i Brown? Gdzie oni?

Na pustyni, tam, gdzie ich zostawiliście. Co za okrutny postępek. A przecież to twoi towarzysze broni. Sędzia pokręcił głową.

Co chcą ze mną zrobić?

Wydaje mi się, że zamierzają cię powiesić.

Coś im powiedział?

Prawdę. Że to ty ponosisz odpowiedzialność. Nie znają wszystkich szczegółów, rozumieją jednak, że to nikt inny jak ty nadałeś wydarzeniom ten katastrofalny bieg. Czego następstwem okazała się masakra u brodu dokonana przez dzikusów, z którymi byłeś w zмовie. Twoje środki i cele nie są w tej chwili najistotniejsze. Szkoda czasu na czcze rozważania. I choć zamysł swego zbrodniczego planu zabierzesz ze sobą do grobu, będzie on znany Stwórcy w całej swej haniebnej rozciągłości,

a zatem znany będzie też ostatniemu z ludzi. Gdy dopełni się czas.

To ty jesteś szalony, odparł dzieciak.

Sędzia się uśmiechnął. Nie, odparł. Ja nigdy nie byłem szalony. Ale po co kryć się w cieniu? Chodź tutaj, to będziemy mogli porozmawiać. Ty i ja.

Dzieciak stał pod przeciwległą ścianą. Sam był ledwie cieniem.

No chodź, zachęcał sędzia. Chodź, bo mam ci więcej do powiedzenia.

Spojrzał w głąb korytarza. Nie bój się, rzekł. Będę mówił cicho. Nie dla uszu świata, lecz wyłącznie dla twoich jest to, co zamierzam powiedzieć. Pokaż się. Nie wiesz, że pokochałem cię jak syna?

Sięgnął przez pręty. Chodź tu. Pozwól się dotknąć.

Dzieciak stał oparty o ścianę.

Chodź, jeśli się nie boisz, szepnął sędzia.

Nie boję się ciebie.

Holden się uśmiechnął. Zaczął mówić cicho wprost do ciemnicy z błota. Zjawileś się, żeby uczestniczyć w dziele, powiedział. Ale wbrew sobie stałeś się tylko świadkiem. Mianowałeś się sędzią własnych czynów. Własne ustępstwa stawiałeś na pierwszym miejscu przed wyrokami historii i zerwałeś ze wspólnotą, której częścią przysiągłeś być i którą zatrudeś w jej wszystkich czynaniach. Słuchaj, człowiecze. Przemawiałem na pustyni na twoją korzyść, niczyją tylko twoją, ale ty zamknąłeś przede mną serce. Jeśli wojna nie jest święta, wtedy człowiek to jedynie błazeńska gruda gliny. Nawet kretyń postępował w dobrej wierze wedle swego rozeznania. Albowiem nie

wymagano od nikogo, by dał więcej, niżli ma, i nie porównywano wkładu jednego człowieka z wkładem innych. Każdy wezwany był tylko po to, by oddać serce pozostałym, i tylko jeden tego nie uczynił. Możesz mi powiedzieć, który?

Ty, wyszeptał dzieciak. To ty.

Sędzia wpatrywał się w niego zza krat. Pokręcił głową. Ludzi nie łączy wspólny chleb powszedni, ale wspólni wrogowie, rzekł. A skoro ja byłem twoim wrogiem, to z kim byś się sprzymierzył przeciw mnie? Z kimże? Z księdzem? A gdzie on teraz? Spójrz na mnie. Nasze wzajemne urazy ukształtowane były i czekały, zanim skrzyżowały się nasze drogi. A mimo to mogłeś wszystko odmienić.

To ty, powtórzył dzieciak. To ty.

Nie ja, nigdy, odparł sędzia. Posłuchaj mnie. Myślisz, że Glanton był głupcem? Nie wiesz, że by cię zabił?

Kłamstwa, odparł dzieciak. Kłamstwa na boga.

Zastanów się.

Nigdy nie brał udziału w twoich szaleństwach.

Sędzia się uśmiechnął. Wyjął zegarek z kieszonki kamizelki, otworzył go i podsunął do słabego światła.

A nawet gdybyś dotrzymał mi pola, rzekł, to cóż byłoby to za pole?

Podniósł wzrok. Zatrzasnął kopertę i schował zegarek. Pora iść, oznajmił. Mam sprawy.

Dzieciak zamknął oczy. Gdy je otworzył, sędziego nie było. Tego wieczoru zawołał kaprała i usiedli we dwóch po obu stronach kraty, a dzieciak opowiedział żołnierzowi o stercie złotych i srebrnych monet zakopanych w górach niedaleko miasteczka.

Mówił długo. Kapral postawił między nimi na podłodze świeczkę i patrzył na niego, jak można patrzeć na sprytne kłamliwe dziecko. Gdy opowieść dobiegła końca, wstał, zabrał świeczkę i odszedł, zostawiając go w ciemności.

Dwa dni później dzieciak wyszedł na wolność. Zjawił się hiszpański ksiądz, żeby go ochrzcić. Bryznął na niego wodą z za krat jak kapłan wypędzający złe duchy. Kiedy przyszli po niego godzinę później, dostał zawrotów głowy ze strachu. Zabrano go przed oblicze alcalde, a ten przemówił ojcowskim tonem po hiszpańsku, po czym wyprowadzili go na ulicę.

Lekarz, którego odszukał, był młodym mężczyzną pochodzącym z dobrej rodziny ze wschodu. Rozciął mu nogawkę nożyczkami, spojrzął na szerniałe drzewce strzały i nim poruszył. Dokoła utworzyła się miękka błona.

Boli?, spytał.

Dzieciak nie odpowiedział.

Doktor zaczął naciskać kciukiem skórę dokoła rany. Powiedział, że wykona zabieg, ale będzie to kosztowało sto dolarów.

Dzieciak podniósł się od stołu i pokuśtykał na dwór.

Nazajutrz, kiedy siedział na placu, podszedł do niego chłopiec i zaprowadził go z powrotem do szopy za hotelem. Doktor oznajmił, że rano go zoperuje.

Dzieciak sprzedał rewolwer jakiemuś Anglikowi za czterdzieści dolarów, a rankiem obudził się w norze pod deskami, do której wczółgał się w nocy. Padało. Ruszył pustymi ulicami z błota i zaczął łomotać w drzwi składu towarów, aż wreszcie

wpuszczono go do środka. Kiedy przyszedł do lekarza, był już bardzo pijany. Uchwycił się klamki, a w drugiej dłoni ścisnął w połowie pustą kwartową butelkę whiskey.

Asystentem lekarza był student z Sinaloa, który u niego terminował. W progu wywiązała się sprzeczka i wreszcie doktor pojawił się z głębi domu.

Będziesz musiał przyjść jutro, powiedział.

Jutro nie będę mniej pijany, odparł dzieciak.

Lekarz wpatrywał się w niego. No dobrze, rzekł. Daj tę wódkę.

Dzieciak wszedł, asystent zatrzasnął za nim drzwi.

Nie potrzebujesz wódki, stwierdził lekarz. Daj mi to.

Jak nie potrzebuję?

Mamy spirytus eterowy. Niepotrzebna ci whiskey.

Jest mocniejszy?

O wiele mocniejszy. Poza tym nie mogę operować człowieka, który jest w trupa pijany.

Dzieciak spojrział na asystenta, potem na chirurga. Odstawił butelkę na stół.

Dobrze, pochwalił lekarz. A teraz idź z Marcellem. Marcelo należy ci wody do kąpieli, da czyste ubranie i położy do łóżka.

Wyjął z kieszonki zegarek i trzymając go w dłoni, spojrział na cyferblat.

Jest kwadrans po ósmej. Zoperujemy cię o pierwszej. Odpocznij trochę. Daj nam znać, gdybyś czegoś potrzebował.

Asystent poprowadził dzieciaka przez dziedziniec do pobielonego wapnem budynku na tyłach. We wnętrzu stały cztery

żelazne łóżka, wszystkie puste. Dzieciak wykąpał się w wielkim nitowanym kotle z miedzi, który wyglądał, jakby go uratowano ze statku, a potem położył się na szorstkim materacu i słuchał, jak gdzieś za ścianą bawią się dzieci. Nie zasnął. Kiedy po niego przyszli, nadal był pijany. Wyprowadzili go i położyli na blacie na stojakach w pustym pokoju obok wnęki, a asystent przytknął mu do nosa lodowatą szmatkę i kazał głęboko oddychać.

We śnie i snach, które przyszły później, nawiedził go sędzia. Kto inny mógłby przyjść? Wielki niezgrabny mutant, milczący i pogodny. Bez względu na to, jakich miał przodków, był czymś zupełnie innym niż suma ich wszystkich i brakowało systemu, który pozwoliłby go podzielić z powrotem na gałęzie jego rodowodu, bo nijak się temu nie poddawał. Ktokolwiek pragnąłby poznać jego dzieje przez rozwikłanie tajemnic lędźwi i ksiąg, nieuchronnie stanąłby ciemny i głupi na skraju otchłani bez kresu i początku i choćby instrumentami nie wiadomo jakiej nauki posłużył się do zgłębienia ulotnej jak pył pierwotnej materii wiejącej z otchłani tysiącleci, nie odkryłby żadnego śladu wiodącego do ostatecznego atawistycznego jaja i nie pojąłby praźródła. W uszytym na miarę garniturze, z kapeluszem w rękę, sędzia stał w tym pustym białym pokoju i patrzył z góry pozbawionymi rzes świńskimi ślepkami, w których to dziecię, liczące zaledwie szesnaście lat, wyczytało całe łańcuchy decyzji niepojętych dla ludzkich trybunałów i zobaczyło własne imię, nigdzie indziej niedające się rozszyfrować, zapisane w rejestrze jako sprawa już dokonana, jako wędrowiec znany w

prawodawstwie tylko niektórych zachłannych najemników albo na dawnych przestarzałych mapach.

W delirium dzieciak skotłował pościel na sienniku w poszukiwaniu broni, której nie było. Sędzia się uśmiechnął. Półgłówek zniknął, ale towarzyszył mu teraz inny mężczyzna, którego dzieciak nie mógł dojrzeć w pełni, ale który wydawał się rzemieślnikiem pracującym w metalu. Wchłonięty przez cień sędziego, siedział w kucki nad swoim dziełem, fałszerz z młotkiem i matrycą, być może wyrokiem banicji przegnany od ludzkich ognisk, i niczym własne odgadnione przeznaczenie wykuwał na zimno przez całą noc monety, żeby były gotowe przed świtem, który nie nadejdzie. To właśnie ten szalbiarczy mincarz, wyposażony w ryłce i dłuta, zabiega o względy sędziego i z bryły żużlu tworzy w tyglu oblicze, które ujdzie za prawdziwe, wyobrazenie, które odpad spieczonego popiołu uczyni kruszcem obiegowym na rynkach, gdzie handlują ludzie. Tego sędzią jest sędzia i noc nie ma końca.

* * *

Światło w pokoju się zmieniło, drzwi zamknięto. Otworzył oczy. Udo było zawinięte w płótno i podparte na małych zwyczajach trzciny. Czuł rozpaczliwe pragnienie, w głowie mu huczało, noga wydawała się obcym intruzem w łóżku, bo ból był tak wielki. Niedługo potem asystent przyniósł mu wodę. Dzieciak już nie zasnął. Wypita woda wypłynęła przez skórę i zmoczyła pościel, a on leżał bez ruchu, jakby chciał przechytryć ból.

Twarz miał poszarzałą i ściągniętą, długie włosy wilgotne i skołtunione.

Mniej więcej tydzień później pokuśtykał przez miasto o kulach, które dostał od chirurga. Pukał do wszystkich drzwi, żeby pytać o eksksiedza, ale nikt go nie znał.

W lipcu tego samego roku dotarł do Los Angeles i wraz z czterdziestoma mężczyznami wszelkiej narodowości zamieszkał w zajeździe, który był pospolitym domem noclegowym. Rankiem jedenastego lipca wszyscy wstali po ciemku i poszli obejrzeć publiczną egzekucję w cárcelu. Gdy dzieciak przybył na miejsce, już się rozwidniło, a u bramy było tak wielkie zbiegowisko, że nie widział zbyt dobrze, co się dzieje. Stał na obrzeżu tłumu, tymczasem nastał dzień i wygłoszono przemowę. Potem dwie skrępowane postacie uniosły się nagle ku górze spośród swoich towarzyszy, zawisły nad wartownią i wyzionęły ducha. Butelki krążyły z rąk do rąk, a widzowie, dotąd stojący w milczeniu, zaczęli rozmawiać.

Gdy wrócił tam wieczorem, nikogo już nie było. O bramę wartowni opierał się żołnierz żujący tytoń, a dwaj wiszący na sznurach skazańcy wyglądali jak kukły do odstraszenia ptaków. Kiedy się zbliżył, zobaczył, że to Toadvine i Brown.

Najpierw miał trochę pieniędzy, a potem mu się skończyły, zaglądał jednak do każdej knajpy i szulerni, do każdej mordowni i na każdą arenę walki kogutów. Cichy młodzieniec w za dużym garniturze i tych samych znoszonych butach, w których

przeszedł pustynię. Gdy stanął w progu obscurnego saloonu, patrząc bacznie spod ronda kapelusza, oświetlony z boku blaskiem kinkietu, wzięto go za męską kurwę i zaproszono na drinka, a potem zaprowadzono na tyły posesji. Zostawił klienta nieprzytomnego w komórce bez światła. Inni mężczyźni wciągali go we własne podłe przedsięwzięcia, jeszcze inni zabrali mu pugilares i zegarek. Później ktoś wziął jego buty.

Nie słyszał wieści o księdzu i przestał o niego rozpytywać. Wracając pewnego ranka o świcie w szarym deszczu do swojej kwatery, zobaczył twarz śliniącą się w górnym oknie, wszedł więc po schodach i zastukał do drzwi. Ze środka wyjrzała kobieta w jedwabnym kimonie. W głębi pokoju na stole paliła się świeca, a w jej bladym blasku siedział w kojcu przy oknie półgłówek z kotem. Obrócił się i spojrzał na dzieciaka, ale nie był to głupiec sędziogo, lecz jakiś inny. Gdy kobieta spytała, czego chce, odwrócił się bez słowa i zszedł po schodach na deszcz i w uliczne błoto.

Za ostatnie dwa dolary kupił od żołnierza szkaplerz z uszu pogan, w którym Brown wszedł na szafot. Założył go nazajutrz rano, kiedy najął się na służbę u przewodnika z Missouri, i miał go na sobie, gdy wyruszyli do Fremont nad rzeką Sacramento z taborem wozów i jucznymi zwierzętami. Jeśli szkaplerz budził ciekawość przewodnika, ten niczego po sobie nie okazał.

Wytrzymał w tej robocie parę miesięcy, a potem odszedł bez uprzedzenia. Włóczył się od miejsca do miejsca. Nie unikał towarzystwa innych mężczyzn. Traktowano go z respektem, jako człowieka, który poznał życie z nadstatkiem jak na swoje

lata. Wtedy zdobył już konia i rewolwer, zaczątek ekwipunku. Imał się różnych zajęć. Miał Biblię, którą znalazł w osadzie górników, i nosił z sobą tę księgę, choć nie potrafił z niej wyczytać ani słowa. Chodził w skromnym ciemnym ubraniu, niektórzy brali go więc za kaznodzieję, ale niczemu nie dawał świadectwa, ani temu, co było wokół, ani temu, co miało nadejść — sam ostatnim kaznodzieją ze wszystkich ludzi. Trafiał do odległych zakątków spragnionych nowin ze świata, bo w tamtych niepewnych czasach ludzie wznosili toasty za koronacje obalonych już władców, wiwatowali na cześć królów, którzy leżeli już zgładzeni w grobach. Lecz nie przynosił wieści nawet o zdarzeniach tak przyziemnych i choć obyczaj nakazywał zatrzymać się na pustkowiu i wymienić wiadomościami z każdym napotkanym wędrowcem, wydawało się, że nie ma do przekazania żadnych pogłosek, jakby sprawy tego świata były dla niego zbyt bałamutne, by chciał o nich rozpowiadać, a może zbyt błahe.

Widział mężczyzn ginących od broni palnej, noży i sznurów, widział kobiety, o które walczono na śmierć i życie, a które same wyceniały swą wartość na dwa dolary. Widział statki z kraju chińskiego, zacumowane w małych portach, widział beły herbaty, jedwabiu i przypraw korzennych, rozcinane mieczami przez małych żółtych ludzików posługujących się kocią mową. Na odludnym wybrzeżu, gdzie strome skały tulą w ramionach mrukiwe ciemne morze, zobaczył kołujące sepy z rozpostartymi

skrzydłami, które tak górowały nad mniejszymi ptakami, że pokrzykujące niżej orły przypominały raczej rybitwy albo siewki. Widział stopy złota, które ledwo przykryłyby kapelusz, postawione w zakład i przegrane wyrokiem jednej karty, widział niedźwiedzie i lwy spuszczone ze smyczy do dołów, by zwały się z bykami w śmiertelnej walce, i dwa razy dotarł do San Francisco, dwa razy widział, jak miasto płonie, i nigdy więcej tam nie wrócił, wyruszywszy konno drogą na południe, a przez całą noc panorama miasta płonęła, najpierw na tle nieba, potem w ciemnych wodach morza, gdzie delfiny koziółkowały przez płomienie, ogień w jeziorze, pod gradem spadających belek i wśród nawoływań nieszczęśników. Nigdy już nie zobaczył eksksiedza. Wszędzie słyszał pogłoski o sędzim.

Wiosną w dwudziestym ósmym roku swego życia wybrał się z innymi w głąb pustyni na wschodzie jako jeden z pięcioosobowego oddziału wynajętego do przeprowadzenia grupy podróżnych przez dzicz do ich rodzinnych stron w połowie kontynentu. Po siedmiu dniach jazdy z wybrzeża zostawił ich przy studni. Byli zgrają zwykłych wędrowców powracających do domu, mężczyźni i kobiety, już pokryci kurzem i znękani trudami wędrówki.

Skierował konia na północ ku kamiennym górom, ciągnącym się cienkim pasmem pod rąbkiem nieba, i gnał przed sobą gwiazdy i gnał przed sobą słońce. Była to kraina, jakiej jeszcze nigdy nie widział. Żaden szlak nie prowadził w góry ani z powrotem. A jednak w najgłębiej położonej twierdzy tych skał

napotkał ludzi, którzy nie potrafili wytrzymać ciszy świata.

Zobaczył ich sunących o zmierzchu przez równinę wśród kwitnącego ocotillo, które płonęło w ostatnich promieniach słońca jak rogate kandelabry. Procesję wiodł pitero dmuchający w piszczałkę, a za nim przy dźwiękach brzęczących tamburynów i matracas szli nadzy do pasa mężczyźni w czarnych pelerynach z kapturem, chłuszcząc się biczami uplecionymi z ju-ki, inni dźwigali na plecach wielkie sterty opuncji; był jeszcze spętany mężczyzna ciągnięty przez towarzyszy to tu, to tam, i kolejny, w białej szacie i kapturze, niosący na ramionach ciężki drewniany krzyż. Wszyscy bosonodzy, zostawiali za sobą szlak krwi, a za nimi jechała chłopska carreta, w której siedział grzechoczący szkielet z drewna, trzymający przed sobą sztywno łuk i strzałę. Wóz, obciążony dodatkowo ładunkiem kamieni, toczył się mozolnie po nierównościach, ciągnięty przez mężczyzn, którzy mieli sznury przywiązane do głów i kostek, a za nimi podążała grupa kobiet niosących w stulonych dłoniach małe pustynne kwiatki, pochodnie z płonącego dasylirionu i prymitywne latarenki z podziurawionej blachy.

Ta znękana sekta przemierzyła powoli teren pod występem skalnym, na którym stał widz, i ruszyła przez wyboiste osypisko stożka wymytego ze żlebu. Zawodząc, grając i brzęcząc, zagłębili się między granitowe ściany w położony wyżej parów i zniknęli w nadciągającym zmroku jak heroldowie jakiejś niewymownej katastrofy, pozostawiając po sobie tylko krwawe

odciski na kamieniu.

Zatrzymał się na wieczór w jałowej niecce i położył razem z koniem, a przez całą noc dął suchy wiatr z pustyni, prawie bezgłośny, bo wśród tych skał nic nie przenosiło dźwięków. O świcie wstał z koniem i popatrzeli na wschód, gdzie zatliło się światło, a potem osiodłał wierzchowca i poprowadził go wyboistym szlakiem przez kanion, gdzie pod skupiskiem głazów znalazł zbiornik. Woda czekała w mroku, kamienie były chłodne. Napił się, po czym przyniósł koniowi wodę w kapeluszu. Poprowadził go na grań i ruszyli dalej, człowiek wpatrzony w płaski teren na południu i góry na północy, zwierzę podążające za nim.

Niedługo potem koń zaczął szarpać łbem i stawiać opór. Mężczyzna przystanął i trzymając go za kantar, zlustrował teren. Zobaczył pątników. Leżeli rozsiani na strumieniu zastygłej lawy w rozbryzgach własnej krwi. Wziął karabin, przykucnął i nasłuchiwał. Podprowadził konia w cień skały, spętał mu nogi, a potem ruszył dalej w dół stromizny.

Pokutnicy leżeli posiekani i zaszlachtowani wśród kamieni we wszystkich możliwych pozach. Wielu padło wokół wywróconego krzyża, paru zostało okaleczonych, niektórzy nie mieli głów. Może skupili się pod krzyżem w nadziei na ratunek, ale dziura, w której go postawili, i kopiec kamyków dokoła jego podstawy wskazywały, że go obalono, a zakapturzony alter-Christus, zadźgany i wybebeszony, leżał obok ze strzępami

sznura, którym został skrepowany, z pętlami na przegubach i nogach.

Podniósł się i rozejrzał po tym miejscu zagłady i wtedy w małej skalnej niszy zobaczył samotną starą kobietę, która kłęzczała wyprostowana, w wyblakłej chuście, ze spuszczoneym wzrokiem.

Wyminął trupy i stanął przed nią. Była bardzo stara, jej szara twarz przypominała wyprawioną skórę, a w fałdach ubrania zebrał się piasek. Nie podniosła wzroku. Chusta okrywająca głowę straciła kolor, a jednak niczym znak patentowy miała wplecione w tkaninę wizerunki gwiazd i półksiężyców oraz inne, nieznanne mu, znamiona proveniencji. Odezwał się do niej cichym głosem. Powiedział, że jest Amerykaninem, że znalazł się bardzo daleko od swego kraju, że nie ma rodziny, że wiele podróżował i wiele widział, że wojował i znosił mnóstwo niewygód. Powiedział, że zabierze ją w bezpieczne miejsce, do osady jej rodaków, którzy przyjmą ją do siebie, i dodał jeszcze, że powinna do nich przystać, przecież nie może zostać w tym miejscu, bo inaczej na pewno umrze.

Przykląkł, stawiając przed sobą karabin jak pastorał. Abuelita, rzekł. No puedes escucharme?

Sięgnął do małej wnęki i dotknął ramienia kobiety. Poruszyła się nieznacznie, całym ciałem, lekko i sztywno. Nic nie ważyła. Była wyschniętą skorupą, martwą w tym miejscu od lat.

XXIII

NA RÓWNIINACH PÓŁNOCNEGO TEKSASU

- STARY ŁOWCA BIZONÓW • TYSIĘCZNE STADA
- ZBIERACZE KOŚCI • NOC NA PRERII • ODWIEDZINY
 - USZY APACZÓW • ELROD SZUKA ZWADY
- ZABÓJSTWO • NIESIENIE ZMARŁEGO • FORT GRIFFIN
 - UL • WYSTĘP • SĘDZIA • ZABICIE NIEDŹWIEDZIA
 - SĘDZIA O DAWNYCH CZASACH
 - PRZYGOTOWANIA DO TAŃCA
 - SĘDZIA O WOJNIE, PRZEZNACZENIU, WYŻSZOŚCI CZŁOWIEKA • TANCBUDA • KURWA
 - WYCHODEK I TO, CO W NIM ZOBACZONO
- SIE MÜSSEN SCHLAFEN ABER ICH MUSS TANZEN

Późną zimą roku 1878 znalazł się na równinach północnego Teksasu. Rankiem, kiedy warstwa lodu skuwała piaszczysty brzeg, przekroczył potok Double Mountain Fork Brazos i wjechał w ciemny karłowaty las czarnych sękatych jadłoszynów. Tej nocy rozłożył się biwakiem na wzniesieniu, gdzie od wiatru osłaniało go drzewo obalone przez piorun. Gdy tylko buchnął płomień, na spowitej ciemnością prerii zobaczył drugie ognisko. Podobnie jak jego migotało na wietrze, podobnie jak jego ogrzewało samotnego człowieka.

Obozował tam stary łowca, który podzielił się z nim tytoniem i opowiedział mu o bizonach i stoczonych z nimi walkach, jak zadekował się w dołku na pagórku, niżej wszędzie dokoła ubite zwierzęta, stado coraz bardziej niespokojne, lufa karabinu tak rozgrzana, że ścierka do czyszczenia aż się piekła w środku, tysiące, dziesiątki tysięcy sztuk, skóry rozpięte potem

dosłownie na powierzchni całych mil kwadratowych i oddziały oprawiaczy wymieniające się jeden po drugim, i strzelanie, strzelanie, całymi tygodniami i miesiącami strzelanie, aż lufa ci się wyślizgała, a łoże rozklekotało i ramiona mielimy posiniaczone po łokcie, pary wozów skrzypiące po prerii, zaprzęgnięte w dwadzieścia, dwadzieścia dwa woły, surowe skóry sprzedawane na tony, setki ton, mięso gnijące na trawie, powietrze aż brzęczało od rojów much, myszołowy i kruki, potworne noce, gdy schodziły się powarkujące oszalałe wilki, żeby żreć i tarzać się w ścierwie.

Widziałem wozy Studebakera zaprzęgnięte w sześć, osiem wołów, co tam jechały, wioząc same ładunki ołowiu. Czyściutką galenę. Tony tego. Tylko na ziemi między rzeką Arkansas a Concho leżało osiem milionów ścierwa, bo tyle skór zwieźli na kolej. Dwa roki temu wyjechalimy z Griffin na ostatnie polowanie. Przeczesał całą krainę. W półtora miesiąca. Wreszcie znaleźli stado, osiem sztuk. Zabiliśmy i wrócili. Nie ma ich. Wszystkie, co Bóg kiedykolwiek stworzył, przepadły, jakby nigdy po tej ziemi nie chodziły.

Wiatr porywał w dal strzępiaste iskry. Dokoła rozpościerała się cicha preria. Poza zasięgiem ognia było zimno, nastąpiła czyista noc i spadały gwiazdy. Stary łowca naciągnął na siebie koc. Ciekawym, czy są inne takie światy jak nasz, powiedział. Czy może taki jest tylko jeden.

Trzy dni już przemierzał krainę, której nigdy dotąd nie widział, gdy natknął się na zbieraczy kości. Równina wydawała

się zwiędła i spalona, małe drzewa nawiedzane przez kruki były czarne i zdeformowane, a wszędzie dokoła widział watahy wyleniących szakali i rozpadające się, wybielone słońcem kości ubitych stad. Zsiadł i poprowadził konia. Tu i ówdzie pośród szablasyt żeber leżały spłaszczone krople pociemniałego ółowiu, niczym stare medaliony jakiegoś zakonu łowców. W oddali sunęły ociężałe zaprzęgi wołów, a obładowane wozy skrzypiały głucho. Zbieracze rzucali kości na sterty, kopiąc nogami zwapniałe struktury, rozcinając siekierami wielkie kompozycje. Kości grzechotały na wozach kołyszących się w bładym kurzu. Patrzył, jak jada, ludzie obdarci i brudni, woły z poobcieraną skórą i jakby obłakane. Nikt się do niego nie odezwał. W oddali zobaczył sznur wozów kierujący się na północny wschód, z wielkimi chybozącymi się ładunkami kości, a dalej na północy ujrzał inne gromady pracujących zbieraczy.

Wsiadł na konia i pojechał. Kości usypano w stopy, wysokie na dziesięć stóp i długie na setki, oraz w ogromne stożkowate kopce, opatrzone na wierzchołkach znakami lub symbolami ich właścicieli. Wyprzedził toczący się wóz, z chłopcem, który dośiadał pierwszego wołu w zaprzęgu, powożąc za pomocą naszelnika i witki. Ze szczytu góry z czaszek i kości miedniczych spoglądało dwóch wyrostków.

Nocą ich ogniska pocętkowały równinę, a on usiadł plecami do wiatru, napił się z wojskowej manierki i zjadł garść suchej kukurydzy na kolację. W nocy na całej równinie niosło się ujadanie i wycie wygłodniałych wilków, a na północy niema

błyskawica wyrysowała złamaną lutnię na czarnym krańcu świata. Powietrze pachniało deszczem, ale deszcz nie spadł, w mroku nieopodal sunęły skrzypiące wozy, jak zaciemnione statki, i czuć było zapach wołów, i słychać było ich oddechy. Wszędzie roztaczał się kwaśny odór kości. Tuż przed północą, gdy siedział przycupnięty przed żarem ogniska, pozdrowił go mały oddział.

Podejdźcie, powiedział.

Wyłonili się z mroku, posępne wyrzutki odziane w skóry. Nosili stare wojskowe strzelby, wszyscy z wyjątkiem jednego, który trzymał karabin na bizony. Byli bez kurtek, a jeden miał buty z zielonej skóry, zdarte w całości z pęcín jakiegoś zwierzęcia, z czubkami ciasno obwiązаныmi szpagatem.

Witaj, nieznajomy, krzyknął najstarszy chłopiec.

Mężczyzna spojrział na nich. Było ich czterech plus podrostek. Zatrzymali się na skraju poświęty i ustawili w szyku.

Podejdźcie, powtórzył.

Zaszurali nogami. Trzej przykucnęli, pozostali dwaj stali.

Gdzie pana rzeczy?, spytał jeden.

On widać nie przyjechał na kości.

Ma pan trochę tytoniu?

Pokręcił głową.

Pewnikiem kropli whiskey tyż nie.

Nie ma.

Gdzie pan jedzie?

Pan do Griffin?

Przyjrzał im się.

Owszem, odparł.

Pewnikiem na kurwy.

Nie jedzie na kurwy.

Tam w Griffin pełno kurew.

Przestań, cholera, pewnikiem był tam więcej razy niż ty.

Był pan w Griffin?

Jeszcze nie.

Pełno tam kurew. Zatrzęsienie.

Mawiają, że tyle tam kurew, co jak wiaterek dobrze zawieje, to się kilę złapie nawet parę mil od miasta.

Siedzom se na drzewie, można im zajrzeć w gacie spode spodu. Naliczył ja ich osiem na tym drzewie z wieczora. Siedzom jak skunksy, palą te ich tam cygaretki i zaczepiajom człowieka.

Ludziska mówią, że to najbardziej grzeszne miasto w całym Teksasie.

I tyle tam się dzieje zabijania, że warto zobaczyć.

Awantury na noże. Cała niegodziwość, jaką dają se radę wyobrazić.

Mężczyzna przyjrzał się wszystkim po kolei. Wyciągnął rękę, wziął patyk, poruszał nim węgle i wepchnął go w płomienie. Lubicie niegodziwość?, spytał.

My się tam do tego nie mieszamy.

Macie ochotę sobie golnąć?

Gada na próżno. Nie pija whiskey.

Cholera, przecież jeszcze nie ma godziny, jak widziałeś, że pił.

Widziałem też, że rzygał. A co to pan nosi na szyi?

Mężczyzna odsunął stary szkaplerz od piersi i spojrzał na niego. To uszy, odparł.

Że co?

Uszy.

Jakie uszy?

Pociągnął za ramię i spojrzał na szkaplerz. Były całkiem czarne, twarde, suche i zniekształcone.

Ludzi, odparł. Uszy ludzi.

Ale mi brednie, rzekł chłopak z karabinem.

Nie zarzucaj mu kłamstwa, Elrod, bo cię jeszcze zastrzeli. Pan pokaże, co?

Zdjął szkaplerz przez głowę i podał go chłopakowi, który się odezwał. Obmacywali palcami dziwne suche wisiorki.

Czarnuchów, co nie?

Wziął je uciachał czarnuchom, żeby było poznać, jak będą uciekać.

Ile ich tutaj, proszę pana?

Nie wiem. Było ze sto.

Obracali szkaplerz w dłoniach w świetle ogniska.

Boże, uszy czarnuchowe jak żywe.

Nie są od czarnuchów.

Nie od czarnuchów?

Nie.

A czyje?

Indiańców.

Akurat tam, cholera.

Elrod, coś ci mówiłem, nie?

Jak to jest, że takie czarne, skoro nie od czarnuchów?

Takie się zrobiły. Czarne, że już bardziej nie można.

Skąd pan je wziął?

Pozabijał skurwysynów. Prawda, proszę pana?

Był pan zwiadowcą na prerii?

Kupiłem te uszy w Kalifornii od jednego wojaka w saloonie i nie miałem potem za co pić.

Wyciągnął rękę i zabrał szkaplerz.

A niech mnie. Mówię wam, że był zwiadowcą na prerii i pozabijał wszystkich skurwysynów do ostatniego.

Chłopak zwany Elrod wskazał trofeum podbródkiem i pociągnął nosem. Po co to panu?, spytał. Ja bym tego nie chciał nosić.

Pozostali spojrzeli na niego niepewnie.

Nie wie pan, skąd te uszy się wzięły? Ten stary, co je panu sprzedał, może mówił, że indiańskie, ale co z tego?

Mężczyzna milczał.

Mogą być to uszy kanibalów albo innych czarnuchów z dalekich krajów. Chodzą słuchy, że całe głowy może człowiek kupić w Nowym Orleanie. Marynarze przywożą, a ludzie biorą je po pięć dolarów sztuka.

Ucisz się, Elrod.

Mężczyzna trzymał naszyjnik w rękach. To nie kanibalów, odparł. To Apaczów. Znałem tego, który je poucinał. Znałem go i z nim jeździłem, i widziałem, jak zawisł na szubienicy.

Elrod spojrział na pozostałych i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Apaczów, powtórzył. Jak by to były Apaczów, czerwone by były jak środek arbuza, co myślicie, chłopaki?

Mężczyzna podniósł ciężko wzrok. Twierdzisz, że łżę, synu?
Żaden ja pana syn.

Ile masz lat?

Żadna pana sprawa.

Ile masz lat?

Ma piętnaście.

Przymknij tę swoją cholerną jadaczkę.

Elrod odwrócił się do mężczyzny. On za mnie nie będzie gadał, stwierdził.

Właśnie gada. Miałem piętnaście lat, gdy pierwszy raz mnie postrzelili.

Ja nigdy nie dałem się postrzelić.

Ale szesnastu jeszcze nie masz, więc lepiej uważaj.

Chce pan do mnie strzelić?

Chcę się od tego powstrzymać.

Elrod, daj spokój.

Pan nikogo by nie zastrzelił. Chyba że w plecy albo śpiącego.

Elrod, idziemy.

Od razu wiedziałem, co z pana za jeden.

Lepiej ruszaj dalej.

Siedzi i gada o strzelaniu do ludzi. Jeszcze się taki nie narodził.

Pozostali czterej stali na skraju poświaty. Najmłodszy zerkał raz po raz na ciemne sanktuarium nocy.

Ruszaj, ponaglił mężczyzna. Czekają na ciebie.

Elrod splunął w ognisko i otarł usta. Na północy przez preię ciągnęły wozy, woły w jarzmach nieme i blade w blasku gwiazd, wozy skrzypiące cicho w oddali, a za nimi sunęła

latarnia z czerwonym szkłem, niczym źrenica jakiejś obcej istoty. Kraj zapelnily porywcze dzieci osieroczone przez wojnę. Towarzysze wrócili, żeby zabrać ze sobą chłopaka, i może to go ośmieliło, a może powiedział coś jeszcze do mężczyzny, bo kiedy podeszli do ogniska, ten już stał. Trzymajcie go z dala ode mnie, powiedział. Jak go tu jeszcze zobaczę, zabiję.

Gdy zniknęli, dorzucił dREW do ognia, złapał konia, zdjął mu pęta, przywiązał go, osiodłał, a potem oddalił się nieco, rozpostarł koc na ziemi i położył się w mroku.

Kiedy się obudził, na wschodzie wciąż było ciemno. Nad popiołami ogniska stał chłopak z karabinem w ręku. Koń pociągnął nosem raz i drugi.

Wiedziałem, że się pan schowa, zawołał Elrod.

Mężczyzna zrzucił koc i przekręcił się na brzuch. Napiął kurek i wycelował rewolwer w niebo, gdzie przez całą wieczność płonęły roje gwiazd. Zgrał muszkę ze szczerbinką i trzymając broń oburącz, przesunął lufę wzdłuż ciemnych drzew ku ciemniejszej jeszcze sylwetce nieproszonego gościa.

Jestem tutaj, powiedział.

Chłopak obrócił się z karabinem i strzelił.

I tak byś długo nie pożył, rzekł mężczyzna.

Był już szary świt, kiedy przyszli pozostali. Nie mieli koni. Podprowadzili podrostka do miejsca, w którym Elrod leżał na wznak, z rękoma ułożonymi na piersi.

Nie chcemy kłopotów, proszę pana. Chcemy go tylko zabrać.

Zabierajcie.

Wiedziałem, że skończy w ziemi na tej prerii.

Oni są z Kentucky, proszę pana. Ten nygus tutaj i jego brat. Ich mama i tato nie żyją. Dziadka zabił jeden wariat, co zakopał go w lesie jak psa. Nigdy nie zaznał szczęścia w życiu, a teraz nie został mu już nikt bliski na całym świecie.

Randall, ty się dobrze przyjrzyj człowiekowi, przez którego jesteś sierota.

Sierota w za dużym ubraniu, trzymający stary muszkiet z połatanym łożem, patrzył drętwo na mężczyznę. Miał może dwanaście lat i wyglądał raczej na obłąkanego niż przygłupa. Dwaj inni przeszukiwali kieszenie zabitego.

Gdzie jego karabin, proszę pana?

Mężczyzna stał z dłońmi przy pasie. Wskazał głową drzewo, o które oparł broń.

Przynieśli go i wręczyli młodszemu bratu. Stał i patrzył rozbieranym wzrokiem, niedorzecznie uzbrojony w muszkiet i karabin marki Sharp kalibru pięćdziesiąt.

Jeden ze starszych chłopców podał mu kapelusz zabitego, a potem odwrócił się do mężczyzny. Ten karabin kosztował czterdzieści dolarów w Little Rock. W Griffin można kupić taki za dziesięć. Nic niewarte. Gotowy, Randall?

Podrostek nie pomagał przy niesieniu zwłok, bo był za mały. Gdy poszli przez prerię, dźwigając na ramionach ciało zastrzelonego brata, ruszył za nimi, taszcząc swój muszkiet, jego kapelusz i karabin. Mężczyzna patrzył na nich. Dalej nie było nic.

Nieśli po prostu zwłoki przez usłane kośćmi odludzie w stronę nagiego widnokregu. Sierota obejrzał się przez ramię, a potem przyspieszył, żeby dogonić pozostałych.

* * *

Po południu przeprawą McKenziego przekroczył Clear Fork nad Brazos i o szarudze ruszył na piechotę ramię w ramię z koniem do miasteczka zagnieżdżonego poniżej, na równinie, gdzie w długim czerwonym zmierzchu, a potem zmroku bezładne skupisko świateł mamilo fałszywą obietnicą przystani. Minęli ogromne sterty kości, kolosalne wały z rogowych czaszek i zagiętych żeber przypominających stare łuki z kłów słoni, usypane w pokłосу jakiejś legendarnej bitwy, a ich wielkie hałdy ciągnęły się wśród nocy zakolami po prerii.

Gdy weszli do miasteczka, padał lekki deszcz. Koń rżał i wachał nieśmiało pęciny innych wierzchowców przywiązanych do palików przed rozświetlonymi bagnios, które mijali po drodze. Po smętnej ulicy z błota rozchodziło się rzępolenie skrzypiec, a z przodu między cieniami przemykały wychudłe psy. Na końcu miasteczka podprowadził konia do żerdzi, przywiązał wśród innych i po drewnianych schodkach wkroczył w bladą poświatę, która padała na dwór przez drzwi. Po raz ostatni spojrzał przez ramię na ulicę, na blask świateł w oknach wcinający się w mrok, na resztki dnia na zachodzie i niskie ciemne wzgórza dokoła. Potem pchnął drzwi na oścież i wszedł.

W środku roiała się hołota. Jak gdyby budynek wzniesiony z surowych desek, by ją pomieścić, był ostatecznym ściekiem,

do którego spłynęły szumowiny z okolicznych równin. Między stolikami snuł się stary mężczyzna w tyrolskim stroju, nadstawiając rękę z kapeluszem, mała dziewczynka w fartuchu kręciła korbą katarynki, a na drewnianej scenie obramowanej rzędami świec, które pryskały i roztopiały się w kałuże łoju, obracał się dziwacznie niedźwiedź w krynolinie.

Przecisnął się przez tłum do baru, gdzie kilku mężczyzn w koszulach ze stójką toczyło piwo z beczek i nalewało whiskey. Za nimi uwijali się młodzi chłopcy taszczący skrzynie butelek i nosidła z parującymi szklankami z pomywalni w głębi. Kontuar był ocynkowany. Oparł się na nim łokciami, zakreślił srebrną monetą i klepnął ją płasko dłonią.

Kto pije, ten żyje, odezwał się barman.

Whiskey.

Już się robi. Postawił szklaneczkę, odkorkował butelkę i nalał może ósmą część kwarty, po czym zabrał monetę.

Stał i patrzył na whiskey. Potem zdjął kapelusz, położył go na kontuarze, podniósł szklaneczkę do ust, wypił niespiesznie i odstawił puste naczynie. Otarł usta, odwrócił się i oparł łokciami o bar.

Zza zasłon dymu w żółtym świetle wpatrywał się w niego sędzia.

Siedział przy jednym ze stolików. Miał okrągły kapelusz z wąskim rondem i przebywał wśród ludzi wszelkiego autamentu, pastuchów, poganiaczy, spedytorów, górników, myśliwych, żołnierzy, handlarzy, szulerów, włóczęgów, pijaków,

złodziei, od tysiąca lat za pan brat z ostatnimi mętami tego świata i łotrowską latoroślą rodów ze wschodu, będąc częścią pstrokatej hałastry, a zarazem trzymając się z boku, jakby był całkiem inną istotą ludzką, i wydawało się, że niewiele się zmienił przez te wszystkie lata, jeśli w ogóle.

Mężczyzna odwrócił się od tych oczu i spojrział w pustą szklankę między pięściami. Kiedy podniósł głowę, napotkał wzrok barmana. Wyprostował palec wskazujący, a barman przyniósł whiskey.

Zapłacił, chwycił szklankę i wypił. Na ścianie za kontuarem wisiało lustro, ale ukazywało tylko dym i zjawy. Katarynka jęczała, rzęziła, a niedźwiedź z wywieszonym jęzorem obracał się ciężko na deskach.

Gdy się odwrócił, zobaczył, że sędzia wstał i rozmawia z pozostałymi. Impresario przedarł się przez tłum, potrząsając monetami w kapeluszu. W drzwiach na zapleczu zniknęły krzykliwie ubrane kurwy, a on patrzył na nie, patrzył na niedźwiedzia, a gdy spojrział na drugą stronę sali, sędziego już nie było. Impresario wdał się w awanturę z kilkoma mężczyznami, którzy stali przy stole. Podniósł się kolejny. Tamten nadstawił kapelusza. Jeden z nich wskazał w stronę baru. Pokręcił głową. W ogólnym zgiełku ich głosy były urywane. Niedźwiedź tańczył na deskach, wkładając w to całe serce, dziewczynka kręciła korbką katarynki, a cienie tego spektaklu rzucane na ścianę w blasku świec w każdym dziennym świetle domagałyby się desygatów. Gdy znów spojrział, impresario włożył już kapelusz i stał z dłońmi na biodrach. Jeden z mężczyzn wyciągnął zza pasa

kawaleryjski rewolwer o długiej lufie. Odwrócił się i wycelował w scenę.

Niektórzy padli na podłogę, inni sięgnęli po broń. Właściciel niedźwiedzia stał jak straganiarz na jarmarcznej strzelnicy. Zagrzmiał wystrzał i w przetaczającym się huku ucichły wszystkie dźwięki. Niedźwiedź został trafiony w środek ciała. Jęknął basem i zaczął tańczyć jeszcze szybciej, w ciszy, którą mąciło tylko człapanie jego wielkich łap na deskach. Z pachwiny popłynęła krew. Mała dziewczynka z przypiętą katarynką zamarła, z korbą unieruchomioną w górze w połowie obrotu. Mężczyzna z rewolwerem znów wystrzelił, broń zaryczała i szarpnęła do tyłu, buchnął czarny dym, niedźwiedź stęknął i zatoczył się jak pijany. Trzymał się za pierś, a z pyska popłynęła mu rozrzedzona czerwona piana. Zachwiał się, zapłakał jak dziecko, zrobił kilka kroków w tańcu i runął na deski.

Ktoś chwycił strzelca za uzbrojoną rękę i broń podrygiwała teraz w powietrzu. Właściciel niedźwiedzia stał oszołomiony, ściskając rondo swego zamorskiego kapelusza.

Ukatrupili cholernego misia, stwierdził barman.

Dziewczynka rozpięła pasek i katarynka spadła z łoskotem na podłogę. Podbiegła, uklękła i ujęła w dłonie wielki kudłaty łeb. Zaczęła szlochać, kołysząc się w przód i w tył. Większość mężczyzn podniosła się od stołów i stali teraz w zadymionej żółtej przestrzeni, z rękoma na kolbach broni. Stada kurew pobiegły spłoszone na tył budynku, a na scenę weszła kobieta, ominęła niedźwiedzia i wyciągnęła rękę.

To koniec, oznajmiła. Koniec.

Wierzysz, że to koniec, synu?

Odwrócił się. Przy kontuarze stał sędzia, patrząc na niego. Uśmiechnął się i zdjął kapelusz. W blasku lamp wielka błada kopuła jego czaszki świeciła jak ogromne fosforyzujące jajo.

Ostatni z prawdziwych. Ostatni z prawdziwych. Powiedziałbym, że wszyscy już padli prócz mnie i ciebie. Zgodziłbyś się ze mną?

Próbował dojrzeć cokolwiek za plecami sędziego. Jego wielka postać odgradzała go od wszystkiego wokół. Usłyszał, że kobieta zapowiada rozpoczęcie potańcówki w sali na zapleczu.

Nie narodziła się jeszcze część z tych, którzy będą mieli powód, by przekląć duszę Delfina, rzekł sędzia. Odwrócił się odrobinę. Mnóstwo czasu na taniec.

Ja tam się nie uczę tańczyć.

Sędzia się uśmiechnął.

Tyrolczyk i jeszcze jeden mężczyzna pochyłili się nad niedźwiedziem. Dziewczynka szlochała, a przód jej sukienki był ciemny od krwi. Sędzia sięgnął przez kontuar, chwycił butelkę i odkorkował ją kciukiem. Korek wystrzelił w mrok nad lampami jak kula z pistoletu. Sędzia wlał sobie sporo wódki do ust i oparł się plecami o bar. Przyszedłeś tu tańczyć, oznajmił.

Muszę iść.

Zrobił smutną minę. Iść?, spytał.

Skinął głową. Wyciągnął rękę po kapelusz leżący na kontuarze, ale go nie zabrał. Zastygł.

Jaki człowiek nie chciałby zostać tancerzem, gdyby nadarzyła się sposobność?, rzekł sędzia. To wspaniała rzecz, taniec.

Kobieta ukłękła i objęła dziewczynkę ramieniem. Świece pryskały, a wielka włochata postać martwego niedźwiedzia w krynolinie leżała niczym jakiś potwór ubity w trakcie cudacznych igrzysk. Sędzia napełnił szklaneczkę stojącą obok kapelusza i pchnął ją do przodu.

Wypij, powiedział. Wypij. Być może dzisiejsza noc upomni się o twoją duszę.

Spojrzał na whiskey. Sędzia uśmiechnął się i poruszył butelką.

Wziął szklankę i wypił.

Sędzia patrzył na niego. Zawsze kierowałeś się przeświadczeniem, że jak nie będziesz się odzywał, nie zostaniesz rozpoznany?

Ty mnie jakoś dziś poznałeś.

Sędzia puścił te słowa mimo uszu. Rozpoznałem cię, gdy pierwszy raz cię zobaczyłem, mimo to sprawiłeś mi zawód. I wtedy, i teraz. A jednak koniec końców stoisz tutaj razem ze mną.

Nie jestem z tobą.

Sędzia zmarszczył bezwłosy łuk brwiowy. Nie?, spytał. Rozejrzał się dokoła ostentacyjnie i z zaintrygowaniem, a tespijczykiem był nie najgorszym.

Wcale cię nie szukałem.

Co więc robiłeś?

Czego mógłbym od ciebie chcieć? Przyjechałem tu z tych samych powodów co pozostali.

Czyli z jakich?

Jestem tutaj tak samo jak inni.

Oni tu są, żeby się zabawić.

Sędzia wpatrywał się w niego. Zaczął wskazywać różnych ludzi na sali, pytając, czy zjawili się tutaj, bo chcą się bawić, albo czy w ogóle wiedzą, po co przybyli.

Nie każdy musi mieć powód, żeby gdzieś być.

Otóż to, przytaknął sędzia. Nie muszą mieć powodów. Ale wskutek ich obojętności porządek nie jest bynajmniej unieważniony.

Spojrzał bacznie na sędziego.

Ujmę to w ten sposób. Jeśli rzeczywiście nie mają powodów, a jednak się tu znaleźli, czy nie znaczy to, że są tutaj z nakazu innej instancji? A jeśli tak, czy potrafisz odgadnąć, co to za instancja?

Nie. A ty potrafisz?

Znam ją dobrze.

Znów napełnił szklankę, a sam napił się z butelki, otarł usta i odwrócił się, żeby się rozejrzeć po sali. To jest orkiestracja w przygotowaniu do wydarzenia, oznajmił. W rzeczywistości do tańca. Uczestnicy w odpowiedniej chwili zostaną powiadomieni o swoich rolach. Na razie wystarczy, że przybyli. Jako że to taniec nas zajmuje, a mieści on w sobie cały własny układ kroków, dzieje i finał, nie zachodzi konieczność, by tancerze również to zawierali. W żadnym wydarzeniu dzieje wszystkich nie są dziejami każdego z osobna, ani nawet sumą tych dziejów, i nikt z tutejszych nie potrafi pojąć powodów swej obecności, bo

nie może nawet wiedzieć, na czym polega wydarzenie. Mało tego, gdyby wiedział, być może zabrakłoby go dzisiaj, a przecież widzisz, że plan tego nie przewiduje, jeśli w ogóle jest jakikolwiek plan.

Uśmiechnął się, błysnął wielkimi zębami i wypił.

Wydarzenie, ceremonia. Jej orkiestracja. Dzieło nosi pewne oznaki stanowczości. Zawiera się w nim zgładzenie niedźwiedzia. Wypadki dzisiejszego wieczoru nie wydadzą się dziwne ani niecodzienne nawet tym, którzy kwestionują słuszność tak uszeregowanych wydarzeń.

A zatem ceremonia. Można by dowodzić, że nie ma kategorii, która nie zawierałaby ceremonii, że są wyłącznie ceremonie większego i mniejszego formatu, ale odłóżmy na razie ten spór i powiedzmy, że jest to ceremonia o pewnej doniosłości, być może pospolicie zwana rytuałem. Rytuał pociąga za sobą rozlew krwi. Rytuały, które nie spełniają tego warunku, są tylko zwyczajnym udawaniem. Tutaj każdy od razu pozna się na fałszerstwie. Bądź tego pewien. To uczucie w piersi, przywołujące doświadczenie samotności z dzieciństwa jak wtedy, gdy inni odeszli i w grze pozostał tylko jeden uczestnik. Gra w pojedynkę, bez przeciwnika. W której tylko zasady są zagrożone. Nie patrz w bok. Nie mówimy tutaj zagadkami. Ze wszystkich ludzi ty najlepiej znasz to uczucie, tę pustkę i rozpacz. To właśnie przeciw temu chwytny za broń, czyż nie? Czy krew nie jest składnikiem hartującym spoiwo, które nas łączy? Sędzia nachylił się bliżej. Jak myślisz, czym jest śmierć? O kim mówimy, gdy mówimy o człowieku, który był, a którego już nie ma?

Czy to ślepe zagadki, czy może część prawodawstwa każdego człowieka? Czymże jest śmierć, jeśli nie siłą sprawczą? I ku komu zmierza? Popatrz na mnie.

Nie po drodze mi z wariactwami.

Ani mnie. Ani mnie. Wytrzymaj jeszcze chwilę. Spójrz teraz na nich. Wybierz sobie któregoś, byle kogo. O, tamtego. Widzisz? Tego bez kapelusza. Wiesz, jak się zapatruje na świat. Widać to w jego twarzy, w jego pozie. Ale jego narzekania, że życie źle go traktuje, kryją prawdę o nim. Bo chodzi mu o to, że ludzie nie postępują wedle jego życzenia. Nigdy nie postępowali i nigdy nie będą postępować. Tak to z nim jest, wciąż potyka się o trudności i tak zboczył z wytyczonego kursu, że właściwie jest chodzącym wrakiem, ledwie godnym, by mieścić w sobie ludzkiego ducha. Czy taki człowiek potrafi powiedzieć, że żadne zło na niego nie czyha? Że nie ma żadnej wszechwładzy, siły, żadnej przyczyny? Jakiegoż to heretyka by trzeba, żeby zadać kłam istnieniu mocy sprawczej i zarazem własnym roszczeniom? Czy potrafi uwierzyć, że jego nędzne życie nie zostało ukartowane? Że nie ma zastawu, nie ma wierzyciela? Że bogowie zarówno pomsty, jak i współczucia jednako śpią w swoich kryptach i bez względu na to, czy wołamy o wypełnienie, czy zniszczenie rejestrów księgowych, odpowiada nam ta sama cisza i tylko ona się ostanie? Z kim on rozmawia, człowieku? Widzisz go?

Tamten mężczyzna rzeczywiście mruczał coś pod nosem i rozglądał się smętnie po sali, jakby nie mógł znaleźć ani jednej bratniej duszy.

Człowiek wykuwa własne przeznaczenie, własne i żadne inne, rzekł sędzia. Silna wola lub niewola. Każdy człowiek, który odkryje swoje przeznaczenie i obierze przeciwny kurs, koniec końców dotrze do tego samego miejsca w tym samym czasie, bo przeznaczenie każdego jest wielkie jak świat, który zamieszkuje, i zawiera własne przeciwieństwa. Ta pustynia, na której tak wielu zostało pognębionych, jest bezmierna i woła o wielkość serca, ale w ostatecznym rozrachunku jest pusta. Twarda i jałowa. Jej tworzywem — kamień.

Napełnił szklanke. Wypij, powiedział. Świat toczy się dalej. Nocami urządzamy tańce, a ta noc nie stanowi wyjątku. Drogi prosta i kręta są jedną i tą samą drogą, a skoro się tu znalazłeś, to czy liczą się lata, które upłynęły, odkąd spotkaliśmy się po raz ostatni? Ludzka pamięć jest zawodna, a przeszłość, która była, niewiele się różni od tej, której nie było.

Wziął napełnioną przez sędziego szklaneczkę, wypił i znów ją odstawił. Spojrzał na niego. Byłem wszędzie, rzekł. To tylko jedno z wielu miejsc.

Sędzia uniósł brew. Czy zostawiłeś tam świadków?, spytał. Aby po twoim wyjeździe donosili ci o dalszym istnieniu tych miejsc?

Wariactwo.

Czyżby? Gdzie się podział wczorajszy dzień? Gdzie są Glanton i Brown, gdzie jest ksiądz? Nachylił się jeszcze bliżej. Gdzie jest Shelby, którego zostawiłeś na pustyni na łasce Eliasa? Gdzie Tate, którego porzuciłeś w górach? Gdzie są te damy, ach, te piękne i delikatne damy, z którymi tańczyłeś na balu u

gubernatora? Kiedy byłeś bohaterem pomazanym krwią wrogów republiki, której postanowiłeś bronić. A gdzie skrzypek i gdzie taniec?

Ty mi to powiedz.

Powiem. W miarę jak wojna jest oczerniana, a jej szlachetność podawana w wątpliwość, ludzie honoru, którzy rozpoznają świętą naturę krwi, oddzielią się od tańca, bo takie prawo wojownika, a taniec stanie się wtedy tańcem fałszywym, a tancerze fałszywymi tancerzami. Ale zawsze pozostanie jeden, który będzie tancerzem prawdziwym. Zgadujesz, o kim mowa?

Ty jesteś nikim.

W twoich słowach więcej racji, niżbyś sądził. Powiem ci. Tylko ten, kto złożył siebie całego w ofierze na skrwawionym ołtarzu wojny, który zszedł na samo dno piekła i widział potworności w najdrobniejszym szczególe, i poznał wreszcie, że przemawiają do najgłębszych pokładów jego serca, jedynie ten umie tańczyć.

Każde głupie bydło umie tańczyć.

Sędzia odstawił butelkę na kontuar. Posłuchaj mnie, człowieku, rzekł. Na scenie starczy miejsca tylko dla jednej bestii i żadnej innej. Przeznaczeniem pozostałych jest noc wieczna i nienazwana. Wejdą kolejno w mrok przed światłami rampy. Niedźwiedzie, które tańczą, i te, które nie tańczą.

* * *

Przesunął się razem z tłumem do drzwi w głębi pomieszczenia. Na zapleczu siedzieli mężczyźni przy kartach, niewyraźni w kłębach dymu. Ruszył dalej. Kobieta odbierała sztony od ludzi,

którzy szli do szopy na tyłach. Spojrzała na niego. Nie miał sztonu. Skierowała go do stolika, przy którym inna kobieta sprzedawała żetony, wciskając pieniądze kamykiem przez wąski otwór do żelaznej kasetki. Zapłacił dolara, wziął ostepłowany mosiężny szton, oddał go przy drzwiach i poszedł dalej.

Znalazł się w dużej sali z podestem dla muzyków na jednym końcu i wielkim piecem zbitym z arkuszy stali na drugim. Po parkiecie sunęły szwadrony kurew. W poplamionych peniuarach, zielonych pończochach i kremowych reformach majaczyły w zadymionym mętnym świetle jak nierzeczywiste lafiryndy, dziecinne i sprośne zarazem. Ciemna karlica wzięła go za rękę i uśmiechnęła się.

Od razu cię wypatrzyłam, powiedziała. Zawsze biorę tego, którego chcę.

Poprowadziła go przez drzwi, przy których stara Meksykanka rozdawała ręczniki i świece, a potem po zaciemnionych schodach z desek weszli na piętro niczym uciekinierzy uratowani z jakiejś straszliwej katastrofy.

Patrzył na nią, leżąc w małej klitce, ze spodniami spuszczo-nymi do kolan. Patrzył, jak zbiera swój strój, jak go wkłada, patrzył, jak przysuwa świecę do lustra i przygląda się swojej twarzy. Odwróciła się i spojrzała na niego.

Chodźmy, rzekła. Muszę iść.

Idź.

Nie możesz tu leżeć. Chodź. Muszę iść.

Usiadł, zsunął nogi z małej żelaznej pryczy, wstał, wciągnął spodnie, zapiął guziki i pas. Podniósł leżący na podłodze kapełusz, otrzepał go o udo i włożył.

Musisz tam zejść i się napić, powiedziała. Zrobi ci się dobrze.

Już teraz mi dobrze.

Wyszedł. Na końcu korytarza odwrócił się i spojrział. A potem ruszył schodami na dół. Podeszła do drzwi. Stała w korytarzu, trzymając w ręku świecę. Patrzyła, jak niknie w mroku na schodach, po czym zamknęła za sobą drzwi.

Stanął pod ścianą. Na parkiecie ustawili się w kręgu ludzie, którzy trzymali się za ręce, uśmiechali i krzyczeli do siebie. Na scenie przysiadł skrzypek na stołku, a dokoła przechadzał się wodzirej, który wołał, gestykulował i płażał, pokazując pozostałym układ kroków. Na zewnątrz, na ciemnym podwórku, stały w błocie grupki wynędzniałych Tonkawów, z twarzami zastygłymi w osobliwe zadumane portrety w nitkach okiennych świateł. Skrzypek wstał i wpasował instrument pod brodę. Krzyknięto, rozbrzmiała muzyka i krąg tańczących ruszył ostrożnie przy akompaniamencie donośnego szurania.

Wyszedł tylnymi drzwiami.

Deszcz ustał i było chłodno. Stanął na podwórku. Z nieba spadały gwiazdy, miriadami i w bezładzie, gnając wzdłuż krótkich wektorów ze swych początków w nocy ku kresowi przeznaczenia w pyłe i nicości. W sali rzępoliły skrzypki, tancerze szurali i tupali nogami. Na ulicy mężczyźni szukali małej

dziewczynki, której niedźwiedzia zastrzelono, bo zaginęła. Chodzili z latarniami i pochodniami po ciemnych podwórkach, nawołując ją po imieniu.

Ruszył po kładce do wychodka. Stał przed wejściem, słuchając niktujących głosów, i znów spojrział na ciche tory gwiazd, które zgasły nad ciemnymi wzgórzami. A potem otworzył drzwi z nieheblowanych desek i wszedł do środka.

Na sedesie siedział sędzia. Był nagi. Podniósł się z uśmiechem i zamknął go w uścisku ramion, tuląc do ogromnego straszego cielska i opuszczając drewnianą zapadkę w drzwiach za jego plecami.

W saloonie dwaj mężczyźni szukali właściciela niedźwiedzia, bo chcieli kupić jego futro. Zwierzę leżało na scenie w ogromnej kałuży krwi. Pogasły wszystkie świece oprócz jednej, która skwierczała nieśmiało łojem jak lampka wotywna. W tancbudzie młody mężczyzna dołączył do skrzypka, wystukując metrum parą łyżek między kolanami. Kurwy płąsały półnagie, niektóre z obnażonymi piersiami. Na błotnistym podwórku za domem dwaj mężczyźni szli po deskach do wychodka. Trzeci stał obok, sikając w błoto.

Jest tam kto?, spytał pierwszy.

Mężczyzna załatwiający potrzebę nie podniósł wzroku. Na waszym miejscu bym tam nie wlaził, powiedział.

Jest tam kto?

Ja bym nie wlaził.

Wyprostował się, zapiął spodnie, wyminął ich i ruszył w stronę światła. Pierwszy mężczyzna popatrzył za nim, a potem otworzył drzwi do wychodka.

O Boże przenaświętszy, powiedział.

Co? Co jest?

Milczał. Wyminął drugiego i poszedł z powrotem do budynku. Tamten popatrzył za nim. A potem otworzył drzwi i zajrzał do środka.

W saloonie ułożono niedźwiedzia na płachcie zdjętej z wozu i skrzykiwano chętnych do pomocy przy wynoszeniu. Na zapleczu dym z cygar krążył wokół lamp jak złowroga mgła, a mężczyźni licytowali i rozdawali karty wśród niskich pomruków.

W tańcach nastąpiła przerwa i do skrzypka na scenie dołączył drugi. Zaczęli obaj szarpać palcami struny, obracając małe drewniane kołeczki, aż w końcu byli usatysfakcjonowani. Wielu tancerzy zataczało się pijanych po sali, niektórzy zrzucili koszule i kurtki i stali teraz z nagimi torsami, spoceni, choć w środku było na tyle zimno, że parowały oddechy. Na podest weszła olbrzymia kurwa i zaczęła klaskać, dopominając się pijackim głosem o muzykę. Miała na sobie tylko męskie kalessony, kilka jej siostr także ubranych było w rzeczy, które wyglądały jak zdobyczne trofea — kapelusze, portki i niebieskie kawaleryjskie kurtki z sukna o ukośnym splocie. Gdy muzykanci zarzępolili, ze wszystkich gardeł dobył się radosny okrzyk, do przodu wysunął się wodzirej i zapowiedział taniec, a tancerze zaczęły tupać, pohukiwać i słać się jeden na drugiego.

I tańczą, podłoga z desek dudni pod obcasami, skrzypkowie szczerzą się odrażająco znad pochylonych instrumentów. Nad nimi wszystkimi góruje tańczący nago sędzia, szybko i żwawo

poruszając małymi stopami, teraz przyspieszając kroku, kłaniając się damom, ogromny i bezwłosy niczym olbrzymi noworodek. Mówi, że nigdy nie śpi. Że nigdy nie umrze. Dyga przed skrzypkami, płąsa do tyłu, odrzuca głowę, parska głębokim gardłowym śmiechem i jest wielkim ulubieńcem, ten sędzia. Wachluje się kapeluszem, a księżycowa kopuła jego czaszki sunie błąda pod światłami, on zaś obraca się, przejmuje skrzypki, wiruje w piruecie, wykonuje jedno pas, dwa pas, tańcząc i grając jednocześnie. Ma lekkie, zwinne stopy. Nigdy nie śpi. Mówi, że nigdy nie umrze. Tańczy w świetle i cieniu i jest wielkim ulubieńcem. Nigdy nie śpi, ten sędzia. Tańczy i tańczy. Mówi, że nigdy nie umrze.

KONIEC

EPILOG

O świecie przez równinę podąża człowiek odmierzający swą wędrówkę otworami robionymi w ziemi. Używa dwuręcznego narzędzia, które wbija w grunt, rozpalając stałą kamień w otworze, otwór za otworem, wzniecając ogień, który umieścił tam Bóg. Przez równinę za jego plecami suną wędrowcy w poszukiwaniu kości i ci, którzy kości nie szukają, idą z ociąganiem, jak mechanizmy, których ruchy kontrolowane są za pomocą wychwyty z dźwignią spoczynku, aż można odnieść wrażenie, że powściąga ich roztropność albo namysł pozbawiony wszelkiej wewnętrznej jakości, i w trakcie wędrówki przecinają jeden za drugim ten szlak otworów, który biegnie do samej krawędzi widocznego świata i wydaje się nie tyle dążeniem do ciągłości, ile sprawdzianem pewnej zasady, uprawomocnieniem następstwa i przyczynowości, jakby każdy idealnie okrągły otwór zawdzięczał swoje istnienie temu, który go poprzedza na tej prerii pełnej kości, ich zbieraczy i tych, co nie zbierają. Roznieca ogień w otworze i wyciąga stal. A potem ruszają znowu.